

ZESZYT STO OSIEMNASTY

---

ZESZYTY  
HISTORYCZNE

INSTYTUT  
PARYŻ



LITERACKI  
1996



ZESZYT STO OSIEMNASTY

---

ZESZYTY  
HISTORYCZNE

INSTYTUT  

---

PARYŻ



LITERACKI  

---

1996

BIBLIOTEKA «KULTURY»  
TOM 496

ISSN 0406-0393  
ISBN 2-7168-0164-9

IMPRIME EN FRANCE

---

**Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.**  
**91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi**  
**par 78600 MAISONS-LAFFITTE**

Z.S. SIEMASZKO

## JEŃCY Z PAWLISZCZEW BORU

Dnia 5 marca 1940 r. na szczycie państwa sowieckiego, tzn. w Biurze Politycznym Komitetu Centralnego partii komunistycznej, została powzięta najbardziej drastyczna decyzja dotycząca obywateli polskich, którzy znaleźli się w zasięgu Sowietów na jesieni 1939 r. Na skutek tej decyzji zastrzelono wiosną 1940 r. 15131 jeńców wojennych z trzech obozów (Kozielsk, Starobielsk i Ostaszków) i 7305 więźniów cywilnych na terenach Zach. Ukrainy i Zach. Białorusi (używając ówczesnej terminologii sowieckiej), czyli w sumie 22436 osób<sup>1</sup>.

O tym kto ma być rozstrzelany decydowało, z polecenia Biura Politycznego, trójosobowe *Osoboje Sowieszczanije* (OSO), w skład którego wchodził zastępca komisarza NKWD Berii – Wsiewołod Mierkułow, jako przewodniczący, oraz szef Głównego Zarządu Gospodarczego NKWD Bachczo Kobiułow i naczelnik I Wydziału Specjalnego NKWD Leonid Basztakow.

Znane są już listy zastrzelonych jeńców wojennych, jak również więźniów cywilnych w Zach. Ukrainie, natomiast nie

---

1. Dane z artykułu Natalii Lebediewej, która miała dostęp do wielu dokumentów sowieckich, „Jeńcy polscy w obozach NKWD. Przypadek Józefa Czapskiego”. *Zeszyty Literackie* nr 50, Warszawa, luty 1995; str. 120.

ujrzała jeszcze światła dziennego lista więźniów cywilnych zastrzelonych wiosną 1940 r. w Zach. Białorusi. Należy apelować do władz polskich, aby dołożyły wszelkich starań w celu otrzymania tej brakującej listy.

Jednak pomimo tych drastycznych kroków podjętych na początku 1940 r. niewielka ilość oficerów przeżyła ten okres eksterminacji. Należeli do nich w pierwszym rzędzie ci, przeciwko którym prowadzono śledztwo i dlatego trzymano ich w centralnych więzieniach, głównie w Moskwie. W ten sposób uratowali się na przykład generałowie Anders, Boruta-Spiechowicz i Jarnuszkiewicz, oraz pułkownicy i podpułkownicy Wiśniowski, Bąkiewicz, Rzyziński, Rakowski i inni. Ilu jeńców wojennych skierowano do więzień cywilnych na początku jesieni 1939 r. nie wiadomo, natomiast już po zorganizowaniu obozów jenieckich w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie, czyli zaczynając od listopada 1939 r. do 4 marca 1940 r. przekazano do dyspozycji organów śledczych NKWD następujące ilości jeńców z tych trzech obozów: 6 pułkowników i podpułkowników, 14 majorów, 16 kapitanów, 35 poruczników i podporuczników, 2 oficerów policji, 5 szeregowych policji, 22 ziemian, 12 urzędników i 23 innych. Razem 135 osób<sup>2</sup>.

Potem, na skutek decyzji Biura Politycznego z 5 marca 1940 r., trójosobowe OSO wysłało z Moskwy między 1 i 27 kwietnia 53 numerowane listy tych, których należało rozstrzelać. Poszczególne listy były skierowane do jednego z trzech obozów jeńców, albo do zarządu NKWD w Zach. Ukrainie lub w Zach. Białorusi<sup>3</sup>. Jednocześnie 25 i 26 kwietnia OSO wysłało do każdego z trzech obozów listę tych jeńców

---

2. „Katyń – dokumenty zbrodni”, tom 1, wyd. Trio, Warszawa 1995; str. 467. Podana ilość nie obejmuje prof. Swianiewicza, któremu zmieniono status z jeńca wojennego na więźnia cywilnego w ostatniej chwili przed rozstrzelaniem, już na stacji Gniezdowo. To zestawienie i dalsze dane, które będą przytoczone w tym opracowaniu wskazują, iż wraz z wojskowymi trzymano w obozach jeńców wojennych, policję i ludzi innych zawodów, których zagarnęły nierzaz przypadkowo oddziały Armii Czerwonej razem z wojskowymi.

3. Wykaz wszystkich numerowanych list wysłanych przez OSO znajduje się w „Listy katyńskiej ciąg dalszy – straceni na Ukrainie”, Warszawa 1994, str. XII.

wojennych, których należało skierować do obozu NKWD w Pawliszczew Borze (tzw. *juchnowskiej tagier*). Listy te nie były numerowane i obejmowały tych, którzy mieli pozostać przy życiu. Ilości były następujące: z Kozielska 107, ze Starobielska 63 i z Ostaszkowa 29. W sumie 199 osób uratowanych od śmierci<sup>4</sup>.

Potem w maju wysłano z Moskwy dalszych 19 numerowanych (nry 54 do 72) list tych, którzy mieli być rozstrzelani. Jednocześnie w maju skierowano do obozu w Pawliszczew Borze dalszych 196 jeńców wojennych (w tym ze Starobielska 16), czyli w sumie znalazło się tam 395 osób<sup>5</sup>.

Ostatnio, dzięki uprzejmości Departamentu Prokuratury Ministerstwa Sprawiedliwości RP otrzymałem spis jeńców wojennych przebywających w obozie Pawliszczew Bor z maja 1940 r., wydany przez szefa Zarządu NKWD do spraw wojennych, Piotra Soprunienkę<sup>6</sup>. Spis ten zawiera 395 pozycji, z tym że w jednej pozycji (246) wpisane są dwie osoby, najpierw kpt. Franciszek Kuszel<sup>7</sup>, a potem wykreślony i w jego miejsce wpisany odręcznie pchor. Aleksander Karczewski. Czyli spis ten zawiera dane 396 osób. Ale ponieważ w komplecie, który posiadam brakuje siedmiu pozycji (367 do 373 włącznie) w dalszych rozważaniach będą brane pod uwagę jedynie dane 389 osób<sup>8</sup>.

---

4. N. Lebediewa, str. 119.

5. N. Lebediewa, str. 118 i 119.

6. *Spisok na wojennoplennych, sodierzaszczichsia w juchnowskom tagierie NKWD*, 44 strony maszynopisu. Pragnę podziękować panu Aleksandrowi Herzogowi prokuratorowi Prokuratury Apelacyjnej za udostępnienie tego spisu i za pomoc w odczytaniu niektórych niewyraźnych zapisów w posiadanych kopiach.

7. Z Pawliszczew Boru Kuszel został przewieziony do Moskwy na Łubiankę, gdzie jakiś czas był w tej samej celi co gen. Anders, którego poinformował o istnieniu trzech obozów jenieckich, z których niewielkie grupy jeńców przewieziono do Pawliszczew Boru. Kuszel uważał się za Białorusina i był żonaty z białoruską poetką Natalią Arsieniewą. Po „amnestii” przedostał się na stronę niemiecką i został komendantem Białoruskiego Korpusu Samoobrony. Dalsze dane o nim i o jego żonie można znaleźć w pracy Z.S.S. „W sowieckim osaczeniu 1939-43” (do nabycia u autora).

8. Dzięki liście Moszyńskiego, o której mowa w następnym piśmie, udało się ustalić, iż wśród tych siedmiu brakujących osób byli

Poza numerem pozycji spis ten zawiera następujące dane: nazwisko, imię i *otczestwo*; rok urodzenia; numer sprawy śledczej i numer rejestracyjny; ostatnia funkcja i stopień oraz powód skierowania do Pawliszczew Boru.

Nazwiska poszczególnych jeńców pisane cyrylicą, szczególnie niemieckiego lub żydowskiego pochodzenia, trudno by odczytać poprawnie, gdyby nie alfabetyczny spis więźniów Pawliszczew Boru, opracowany w W. Brytanii przez kpt. Adama Moszyńskiego<sup>9</sup>. Natomiast podane *otczestwa*, czyli imiona ojców ułatwiają określenie zaplecza narodowościowego poszczególnych jeńców.

Trudno jest dociec według jakiej kolejności wpisywano jeńców na tę listę. Nie jest to ani kolejność alfabetyczna, ani chronologiczna, ani też ułożona według stopni wojskowych, czy też obozów z których jeńcy przybyli, ani według numerów ewidencyjnych lub spraw śledczych. Wydaje się, że lista ta jest typowym przykładem rosyjskiego bałaganu połączonego z zamiłowaniem do biurokracji i z systemem organizacyjnym, zakrojonym na szeroką skalę.

Lata urodzenia jeńców na tej liście rozrzucone są od 1870 r. (płk. intendentury Ryszard Malinowski) do 1924 r.

---

chyba: z Kozielska ppłk dypl. Leon Tyszyński ur. 1896; ze Starobielska: kwietniowy transport – ppor. Benjamin Karpiński ur. 1905, ppor. Włodzimierz Nikołajew ur. 1900 i ppor. Józef Schönnaut ur. 1899, oraz majowy transport – ppor. lekarz Andrzej Bułhak ur. 1910.

9. Lista Moszyńskiego (maszynopis, 21 stron), którą udostępnił jeden z ocalałych, Jerzy Turski nr 197, zawiera wszystkie 389 osób, których dane są tu brane pod uwagę z wyjątkiem dwóch – Krawiec nr 135 i Madej nr 179. Poza tym lista ta zawiera dalszych 45 osób, wśród których jest 7 brakujących w posiadanym spisie Soprunienki, oraz dwaj księża, Kantak i Tyszkowski, których dołączono z więzienia w Moskwie do grupy jeńców w późniejszym terminie. Natomiast nie wiadomo jak wyjaśnić obecność dalszych 36 osób na liście Moszyńskiego. Nie ma wśród nich nikogo znanego. W szeregu wypadków dane są niekompletne i ograniczają się jedynie do nazwiska. Lista Moszyńskiego zawiera mniej danych o poszczególnych jeńcach niż lista Soprunienki, ale pod jednym względem Moszyński prześciga Soprunienkę, a mianowicie podaje on w wielu wypadkach, choć nie we wszystkich, z których obozów pochodzili poszczególni jeńcy. Dane te są najdokładniejsze w wypadku Starobielska, przez który przeszedł sam Moszyński.



(uczeń Wiesław Słupski)<sup>10</sup>, jednak dominująca większość jeńców urodzona była w dwóch pierwszych dekadach XX wieku.

Spośród 389 jeńców, których bierzemy tu pod uwagę, 187 miało jeden numer (chyba ewidencyjny), a pozostałych 202 miało dwa numery (ewidencyjny i śledczy), ale dlaczego tak było, trudno ustalić. Może chodziło tu o wcześniejsze (kwietniowe) i późniejsze (majowe) transporty. Na przykład w przypadku jeńców ze Starobielska, prawie cały pierwszy transport (kwietniowy) miał dwa numery, a drugi (majowy) jeden numer.

W wykazie sporządzonym przez moskiewskie biuro Soprunienki podział według zawodów i stopni był jak następuje<sup>11</sup>.

<i>Wojsko:</i>	265
generałów	1
pułkowników i podpułkowników (1 lekarz)	20
majorów (1 lekarz)	5
kapitanów i rotmistrzów (1 lekarz)	14
poruczników i podporuczników (28 lekarzy i 3 lotników)	110

---

10. Słupski (nr 198) przebywał w Kozielsku wraz ze swym ojcem Edmundem (nr 173) ppor. artylerii i obaj zostali uratowani od śmierci. Była też druga taka para uratowanych z Ostaszkowa, nazywali się Gawiak i obaj mieli na imię Marian. Ojciec miał nr 106, a syn (ur. 1921) nr 280. Moszyński chyba błędnie podaje, iż Gawiak był ziemianinem, przypuszczalnie Soprunienko jest bliższy prawdy, gdy pisze, iż ojciec Gawiak był członkiem partii ludowo-chłopskiej. Była jeszcze trzecia para ojciec-syn, nazwiskiem Zennerman, ale uratował się jedynie syn Jan (ur. 1921) nr 191, natomiast ojca Józefa nie ma wśród jeńców Pawliszcze Boru.

11. Niekiedy stopnie podane przez Moszyńskiego są inne niż na liście Soprunienki, co świadczy o tym, że niektórzy jeńcy zdolali zakamuflować się. Na przykład, Józef Płonka (nr 114) uchodził za uciekiniera, a w rzeczywistości był kapralem policji; Adam Miaskowski (nr 143) uchodził za woźnicę, który w wojsku nie służył, a w rzeczywistości był wachmistrem; Stanisław Rasiński nr 299 podawał również, iż nigdy w wojsku nie służył, a tymczasem był rotmistrzem i Emil Rzym (Żim) nr 394) uchodził za szeregowca, a był wachmistrem.

podchorążych (28 lekarzy i 1 lotnik)	83
chorążych	8
żandarmów	2
podoficerów (1 armii francuskiej)	7
st. szer. i szeregowców (1 z KOP-u)	15
<i>Marynarka wojenna:</i>	3
komandorów i kmdrów ppor.	2
kapitanów	1
<i>Policja:</i> <sup>12</sup>	52
pułkowników i podpułkowników	2
majorów	2
kapitanów	2
por. i podporuczników	3
sierżantów	5
st. post. i posterunkowych	38
<i>Junackie Hufce Pracy:</i> <sup>13</sup>	11
kancelista	1
junacy	10
<i>Straż graniczna:</i>	2
podpułkownik	1
strażnik	1
<i>Straż więzienna:</i>	2
oficer	1
strażnik	1

12. Jedynie policję ewakuowaną w zwartych oddziałach przed Niemcami na wschód traktowały władze sowieckie jako jeńców wojennych. Natomiast lokalni policjanci na Kresach Wschodnich, którzy pozostali na swoich stanowiskach do ostatniej chwili, zostali w większości wypadków aresztowani i skierowani do więzień cywilnych, gdzie poddano ich śledztwu.

13. Nie wiadomo, czy wśród wymienionych tu członków JHP byli jedynie kontraktowi junacy, czy też maturzyści z 1939 r., którzy byli zobowiązani odbyć kilkutygodniową służbę w JHP, w jednym z trzech turnusów, z których ostatni kończył się w drugiej połowie września. Niektórzy z tych maturzystów trafili w ręce sowieckie w mundurach junackich i zostali skierowani do obozów jenieckich.

<i>Pozostali:</i>	54
w wojsku nie służyli	18
uczniowie i studenci	9
uciekierzy z centralnej Polski	7
osadnicy wojskowi	3
litewscy wywiadowcy <sup>14</sup>	3
zwolnieni z polskich więzień <sup>15</sup>	2
strażnicy pożarni	2
usiłujący zbiec z Sowieców	2
inni	8
(w tym po jednym: działacz związków zawodowych, instruktor, kolejarz, syn chłopa, ziemianin, prezes sądu, dyplomata brak danych)	
W SUMIE:	389

Patrząc na wojskowych pozostawionych przy życiu (razem 237) można by sądzić, że zespół ten miał stanowić kadre zamierzonej polskiej dywizji pod dowództwem sowieckim, na której czele stałby gen. Wołkowicki, rosyjski bohater narodowy z czasów wojny japońskiej 1905 r. Jest to jednak wątpliwe, żeby już w kwietniu 1940 r. NKWD nosiło się z zamiarem organizowania polskiej dywizji pod swoją kontrolą. Takie plany zaczęły powstawać dopiero w październiku 1940 r., kiedy to zaczęto wybierać oficerów do tzw. „willi szczęścia” w Małachowce pod Moskwą. Poza tym, gdyby już wiosną noszono się z takimi zamiarami to z pewnością pozostawiono by przy życiu więcej oficerów z doświadczeniem bojowym z września 1939 r. Tymczasem w Pawliszczew Borze dominowali oficerowie i podchorążowie rezerwy, którzy 17 września

---

14. Jednym z nich był kpr. Antoni Balulis (nr 78), który w 1935 r. został skazany na 12 lat więzienia za szpiegostwo na rzecz Litwy. We wrześniu 1939 r. został wzięty do niewoli przez Czerwoną Armię po uwolnieniu z więzienia w Baranowiczach. („Katyń”, str. 322). Do Pawliszczew Boru przywieziono go z Kozielska.

15. Jednym z nich był Michał Leszczuk (nr 127), który odbywał wieloletnią karę więzienia za zastrzelenie brata gen. Bułak-Bałachowicza w Puszczy Białowieskiej, na drodze z Hajnówki do Białowieży.

1939 r. byli jeszcze w ośrodkach zapasowych dopiero w stadium organizacji i wielu spośród nich nie miało jeszcze przydziałów, co wyraźnie występuje w wykazie Soprunienki. Natomiast ogromna większość oficerów, którzy brali czynny udział w walce, jak na przykład oficerowie z grupy gen. Andersa, czy płka Płonki, czy też gen. Kleeberga, została rozstrzelana. To samo spotkało ogromną większość oficerów z obrony Lwowa.

Wśród 237 oficerów i podchorążych występuje wielka ilość medyków – 38 lekarzy (w tym 15 Żydów, ustalenie tego ułatwiają imiona ojców podane w wykazie Soprunienki), 3 dentyistów, 3 farmaceutów i 4 weterynarzy. Czyli w sumie 48 oficerów i podchorążych. Czyżby to oszczędzanie medyków było spowodowane tradycją panującą w Rosji od dawna, darzenia lekarzy specjalnym szacunkiem?

Poza tym analiza wieku uratowanych od śmierci wskazuje, iż faworyzowano młodych. Ponad połowa skierowanych do Pawliszczew Boru miała wówczas poniżej 35 lat, czyli urodzeni byli po 1905 r. Widocznie NKWD sądziło, że młodzi dadzą się łatwiej przerobić i będą bardziej podatni na sowietyzację.

Z kolei przechodzimy do ostatniej kolumny w spisie Soprunienki, zatytułowanej *Prizina naprawlenija w juchnowskij tagier*. Kolumna ta wzbudza największe zainteresowanie, gdyż z jednej strony może być w niej zawarte kryterium życia i śmierci istniejące w sowieckiej mentalności, a z drugiej kolumna ta może zawierać klucz do ustalenia, którzy spośród jeńców już przed kwietniem 1940 r. poszli na współpracę z NKWD.

W kolumnie tej przyczyny skierowania do Pawliszczew Boru i ilości jeńców im odpowiadające były jak następuje:

<i>Zapros giermanskowo posolstwa</i>	
(czyli zapytania poselstwa niemieckiego)	47
<i>Litowskaja missija</i> (czyli interwencja misji litewskiej)	18
<i>Rasporiażenije zamiestitiela Narkoma</i> (czyli zarządzenie Mierkułowa)	89
<i>5 Otdiel</i> (czyli Oddział Wywiadowczy NKWD)	45

<i>Niemiec</i>	20
<i>Po nacjonalności</i> (według narodowości)	3
<i>Proczij</i> (inny) <sup>16</sup>	167
W SUMIE:	389

Omawiając przyczyny pozostawienia przy życiu niektórych jeńców trzeba pamiętać, że trójosobowe OSO kierowało się w pierwszym rzędzie opinią, iż dany jeńiec może przydać się w taki czy inny sposób Związkowi Sowieckiemu. Natomiast tych, którzy zdaniem OSO nie przedstawiali żadnej korzyści państwu sowieckiemu, wysyłano na rozstrzelanie. Jednak trzeba zauważyć, że wchodziły tu w grę nie tylko wewnętrzne interesy sowieckie, czy też sprawy polsko-sowieckie, ale również stosunki Sowietów z przynajmniej dwoma państwami – Niemcami i Litwą. Natomiast nie były brane pod uwagę interwencje innych państw, jak np. Włochy, Japonia, czy Łotwa, bo przecie zabiegi krewnych tych, którzy znaleźli się w sowieckiej niewoli, musiały iść nie tylko przez Niemcy i Litwę, ale również i przez inne kraje. Widocznie w ówczesnej sytuacji NKWD uważało za stosowne uwzględnić, przynajmniej częściowo, zapytania przekazane przez *Narkomindel* (Komisariat Spraw Zagranicznych) jedynie z Niemiec i z Litwy, że z Niemiec, to jasne, ale dlaczego z Litwy? Widocznie wówczas zależało na niej Sowietom.

Na liście uratowanych z powodu interwencji poselstwa niemieckiego w Moskwie znalazły się następujące, bardziej znane osoby (przy nazwiskach podane są poszczególne numery na liście Soprunienki): ziemianin Włodzimierz Piątkowski-5, prof. prawa z USB, ppor. Waław Komarnicki-18, lotnik por. Henryk Kamiński-31, kpt. cenzury wojskowej Rudolf Bauer-37, sierż. policji Bernard Sobota- 71, st. posterunkowy Franciszek Krawiec-135, wiceprezes sądu okręgowego por. Zygmunt Schuster-138, por. dr Karol Böhmer-153, por. Otton Bisanz-185, rtm. Józef Czapski-205, ppor. Borys Schön-206, kpt. Adam Moszyński-207, szwagier Artura Ru-

---

16. Trzy pozycje (380-382) zostały zaliczone do „Proczij”, gdyż wygląda, że maszynista jedynie opuścił znaczki *ditto* w tych pozycjach.

binsteina ppor. Bronisław Młynarski- 210, b. adiutant gen. Andersa rtm. Olgierd Ślizień-211, ppor. Andrzej Olizard-212 i pchor. Wilhelm Dörn-395. Z nazwisk, imion i imion ojców można wnioskować, iż niektórzy spośród tych jeńców mieli bliskie powiązania niemieckie, natomiast inni mieli jedynie dalsze pokrewieństwa rodzinne<sup>17</sup>.

Na liście uratowanych z powodu zapytań misji litewskiej znalazły się następujące bardziej znane osoby: lotnik ppor. Ludwik Jaksztas-2, ppor. Julian Michniewicz-11, por. Olgierd Tarasiewicz-34, ppor. Robert Janiewicz-35, por. Czesław Czyż-36, ppor. dr Michał Lewin-76, ppor. Izaak Szapiro-200, oraz trzech wywiadowców litewskich: Kazimierz Żołdak-77, Antoni Balunis-78 i Leontyn Demkowski-93. Można wnioskować, że zapytania o tych jeńców pochodziły od polskich i żydowskich rodzin zamieszkałych na Litwie, natomiast o trzech ostatnich z pewnością upomniał się litewski wywiad.

Z kolei należy przejść do grupy, której pozostanie przy życiu zarządził osobiście Mierkułow. Można by przypuszczać, iż w tym gronie znajdą się jeńcy mający odegrać najważniejszą rolę w ujarzmianiu obywateli polskich. Tymczasem występuje tu zaledwie kilka osób, które uczestniczyły w urabianiu uległości wobec Sowietów, chociaż mogą być w tej grupie nieznani informatorzy NKWD małego kalibru. Wobec tego zostaną tu wymienieni ci z grupy Mierkułowa, którzy występują również gdzie indziej w tym opracowaniu: szer. Władysław Bernatowicz-88, cywil Henryk Sakowicz -115, kpr. Henryk Kupś-121, zwolniony więzień Michał Leszczuk-127, buchalter batalionu JHP por. Feliks Korolewski-145, pchor. Mikołaj Plutowicz-147, cywil Mikołaj Szmatowicz-155, pchor. Leonid Fiedoruk-188, uczeń Zdzisław Słota-166, por. Mikołaj Kuśnieruk-170, lotnik por. Tadeusz Wicherkiwicz-172, ppor. Edmund Słupski-173, ppor. Jan Majer-

---

17. Jak podaje Lebediewa (str. 119) w sprawie Czapskiego interweniował u władz niemieckich Włoch hrabia Ferdynand du Calstel, jak również potomek znanego kanclerza, księżę Bismarck. Podaje ona również, iż przed lutym 1941 r. ambasada niemiecka w Moskwie zapytywała o 12.000 polskich oficerów i szeregowych pochodzących spod okupacji niemieckiej.

175, pchor. Tadeusz Madaj-179, ppor. Piotr Wargocki-181, por. zand. Tadeusz Birn-185, uczeń Jan Zenerman-191, lotnik pchor. Zbigniew Kwiczała-194, pchor. Jerzy Turski-197, zwolniony więzień Józef Wolski-387, szer. Franciszek Rudel-388, uczeń Tadeusz Mylarz-393 i szer. (w rzeczywistości wachm.) Emil Rzym-394.

Następna grupa, której pozostawienie przy życiu zgłosił Oddział Wywiadowczy NKWD przedstawiała się zupełnie inaczej. Występuje w niej cała „śmietanka” wybrana do przetrwania.

gen. Wołkowicki-314	1
<i>ptk. i pptk.</i> : –	20
Berling-39, Morawski-43, Gorczyński-58, Ganowski-62, Bukojemski-255, Dudziński-267, Künstler-292, Lachowicz-296, Malinowski-305, Issertingen-Tupaj-318, Bolesławicz-322, Mintowt-Czyż-328, Grobicki-331, Felsztyn-333 Czyż-337, Missiuro-340, Mara-Mayer-34, Henryk Rakowski-356, dr Szarecki-364 i Kierkowski-377	
<i>mjr.</i> : –	3
Domoń-39, Mańkowski-66 i Krywko-259	
<i>kpt.</i> : –	4
Wrześniowski-47, Michułka-235, Lis-247 i Rosen-Zawadzki-251	
<i>por. i ppor.</i> : –	3
dr Srokowski-277, Lubomirski-284 i Grzybowski	
<i>oficerowie Marynarki Wojennej</i> : –	3
Żejma-309, Dzienisiewicz-360 i Ginsbert-345	
<i>oficerowie policji</i> : –	7
Goździewski-69, Jaworowski-215,	

Łopaciński-219, Torwiński-223,  
Berg-227, Bober-231 i Łuszczynski-239

ppłk straży granicznej Czajkowski-263	1
<i>pozostali:</i> –	3
podoficer armii francuskiej, dyrektor P.Z.L. inż. Kazimierzak-273, inż. kpt. Sienicki-288 i konsul M.S.Z. Łaciński	
W SUMIE: –	45
Następna grupa to ci, których określono jako „Niemiec”. Są oni jak następuje:	
<i>kpt.:</i> –	2
dr wet. Zinn-9 i Kühnel-152	
<i>por. i ppor.:</i> –	9
Sturbäker-7, Förster-8, Gläser-10, Holz-29 Bartz-30, dr Danek-150, Speichert-151, Stegeman-201 i Szweda-202	
<i>podoficerowie policji:</i> –	9
Kranz-72, Münnich-94, Luka-95, Stolz-96, Zimmer-97, Thon-111, Grym-118, Polachowski-132 i Robaszewski-224	
W SUMIE	20

Prawdopodobnie są to jeńcy, którzy zgłosili się na repatriację do Niemiec, jako osoby niemieckiej narodowości. Sądząc z brzmienia nazwisk, imion i imion ojców większość z nich miała bliskie powiązania niemieckie, chociaż kilku miało z pewnością nikłe tego rodzaju związki i zgłaszali się dlatego, że mieli nadzieję, iż tą drogą uda im się wydostać z Sowietów.

Następna niewielka grupa składająca się z trzech podporuczników – Langier-13, Tollik-14 i Janus-15, którą zatrzymano przy życiu *po nacjonalności*, czyli z powodu ich naro-



dowości. Ale o jakie narodowości chodziło trudno ustalić. Ich nazwiska, imiona i imiona ojców nie wskazują na to, żeby byli Ukraińcami, Białorusinami czy Żydami. Może chodzi tu o jeńców niemieckiego pochodzenia, którzy jednak chcieli zostać wierni przysiędze wojskowej i nie zgłaszali się na repatriację do Niemiec. Ale nie ma na to przekonujących dowodów.

Wreszcie dochodzimy do ostatniej i jednocześnie największej grupy, liczącej 167 osób, której powody pozostawienia przy życiu określono jako „Inni”. O włączeniu do tej grupy decydowało chyba jedynie trójosobowe OSO, bez wpływów ze strony różnych wydziałów NKWD, czy też innych organów ZSSR. Grupa ta miała podobny charakter do grupy, której zachowanie przy życiu zarządził sam Mierkułow, nie obejmowała ona wybitnych osobistości.

Zdaniem Natalii Lebediewej do tej grupy „należeli ci, których nie można było zaliczyć do kategorii oficerów, policjantów, funkcjonariuszy organów ścigania i KOP-u (czyli osoby cywilne, uchodźcy, junacy, szeregowcy, podchorążowie), jak również informatorzy” (str. 118). W rzeczywistości do tej grupy należało 60 podchorążych (w tym 5 lekarzy), 37 podporuczników (w tym 22 lekarzy), 16 st. post. i posterunkowych, 10 cywili, 8 junaków, 7 poruczników (w tym 5 lekarzy), 7 chorążych, 5 st. szer. i szeregowców, oraz 1 ppłk., 1 major i 2 kpt. (w tym 1 lekarz). Wynika z tego, że powyższa opinia Lebediewej jest jedynie częściowo słuszna.

O ile chodzi o informatorów, to na podstawie dokumentów sowieckich Lebediewa pisze, iż w Starobielsku przed styczniem 1940 r. wśród jeńców było ich 41, a po wzmocnieniu akcji inwigilacyjnej przybyło dalszych 22 jeńców (str. 117). Czyli przed rozpoczęciem rozładowania obozu według tych źródeł powinno być 63 informatorów wśród jeńców Starobielska i jak wynika z powyżej cytowanej wypowiedzi Lebediewej, powinni oni byli należeć do grupy „Innych”.

Jednocześnie według Lebediewej w kwietniu 1940 r. wysłano ze Starobielska do Pawliszczew Boru 63 jeńców i w maju 16 jeńców wraz z Czapskim (str. 119), czyli w sumie 79 osób. Ilości te pokrywają się dość dokładnie z listą Mo-

szyńskiego, który studiował dane jeńców przez wiele lat i sam przeszedł przez Starobielsk. Według niego w kwietniu wywieziono do Pawliszczew Boru 64 i w maju 16 jeńców. W sumie ok. 80. Jego ilość jest o jedną osobę większa, gdyż włącza on kpt. Kuszla, który wkrótce po przybyciu do Pawliszczew Boru został przewieziony do Moskwy, więc najprawdopodobniej późniejsze dokumenty, z których korzystała Lebidiewa nie obejmowały go. Powody włączenia do kwietniowego transportu tych, których podaje Moszyński jako należących do transportu (za wyjątkiem kpt. Kuszla), były następujące:

zarządzenie Mierkułowa	1
interwencja Oddz. 5 NKWD	13
inni	46
brak danych <sup>18</sup>	3
<hr/>	
RAZEM:	63

Te same dane odnoszące się do majowego transportu są następujące:

poselstwo niemieckie	8
misja litewska	2
Niemcy	2
inni	3
brak danych <sup>18</sup>	1
<hr/>	
RAZEM:	16

18. Dotyczy to czterech podporuczników ze Starobielska, trzech z kwietniowego transportu (Beniamin Karpiński ur. 1905, Włodzimierz Nikołajew ur. 1900 i inż. Józef Schönhaut ur. 1899), oraz jednego z majowego (dr Andrzej Bułhak ur. 1910), którzy są na liście Moszyńskiego, a w wykazie Soprunienki znajdują się prawdopodobnie na niektórych spośród siedmiu pozycji (367 do 373 wł.) brakujących w posiadanej kopii tego wykazu.

Czyli w obu transportach ze Starobielska „Innych” było 49 lub najwyżej 53, jeżeli wszyscy, których danych brakuje, byli również zakwalifikowani jako „Inni”. Ilości te są niezgodne z tym co Lebediewa znalazła w dokumentach sowieckich, gdzie z jednej strony podano, iż w Starobielsku było 63 informatorów, a z drugiej, iż klasyfikowano ich jako „Innych”. Należy przypuszczać, że w NKWD, podobnie do innych instytucji sowieckich, pisano w raportach nie to co odpowiadało rzeczywistości, a to co zwierzchnicy chcieli widzieć. Ale może jest inne wyjaśnienie tego zjawiska. Może ci, których zmuszono jakimś szantażem do współpracy i już zaliczono ich do informatorów, okazali się potem oporni, więc wysłano ich na śmierć, a nie do Pawliszczew Boru.

Ponieważ na podstawie dokumentów sowieckich, które widziała Lebediewa w przyszłości mogą powstać dalsze podejrzenia w stosunku do tych, których zakwalifikowano jako „Inni”, warto przynajmniej w wypadku Starobielska, którego dane posiadamy, przyjrzeć się nieco dokładniej kim ci „Inni” byli<sup>19</sup>.

	kwietniowy transport	majowy transport	razem
Majorowie	1	1	2
Porucznicy	1	1	2
podpor.(14 lekarzy)	18	0	18
podchor.(2 lekarzy)	23	1	24
chorąży	1	0	1
kapral	1	0	1
uczeń	1	0	1
Razem	46	3	49

19. Niekiedy wśród „Innych” występują osoby nie pasujące do pojęcia „jeniec wojenny”. Na przykład pod numerem 319 jest Józef Mojsze Kleiman syn Sruła (ur. 1872), właściciel tartaku i młynów w Ostrogu nad Horyniem. W wojsku nie służył. Widocznie przypadkowo został zagarnięty razem z wojskowymi. Ciekawe jaką korzyść widziało trójosobowe OSO w pozostawieniu go przy życiu? A może był to wyjątkowy wypadek odruchu humanitarnego ze strony wyższych oficerów NKWD?

Spośród tych 49 jeńców Starobielska pięciu zginęło potem w czasie wojny. Zmarli: podchorąży w Teheranie, podporucznik dr w Khanaquinie i kapral Żyd w Palestynie. Polegli we Włoszech: podchorąży i podporucznik dr Żyd. Co najmniej jeden podchorąży został odznaczony w czasie walk we Włoszech orderem *Virtuti Militari*.

Niewątpliwie byli wśród jeńców wojennych wszystkich trzech obozów informatorzy, jednak należy pod tym względem niezmiernie uważać szczególnie przy wysuwaniu podejrzeń lub oskarżeń zbiorowych, gdyż może to być niezmiernie krzywdzące w stosunku do wielu osób.

W wykazie Soprunienki oczywiście nie ma *wieroisповідania* czyli wyznania, co mogłoby być ciekawym wskaźnikiem, ale w sowieckiej biurokracji z zasady tego nie notowano. Natomiast dziwne, iż nie ma też narodowości. Jedynie w kilku wypadkach została ona zanotowana. Na przykład o ile chodzi o ppor. Michniewicza-11, najpierw napisano, że powodem wysłania go do Pawliszczew Boru było to, iż był on Litwinem, a potem poprawiono ręcznie, że stało się to na skutek interwencji misji litewskiej, a w wypadku mjra Fischera-Drauenegga-209 wpisano, że został on skierowany do Pawliszczew Boru jako „Inny”, a potem dopisano odręcznie przy nazwisku *po nacjonalnosti*, czyli według narodowości, ale nie wiadomo jakiej, niemieckiej, szwedzkiej czy też duńskiej<sup>20</sup>. Tak samo jak nie wiadomo jaką narodowość przypisywano trzem innym jeńcom (numery 13-15) skierowanym *po nacjonalnosti*, o których już była mowa<sup>21</sup>.

Na podstawie danych znajdujących się w wykazie Soprunienki trudno jest wyodrębnić Białorusinów, natomiast można odróżnić szereg jeńców, którzy mogli być albo Rosjanami (synowie „białych” Rosjan osiadłych w Polsce), albo też Ukraińcami. Dla przykładu można wymienić następujących: por. Kuśnieruk Mikołaj syn Afanasia-170, ppor. Czerednikow

---

20. W 39 r. oficer służby stałej Fischer-Drauenegg (ur. 1896) był dowódcą ośrodka zapasowego Wielkopolskiej Brygady Kawalerii. Po „amnestii” nie spełniał ważniejszej roli dowódczej.

21. Byli to podporucznicy Julian Langier syn Kazimierza, Roman Tollik syn Pawła i Wolfgang Janus syn Tomasza.

Leonid syn Piotra-167, ppor. Nikołajew Włodzimierz, pchor. Fiedoruk Leonid syn Włodzimierza-158, szer. Kułak-Kułakow Jan syn Jana-385, posterunkowy Makułow Włodzimierz syn Klementyna-237, junak Gorbiel Arsienij syn Fiodora-87, uczeń Fijałkowski Włodzimierz syn Fomy-124.

Mozna również w wykazie Soprunienki wyodrębnić cały szereg jeńców żydowskiego pochodzenia, jak następuje: mjr policji Berch Mojżesz syn Mejera-227; ppor. Galpern Hirsz syn Lejby-171, Majer Jan syn Dawida-175 i Szapiro Izaak syn Zelman-200; ppor. lekarze Lewin Michał syn Maksyma-76, Słowes Solomon syn Mojżesza-362, Prużański Bunim syn Mejera-380, Perelmutter Jonasz syn Izaaka-245, Ungar Kund syn Solomona-54, Winkelhacken Leon syn Izaaka-61, Janowski Dawid syn Abrama-257, Weksler Izaak syn Fiszela-258, Zyntak Hyna-Boruch syn Mojżesza-351 i Nasielski Szaja-Abram syn Mordki-365; pchor. lekarze Borkowski Wiktor syn Chaskiela-381 i Gurwicz Samuel syn Solomona-304; chorąży Singer Jakub syn Abła-287; kapral Blumenstok Leon syn Mendela-261; uciekinierzy Glicenstein Jakub syn Mojżesza-261 i Sonnenschein Iziel-Pinkus-119; cywile Epstein Szaja syn Lejby-120, Kleinman Józef Mojsze syn Srula-319 i Kłodawski Anszel syn Chaima-392.

Jak widać skład narodowościowy jeńców skierowanych do Pawliszczew Boru reprezentował wielonarodowy charakter państwa polskiego między wojnami.

W szeregu wypadków trzyosobowe OSO wprowadzało zmiany swoich początkowych decyzji. Na przykład ppor. dr Michał Romm (nr 131) z Ostaszkowa najpierw został wyznaczony do rozstrzelania, ale zanim wykonano to zarządzenie, OSO zmieniło zdanie i skierowało go do Pawliszczew Boru<sup>22</sup>. Natomiast ze st. posterunkowym Franciszkiem Krawcem (nr 135) postąpiono odwrotnie i już z Pawliszczew Boru odesłano go z powrotem do dyspozycji NKWD kalininiskiej *oblasti*, czyli na rozstrzelanie. Zostało to odno-

---

22. Wiadomość zaczerpnięta z omówienia w *Dzienniku Polskim* z 6 kwietnia 1990 r. artykułu Natalii Lebediewej drukowanego w miesięczniku *Międzynarodnaja żiżń* z czerwca 1990 r., którego skrót ukazał się wcześniej w tygodniku *Moskowskije nowosti*.

owane odręcznie (wysłanie, a nie rozstrzelanie) w wykazie Soprunki. Pchor. Tadeusz Madaj nr 179, został również wysłany z Pawliszczew Boru, ale dokąd – nie udało się odczytać z odręcznej notatki w wykazie Soprunki<sup>23</sup>. Jak już zostało powiedziane, kpt. Kuszla skierowano do więzienia w Moskwie. Podobny los spotkał por. Henryka Kleinerta (nr 214), którego wysłano do dyspozycji 2 Oddz. NKWD, jak podano w odręcznej notatce w wykazie Soprunki. Przed wojną był Kleinert redaktorem *Gazety Polskiej*. Do Pawliszczew Boru przybył ze Starobielska drugim, czyli majowym transportem. Po „amnestii” wstąpił do armii gen. Andersa. Później przez dłuższy czas był oficerem oświatowym w 4 Pułku Czołgów, a potem redaktorem jednego z wydawnictw w 2 Korpusie. Kleinerta jak również Kuszla nie ma na liście konwojowej z 18 czerwca 1940 r. jeńców (w ilości 385) przewożonych z Pawliszczew Boru do Griazowca<sup>24</sup>.

Po przybyciu do Griazowca dołączono jedynie dwóch księży, Franciszka Tyczkowskiego i Kamila Kantaka spośród kapelanów wszystkich wyznań (katolików, prawosławnych, protestantów i rabinów), których uprzednio zabrano z obozów jeńców i tylko oni dwaj przeżyli spośród wszystkich kapelanów wziętych przez Sowiety do niewoli.

Zdaniem Lebediewej przekazano Niemcom jedynie trzech oficerów, głównie z powodów zdrowotnych. Byli to kpt. Bauer Rudolf syn Marka ur. 1881 (nr 37), por. Gläser Artur syn Marcina ur. 1892 r. (nr 10) i ppor. Stegeman Jerzy syn Hugona ur. 1907 r. (nr 201)<sup>25</sup>. Gläser został skierowany do Pawliszczew Boru na skutek zapytań poselstwa niemieckiego, a pozostali dwaj dlatego, że zostali zarejestrowani jako Niemcy.

Miały też miejsce naturalne śmierci. W październiku 1940 r. zmarł w Griazowcu pchor. Antoni Meyza ur. 1913

---

23. Zarówno Krawca jak i Madaja nie ma na liście opracowanej przez Moszyńskiego.

24. Lista ta została sporządzona przez 236 pułk wojsk konwojowych NKWD, ale zgodnie z listem prokuratora Aleksandra Herzoga z 29 kwietnia 1996 r. jest w takim stanie, iż nie nadaje się do kopiowania.

25. N. Lebediewa str. 123.

(nr 339), a potem w 1941 r. płk Ryszard Malinowski ur. 1870 r. (nr 305)<sup>26</sup>.

Zdarzył się też dość niezwykły przypadek. Na przełomie sierpnia i września 1940 r. przebywała w Moskwie (oczywiście za zgodą NKWD) grupa naukowców ze Lwowa. Wśród nich był prof. Akademii Medycznej patolog Witold Nowicki. Kiedy zapytano go, czy ma jeszcze jakieś życzenia, które chciałby spełnić będąc w Moskwie, odpowiedział, że chciałby zobaczyć się z synem Jerzym, podchorążym sanitarnym, który, wnioskując z adresu, jest w Moskwie. Odpowiedziano mu, że nie da się spełnić tego życzenia na poczekaniu, w czasie jego pobytu w stolicy, ale może potem da się coś załatwić. I rzeczywiście najpierw pchor. Jerzy Nowicki ur. 1913 r. (nr 244), którego wysłano ze Starobielska do Pawliszczew Boru drugim transportem, czyli w maju 1940 r., jako „Innego”, został przeniesiony do więzienia, a potem zwolniony, na skutek czego powrócił do rodziny we Lwowie. Ale niestety po wkroczeniu Niemców został rozstrzelany wraz z ojcem i innymi naukowcami lwowskimi 4 lipca 1941<sup>27</sup>.

Początkowo propaganda sowiecka, nawet dość intensywna, nie miała większego wpływu na jeńców wojennych. Jednak kiedy wyselekcjonowano zaledwie 2,5 procent z trzech obozów (Kozielsk, Starobielsk i Ostaszków) tych, o których sądzono, iż mogą przydać się Sowietom, propaganda sowiecka zaczęła znajdować wśród nich pewien posłuch, najpierw w Pawliszczew Borze<sup>28</sup>, a potem w Griazowcu. NKWD zorganizowało kilka pogadanek na tematy takie jak ustrój państwa sowieckiego, program WKP(b)<sup>29</sup> itp., a potem urządziło trzy

---

26. Dane o dalszych losach jeńców uratowanych od śmierci pochodzą głównie z listy Moszyńskiego, która została wydrukowana we wspomnieniach ks. Peszkowskiego (wyd. Archidiecezja Warszawska, 1989 r.), ale z pominięciem tych danych.

27. Opis losów pchor. Jerzego Nowickiego oparty jest w pierwszym rzędzie na relacji ustnej Jerzego Turskiego. Dalsze dane o wyjazdach do Moskwy i rozstrzelaniach naukowców lwowskich znajdują się w pracy Z.S.S. „W sowieckim osaczeniu, 1939-1943”.

28. Polskim komendantem obozu w Pawliszczew Borze był ppłk Jan Mara-Meyer.

29. *Wsiesojuznaja Kommunisteczeskaja Partija (bolszewikow)*.

kursy o tematyce politycznej. Obecność na tych odczytach nie była obowiązująca, ale jednak szereg jeńców na nie uczęszczało. Należy przypuszczać, że w większości wypadków było to spowodowane pewną skłonnością do systemu komunistycznego, a nie zainteresowaniami intelektualnymi ogólnego charakteru. Niektórzy jeńcy brali również udział w działaniu *krasnowo ugołka*, czyli świetlicy służącej sprawom sowieckim. Według późniejszych relacji<sup>30</sup> do biorących udział w tych czynnościach należeli jeńcy wykazani poniżej<sup>31</sup>.

*Podpułkownicy:*

Berling-39 (obóz S 1; powód uratowania: 5 Oddz. NKWD), Bukojemski-255 (obóz S 1; 5 Oddz. NKWD), Dudziński-267 (obóz S 1; 5 Oddz. NKWD);

*Major:*

Krywko-259 (obóz S 1; 5 Oddz. NKWD);

*Kapitanowie:*

Łopaciński-219 (obóz O), Rosen-Zawadzki-251 (obóz S 1; 5 Oddział NKWD)

*Porucznik:*

Wicherkiewicz-217, (obóz K; Mierkułów)

*Podporucznicy:*

Imach-382 (obóz K), Kuśmieruk-170 (obóz K; Mierkułów), Lewin-76 (obóz K; misja litewska) – dr med., Majer-175 (obóz K; Mierkułów) – inż., Michałowski (ur. 1884)-189 – nieznany, Madinger-271, (obóz K) – prawnik, Podgórski-174 (obóz K; Mierkułów), Prużański-380 (obóz K; Mierkułów), Szapiro-200 (obóz S 2; misja litewska), Szczypiorski-321 (obóz K), Teodorowicz-221 (obóz O), Uroda-270 (obóz S 1) – dentysta;

---

30. Głównie w oparciu o pracę Piotra Żaronia „Obozy jeńców polskich w ZSSR w latach 1939-1941” (str. 204, 313 i 322) powołującą się między innymi na przesłuchanie ppor. Leona Grzywny (nr 182) z maja 1943 r. w Sądzie Polowym w Londynie, w sprawie jednego z jeńców Pawliszczew Boru (nazwisko nieznane).

31. W wyczeniu zostały użyte następujące skróty: K – Kozielsk; S1 – Starobielsk, pierwszy (kwietniowy) transport; S2 – Starobielsk, drugi (majowy) transport; O – Ostaszków; v(?) – dotyczy trzech jeńców (Imach, Prużański i Borkowski), których prawdopodobnie zakwalifikowano jako „Innych”.



### *Podchorążowie:*

Borkowski-381 (obóz K) – dr med., Grupieniec-163 (obóz K; Mierkułow), Kukuliński-326 (obóz K), Kwiczała-194 (obóz K; Mierkułow) – lotnik, Puchawko-149 (obóz K; Mierkułow), Tarnowski-294 (obóz K; Mierkułow) – medyk, Tatarynowicz-260 (obóz S 1);

### *Inni:*

Balulis kpr.-78 (obóz K; misja litewska), Zieliński wachm.-390 (nieznany; Mierkułow), Żuk cywil -105 (obóz O; Mierkułow)

Powyższe wyliczenie tabela wskazuje, że spośród wyselekcjonowanych przez 5 Oddz. NKWD i przez Mierkułowa, około 12,5 procent jeńców wykazało zainteresowanie systemem sowieckim. Natomiast wśród „Innych” procent ten wynosił zaledwie pięć. Chyba przez przypadek wśród tych, o których zapytywała misja litewska aż 16 procent zareagowało pozytywnie na propagandę sowiecką. Natomiast wśród Niemców, jak również wśród tych, o których zapytywało poselstwo niemieckie i tych, których pozostawiono przy życiu *po nacjonalności*, reakcji pozytywnej na zabiegi sowieckie nie było. Jak widać zainteresowania Sowietami były całkiem popularne wśród jeńców z wyższym wykształceniem, gdyż w grupie tej jest jeden oficer dyplomowany (Berling), trzech lekarzy (Lewin, Prużański i Borkowski), jeden dentysta (Uroda), dwóch prawników (Modlinger i Szapiro), oraz jeden inżynier elektryk (Majer). Większość, czyli co najmniej 76% tej grupy stanowią rdzenni Polacy. Występuje tu jeden jeńiec o zapleczu litewskim (Balunis), jeden o zapleczu rosyjskim lub ukraińskim (Kuśnieruk syn Afanasia) i pięciu o zapleczu żydowskim (Lewin syn Maksyma, Majer syn Dawida, Prużański syn Mejera, Szapiro syn Zelmiana i Borkowski syn Chaskiela)<sup>32</sup>.

Jesienią 1940 r. władze sowieckie przystąpiły bardziej zdecydowanie do angażowania polskich oficerów po swojej stronie. W dniu 8 października wywieziono z Griażowca do więzień moskiewskich następujących siedmiu oficerów: pułkownicy Eustachy Gorczyński i Stanisław Künstler; podpuł-

---

32. Zarówno Lewin jak i Szapiro pochodzili z Wilna.

kownicy Zygmunt Berling, Leon Bukojemski, Marian Morawski i Leon Tyszyński, oraz mjr Józef Lis. Dnia 1 listopada przeniesiono tych oficerów do willi w Małachowce pod Moskwą, z wyjątkiem Künstlera i Morawskiego, których odesłano później do Griazowca. W grudniu 1940 r. przysłano do Małachowki następną grupę sześciu jeńców, w skład której wchodził: ppłk. Kazimierz Dudziński, kpt. Kazimierz Rosen-Zawadzki, por. pilot Tadeusz Wicherkiewicz, por. Roman Imach, ppor. Stanisław Szczypiorski i pchor. Franciszek Kukuliński<sup>33</sup>. Później z powodu kontrowersji dotyczącej wystąpienia deklaracji współpracy z *Nowymi Widnokręgami*, odesłano 25 marca 1941 r. mjra Lisa do więzienia w Moskwie, a potem do Griazowca. W ten sposób w Małachowce pozostało 10 jeńców z Pawliszczew Boru: Gorczyński, Berling, Bukojemski, Tyszyński, Dudziński, Rosen-Zawadzki, Wicherkiewicz, Imach, Szczypiorski i Kukuliński<sup>34</sup>. W dniu uderzenia wojsk niemieckich na Sowiety, 22 czerwca 1941 r. wszyscy ci oficerowie zgłosili się do armii sowieckiej, jednak władze sowieckie z tego nie skorzystały<sup>35</sup>.

W Griazowcu istniała grupa prosowiecka zwana Lewicą Demokratyczną, która wyłoniła się spośród internowanych na Litwie. Dołączyli do niej również niektórzy z tych, którzy przeszli przez Pawliszczew Bor. Po 22 czerwca 41 r. około 30 uczestników Lewicy Demokratycznej zgłosiło się na służbę sowiecką. Zostali oni przyjęci, złożyli przysięgę, przeszli kurs dywersyjny i spadochronowy i szereg z nich zrzucono w Polsce bez porozumienia z polskimi władzami. Spośród jeńców, o których tu mowa, do tej grupy należeli kpt. Jan Łopaciński-219, podporucznicy Julian Michniewicz-11 i Jan Majer-175 oraz podchorążowie Mikołaj Plutowicz-147 i Józef

---

33. Spośród tych, którzy przeszli przez Litwę, skierowano do Małachowki w grudniu 1940 r. kilku oficerów. Trzech podporuczników tam zostało (Siewierski, Szumigalski i Tomala). Oni również zgłosili się potem do służby w sowieckiej armii.

34. Imach i Szczypiorski byli przed wojną członkami partii komunistycznej. Byli oni oficerami rezerwy tak samo jak pchor. Kukuliński. Wszyscy pozostali byli oficerami zawodowymi, chociaż Berling został z wojska zwolniony tuż przed wybuchem wojny.

35. Podane tu detale pochodzą z relacji mjra Lisa (Żaroń, str. 350) i z pracy Z.S.S. „W sowieckim osaczeniu”, str. 365.

Tatarynowicz-260<sup>36</sup>. Z wyjątkiem Łopacińskiego, który potem był komendantem podchorążówki u Berlinga, wszyscy zostali zrzućeni do Polski w celu prowadzenia dywersji i wywiadu dla Sowietów<sup>37</sup>.

Po zawarciu układu Sikorski-Majski i po ogłoszeniu „amnestii” 12 sierpnia 1941 r. ogromna większość tych, którzy przeszli przez Pawliszczew Bor wstąpiła do Polskiego Wojska. Z polecenia władz sowieckich wstąpili również wszyscy ci, którzy byli w Małachowce. Prawdopodobnie zezwolono również wstąpić tym, których skierowano do Pawliszczew Boru *po nacjonalności*, gdyż przynajmniej jeden z nich (ppor. Langier-13) służył potem w wojsku. Natomiast zgodnie z całym szeregiem późniejszych relacji władze sowieckie zatrzymały tych, których uprzednio zarejestrowano jako Niemców, chociaż były także tu wyjątki, na przykład policjant Leopold Grym-118 służył potem w 2 Korpusie. Można przypuszczać, że nie zgłosili się do wojska trzej agenci wywiadu litewskiego (Żoładak-77, Balunis-78 i Demkowski-93), jak również dwaj przedwojenni więźniowie odsiadujący wyroki (Leszczuk-127 i Wolski-387).

Szereg wyższych oficerów, których NKWD pozostawiło przy życiu zostało mianowanych potem na wyższe stanowiska w Wojsku Polskim. W sztabie gen. Andersa w Buzułuku oficerem do zleceń został płk dypl. Bolesławicz-322, oficerem ordynansowym rtm. Ślizień-211, szefem saperów płk Górczyński-58, szefem uzbrojenia ppłk Mara-Mayer-349, szefem służby zdrowia płk dr Szarecki-364 i szefem zaopatrzenia ppłk dypl. Tyszyński. W 5 Dywizji w Tatiszczewie zastępcą dowódcy dywizji został płk dypl. Grobicki-331, szefem sztabu ppłk dypl. Berling-39, dowódcą 14 Pułku Piechoty ppłk Dudziński-267, i komendantem ośrodka broni pancernej kpt.

---

36. We wspomnieniach ks. Peszkowskiego znajduje się lista 3 Kompanii „Niezwycięzonych”, w ogromnej większości podchorążych, na której ze zdumieniem można zauważyć nie tylko zrzućonych do Polski Plutowicza i Tatarynowicza, ale również zainteresowanych działalnością *krasnowo ugołka* Borkowskiego, Grupieńca, Kwiczałę, Puchawkę i Tarnawskiego. Widocznie lista ta została skomponowana zanim skłonności tych podchorążych stały się znane.

37. Dalsze dane w pracy „W sowieckim osaczeniu”, str. 122.

Rosen-Zawadzki-251. W 6 Dywizji w Tockoje zastępcą dowódcy dywizji został gen. Wołkowicki-314, szefem sztabu mjr dypl. Domoń-51 i dowódcą 18 Pułku Piechoty mjr Lachowicz-296. Szefem Ośrodka Zapasowego Armii w Kołtubance ppłk Felsztyn-333.

Z wyjątkiem rtm. Śliźnia, który przeżył na skutek zapytań poselstwa niemieckiego i ppłka Tyszyńskiego, którego powód uratowania nie jest znany, wymienieni tu oficerowie przeżyli na skutek interwencji 5 Oddziału (Wywiadowczego) NKWD. Należy też zwrócić uwagę na to, że pięciu z tych oficerów było w Małachowce (Gorczyński, Tyszyński, Berling, Dudziński i Rosen-Zawadzki).

W czasie pobytu Wojska Polskiego w Sowietach, trzech spośród jeńców, którzy przeszli przez Pawliszczew Bor zmarło<sup>38</sup>. Byli to por. Olgierd Tarasiewicz (ur. 1901) – w Szachriziabs, szer. Henryk Sakowicz (ur. 1906) – w Guzarze i szer. Mikołaj Szmatowicz (ur. 1909) – w Jangi-Julu. Wszyscy trzej zmarli w sierpniu 1942 r., czyli już w czasie drugiej ewakuacji z Sowietów. Wcześniej, w maju 1942 r. zbiegł z wojska kpr. Henryk Kupś-121 (ur. 1915), który pozostał przy życiu na skutek zarządzenia Mierkułowa.

Polskie sądy wojskowe w Sowietach skazały na śmierć trzech dawnych jeńców z Pawliszczew Boru. Wyroki zostały wykonane. Byli to ppor. aptekarz Meyer Eugeniusz syn Pawła-374 (ur. 1899) rozstrzelany 22 czerwca 1942 r.; przodownik policji sierż. Bernard Sobota-71 (ur. 1890) rozstrzelany również 22 czerwca 1942 r. i przedwojenny uczeń szer. Tadeusz Mydlarz-393 (ur. 1923) rozstrzelany 22 lutego 1942 r. Wszystkie trzy wyroki wykonano w Dżałał-Abad, czyli w dowództwie 5 Dyw. Piechoty. Ppor. Meyer (ur. w Tomaszowie Mazowieckim) został skierowany do Pawliszczew Boru jako „Inny”, sierż. Sobota (ur. w Szamotułach) na skutek interwencji poselstwa niemieckiego, a szer. Mydlarz (ur. w Białymstoku) na żądanie Mierkułowa.

---

38. Dane o losach jeńców wojennych, którzy przeszli przez Pawliszczew Bor, po „amnestii” pochodzą z szeregu źródeł, a w pierwszym rzędzie z listy Moszyńskiego, wraz z uzupełnieniami Jerzego Turskiego, z „Wykazu poległych i zmarłych żołnierzy...” (Londyn 1952) i z pracy „W sowieckim osaczeniu”.

Wykonywanie wyroków śmierci na żołnierzach polskich w Sowietach przez polskie dowództwo wojskowe to ciemna i dotychczas nie opracowana plama w dziejach armii gen. Andersa. Jeżeli by na przykład do zastrzelenia ppor. aptekarza Meyera przyczynił się handel lekarskimi otrzymywanymi z Zachodu w niewielkich ilościach, to w warunkach masowej śmiertelności spowodowanej w poważnym stopniu brakiem lekarstw, może wyrok śmierci nie byłby zbyt nieludzki. Ale rozstrzeliwanie młodych żołnierzy za to, że zgłodnieli ukradli kurę lub barana, nie tylko dla siebie, ale aby nakarmić drużynę lub pluton, trudno inaczej ocenić niż barbarzyństwo. I nie jest wykluczone, że miało to miejsce w wypadku przedwojennego ucznia Mydlarza. Do tak drakońskich wyroków śmierci przyczynił się nie tylko ówczesny szef służby sprawiedliwości mjr audytor Aleksander Kipiani (Gruzin, oficer kontraktowy), który nie pozostawił po sobie pozytywnej pamięci, ale również dowódcy dywizji (Boruta-Spiechowicz i Karaszewicz-Tokarzewski), jak również dowódca całości gen. Anders. Wszyscy oni tolerowali i aprobowali nieludzkie wyroki śmierci we względnie błahych wypadkach. Sprawa ta wymaga głębszego wyjaśnienia.

Większość tych, którzy przeszli przez Pawliszczew Bor, była potem w 5 i 6 Dyw. Piechoty i dlatego wyjechali oni z Sowietów dopiero w czasie drugiej ewakuacji, w sierpniu 1942 r. Ppłk. dypl. Berling (który był w końcowym okresie komendantem bazy ewakuacyjnej w Krasnowodsku) i por. lotnik Wicherkiewicz pozostali w Sowietach z własnej woli, wbrew otrzymanym rozkazom dołączenia do transportów opuszczających Sowiety. Wszyscy pozostali, zarówno ci, którzy byli w Małachowce jak i ci, którzy wykazywali zainteresowanie propagandą sowiecką w Griazowcu, wyjechali do Iranu. W więzieniu sowieckim w Taszkencie pozostał ppłk Bukojemski skazany przez polski sąd wojskowy na dłuższe więzienie i przekazany władzom sowieckim w celu odbycia wyroku. Powodem tego był sprzeciw Bukojemskiego wobec rozkazów ewakuacji do Iranu w marcu 1942 r. 10 Dyw. Piechoty z Ługowej, gdzie był on dowódcą artylerii<sup>39</sup>.

---

39. Berling i Bukojemski uratowali się z powodu interwencji 5 Oddz.

Poza tym pozostał również w Sowietach por. rezerwy Zygmunt Schuster-138 (ur. 1898) przed wojną wiceprezes Sądu Okręgowego, który został wysłany z Ostaszkowa do Pawliszczew Boru na skutek zapytań poselstwa niemieckiego. Możliwe, że albo nie przyjęto go do wojska ze względów zdrowotnych, albo został on zaangażowany przez ambasadę polską w opiece społecznej. Po wojnie powrócił on z Sowietów do kraju.

Poza tym z pewnością pozostało w Sowietach kilku starszych wiekiem byłych jeńców z Pawliszczew Boru, szczególnie jeżeli przedtem w wojsku nie służyli, jak na przykład Józef Kleinman-319 (ur. 1872) właściciel tartaku i młynów, Włodzimierz Piątkowski-5 (ur. 1880) ziemianin i Marian Gawiak-106 (ur. 1880) działacz partii ludowo-chłopskiej.

Po wyjeździe z Sowietów, na Środkowym Wschodzie zmarło sześciu żołnierzy, którzy przeszli przez Pawliszczew Bor. Byli to w kolejności chronologicznej, jak następuje: pchor. Bronisław Pospieszalski-265 (ur. 1919), zmarł w Iranie we wrześniu 1942 r. i został pochowany w Teheranie. Ppor. lekarz weterynarii Leon Ozimkiewicz-57 (ur. 1904) zmarł w Iraku w maju 1943 i został pochowany w Khanaquinie. St. sierż. Bronisław Przybylski (ur. 1898) zmarł w Iraku w maju 1943 r. i został pochowany w Khanaquinie. St. strz. Władysław Bernatowicz-88 (ur. 1897) zmarł na skutek wypadku samochodowego w Kirkuku w sierpniu 1943 r. i został pochowany w Khanaquinie. Ppor. Borys Schön-206 (ur. 1909) zmarł w sierpniu 1945 w Palestynie i został pochowany w Ramleh. Plut. Leon Blumenstok-261 (ur. 1897) zmarł w Palestynie w styczniu 1945 r. i został pochowany na cmentarzu żydowskim na Górze Oliwnej<sup>40</sup>.

Wkrótce po wyjeździe z Sowietów został w Teheranie skreślony z listy oficerów ppłk Zdzisław Ganowski-62 (ur.

---

NKWD i wyjechali ze Starobielska do Pawliszczew Boru pierwszym, czyli kwietniowym transportem. Natomiast Wicherkiewicz był w Kozielsku i uratował się na skutek żądania Mierkułowa.

40. W „Wykazie poległych...” Pospieszalski figuruje na liście Bazy Ewakuacyjnej w Iranie; Ozimkiewicz, Przybylski, Bernatowicz i Schön na liście 2 Korpusu, a Blumenstok na liście Jednostek Wojska na Środkowym Wschodzie. Przybylskiego nie ma w wykazie Soprunki, natomiast figuruje on na liście Moszyńskiego.

1893), który przeżył niewolę na skutek sugestii 5 Oddz. NKWD. Możliwe, że powodem skreślenia było nadawanie sobie wyższego stopnia oficerskiego niż ten, który przysługiwał, co nie było rzadkością w Wojsku Polskim w Sowietach.

Na Środkowym Wschodzie przeprowadzono szereg rozpraw przeciwko tym, którzy pozostali w Sowietach wbrew rozkazom (jak na przykład Berling), jak również przeciwko tym, którzy poszli na ustępstwa w stosunku do Sowietów. Między innymi był sądzony, zdegradowany i skazany na kilka lat więzienia kpt. Rosen-Zawadzki. Zdaniem gen. Andersa był to jedyny wypadek zbierania wiadomości dla Sowietów, ale raczej bardziej dotyczących spraw brytyjskich niż polskich<sup>41</sup>.

Jak wiadomo w Palestynie zdezerterował poważny procent żołnierzy-Żydów. Nie udało się ustalić, ilu spośród tych, którzy przeszli przez Pawliszczew Bor, odeszło potem z Wojska Polskiego w Palestynie, ale wiadomo, że niektórzy przynajmniej pozostali, jak na przykład dr Janowski-257, dr Winkelhacken-61 lub plut. Blumenstok-261.

Po wyjeździe z Sowietów przystąpiono do radykalnej reorganizacji wojska wzorując się na brytyjskim systemie. Jednocześnie zwolniono z wyższych stanowisk tych, którzy byli w Małachowce i w większości wypadków przeniesiono ich do tzw. Drugiej Grupy na zmniejszone pobory, pozbawiając ich dowódczych funkcji. Jedynym wyjątkiem był chyba mjr Józef Lis, który zresztą opuścił Małachówkę w marcu 1941 r. Był on potem zastępcą dowódcy pułku artylerii w Bazie 2 Korpusu.

Spośród jeńców Pawliszczew Boru w dowództwie 2 Korpusu mjr Józef Czapski był szefem Oddz. Kultury i Prasy i ppłk Aleksander Isertingen-Tupaj szefem Służb Technicznych. W 5 Kresowej Dywizji Piechoty płk Jan Lachowicz dowodził jedną z brygad, a mjr Ludwik Domoń jednym z batalionów. W dowództwie Bazy 2 Korpusu na południu Włoch inspektorem szpitali był płk dr Bolesław Szarecki, a szefem Duszpasterstwa ks. Franciszek Tyczkowski, którego zresztą nie ma w wykazie Soprunienki, ale jest on na liście

---

41. Z.S.S. „Rozmowa z gen. Andersem”; *Kultura* lipiec/sierpień 1970 r.

Moszyńskiego. Szefem sztabu Armii Polskiej na Wschodzie (w Egipcie) był płk dypl. Stanisław Künstler, a redaktorem ilustrowanego wydawnictwa „Parada” ppor. Władysław Cichy.

Oficer lotnictwa Ludwik Jaksztas i trzech oficerowie Marynarki Wojennej: kmdr inż. Wacław Zejma-309, kmdr ppor. Stanisław Dzienisiewicz-360 i por. inż. Julian Ginsbert-345 zostali wysłani z Sowietów do W. Brytanii. Por. obserwator Jaksztas zginął nad Francją w czasie inwazji Normandii w czerwcu 1944 r. i został pochowany na cmentarzu 1 Dywizji Pancerniej w Langannerie. We wrześniu 1942 r. wysłał on odbitkę pocztówki ściągniętej w czasie przesłuchania w Kozielsku z widokiem tamtejszych zabudowań i z tytułem *Dom kultury i odtycha dla młodzieży i podrostków im. Gorkowo – Kozielsk, BSSR*<sup>42</sup>.

*Drogiemu Panu Porucznikowi mar. Julianowi Ginsbertowi pamiątka z okresu niewoli bolszewickiej – fotografia obozu kozielskiego (X 1939–V 1940), gdzie tyle pracy i poświęcenia Pan Porucznik włożył w „prasę pod ziemią” i akcję odczytową, podtrzymując ducha i krzewiąc nigdy nie zachwianą wiarę w wolną Polskę, co „jeszcze nie zginęła” i którą „szablą odbierzemy”. Dumny jestem żeśmy razem tam byli i dzieliliśmy jedną dolę i pryczę*<sup>43</sup>.

W W. Brytanii kmdr Zejma został mianowany szefem Administracji, a por. Ginsbert referentem Wychowania i Oświaty w Kierownictwie Marynarki Wojennej. Natomiast kmdr ppor. Dzienisiewicz został dowódcą pierwszego polskiego krążownika „Dragon”, a po jego poważnym uszkodzeniu w czasie inwazji Normandii i wycofaniu ze służby, dowódcą drugiego polskiego krążownika „Conrad”.

Tymczasem we Włoszech zginęło 14 dawnych jeńców z Pawliszczew Boru jak następuje. Pochowani na Monte Cassino: ppor. Roman Bartoszak-290, ppor. Szczepan Osomański-310 i por. Piotr Wargocki-182. Pochowani w Loreto: ppor.

---

42. Wynika z tego, że przed wojną był w Kozielsku (Białoruska Republika) dom kultury i wypoczynku dla młodzieży i podrostków.

43. „Polska Marynarka Wojenna, Album Pamiątkowy”, wyd. Instytut Literacki, Rzym 1947, pozycje 310, 323, oraz 482-483.



Zbyszko Chakiel<sup>44</sup>-316, ppor. Leonid Fiedoruk-158, plut. Leopold Grym-118, por. Zbigniew Hoff-308, rtm. Czesław Konobrocki-252, por. Stanisław Maksymiszyn-354, strz. Franciszek Rudel-388. Pochowani w Bolonii: sierż. Andrzej Furmanek-91, ppor. Józef Mazurkiewicz-338. Pochowani w Casamassima: por. dr Dawid Janowski-257, ppor. Aleksander Karczewski<sup>45</sup>-246.

Do przeżycia niewoli sowieckiej tych 14 poległych we Włoszech przyczyniła się w jednym wypadku interwencja poselstwa niemieckiego (Furmanek), również w jednym wypadku rejestracja jako Niemca (Grym), w trzech wypadkach decyzja Mierkułowa (Wargocki, Fiedoruk i Rudel), a w pozostałych dziewięciu wypadkach zakwalifikowanie jako „Inny”.

Szereg byłych jeńców z Pawliszczew Boru otrzymało wysokie odznaczenia bojowe, jak np. oficer 15 Pułku Ułanów Poznańskich Jerzy Kierkuć, który był dekorowany orderem *Virtuti Militari*. W czasie wojny lub po jej zakończeniu pięciu wyższych oficerów mianowano generałami, dra Szareckiego, Bolesławicza, Grobickiego, Künstlera i Lachowicza.

Po zakończeniu wojny Rosen-Zawadzki zgłosił się z miejsca do władz PRL i został wyznaczony *attaché* wojskowym w Rzymie. Zapisy na liście Moszyńskiego sugerują, że płk Górczyński i ppłk Dudziński również zgłosili się do władz PRL, ale do jakich celów zostali użyti, nie wiadomo. Jeszcze w czasie pobytu 2 Korpusu we Włoszech zgłosił się na repatriację do kraju gen. dr Szarecki i przed wyjazdem był żegnany przez gen. Andersa przyjęciem. Potem już w W. Brytanii, w latach 1947-48 repatriowało się do kraju około 28 dawnych jeńców. Wśród nich bardziej znani byli mjr dypl. Ludwik Domoń-51, ppor. Julian Langier-13, ppor. dr Jan Orlicki<sup>46</sup>-60, kpt. inż. Sienicki-288 i ppor. dentysta Leonard Uroda-389.

---

44. Zarówno Zbyszko Chakiel (matura 1935 r.), jak i wymieniony gdzie indziej dr Andrzej Bułhak (matura 1932 r.) byli moimi starszymi kolegami z Gimnazjum OO. Jezuitów w Wilnie.

45. W wykazie Soprunienki Karczewski był wpisany w miejsce wykreślonego kpt. Kusza.

46. Wspomnienia dra Orlickiego zostały wydane w kraju.

Około 20 byłych jeńców Pawliszczew Boru wyjechało do innych krajów, w tym do Kanady 7 (włączając gen. Grobickiego), do Argentyny 5, do USA 4 (włączając ppor. Bronisława Młynarskiego i ppor. Zdzisława Peszkowskiego, późniejszego księdza i prałata) i po jednym do Francji (mjr Józef Czapski), Islandii (ppor. dr. Leon Winkelhacken), Libanu (ks. Kamil Kantak) oraz Afryki. Z pozostałych w W. Brytanii zmarło już kilkudziesięciu, a wśród nich por. Tadeusz Birn, gen. Marian Bolesławicz, por. dr Andrzej Bułhak, mjr Władysław Cichy, kmdr dypl. Stanisław Dzienisiewicz, ppłk Tadeusz Felsztyn, kpt. mar. Julian Ginsbert, rtm. Jerzy Kierkuć, por. prof. Wacław Komornicki, por. aptekarz Marian Kosman<sup>47</sup>, gen. Stanisław Künstler, gen. Jan Lachowicz, ppłk Józef Lis, ppłk Józef Mara-Mayer, kpt. Antoni Mitręga, mjr. Adam Moszyński, por. aptekarz Jarosław Pruski, por. dentysta Czesław Skotlewski, por. Tadeusz Spittal, por. dr Józef Szpunar, rtm. Olgierd Ślizień, gen. Jerzy Wołkowicki i kmdr Wacław Zejma.

Czas płynie i już niewielu byłych jeńców Pawliszczew Boru pozostało przy życiu. Wśród nich można wyliczyć ks. prałata Peszkowskiego, Jerzego Turskiego w Londynie i Zdzisława Sotę w środkowej Anglii.

Nie ulega wątpliwości, że zasadniczym powodem pozostawienia niektórych jeńców wojennych przy życiu była opinia NKWD, iż w taki czy inny sposób mogą się oni przydać Sowiecom i rzeczywiście nieliczni z nich oddali Sowiecom usługi. Ale to wcale nie znaczy, że wszyscy ci, którzy przeżyli lub ich poważna część poszła na jakieś ustępstwa lub podpisała jakieś zobowiązania w stosunku do NKWD, jak to niekiedy się lansuje. Zaprzecza temu późniejsze zachowanie się ogromnej większości tych więźniów i ich ofiarna służba dla Sprawy.

Nie ulega wątpliwości, iż wśród tych nie rozstrzelanych jeńców wojennych byli informatorzy NKWD. Powody ich zaangażowania się mogły być różne – sympatie prosowieckie, niechęć do polskości, doraźne korzyści w obozie lub szantaż

---

47. Marian Kosman pochodził z Górnego Śląska, a Władysław Cichy ze Śląska Cieszyńskiego.

NKWD. Jednak należy przypuszczać, iż ci którzy zostali informatorami z przekonania pozostali w Sowietach, chyba że NKWD kazało im wyjechać w ramach Polskiego Wojska, chociaż prawdopodobnie wypadków takich nie było wiele. Natomiast ci, którzy zostali informatorami z powodu okoliczności w jakich się znaleźli, z pewnością dążyli do wycofania się z zobowiązań w stosunku do NKWD już na terenie Sowietów, a tym bardziej po wyjeździe poza ich granice. Wykaz Soprunienki, chociaż zawiera sporo interesujących wiadomości, nie ujawnia jednak informatorów i kolaborantów.

Wreszcie na zakończenie należy zwrócić uwagę na to, że chociaż NKWD zgromadziło dużą ilość informacji o jeńcach będących w ich niewoli, to jednak odnosi się wrażenie, iż nie użyło tych wiadomości w sposób konsekwentny i wybór tych, którzy mieli przeżyć był nieco chaotyczny i przypadkowy. Wyraża się to między innymi tym, iż w wykazie Soprunienki prawie połowa jeńców (43%) nie ma określonej przyczyny uratowania od śmierci, chociaż skoro wprowadzono taką rubrykę w ewidencji (według początkowych zamiarów NKWD) przyczyny te miały być podane. Trudno ulec wrażeniu, że proces selekcji do uratowania od śmierci był typowym wykonywaniem zarządzanego ogólnie planu, kiedy najważniejsze było to, żeby plan został wykonany, a nie to jak on został wykonany. Jednak mimo to wydaje się, że NKWD zdołało uratować od śmierci tych nielicznych, którzy byli ulegli lub skłonni do współpracy.

Londyn, 4 lipca 1996

Z.S. SIEMASZKO

Tomasz MIANOWICZ

ROZMOWY MARSZAŁKA KULIKOWA Z  
KIEROWNICTWEM PRL W MARCU 1981 R.  
DOKUMENT Z ARCHIWÓW  
MINISTERSTWA OBRONY NRD

W przedmowie do książki Jana Widackiego „Czego nie powiedział generał Kiszczak”<sup>1</sup> Jan Nowak-Jeziorański, opowiadając się za pełnym ujawnieniem prawdy o dziejach PRL i działalności komunistycznego aparatu bezpieczeństwa, postuluje, aby zadanie to wykonał trybunał stanu czy jakaś komisja nadzwyczajna, złożona z obywateli, którzy swą powagą zagwarantują wiarygodność orzeczeń<sup>2</sup>. Sprawą tak istotną, jak ogłoszenie stanu wojennego, zajmowała się sejmowa Komisja Odpowiedzialności Konstytucyjnej, jednak rezultaty jej działań w zakresie ustalania prawdy historycznej trudno uznać za w pełni udane. Trud ów należałoby moim zdaniem powierzyć raczej historykom, opierającym się w swych badaniach na dostępnych źródłach. Osobliwością obecnej sytuacji w Polsce jest fakt, że w miarę upływu czasu obraz lat 80-tych wydaje się coraz bardziej zagmatwany a rekonstrukcja wydarzeń towarzy-

---

1. Z Janem Widackim rozmawia Wojciech Wróblewski. Warszawa 1992.

2. por.: tamże, s. 8-9.

szących ostatnim latom komunizmu postępuje dość opornie. Sądzę, że przyczyną tego stanu rzeczy są nie tylko trudności w dotarciu do materiałów archiwalnych, zniszczonych bądź niedostępnych. Zamglenie obrazu jest w jeszcze większym stopniu wynikiem intensywnej działalności publicystyczno-propagandowej zarówno uczestników wydarzeń politycznych, jak i szukających sensacji dziennikarzy. Wspomnianą książkę Jana Widackiego zdobi na okładce *fascimile* prasowego artykułu pod przykuwającym uwagę tytułem „Były wiceminister MSW ujawnia sensacyjne fakty!”. Sensacji szukałem jednak w książce daremnie. Łatwo natomiast dostrzec można intencję autora: przeciwstawienie dobrego, solidarnościowego ministra spraw wewnętrznych – Kozłowskiego, złemu, komunistycznemu ministrowi – Kiszczakowi. Ten ostatni ma w swym dorobku poczytne dzieło „Generał Kiszczak mówi... prawie wszystko...”<sup>3</sup>, choć tak naprawdę generał jest w swych wyznaniach raczej powściągliwy. Służby specjalne strzegą bowiem pilnie swoich tajemnic, o czym pamiętać powinni konsumenci tyśięcy stron zadrukowanych rzekomymi rewelacjami.

W części publikacji prasowych w Polsce można ponadto dostrzec tendencję do wykorzystywania, czy wręcz do nadużywania dokumentów archiwalnych w celach propagandowo-politycznych. Dotyczy to zwłaszcza materiałów z archiwów NRD, które, dzięki zniknięciu tego państwa z mapy politycznej, nie są objęte prawną klauzulą karencji. Stwarza to wyjątkową i – jeśli nie liczyć epizodu Grenady, – jedyną w historii studiów nad komunizmem sytuację: badacze mogą korzystać z dokumentów, które normalnie udostępniane są dopiero po kilkudziesięciu latach. Z uwagi na ścisłe związki między „bratanimi państwami” zasoby archiwalne NRD są nieocenionym źródłem także do współczesnej historii Polski. Tymczasem materiały pochodzące z Berlina Wschodniego służą polskim mediom do wywoływania rozmaitych ekscytacji. Omawiałem już szczegółowo głośną swego czasu „sprawę” Ewy Milewicz<sup>4</sup>,

---

3. W. Bereś, J. Skoczylas: „Generał Kiszczak mówi... prawie wszystko...”, Warszawa 1991.

4. por.: „Co można znaleźć w archiwach Stasi?”, *Zeszyty Historyczne* 112. Paryż 1995, s. 3-17.

sztucznie skonstruowaną przez prasę: w oparciu o błędy w tłumaczeniu dokumentów ze wschodnioniemieckiego Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego, przekazanych „Solidarności” przez Komisję Badawczą Bundestagu, zajmującą się okresem dyktatury SED<sup>5</sup>, podniesiono w Polsce bezpodstawne zarzuty wobec Federalnego Pełnomocnika d/s Akt Stasi – Joachima Gaucka. Cel kampanii prasowej był czytelny: chodziło o skompromitowanie samej idei otwarcia archiwów aparatu bezpieczeństwa.

Jeszcze dalej posunął się *Tygodnik Solidarność* w publikacji „Ciosek do Towarzyszy zza Łaby”<sup>6</sup>. Po raz pierwszy organ prasowy spreparował materiał archiwalny, by wykorzystać go w celach propagandowych, nie mających *nota bene* nic wspólnego z treścią dokumentu. Tekst w *Tygodniku Solidarność* nie jest niczym innym, jak poddanym przeróbkom tłumaczeniem fragmentów telegramu ambasadora NRD w Warszawie Neubauera, wysłanym do Honeckera 2 grudnia 1981 r.<sup>7</sup>. Tłumaczenie to, wraz z komentarzem, opublikowałem w 9 nr. *Kultury* z 1995 r.<sup>8</sup> Pomijam już nieznamość geografii w redakcji *Tygodnika Solidarność*, poruszam naruszenie praw zarówno moich, jak i niemieckiego historyka Michaela Kubiny, który jako pierwszy udostępnił ten

---

5. Chodziło tu o sporządzenie dla Enquete-Kommission Bundestagu opracowania M. Tantzschera: „Was in Polen geschieht, ist für die DDR eine Lebensfrage!” Das MfS und die polnische Krise 1980/81, mps. b.d., a ściślej o dołączone do tej analizy w formie aneksu kserokopie dokumentów. W 1995 r. praca ta ukazała się także w wydaniu książkowym.

Strona niemiecka przekazała to opracowanie „Solidarności”, której kierownictwo rozpowszechniło jego polskie tłumaczenie wśród ogniw regionalnych związku. Zwróciłem się pisemnie do przewodniczącego „Solidarności” M. Krzaklewskiego z prośbą o udostępnienie mi całości przekładu, abym mógł porównać je z niemieckim oryginałem. Na list nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Fragmenty tłumaczenia, zawierające wspomniane błędy, publikowano w polskiej prasie w 1994 r.

6. *Tygodnik Solidarność*, 15.12.1995.

7. Stiftung Archiv der Parteien und Massenorganisationen der DDR im Bundesarchiv (dalej: SAPMO-BArch), Zentrales Parteiarchiv, vorl. SED 38393/3.

8. s. 69-78. por. także mój list do redakcji, *Kultura* (1996), nr 3., s. 170-171.

dokument w języku oryginału<sup>9</sup>. Najbardziej zastanawiający jest jednak cel, który przyświecał pomysłodawcom publikacji. Otóż ogłoszone przeze mnie fragmenty telegramu dotyczą rozmowy, jaką minister Ciosek odbył z Bronisławem Geremekiem 27 listopada 1980 r. Ten ostatni mówił o nieuchronności konfrontacji i konieczności zlikwidowania „aparatu ‘Solidarności’” przez organa władzy państwowej. Tymczasem *Tygodnik Solidarność* posłużył się tym dokumentem w celu propagandowego ataku na... Aleksandra Kwaśniewskiego: „Ten tekst powinni przeczytać wszyscy. Zwłaszcza ci, którzy głosowali na Kwaśniewskiego...”<sup>10</sup>. Sądzę, że mało który czytelnik potrafi wznieść się na stopień abstrakcji, który osiągnęła redakcja tygodnika. Czy jednak, po głębszym zastanowieniu, nie można i w tej publikacji doszukać się podobnej intencji, jak w kampanii prasowej wokół „sprawy” Milewicz: poprzez wypaczenie treści dokumentów źródłowych sprowadzenie ich sensu do propagandowej farsy i skompromitowanie samej idei udostępnienia archiwów?

Telegram Neubauera nie podaje daty rozmowy Ciosek – Geremek. Z pomocą, zapewne nie zamierzoną, przyszedł mi jednak Mieczysław Rakowski. Opublikował on w 1985 r. w niemiecko-austriackim wydawnictwie „Econ” książkę „Ein schwieriger Dialog. Aufzeichnungen zu Ereignissen in Polen 1981-1984”. Ale, co ciekawe, ostatni dowódca PZPR udostępnił swoje zapiski tylko czytelnikowi ze strefy tzw. walut wymienialnych, bowiem wspomniana książka nie ma nic wspólnego z wydaniem w 1983 r. w Warszawie „Trudnym dialogiem”. A szkoda. Bo właśnie w niemieckiej publikacji Rakowskiego można znaleźć informację o wizycie Geremka u Cioska, która miała miejsce 27 listopada 1981 r. Rakowski przytacza fragment sprawozdania z tej rozmowy, które przekazał mu Ciosek<sup>11</sup>. Cytuje jednak zaledwie dwa zdania (identyczne w treści z telegramem Neubauera), choć trudno

---

9. por.: „New Evidence from the SED Archives on the Polish Crisis in 1980-81”. Referat wygłoszony na V Światowym Kongresie Studiów nad Europą Środkową i Wschodnią, Warszawa, 9.8.1995.

10. „Ciosek do towarzyszy zza Łaby”. *Tygodnik Solidarność*, 15.12.1995.

11. por.: „Ein schwieriger Dialog”. s. 130.

uwierzyć, aby relacja Cioska sprowadzała się do tak ograniczonej treści.

Również wyłącznie z niemieckim czytelnikiem dzieli się Rakowski innym ciekawym wspomnieniem, które może tłumaczyć przyczyny zaufania, jakim prezydent Wałęsa darzył ambasadora RP w Moskwie. 2 grudnia 1981 r. Ciosek spotkał się z Wałęsą i poinformował go o planowanej akcji zajęcia Szkoły Oficerów Pożarnictwa. Na zakończenie rozmowy przywódca „Solidarności” oświadczył: „Panie Ciosek, pan jest fajny facet. Znajdziemy dla pana jakieś zajęcie”<sup>12</sup>. Ale czy koniecznie musiała to być funkcja ambasadora solidarnościowego rządu?

Z zagranicznych publikacji można się zatem dowiedzieć istotnych szczegółów dotyczących najnowszej historii Polski, z czego zapewne czytelnik krajowy nie zdaje sobie sprawy. Omawiając podpisane 30 sierpnia 1980 r. w Szczecinie porozumienie między strajkującymi a stroną rządową, które – w ówczesnej sytuacji – było korzystne dla władz, Jerzy Holzer wspomina o przypuszczeniach dotyczących infiltracji tamtejszego MKS-u, odrzuca je jednak, jako „zbyt daleko idące”<sup>13</sup>. Tymczasem ówczesny ambasador NRD w Warszawie Günther Sieber, przekazał 31 sierpnia Honeckerowi pismo na temat sytuacji w PRL, oparte na informacjach uzyskanych od polskich towarzyszy. Można tam m.in. przeczytać:

W decydującym momencie partia „zniknęła w masach”. Dotyczy to także znacznych części aktywu partyjnego. Dotychczas nie znamy żadnego przykładu na to, aby podstawowa organizacja «partyjna» zdołała zapobiec wybuchowi strajku. Tylko w Szczecinie, dzięki szybkiemu i przemyślanemu działaniu I sekretarza województwa, pewna liczba towarzyszy zdołała wejść do komitetu strajkowego i w istotny sposób przyczyniła się do tego, że sytuacja w Szczecinie rozwija się inaczej niż w Gdańsku<sup>14</sup>.

Źródła archiwalne mają większą wartość dla rekonstrukcji faktów historycznych, niż popularna w Polsce literatura

---

12. tamże, s. 128-129.

13. „Solidarność. Geneza i historia”. Paryż 1984, s. 104.

14. Die politische Entwicklung der VR Polen zwischen dem 4. und 5. Plenum des ZK der PVAP (Woche vom 24. bis 30.8) und die Lage am 31.8.1980. SAPMO-BArch, DY30/J IV 2/2 A-2346.



wspomnieniowa, z natury rzeczy subiektywna i niepełna a często wręcz świadomie tendencyjna w przedstawianiu kontrowersyjnych kwestii. W oparciu o dostępne archiwa władz NRD można odtworzyć historię polityki Moskwy i całego bloku sowieckiego wobec kryzysu w PRL na początku lat 80-tych. Publikowany poniżej dokument uzupełnia obraz, który starałem się naszkicować w jednej z wcześniejszych publikacji<sup>15</sup>. Sprawozdanie z pobytu Kulikowa w NRD w związku z manewrami „Sojuz ‘81” pochodzi z zasobów archiwalnych tamtejszego Ministerstwa Obrony Narodowej. Wypowiedzi sowieckiego marszałka, przekazane ministrowi obrony NRD Hoffmannowi, ilustrują ówczesne nastawienie Kremla wobec Kania i Jaruzelskiego. Istotne są zwłaszcza informacje na temat rozmów, jakie Kulikow prowadził w Polsce, zwłaszcza, że zarówno Kania jak i Jaruzelski pomijają w swych memuarach streszczone w sprawozdaniu spotkanie dyskretnym milczeniem. W części dotyczącej założeń polityki Moskwy wobec kryzysu w Polsce, relacja pokrywa się z danymi z innych dostępnych dokumentów, głównie z archiwów sowieckich i NRD-owskich. Od 5 grudnia 1980 r., kiedy na moskiewskim spotkaniu na szczycie Układu Warszawskiego podjęto decyzję wstrzymania się od interwencji zbrojnej w PRL, linia Sowietów była konsekwentna: towarzysze polscy muszą zdławić kontrrewolucję własnymi siłami a podejmując zdecydowaną obronę socjalizmu mogą liczyć na poparcie ze strony „bratnich państw”. Twierdzenia generała Jaruzelskiego, jakoby wprowadzenie stanu wojennego miało zapobiec wkroczeniu do Polski wojsk sojuszników, nie znajduje potwierdzenia w dostępnych materiałach archiwalnych<sup>16</sup>. Członkowie ówczesnych władz PRL kreują Kulikowa na tego przedstawiciela sowieckiego kierownictwa, który z naciskiem miał grozić interwencją Układu Warszawskiego w Polsce, tymczasem przytacza on w rozmowie z Hoffmannem argumenty przeciwko takiemu rozwiązaniu. Wspólne działania bratnich

---

15. por.: „Stan wyższej konieczności”. *Zeszyty Historyczne* 116. Paryż 1996, s. 58-82 oraz sprostowanie błędów drukarskich zawartych w tym tekście: *Zeszyty Historyczne* 117. Paryż 1996, s. 235

16. tamże.

państw miały polegać na wywarceniu presji na polskich towarzyszy, aby podjęli wreszcie zdecydowane kroki. Trzeba było jednak czekać na nie jeszcze pół roku.

Akta władz NRD nie są pisane językiem Tomasza Manna. Staram się w tłumaczeniu zachować styl oryginału.

*Tomasz MIANOWICZ*

## Sprawozdanie

z pobytu Naczelnego Dowódcy Zjednoczonych Sił Zbrojnych towarzysza marszałka Związku Sowieckiego Kulikowa dn. 21.03.1981 na terytorium NRD w związku ze wspólnymi ćwiczeniami „SOJUZ-81”<sup>17</sup>  
(...)

### **II. Rozmowa z marszałkiem Związku Sowieckiego Kulikowem**

Następnie Naczelną Dowódcą Zjednoczonych Sił Zbrojnych w najściślejszym gronie poinformował szczegółowo o spotkaniu z Pierwszym Sekretarzem Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej towarzyszem Kanią oraz Przewodniczącym Rady Ministrów PRL i Ministrem Obrony Narodowej towarzyszem generałem armii Jaruzelskim.

Marszałek Związku Sowieckiego Kulikow podkreślił na wstępie, że towarzysze Kania i Jaruzelski zgodzili się na wszystkie działania w związku z ćwiczeniami „SOJUZ-81” i popierają ich realizację.  
Strona polska spełniła wszystkie życzenia Naczelnego Dowódcy.

W czasie czterogodzinnej rozmowy z towarzyszem Kanią i towarzyszem Jaruzelskim poruszono także obecną wyjątkowo złożoną sytuację w PRL. Podstawą było spotkanie towarzysza Breżniewa z towarzyszem Kanią 4 marca 1981 r. w Moskwie w związku z XXVI zjazdem KPZS.  
Sytuacja w PRL komplikuje się z dnia na dzień. Związek

---

17. Militärisches Zwischenarchiv Potsdam-Bundesarchiv, Strb AZN 32642, s. 20-26.

zawodowy „Solidarność” dąży do tego, aby uzgodnione z rządem 90 dni bez strajków wykorzystać dla wzmocnienia własnej pozycji.

„Solidarność” wywarła negatywny wpływ głównie na młodzież PRL i opiera się przede wszystkim na niej.

„Solidarność” liczy obecnie w przybliżeniu 6 do 8 milionów członków, wśród których około miliona to członkowie PZPR.

Chociaż obecnie zmniejszyła się liczba strajków, trudno zauważyć aktywizację pracy partyjnej.

W ocenie polskich towarzyszy zaufanie mas do „Solidarności” zmniejszy się.

Rozgorzała walka o kierownictwo „Solidarności”.

Niebezpieczeństwo polega na tym, że Wałęsa czyni wszystko, aby objąć władzę. Jego aparat jest dobrze zorganizowany, co można było dostrzec na przykładzie wydarzeń w BYDGOSZCZY. Zaledwie godzinę po interwencji milicji był już na miejscu w BYDGOSZCZY, tymczasem nie można było dostrzec żadnych działań ze strony rządu.

Polscy towarzysze wyrazili zamiar wprowadzenia przepisów zakazujących strajków.

Kontrrewolucję w PRL popierają przede wszystkim RFN i USA <działając> z ośrodków w RFN i USA. Według posiadanych danych uaktywniają swe agentury w Polsce.

Całościowa problematyka ćwiczeń „SOJUZ-81” nie wywołała dotychczas wewnętrznej reakcji w PRL. Pomimo tego zanotowano kilka prowokacji.

Na przykład przedstawiciele „Solidarności” zamierzali zająć rozgłośnię radiową w SZCZECINIE.

16.03.1981, dzień przed rozpoczęciem w LEGNICY pracy przez sztab kierowniczy manewrów „SOJUZ-81”, biskup wrocławski poświęcił siedzibę „Solidarności”. Prócz tego w bezpośredniej bliskości obiektu sztabu Grupy Północnej, względnie sztabu kierowniczego w LEGNICY, zebrało się ponad 1000 zwolenników „Solidarności”.

Marszałek Kulikow zaznaczył, że zwrócił polskim towarzyszom uwagę na to, iż w wypadku prowokacji wobec towa-

rzyszy sowieckich Armia Sowiecka przedsięwzięcie i uczyni to, co uważa za konieczne i właściwe.

Reasumując można stwierdzić, że działalność kontrrewolucji w związku z ćwiczeniami „SOJUZ-81” jest uważnie obserwowana. Siły kontrrewolucyjne w Polsce ze swej strony uważnie obserwują wspólne ćwiczenia czterech armii sojusznicznych.

W najbliższych dniach 65000 żołnierzy polskiej armii ma być zwolnionych i w to miejsce ma być powołanych 65000 nowych żołnierzy.

Przyniesie to polskiej armii wiele problemów, które będzie bardzo trudno pokonać.

Obecnie największe trudności w polskiej armii związane są z marynarką i jej dowództwem. Polscy towarzysze nie są jednak teraz gotowi do przeprowadzenia odpowiednich zmian kadrowych.

Najbardziej złożony problem polega na tym, że zarówno w wypadku towarzysza Kani jak i towarzysza Jaruzelskiego słowa nie pokrywają się z czynami.

Towarzysz Jaruzelski idzie na bardzo wiele ustępstw, np.:

- w stosunku do „Solidarności” rolników i związku studentów a także
- w sprawie nauki rosyjskiego.

Jest rzeczą oczywistą, że uzgodnione 90 dni pauzy strajkowej nie przyniosą towarzyszowi Jaruzelskiemu sukcesu.

Ma on na stanowisku premiera spore trudności, gdyż boryka się z wieloma sprawami i problemami, zwłaszcza w dziedzinie gospodarczej, z którymi przedtem miał niewiele do czynienia. Jest wykończony fizycznie i psychicznie.

Także towarzysz Moczar ma zawał serca i nie może być obecnie w pełni wykorzystany.

Najważniejsze pytanie dotyczy dalszego rozwoju sytuacji w PRL.

Kierownictwo PZPR nie może się już cofać. Nadeszła chwila, w której trzeba rozbić kontrrewolucję i już nie wolno z nią negocjować. Brakuje jednak jasnej oceny, w jaki sposób należy zniszczyć kontrrewolucję. Marszałek Kulikow uważa, że zarówno towarzysz Kania jak i towarzysz Jaruzelski

oceniają sytuację w Polsce właściwie. Wiedzą o wszystkim, co się dzieje w kraju i zdają sobie sprawę, że pracując tak jak obecnie, nie zdołają wydobyć się z tego trudnego położenia.

W czasie rozmowy towarzysz Kania sprawiał wrażenie, że czuje się pewnie na obecnym stanowisku i stara się suwerennie urzeczywistnić swą władzę.

Niestety, należy jednak zauważyć, że towarzysze Kania i Jaruzelski pomimo nalegań nie wypowiedzieli się, jak mają się dalej toczyć sprawy w Polsce.

Brak w politbiurze KC PZPR jedności w sprawie klarownych i jednoznacznych działań przeciwko kontrrewolucji a także <brak> poparcia dla postępowych funkcjonariuszy partyjnych ze strony kierownictwa partii.

Jeżeli w 30 spośród 49 województw usunięto kierownicze kadry – nie wzmacnia to zaufania kadr do kierownictwa.

Na Węgrzech i w CSSR istniała klarowna linia polityczna przeciw kontrrewolucji, w Polsce tego brakuje.

Sowieckie kierownictwo partyjne uważa, że polscy towarzysze muszą własnymi siłami rozwiązać piętrzące się trudności a nie stale zawierać kompromisy.

Należy niestety stwierdzić, że czas pracuje dla kontrrewolucji, a nie dla PZPR.

Dlatego też wspólne zadanie polega na tym, aby kierownictwo Związku Sowieckiego, NRD i CSSR aktywnie oddziaływało na polskie kierownictwo partyjne i państwowe, aby skłonić je do właściwego działania.

Wkroczenie do Polski armii Układu Warszawskiego przyniosłoby wielkie polityczne konsekwencje i bez wątpienia przyniosłoby bardzo negatywne skutki w Kubie, Angoli, Mozambikowi, Kampuczy i innym postępowym krajom. Poza tym w ocenie tej problematyki należy uwzględnić, że Polska jest krajem liczącym 35 milionów mieszkańców.

Towarzyszowi Kani i towarzyszowi Jaruzelskiemu dano jasno do zrozumienia, że polskie kierownictwo partii i państwa musi samo konkretnie i konsekwentnie rozwiązywać stojące przed nim zadania i uzyskać przy tym poparcie ze strony Związku Sowieckiego, NRD, CSSR i innych bratnich państw.

Towarzysz Kulikow obszernie poruszył w rozmowach rolę NRD i przedstawił troski NRD dotyczące dróg tranzytowych, stosunków współpracy i dostaw węgla.

Towarzysz Kania podkreślił w tym kontekście, że węgiel będzie dostarczony do NRD w każdym wypadku; nawet jeśli PRL nie miałyby wystarczającej ilości węgla na pokrycie własnego zapotrzebowania.

W czasie rozmowy marszałek Kulikow poruszył też otwarcie sprawę pewnych uprzedzeń w stosunku do NVA<sup>18</sup> i NRD ze strony polskich kadr kierowniczych.

Podkreślił, że określone negatywne postawy wobec Narodowej Armii Ludowej NRD ze strony członków dowództwa polskiej armii są niezrozumiałe. Zarówno towarzysz Kania jak również towarzysz Jaruzelski przyznali, że istniały takie <negatywne> opinie i prawdopodobnie istnieją nadal. Wystąpią oni jednak zdecydowanie przeciwko tym zjawiskom.

Ponadto Naczelny Dowódca oświadczył, że w związku z sytuacją może stać się konieczne przedłużenie trwających obecnie manewrów „SOJUZ-81”. Byłoby to bez problemu możliwe, ponieważ nigdzie nie ogłoszono terminu zakończenia ćwiczeń.

Dlatego też jest sprawą wewnętrzną jak długo mają trwać takie ćwiczenia. Trzeba jednak zapewnić, aby w stosunku do komendantów i sztabów nie mówiono o „przedłużeniu” manewrów. Należy przyjąć, że ćwiczenia trwają tak długo, jak długo uzna się to za konieczne.

Manewry mają przede wszystkim duże znaczenie wojskowo-polityczne, gdyż jesteśmy w stanie między innymi ocenić sposób myślenia i postępowania odpowiedzialnych polskich generałów i admirałów.

(...)

Minister Hoffmann podziękował za tę poufną rozmowę i informacje i oświadczył, że ocena sytuacji w PRL zgodna jest z oceną dokonaną przez kierownictwo naszej partii.

(...)

---

18. Nationale Volksarmee (Narodowa Armia Ludowa).

## WSPOMNIENIA

Bolesław TABORSKI

### „MOJA WOJNA” – POCZĄTEK I KONIEC

#### MOJE WYZWOLENIA

#### NIEWOLA

Po paru dniach spędzonych w Pruszkowie, dokąd nas przyprowadzono pieszo po kapitulacji Mokotowa, 27 września 1944 zostajemy przewiezieni koleją do obozu przejściowego w Skierniewicach, skąd po następnych czterech dniach wywożą nas do Niemiec. W pasie przyfrontowym nawet u Niemców panuje bałagan nieziemski. Wieczorem zamykają nas w wagonach „bydlęcych”, naładowanych do stu osób, trzymają całą noc, rano wyprowadzają znowu do obozu. Dopiero drugiego dnia (4 października) o 17-ej następuje wyjazd. Od ciasnoty drętwią członki, jedzenia nie ma, nastrój okropny. 5-go po południu zatrzymujemy się w Berlinie, gdzie siostry Niemieckiego Czerwonego Krzyża roznoszą zupę i po dwie paczki sucharów. Jedna z nich, najwyraźniej z własnej inicjatywy jeszcze przynosi bardzo upragnioną wodę. Po trzygodzinnym postoju ruszamy dalej i już 6-go rano przyjeżdżamy do miasteczka Bremervörde ok. 30 kilometrów od Bremy.

Odprowadzani zaciekawionymi (bo stanowimy nie-samowicie wyglądającą bandę łachmaniarzy) lecz bynajmniej nie wrogimi spojrzeniami mieszkańców, odbywamy stamtąd dwunastokilometrowy marsz do obozu Stalag XB w Sandbostel. Obóz leśny na terenie bagnistym, na jesieni często opadają mgły, klimat raczej morski jeśli w zimie mrozy nie są częste, zimno jest wilgotne i przenikliwe, szaleją wichry.

Zostajemy umieszczeni najpierw w odizolowanych od reszty obozu barakach, z trzypoziomowymi pryzcami. Tydzień później przywożą powstańców ze Śródmieścia. Dopiero po kilku miesiącach przenoszą nas do tzw. wesołego miasteczka, czyli międzynarodowej części obozu, gdzie baraki są mniejsze, a życie mimo wszystko lepsze, bo możemy chodzić po całym obozie. Zaraz po przenosinach wyrzucamy i palimy kompletnie zapluskwione prycze, woląc leżeć na podłodze. W miasteczku przebywają jeńcy różnych narodowości, w tym także polscy z 1939 r., którzy pierwszej wojennej zimy obóz ten budowali, mieszkając wówczas w namiotach. A po pięciu latach – jeszcze tu są i przyjęli nas serdecznie, choć z czasem zaznaczyły się różne mentalności starych i nowych jeńców. Poza tym byli tu funkcyjnymi, czasem posądzano ich o nadużycia, dochodziło do konfliktów. Jednak ich mąż zaufania, sierżant podchorąży Cienciąła, został i naszym, powiększając znacznie swą armię. Cieszył się ogólnym szacunkiem, uznaliśmy go za swego pod każdym względem.

Rutyna obozowa jest dość określona. Rano stoi się na tzw. apelu, co może trwać bardzo długo, jeśli liczący nas wachmani nie mogą się kogoś dorachować. A trzeba dodać, że wkrótce po przybyciu do obozu ogolono nas na zero. To właśnie wtedy mój przyjaciel „Jagiełło” – Zbyszek Pełczyński, rozejrzawszy się po tysiącu łysych pał, powiedział z przekonaniem: „Nie szata zdobi człowieka, ale włosy”. A *propos* szat, sprawy też nie wyglądały dobrze. My z Mokotowa byliśmy w szczątkach letnich ubrań i powstańczych „kombinezonów”, które nas z trudem okrywały, ale nie grzały w jesienne chłody i zimowe mrozy.

Wkrótce przyjął się zwyczaj stania na apelu w kocach narzuconych na łyse pały i okrywających nas jak się tylko



dało. Wprawdzie Niemcy usiłowali zabronić nam postponowania kazonnych kocy, mających służyć innym celom, ale samo życie, czyli zima, zakaz ów uczyniły teorią. O wiele później Czerwony Krzyż przysłał nam sorty mundurowe z demobilu pierwszej wojny, ale doszły tylko frencze, bo wagon wiozący spodnie zawieruszył się w wojennym bałaganie. W efekcie byliśmy potem od pasa w górę operetkową armią w kurtkach z wielkimi złotymi guzami, a od pasa w dół nadal bandą łachmaniarzy. Sytuacja ta uległa zmianie na lepsze dopiero jakiś czas po znamienym wpisie do dziennika z 21 lutego: „13.00 uroczysty apel: obliczanie ile par spodni potrzeba”.

Po apelu służbowi przynoszą do baraków śniadanie, czyli lurę zwaną herbatą; rytuał powtarza się wieczorem. Obiad natomiast składa się z menażki brukwiowej zupy. Dzielne wyżywienie uzupełnia miniaturowa porcja margaryny oraz kromka komyśniaka, nad którego treścią (ile procent otrębów, a ile trocin) wciąż toczą się dyskusje. Przydziały takie były kalorycznie zupełnie nie wystarczające, w rezultacie po kilku tygodniach, kiedy zużyliśmy zasoby organizmu (nie tak znów duże, biorąc pod uwagę wiejskie wyżywienie w drugim miesiącu powstania) odczuwaliśmy wycieńczenie głodowe. Zawroty głowy i nudności, trzeba wstawać opierając się o ścianę, żeby utrzymać się na nogach, apatia, utrudniająca działanie. Leżenie i sen, dużo snu, konserwuje siły, nadrabia brak kalorii.

Sytuacja po pewnym czasie poprawia się, gdy zaczynają przychodzić paczki: od rodzin do czasu zajęcia Polski przez wojska sowieckie oraz paczki Czerwonego Krzyża aż do wyzwolenia. Te ostatnie przychodzą z rozmaitych krajów i różnią się pod względem zawartości. Najbardziej cenione są amerykańskie, kanadyjskie i angielskie. Były też paczki egipskie, syryjskie, argentyńskie; w tych ostatnich puszki zwane „Fasolka z mięsem” zawierały niemal samą fasolę, w której – dosłownie – na okrasę znajdował się mikroskopijny kawałeczek tłustości od mięsa. W paczkach amerykańskich i angielskich znajdowały się papierosy, cenione nawet przez niepalących, którzy mogli je sprzedać łaknącym palaczom i to po dobrej cenie, nie tylko za chleb. Ja na przykład kupiłem za 9 papierosów – parę butów.

Paczki przychodziły w różnych ilościach. Rzadko kiedy rozdawane były po jednej na głowę. Częściej dzielone były pomiędzy dwie, cztery lub więcej osób. Tworzyły się więc „spółki paczkowe”. Tak bardzo się one przyjęły, że organizowano się także na paczki prywatne: gdy jeden z udziałowców otrzymał paczkę, dzielono jej zawartość między współników. W ten sposób przyjemność otrzymywania paczek z wielokrotniano, zarazem dochodził element hazardu: nigdy nie było wiadomo, co komu przypadnie. Z przyczyn, które później wyjaśnię, ja byłem „pasożytem”, który przez długi czas nie otrzymywał paczek, a korzystał z cudzych, za to potem, gdy po zajęciu Polski przez Rosjan paczki do współników już nie przychodziły, zaczęły się one zwać do mnie, a oni z tego skorzystali.

Wkrótce po przybyciu do obozu, gdy minął szok spowodowany kapitulacją i zmęczenie drogą, natomiast zaczęliśmy się jakoś aklimatyzować, rozpoczęła się ożywiona działalność wszelakiego rodzaju, zwłaszcza – wykładowa. Biorąc pod uwagę jaki koncentrat inteligencji warszawskiej przebywał w obozie, nie było rzeczą dziwną, że znajdowali się wśród nas specjaliści ze wszystkich dziedzin, od języków po filozofię i nauki ścisłe.

Rzuciłem się w wir tych zajęć. Chodziłem na kursy angielskiego i francuskiego, stenografii i elektrotechniki. Najbardziej fascynowały mnie – psychologia oraz wykłady o malarstwie polskim i światowym, które z pasją i zacięciem dawał kpr. „Hubert” (Zbigniew Florczak). Niestety po pewnym czasie działalność ta w znacznej mierze ustała, głównie z powodu apatii głodowej, w jaką popadliśmy, choć były i inne powody. Np. „Hubert” został przeniesiony do „wesołego miasteczka” (podobno rysował tam portrety) podczas gdy my pozostaliśmy jeszcze przez jakiś czas w wydzielonej części obozu. Z nadejściem wiosny i poprawą naszych warunków nastąpiło znowu ożywienie i wykłady wznowiono.

W czasie pobytu w niewoli dużo także czytałem. Z powodu obecności od lat w obozie polskich jeńców była tam spora biblioteka, urządzona staraniem Czerwonego Krzyża ze zbiorów społeczeństwa w Polsce. Czytałem Rodziewiczównę, książki podróżnicze, historyczne, popularnonaukowe, Ossen-

dowskiego, Dąbrowskiej, wszystko co się dało. Czasem nawet, po przeniesieniu do „miasteczka” oczywiście, pokazywano nam filmy niemieckie, ale żadnych propagandowych, raczej sentymentalne romansidła.

Jak w każdej ludzkiej zbiorowości, byli w obozie biedacy (większość) i krezusi (którzy dorobili się na sobie tylko znanych interesach z wachmanami, nawet z władzami obozowymi; niektórzy jeszcze z Warszawy przemycili złote monety itp.). W głodowym okresie krezusi fundowali konkursy, którym wszyscy mogli się przypatrywać, a uczestnik był z reguły jeden. Podejmował się on na przykład zjedzenia bochenka komyśniaka w ciągu godziny, co przy skurczonym żołądku było prawie niemożliwe, lub też zjedzenia mydła, co z reguły kończyło się hospitalizacją i pompowaniem żołądka nieszczęśnika.

Innym przejawem życia obozowego były prace, do których nas wkrótce zaczęto brać. Codziennie rano ogłaszano listy tzw. komenderówek, obejmujących od sześciu do kilkunastu nazwisk. Wywołani musieli wykonywać różne prace, starając się – zwłaszcza w głodnym i chłodnym okresie zimowym – konserwować energię i nie przepracowywać się.

A były to prace wręcz wspaniałe. Oto niektóre z nich. Obieranie brukwi w kuchni – to jasne. Ale *Latrinekommando* wymaga wyjaśnień. Ośmiu szczęśliwców ciągnęło dyszel beczkowozu z płynnymi ekskrementami, wywoziło poza obóz i opróżniało do wykopanego tam wielkiego rowu. Pompowanie ekskrementów do beczkowozu przez włożoną do niego rurę, było zadaniem tzw. „starszego gówniarza”, którym był jeniec sowiecki. W domenie sowieckiej leżało też obsługiwanie otwartego wozu, do którego ekskrementy o stałej konsystencji nabierało się łopata. Obsłużyć trzeba było zarówno stojącą osobno główną latrynę jak i małe, w każdym baraku, używane w nocy, gdy nie wolno było wychodzić na zewnątrz. Rurę trzeba było z otworu kloaczego starannie nakierować na klapę beczkowozu, żeby „treść” kloaki nie pooblewała pracowników, to znaczy człowieka sowieckiego i polskich „koni” przy dyszlu. Sterowało się więc całym beczkowozem, przy okrzykach „starszego gówniarza”: *Dawaj nazad, i dawaj wpieryd*. Obsługujący beczkowóz mieli ze

„starszym gówniarzem” układ, odpowiednio opłacany, by nie nalewał zbyt dużo, żeby „koniom” było lżej. Ale zdarzało się, że przy bramie obozu, Niemiec, który robił kontrolę, podnosząc pokrywę i zaglądając do środka, uważał, że na przykład ćwierć ładunku to za mało i zawracał wehikuł po więcej. Z reguły robiliśmy do ośmiu kursów, udało się czasem tylko dwa, czyli zaledwie pół dnia spędzić przy tym miłym zajęciu.

*Holzkommando* polegało na wymarszu poza obóz na karczowisko po spalonym lesie i wykopywaniu karp, które następnie nosiło się do obozu. Tutaj brakoróbstwo oznaczało, że należy jak najmniej kopać, a jak najwięcej stać bezczynnie, po czym nieść jak najmniejsze kawałki drzewa, uginając się na bramie, jakby pod strasznym ciężarem. Oczywiście niektórzy woleli pracować zamiast stać i marznąć, była to już sprawa indywidualnej decyzji. Pracą „spokrewnioną” z tą komenderówką było *Schiebekommando* – wożenie karpiny taczkami do obozu.

Z prac pozaobozowych najbardziej cenione było *Kohlekommando* polegające na pchaniu pustych wagoników do Bremervörde po wąskim torze łączącym obóz z dworcem, a napełnionych węglem brunatnym – z powrotem. Atrakcją tej komenderówki było nie tyle pchanie wagoników przez ileś tam kilometrów, co możliwość skoków w bok do pobliskich wsi w celu przehandlowania na chleb puszek neski czy mydełek. Nie zawsze to się udawało. Ode mnie niczego nie kupiono. Było też ryzyko skonfiskowania na bramie obozu w drodze powrotnej, gdzie zwykle dokonywano rewizji osobistej – albo chleba albo też nie „opylonych” towarów.

Mógłby ktoś zauważyć, i słusznie, że przypuszczalnie na te różne prace nie udawaliśmy się sami, ale pod eskortą, jak więc wymigiwanie się od pracy, czy handelki, były możliwe? Komenderówce towarzyszył z reguły jeden wartownik czyli „wachman”. Byli to ludzie starzy lub inwalidzi, a trzeba dodać, że w ostatnim roku wojny, która tyle zniszczeń wyrządziła w ich rodzinnych stronach, bynajmniej nie nastawieni entuzjastycznie do hitlerowskiego reżimu. Poza tym, mieliśmy papierosy z paczek itp., którymi mogliśmy ich częstować. Przymykali więc oczy na nasze sztuczki. Czasem trudno było się zorientować, czy to my ich eskortujemy, czy oni nas.

Postoje handlowe przy wagonikach były oczywiście robione za ich przyzwoleniem, miały charakter niemal oficjalny.

Od początku listopada Niemcy zaczęli akcję wywożenia na roboty: szeregowców przymusowo, podoficerów i podchorążych – na ochotnika. Nie była to jakaś szykana stosowana wobec nas, ale rzecz normalna. Stalag, to skrót od *Stammlager* – obóz macierzysty. Wszyscy jeńcy, którzy przezeń przeszli, byli do niego przypisani, ale większość przebywała na stałych komenderówkach właśnie. Codziennie na apelu wyczytywano listy kolejnych transportów. Mówiono nam, że są to wyjazdy „do Bauera”, czyli do robót rolnych na wieś, gdzie jedzenie jest obfite a powietrze świeże. Okazało się to wierutną bujdą. Niemal wszystkie transporty poszły do wielkich miast, przeważnie do Hamburga; zadaniem jeńców było odgruzowywanie po nalotach, przy czym w razie alarmu lotniczego jeńcy wchodzili do schronów w ostatniej kolejności. Wielu kolegów zginęło. A naloty były wciąż. Niemal każdej nocy słyszeliśmy potężny huk zmasowanych latających fortac, przelatujących nad obozem, a często i w dzień widzieliśmy na niebie ich sylwetki.

Widocznie podświadomie czułem pismo nosem, bo za żadne skarby nie chciałem wyjeżdżać z obozu, przekładając głodowanie i nawet *Latrinekommando* nad poniewieranie się nie wiadomo gdzie. Zacząłem więc ukrywać się, nie wychodząc na apele. Liczba jeńców mimo to się zgadzała, bo do baraku wchodził Niemiec i liczył też tych, którzy pozostali na pryczach, rzekomo albo naprawdę źle się czując, nie interesował się jednak nazwiskami.

Przez kilka dni przebywałem z jakąś drobną dolegliwością, której nie pamiętam, na tzw. rewirze, czyli izbie chorych, którego nie należy mylić ze szpitalem, mieszczącym się poza obozem. Tam przyjmowano głównie ciężko i zakaźnie chorych. Rewir natomiast był dużym barakiem, gdzie na ogromnej otwartej przestrzeni leżało wielu łżej chorych i takich jak ja. Leżeliśmy na legowiskach znajdujących się wprost na podłodze. Od czasu do czasu odwiedzał rewir niemiecki *Stabsarzt*, który powierzchownie badał chorych i przepisywał to, czym apteczka dysponowała, czyli *zwei Mal drei Aspirin*, albo *drei Mal zwei Aspirin*. On

też decydował o przyjmowaniu na rewir i wypisywaniu z niego.

Na rewirze spotkało mnie też jedno z najciekawszych przeżyć obozowych. Moim sąsiadem był starszy mężczyzna, chłop z Wołynia, zagarnięty do dywizji Berlinga „na ochotnika”, bez pytania go o zdanie. Niepiśmienny, a zarazem jeden z najmądrzejszych ludzi, jakich spotkałem w życiu. Słuchając tego, co mówi, zrozumiałem, co znaczy powiedzenie „mądrość ludu”.

Po pewnym czasie przestano mnie wyczytywać na listach do transportu. Przyczynę poznałem znacznie później. Okazało się, że gdy po wyczytaniu mojego nazwiska zapadła cisza, zgłosił się podając się za mnie ktoś, kto nie chciał rozstawać się z bratem. Dziwne, że nie pytano go o dokumenty ani o numer jeniecki. Po przyjeździe na komenderówkę sobowtór ujawnił swoje nazwisko, jednak w bałaganie późnowojennym moje papiery nie od razu wróciły do Sandbostel. Dopiero gdy mnie przyłapano na bramie z nie sprzedanym mydełkiem i zapisano nazwisko, okazało się, że w ewidencji nie figuruję. Było to już na takim etapie, że nie zdążono wyciągnąć wobec mnie konsekwencji.

Ta sama sprawa ukazała jednakże niemieckie *Ordnung muss sein* z całkiem nieoczekiwanej strony. Ponieważ rzekomo wyjechałem z obozu, moją korespondencję kierowano na komenderówkę. Ale sobowtór, zrezygnowawszy z mojego nazwiska, odmówił przyjmowania czegokolwiek. Przesyłki wracały do Sandbostel, gdzie też „nie istniałem”, wobec tego posyłano je do innych obozów. To jest powód, dla którego – po ujawnieniu się – zacząłem otrzymywać listy i paczki w marcu, gdy Polska od dwóch miesięcy już była odcięta przez front, a moi współnicy paczkowi wreszcie mogli ode mnie coś otrzymać.

Inna sprawa, że nie wszystko nadawało się do konsumpcji. Nigdy nie zapomnę dużej paczki otrzymanej od babci z Krakowa, w której był sweter (przydał się na następną zimę i jeszcze wiele lat potem), cebula, która rosła w paczce zwiżając się w kółko i po wyjęciu okazała się wspaniałym krzewem cebulowym, oraz inne produkty, jak masło, suchary, itd., zamienione w bezkształtną masę. Jeszcze bardziej

zdumiewające było opakowanie, z pieczętkami i adnotacjami chyba wszystkich obozów jenieckich w Niemczech (np. z Bawarii), w których stwierdzono, że adresat jest nieznany. Tylko pomyśleć: ostatnie miesiące wojny, wszystko się wali, a paczka przeznaczona dla adresata ostatniej kategorii jest pieczołowicie posyłana wszędzie. Gdybym o takich sprawach myślał, mógłbym już wtedy przypuścić, że tak skrupulatny naród, pomimo klęski wyjdzie na swoje.

Poza transportami na komenderówki, w obozie panował jeszcze ruch innego rodzaju. Na jesieni wywieziono do oflagów oficerów, którzy przybyli z nami. Ale w lutym przyjechała inna grupa oficerów AK. Natomiast w marcu – jak stwierdzają zapiski w moim dzienniku – przybyło najpierw pięciuset oficerów „wrześniowców” z oflagu w Woldenbergu, potem kolejno sześciuset i siedmiuset z oflagu w Grossborn koło Piły, ewakuowanych przed Rosjanami. Przybywali też jeńcy angielscy, amerykańscy, sowieccy i słowaccy (ci ostatni – żołnierze regularnej armii, która wystąpiła przeciw Niemcom w 1944 r.). W kwietniu na terenie obozu umieszczony zostaje, ewakuowany gdzieś z Hamburga, obóz koncentracyjny, niedługo potem i nas ewakuują w kierunku zachodnim.

Wszystko to nasila się mniej więcej od Wielkanocy, która w tym roku wypadła 1 kwietnia. Ten ostatni okres, obejmujący wyzwolenie, a niedługo potem – koniec wojny na terenie Europy, warto opisać bardziej szczegółowo, na podstawie prowadzonego przeze mnie dziennika.

## OD WIELKANOCY DO WYZWOLENIA

Już od początku marca mieszkamy nie w ogromnych, ponurych barakach, gdzie skoszarowani byliśmy po kilkuset ludzi, ale w „wesołym miasteczku”, gdzie baraki są nieduże i podzielone na izby, w których jest nas nie więcej niż po dziesięciu, dobranych tak jak nam odpowiada. Koledzy mi najbliżsi, z początku nie przejawiają entuzjazmu w przyjęciu mnie do swej izdebki. W dużym baraku byłem trochę samotnikiem, nie należałem do spółek gastronomicznych

(które tworzyły się jako przedłużenie paczkowych), taki kot, który chadzał własnymi drogami, może artysta? Traf chciał, że przeprowadzka nastąpiła właśnie w jeden z tych dni, kiedy przebywałem na rewirze. Mało brakowało, by nigdzie nie było dla mnie miejsca i wylądowałem w najgorszym z możliwych kącie, z jakimiś obcuchami. Ale koledzy przegłosowali przyjęcie mnie jednak i po pewnym czasie sami się dziwili, że mogli mnie nie chcieć. Po przewyciężeniu trudnego okresu zrobiłem się towarzyski, miły, po prostu „wspaniały” (jak mogę stwierdzić w myśl zasady: „o sobie dobrze mów, bo nikt inny tego za ciebie nie zrobi”).

Możemy teraz chodzić do kina, do dentysty (Francuz) i do francuskiej czytelnicy na koncerty z płyt i słuchać na przykład Haendla czy Dworzaka lub muzyki rozrywkowej. Kibicuję na meczach piłki nożnej, gdzie Francuzi są potęgą: najpierw pobili Polaków w stosunku 7:2, kilka dni potem kombinowaną drużynę polsko-serbsko-belgijską jeszcze sromotniej, bo 10:0. Ale żeby do szczętu nie frustrować pozostałych nacji, przydzielili im trochę swoich graczy i ostatni mecz: Francuzi przeciwko kombinowanej drużynie francusko-belgijsko-serbskiej przyniósł wynik remisowy 1:1. za to w koszykówkę Polacy pobili Francuzów.

Francuzi mają też ładną kaplicę, a w ogóle to oni nadają ton obozowi, a nie Polacy z 1939 r., którzy są dłużej, lecz jest ich stosunkowo niewielu. Francuzi są świetnie tu urządzeni. Wkrótce po naszym przybyciu do Sandbostel wzięli do siebie maluchów, czyli grupkę dzieci, które idący do niewoli w Śródmieściu zabrali ze sobą. U Francuzów maluchy miały dobre warunki ale potem doszły nas słuchy, że nadużywano je seksualnie, co było oburzające, jeśli było prawdą.

Wciąż nadchodzą wiadomości o postępach aliantów na zachodzie i wschodzie. Gdzieś w obozie ukryte jest radio i mamy wszystko na bieżąco. Zresztą komunikaty niemieckie są też wiele mówiące – wystarczy zwrócić uwagę na miejscowości, o jakich jest mowa, by wiedzieć, że to już długo nie potrwa. Wielkanoc 1 kwietnia, to nie *prima aprilis*, ale naprawdę początek ostatniego miesiąca niewoli. Ale choć dobrych wiadomości jest więcej, mieszają się czasem ze złymi.

Zacznijmy jednak przegląd codziennych wydarzeń od



Wielkiego Tygodnia, aby przed epilogiem ukazać obraz ostatnich dni względnie „normalnego” obozowego życia.

### *Niedziela Palmowa, 25.3.*

8.30 nabożeństwo. 10.00 odczyt „Huberta” na temat „Malarze polscy i ich twórczość” b. subiektywny. (Po południu ostatni mecz piłki nożnej i mecz koszykówki). 19.00 koncert rozrywkowy z płyt u Francuzów. Pogoda śliczna, tylko zęby mnie boją.

### *Poniedziałek 26.3.*

Jesteśmy drużyną służbową. Przeczytałem książkę Selmy Lagerlöf „Tętniące serce”. Rewelacyjne ogłoszenie o przygotowaniach do ewakuacji obozu. Frankfurt nad Menem zajęty. Olbrzymie postępy aliantów. Zęby mnie boją. Idę do dentysty.

### *Wtorek 27.3.*

8.00 spowiedź. 9.00 historia sztuki. 14.30 u dentysty. Przeczytałem Ossendowskiego „Słoń Birara”. Plotka o wezwaniu najstarszego oficera do dowództwa.

### *Środa 28.3.*

Apel butów. Może coś dadzą w tej branży. Przybycie oficerów i podoficerów z obozu 2b. – Alianci posuwają się szybko w kierunku Kassel i Norymbergi. – U Komunii św.

### *Wielki Czwartek 29.3.*

7.00-9.00 pracuję na *Heidekrautkommando*, czyli na wrzosowisku. Ulewa, trzeba się chronić przed nią. Klawy wachman, bardzo inteligentny, ucinam z nim rozmówki. Po południu praca 13.00-16.00. Potem do umundurowania. Jednak dają spodnie. Nareszcie. Przybyło dziś 700 oficerów z 2D. – Przeczytałem Dąbrowskiej „Znaki życia”. (Dobre opowiadania: „Książd Filip” i „Szkiełko”. Inne – „Winczewska”, „Drobiazgi”, „Oktawia” – słabizna.) Dalsze postępy aliantów. Podobno desant na Osnabrück. – Paczek jak nie ma tak nie ma.

### *Wielki Piątek 30.3.*

7.30 apel. Pracy nie ma. 7.45-9.00 w kościele na uroczystościach wielkotygodniowych. 16.30 Droga Krzyżowa. – Przyszły paczki kanadyjskie. Wiwat! – Na froncie dalsze postępy aliantów.

### *Wielka Sobota 31.3.*

6.45-9.00 w kościele na uroczystościach Wielkiego Tygodnia. 9.15 wracają nasi z kanadyjskimi paczkami. Dostaliśmy po całej. 17.00 adoracja, 19.00 Rezurekcja. Wieści smutne o śmierci 50 naszych w Hamburgu.

### *Niedziela Zmartwychwstania Pańskiego, 1 kwietnia*

8.15 Msza św. 10.00 jajko – później indywidualne święcone. Rano na apelu życzenia w imieniu gen. Kmicic-Skrzyńskiego. – Plotki o zawieszeniu broni, rzekomo mającym miejsce w piątek. Po południu apel. Przybywa gen. Skrzyński, odbiera raport i składa nam życzenia. Duże wrażenie. Gen. Skrzyński przybył niedawno z grupą oficerów, bodaj z Woldenbergu i jest najstarszym stopniem oficerem w obozie, więc według hierarchii wojskowej najwyższym zwierzchnikiem. Wygłosił piękne, patriotyczne przemówienie. – Dalsze postępy aliantów: dotarli do Wezery, pod Kassel i Wiedeń.

### *Poniedziałek Wielkanocny 2.4.*

Przesunięcie czasu. 7.30 kościół. 10.00 – planowany odczyt o zwyczajach wielkanocnych nie odbył się z braku frekwencji (5 słuchaczy). Szefowie, jak zwykle w święto, formują *Latrinekommando* i ciągną beczkowóz, ku naszej radości.

### *Wtorek 3.4.*

Dziś już dzień powszedni i nie szefowie, tylko gemajny, wśród nich ja, pracują przy *Latrinekommando* 7.00-10.00 i 13.00-16.00 w obozie oficerskim; w sumie jednak tylko dwa kursy, więc nie narzekam. Przeczytałem książkę Marcelle Vioux „Król-rycerz Franciszek I”. Przyszedł wagon paczek. Zamknięto kocioł w rejonie Kassel.

#### *Środa 4.4.*

Jesteśmy drużyną służbową. U dentysty (zaplombował mi ząb). Przeczytałem Lepeckiego „Na podbój Amazonki” – Fantastyczne opowieści byłych ordynansów o oflagu. Aresztowano 28 oficerów. Czy to możliwe?

#### *Czwartek 5.4.*

Pracuję na *Latrinekommando* 7.00-10.00 i 13.00-16.30. Przed południem prowadzimy beczkowóz do remontu, po południu oflag. Alianci 35 km. od Bremy, to znaczy że do nas już blisko. Fantastyczne wieści o ewakuacji obozu.

#### *Piątek 6.4.*

Otrzymaliśmy po jednej trzeciej paczki kanadyjskiej i 6 papierosów amerykańskich. Bolszewicy są 4 km od Wiednia. Bratysława zajęta, Norymberga zagrożona, alianci 100 km od Lipska, natarcie w kierunku Hamburga, czyli o 60 km od nas. W nocy luna w stronie frontu. Słyszać artylerię.

#### *Sobota 7.4.*

Pracuję przy latrynie (oflag – 1 kurs). 11.00-13.00 kino z filmem niemieckim „Nanette”. *Nb.* ekran znajduje się w środku baraku, a widzowie siedzą z obu jego stron frontem do siebie, bo obraz jest dwustronny. Przeczytałem Rittnera „W obcym mieście”. Od dziś nie ma chleba, tylko zwiększono porcje kartofli (dawano po jednym).

#### *Niedziela 8.4.*

8.15 kościół. Alianci w Bremie, to już blisko. Walki uliczne w Wiedniu.

#### *Poniedziałek 9.4.*

7.00-11.30 i 14.00-17.00 kopiemy karpy. Towarzyszy nam śmieszny *Feldwebel*. Ciągłe obawa ewakuacji. Słyszać artylerię. Nalot na Bremervörde i oczywiście na Hamburg – wiele ton bomb.

#### *Wtorek 10.4.*

7.00-10.00 i 13.00-15.00 pracuję przy latrynie. Do po-

łudnia dwa kursy. – Ewakuacja faktem. – Oficerowie wychodzą jutro. Walki w Wiedniu, Hanowerze i Bremie. Front wciąż słychać.

#### *Środa 11.4.*

7.00-11.30 pracuję na kartoflach. Wyszło z obozu 2200 oficerów. Nastrój bardzo podniecony. Rewolucja i pogrom w kuchni oficerskiej.

#### *Czwartek 12.4.*

7.00-11.30 mykwa. Oczywiście nie sama kąpiel pod zbiorowymi prysznicami tak długo trwała, ale stanie w kolejce, zdawanie i odbiór rzeczy. – Jesteśmy drużyną służbową. – Przeczytałem „Bieleckiego” (poemat Słowackiego). Przyjechało 12 samochodów Czerwonego Krzyża z paczkami, ale niestety – dla Amerykanów. Magdeburg zajęty.

#### *Piątek 13.4.*

Przeczytałem „Mnicha” Słowackiego. Przypędzili więźniów z obozu koncentracyjnego w Hamburgu. Gehenna. Wielu padło po drodze. Esesmani doprowadzili ich do obozu, gdzie odizolowano ich w wydzielonej części za drutami, i sami się zmyli, a władze obozowe potraciły głowy. Rozgrywają się potworne sceny: ktoś rzucił przez druty kartofel; tłum rzucił się na to miejsce i po chwili rozszedł, ale zostało parę trupów. Nasze szefostwo rozpoczęło rozmowy z dowódcą obozu, żeby powierzono nam opiekę nad kacetowcami. – Pochód aliantów na Berlin i Lipsk. Podobno zmarł Roosevelt. Żeby się oderwać od tego wszystkiego przeczytałem „Hugona” Słowackiego.

#### *Sobota 14.4.*

Mając pozwolenie organizujemy pomoc dla biedaków z obozu koncentracyjnego. Zbieramy odzież, żywność, organizujemy sprzątanie i opiekę zdrowotną. Straszne rzeczy wciąż się dzieją. Trzeba uważać z dawaniem im jedzenia, nie za dużo naraz i nie wszystko. Wyznaczono grupy porządkowe. – W tym zamieszaniu kontynuowałem z trudem lekturę Słowackiego: przeczytałem „Araba”. – O 20-ej zebrano nas

na apel i ogłoszono ewakuację na dzień następny. Niemal całą noc zajęły przygotowania i pakowanie nader skromnego dobytku. Największa trudność była z tym, w co się spakować. Zdobyłem skądś płaską drewnianą skrzynkę, przypominającą – też z trudem – walizkę i przybiłem do niej gwoździami paski z materiału zamieniając ją na plecak, nieporęczny wprawdzie, ale lepszy rydz niż nic. Czynność ta zajęła mi niesamowicie dużo czasu, bo gwoździe nie chciały się trzymać i wciąż wyłaziły. Ale w końcu jakoś je zamocowałem. Spanie bardzo krótkie od 3-ej do 5.30.

### *Niedziela 15.4.*

Dzień wielkiej wyprawy w nieznane. O 6.30 apel, na który stawiamy się z gratami. Odbierają nam menażki a dają suchy prowiant, także po jednej paczce na głowę, czyli więcej ciężaru do niesienia, ale to słodki ciężar. O 10.45 wymarsz z obozu w Sandbostel, w którym jak by nie było, spędziłem przeszło pół roku. Tuż za obozem mijamy jadących na wózkach i wlokących się pieszo w przeciwnym kierunku więźniów obozu koncentracyjnego, którzy idą jakby na opuszczone przez nas miejsce. Leżą też przy drodze trupy więźniów, którymi na razie nikt się nie zajmuje. Straszne to wszystko, także i to, że my już nie możemy pomóc. Ale stanowimy przecież stosunkowo niedużą część mieszkańców obozu, więc ludzi do pomocy nie zabraknie.

Nasza droga wynosi, jak się okazuje, 20 kilometrów. Przechodzimy przez kilka wsi. Dochodząc do nich wyrównujemy szeregi i idziemy dumnie jak na żołnierzy przystało, ze śpiewem i muzyką, bo jakieś instrumenty też się znalazły. Patrzą na nas zdezorientowani i bardzo niepewni siebie niemieccy mieszkańcy, a z radością zaczepiają Polacy – cywile, którzy są tu na robotach. Na postojach rozmawiają z nami.

Marsz okazuje się za długi dla krezusów, którzy wyszli obładowani bagażami z Sandbostel. Zaczynają po drodze wyrzucać to i owo. Inni ludzie, którzy nie mają dużo rzeczy, podnoszą. Po dojściu na miejsce wybuchają awantury, kiedy dawni właściciele żądają zwrotu bambetli przez siebie wyrzuconych. Salomonowy wyrok szefostwa i *vox populi* głosi, że kto swoją rzecz dobrowolnie wyrzucił, tym samym

wyrzekł się własności i nie może zgłaszać do niej prawa.

Dochodzimy do miejsca przeznaczenia, którym jest obóz w Westertimke po angielskich i innych oficerach lotnictwa i marynarki, których dla odmiany ewakuowano dalej od linii frontu, zresztą nie wszystkich. Jesteśmy teraz ok. 20 km od Bremy. Front słychać potężnie, widać też ożywioną działalność myśliwców w powietrzu. Kładziemy się zmęczeni, ale zadowoleni.

#### *Poniedziałek 16.4.*

Apel dopiero o 9-ej rano. Przemówienie naszego męża zaufania, Cienciały. Mamy własną kuchnię, w porównaniu z Sandbostel jest tu przytulnie i komfortowo, wręcz wspaniale. Apel popołudniowy o 17-ej.

#### *Wtorek 17 kwietnia*

Nastrój wciąż wypoczynkowy. Czytam Szekspira w oryginale. Zrelaksowani koledzy śpiewają nasze ulubione piosenki, w co się oczywiście włączam. – Alianci podchodzą pod Hamburg, bolszewicy pod Berlin, walki toczą się w Bremie. Wieczorem przynoszą nam wspaniałą zupę, w ogóle – cudowny obóz, tylko tak dalej.

#### *Środa 18.4.*

W Sandbostel 20 tysięcy ludzi w koncentracji. Czy to możliwe?

#### *Czwartek 19.4.*

Walki w Norymberdze i Lipsku, 30 km od Hamburga, 150 km od Pragi. W nocy czołgi niemieckie szły na wschód od strony Bremy. Po południu też idą. O godz. 22.45 Reszka zawiadamia o tym, że władze niemieckie wycofują się, przekazując obóz Anglikom. Alianci są o 12 km od nas i w każdej chwili mogą nadejść. Dziś też otrzymaliśmy wyraźny dowód, że znajdujemy się na linii frontu. Nalot. Obok baraku nr 5 wybucha bomba, niszcząc go oraz zabijając dwóch Polaków i czterech Rumunów. Jednym z Polaków był kpr. „Korczak” (Jan Kurzeja) z naszej kompanii B1. Niewątpliwie stało się to przez pomyłkę. Po nalocie przez dwie godziny

sterczymy w rowie na wszelki wypadek. Śpimy dziś od 3.30 do 7.30 wśród tych emocji. Niemcy na gwałt wycofują się, szosa zapchana, słychać przejeżdżające czołgi, auta, wozy. Ja, można powiedzieć, liżę swoje siniaki, bo rzuciło mną po wybuchu tej bomby i potłukłem się. Sytuacja wciąż napięta.

#### *Piątek 20.4.*

Rano nie ma apelu. Niemcy wycofali się z obozu, zostało tylko kilku wachmanów. Aliantów jeszcze nie ma, czyli rozpoczyna się okres przejściowy i można powiedzieć „bezpieński”. Cisza. Słychać tylko dalekie odgłosy artylerii i karabinów maszynowych. Dostajemy po paczce na głowę, ale żeby było zabawniej, każdy dostał po pół amerykańskiej i pół kanadyjskiej, żeby zróżnicować asortyment. Wieczorem apel, w trakcie którego uczciliśmy pamięć poległych we wczorajszym nalocie. Powiedziano też, że z uwagi na bezpieczeństwo i nie wyjaśnioną sytuację wychodzenie z obozu może się odbywać tylko za przepustkami. – Wieczorem widać oddziały niemieckie ciągnące znów w kierunku zachodnim.

#### *Sobota 21.4.*

O 14-ej pogrzeb ofiar nalotu. Zostaje wysłana nasza delegacja w szyku zwartym. Pojawia się dziś nowa mania: samoczynnych awansów. Wielu podchorążych pojawia się z przyczepionymi gwiazdkami podporuczników. Idiotyzm. Ogłoszono komunikat o uwolnieniu szeregu obozów.

#### *Niedziela 22.4.*

O 10-ej msza polowa. Choruję na żołądek. Wciąż strzelanina artyleryjska i słychać ogień broni maszynowej. O 14-ej apel. Cienciała poruszył dwie sprawy: niedozwolonego „urywania się” z obozu i „awansów”. Zajął wspaniałe stanowisko: będzie weryfikacja, gdy przyjdzie na to czas. Przez cały dzień „podśmiechujki” z podporuczników. – Jacyś ludzie udają się na handelek do wsi – nielegalnie.

#### *Poniedziałek 23.4.*

Imieniny Reszki: złożenie życzeń, owacja, przyjęcie. Wymierzono karę wczorajszym „uciekinierom” w postaci

musztry i pierdła. – Jakaś heca w kuchni, w rezultacie nie ma zupy. – Bolszewicy w Berlinie, alianci zachodni w Hamburgu i 90 km od Monachium.

#### *Wtorek 24.4.*

O 10-ej kapitan Wilson (szef całego obozu) u nas, na apelu. Wygłasza przemówienie, że wojna się kończy i wszystko będzie dobrze. U dentysty – bezskutecznie. Ale angielski lekarz nas bada. Przyznano Polakom dodatkowe paczki. Przez całą noc rąbanina na froncie.

#### *Środa 25.4.*

Opalam się, bo ładna pogoda. Ale nie ma w obozie światła i wody. Jest to zapewne skutek całonocnego bombardowania okolicy. Dowiadujemy się, że walki w Berlinie trwają i rozpoczęty szturm na Bremę.

#### *Czwartek 26.4.*

Noc pełna huków. Rano rozrywają się w Westertimke i na terenie samego obozu pociski artyleryjskie, trzeba uważać. Cholerne detonacje od bomb wieczorem. W dzień jednak byłem u dentysty. W południe otrzymujemy po paczce angielskiej na głowę. O 13.30 zbiórka całego batalionu. Każą nam przygotować się do wymarszu na godzinę 15-tą. Wymarsz ma odbyć się do linii alianckich. Otóż generał niemiecki zwrócił się do angielskiego z propocją przesłania jeńców do linii angielskich ponieważ front ma przechodzić przez teren obozu. Ale o 15-ej, czyli w porze zapowiedzianego wymarszu, ma miejsce nalot na Westertimke. Czekamy do wieczora, żadnych wiadomości, więc w nocy śpimy, ale w stanie utrzymanego pogotowia.

#### *Piątek 27.4.*

Pamiętny dzień, pełen emocji. Zaczynam go służbą przy telefonie od 7-ej do 9-ej. Potem śledzimy – bo prawie widać, a słycać doskonale – natarcie angielskie w bezpośredniej bliskości obozu, nie dalej jak 500 metrów od siatki. Wałą niemieckie „krowy”, tak dobrze nam znane z powstania, ale odpowiada im na całego artyleria aliancka i karabiny



maszynowe (a my wtedy na ogół nie mieliśmy czym odpowiadać). Po całodziennej kanonadzie, wieczorem Niemcy chyba się wycofują: widać ich „skaczących” wedle klasycznych reguł walk terenowych. Widzimy też, że nasi nieliczni wachmani schodzą z posterunków. Kanonada trwa do późnej nocy, nawet po zapadnięciu zmroku. Jest to chyba ostatni dzień niewoli. Dokładnie siedem miesięcy temu wyszliśmy na Mokotowie z kanałów i dostaliśmy się w ręce niemieckie. Teraz oni uciekają.

## WYZWOLENIE I KONIEC WOJNY

*Sobota 28.4.*

Nikt nie śpi, spodziewamy się lada chwila Anglików. Ale czekamy dość długo. Dopiero o 1.40 nad ranem pojawia się patrol brytyjski w obozie. Witamy tych żołnierzy z radością. Każą nam jeszcze spokojnie czekać. Zabierają ze sobą wachmanów jako jeńców i już o 2-iej opuszczają obóz. Jeszcze parę godzin upływa i oto – koło obozu pojawiają się czołgi oraz piechota. Jesteśmy wolni!

Jeden czołg wjeżdża do obozu. Całym tłumem otaczamy go, wdrapujemy się na niego, ściskamy i całujemy żołnierzy. Mają na mundurach naszywki: *Welsh Guards* – gwardia walijska. Będę pamiętał przez resztę życia, że to właśnie Walijczycy, żołnierze małego, dzielnego narodu, uwolnili nas nie tylko po 7 miesiącach niewoli, ale przecież i po niemal sześciu latach tej potwornej niemieckiej okupacji. I oni się cieszą, bo wyzwalanie tak wdzięcznych „klientów” jak my, jest dla nich jednym z widomych dowodów, że ich długa walka z narażaniem życia miała sens. Nieprędko pozwalamy naszym gościom odjechać.

Spania tej nocy nie było, nie możemy się uspokoić, radość i ulga nas rozpierają. O 10.30 zbiórka (jako że teraz mamy zbiórki, a nie te okropne apele, z długim liczeniem stanu, jak „za Niemców”). Zostaje wciągnięty na maszt sztandar. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałem polską flagę wywieszoną publicznie. Nawet w powstaniu nie afiszowaliśmy się nią, żeby nie prowokować Niemców, którzy

wtedy walili do nas jak wściekli i zawiadamiali swoich lotników. A tutaj taka wzruszająca gala. Wciągnięciu sztandaru asystowała warta honorowa z karabinami, które po siedmiu miesiącach znów mamy. Ale niestety nie obeszło się bez katastrofy: w czasie wciągania sznur się zerwał. Jeżeli nawet komuś przyszło do głowy, że to zły omen, nikt tego głośno nie powiedział. O 11-ej przyjechał samochód angielski z radiostacją. Przyjęto go owacyjnie. Porobiono fotografie. W końcu o godzinie 11.30 sztandar został wciągnięty na maszt, co przyjęto okrzykiem hurra!

Po południu wizyta Amerykanina – byłego jeńca – mówiącego po polsku. Atmosfera zepsuta wiadomością o dokonaniu szabru we wsi przez jakichś naszych żołnierzy. Były awantury z tymi szabrownikami, bo nie chcemy popsuć sobie dobrej reputacji, jaką cały czas mieliśmy. Mieszkańców wsi nie traktujemy jak wrogów.

Kolejna noc zarwana, tym razem z powodu działalności „artystycznej” wszelkiego rodzaju. Oprócz śpiewów składają się na to rozmaite zabawy, na przykład obrzucanie się poduszkami, kocowy oraz – najnowszy wynalazek – pstrykanie na siebie zapalonymi zapałkami, zwłaszcza sztormówkami, co jest nawet niebezpieczne, ale taki drobiazg nie jest w stanie osłabić naszego dobrego humoru i rozbawienia.

W końcu jednak zapada cisza, ale nie mogę zasnąć, rozmyślam nad naszymi dziwnymi losami. Te 7 miesięcy nie były w gruncie rzeczy okresem straconym, ale należy je oceniać pozytywnie, jako rodzaj swoistej terapii po szoku, jakim był upadek powstania i nadziei na oswobodzenie stolicy. Mimo głodu i niewygód, zwłaszcza w pierwszym okresie, nasze morale rośnie, mieliśmy poczucie wspólnoty jako zbiorowość, poznawaliśmy się lepiej i przyjaźniliśmy ze sobą. Do narzuconych nam prac fizycznych podchodziliśmy z humorem; niektóre z nich były potrzebne (w końcu nawet latryny trzeba było opróżniać, a trudno wymagać, by robili to za nas Niemcy; *n.b.* ich latryn nie obsługiwalimy, tylko własne i naszych oficerów, podejrzewam, że to było zadanie jeńców sowieckich), a bezsensowne prace markowaliśmy. Zaś poprzez wykłady i różne zajęcia uczyliśmy się ciekawych rzeczy, które mogły się przydać w przyszłości.

Co do Niemców, poza złowrogimi najściami gestapo w obozach przejściowych jeszcze na terenie Polski (pamiętam jak komuś z kolegów, który miał powody, by się tego obawiać, obwiązaliśmy głowę bandażem) i paroma „wizytami” w Sandbostel gestapowców, poszukujących konkretnych pojedynczych ludzi, nie mieliśmy problemów. *Wehrmacht* odpowiedzialny za obozy traktował nas przyzwoicie, z zachowaniem reguł konwencji genewskiej, a staruszków i inwalidów wachmanów mieliśmy „okręconych wokół palca”. Słuchaliśmy naszych własnych mężów zaufania, mieliśmy autonomię. Po przetrzymaniu zimy, wiosna niosła koniec wojny, klęskę Niemiec, o przyszłości zanadto nie myśleliśmy, mając nadzieję, że jakoś się ułoży. Właściwie można powiedzieć, że rozpierała nas młodość i związany z nią optymizm. W sumie – 7 miesięcy niewoli nie było okresem na tyle długim, by zostawić nam psychiczne blizny i urazy, (jak wytrąconym z życia na prawie 6 lat jeńcom z 1939 r.), ale w sam raz wystarczającym jako ciekawe życiowe doświadczenie, w czasach gdy inni doświadczali rzeczy o wiele, wiele gorszych.

#### *Niedziela 29.4.*

Dzień zaczyna się na zupełnie inną modłę, przywracając nam poczucie rzeczywistości. Zostaję – jak wszyscy – zbudzony silną detonacją: okazuje się, że przez dach wleciał do sąsiedniego baraku pocisk granatnika, zabił jedną osobę i ranił sześć. Jeszcze jakieś odosobnione grupy niemieckie się bronią w lasach i stamtąd wystrzelili. – Dziś zaczęła się już ewakuacja byłych jeńców amerykańskich z obozu.

#### *Poniedziałek 30.4.*

Jesteśmy od dziś na utrzymaniu brytyjskim. Otrzymujemy przydziały: śnieżnobiały, lekki chleb, który po niemieckim komyśniaku z trocin wydaje się pokarmem dla aniołów, a dopiero po jakimś czasie stanie się paskudną wata, bez smaku, pozbawioną składników odżywczych (wszystko jest niestety względne na tym świecie), margarynę, ser, dżem, mleko skondensowane, owoce suszone, cukier. Niezależnie od tego przyjeżdża samochód połączonych organizacji Czerwonego Krzyża i pokrewnych W. Brytanii, Australii, Indii, Ka-

nady, Nowej Zelandii i Południowej Afryki, a więc Anglii i dominiów, z paczkami toaletowymi. Każdy z nas dostaje mydełka, żyletki, aparat do golenia, krem i inne dziwne drobiazgi. W paczce jest też karteczka z pozdrowieniami i najlepszymi życzeniami szczęśliwego powrotu do domu, czyli ojczyzny. To ostatnie nastraja nas melancholijnie, ale nie ma czasu na myślenie, bo zaraz potem rozdają nam po paczce kanadyjskiej na głowę. Tymczasem nasza „kazionna” kuchnia postanawia nas utuczyć. Od dziś robią nam zupy tak tłuste i gęste, że łyżka w nich stoi, pływają też kawały równie tłustego mięsa, czasem z kośćmi itd. Nie nadaje się to do jedzenia, chyba że dla amatorów. Wielu kolegów, łącznie ze mną, rezygnuje z tego specjału. Po pertraktacjach z szefostwem te szaleństwa kulinarne zostają nieco ograniczone i zaczynamy dostawać jedzenie bardziej racjonalne. Ale kierowani popędem do nadrabiania głodnych miesięcy i oszołomieni wszystkim, co teraz dostajemy, sami szalejemy kulinarnie, z reguły na słodko. Słodkie mleko skondensowane, mieszane z proszkami kakaowymi, czekoladowymi, dżemami itd. jest podstawą przepysznych „kajmaczków”, jak je nazywają jedni, „kremików” jak mówią inni. To obżeranie się jest niewątpliwie potrzebą zarówno organiczną jak i psychiczną.

Jednak nie samymi kajmaczkami człowiek żyje. Na zbiórcę nasz wódz Cienciała wylewa nam strumienie zimnej wody na łeb *à propos* ogólnej sytuacji i naszych planów, mówiąc że do Anglii nie pojedziemy, może wrócimy do kraju. Dowiadujemy się o „ucieczce” Reszki, Sokoła, Pawła, Lawiny, Jakubowskiego, Chowańczaka, Kaktusa i Orion. Nad obozem krąży niziutko i całkiem długo samolot, nie wiemy dlaczego. W każdym razie dobrze, że aliancki. Inne dzisiejsze wiadomości: zajęte Monachium, Mediolan, Wenecja. Ohydna śmierć Mussoliniego. Pogłoski o śmierci Hitlera.

### *Wtorek 1.5.*

Wiadomość o śmierci Hitlera okazuje się prawdziwa. Pogłoski o kapitulacji Niemiec. Z wczorajszych uciekinierów wrócił Orion. Opowiada straszne historie o bandytach i rabusiach terroryzujących okolicę. Niemieccy dezertrzy czy byli jeńcy?

### *Środa 2.5.*

Od dziś wolno oficjalnie wychodzić z obozu. Nasi koledzy pospieszyli się przedwczoraj, choć może właśnie ich wyjście przyspieszyło uregulowanie tej sprawy. Grupa kolegów wybrała się do pobliskiej miejscowości Tarmstedt. Po powrocie opowiadają jak musieli przepędzać Hindusów – też byłych jeńców ze znajdującego się niedaleko obozu – którzy zabierali się do gwałcenia miejscowych kobiet. Dla nas jest punktem honoru, by takie rzeczy się nie zdarzały. Koledzy opowiadają też jak natknęli się na żołnierzy niemieckich. Obie strony zachowały „zbrojną neutralność”.

### *Czwartek 3.5.*

Dziwny dzień. Zaczął się o 8-ej od ćwiczeń i przygotowań do mszy polowej, która odbyła się o 10-ej jako że to święto narodowe. Msza była straszna: dryl żołdacki przytłoczył stronę religijną. Ale Cienciąła wygłosił dobre przemówienie, a potem odbyła się defilada, która pierwszorzędnie wypadła. Nie przestaliśmy być wojskiem.

Dryl dryłem, ale od dziś cieszę się wolnością w pełnym sensie tego słowa. Po raz pierwszy wyszedłem z obozu i przebywałem poza nim od 13-ej do 20-ej, czyli do zmroku. Po tak długim przebywaniu na małej przestrzeni w zbiorowisku ludzkim, chciałem być sam. Cieszyłem się w równej mierze „łonom natury”, chodząc po polach i lesie, co ciszą i spokojem.

W małym domku w lesie natrafiłem na parę starszych ludzi z Bremy. On jest architektem. Postanowili opuścić silnie bombardowane miasto i przeczekać w leśnym domku przetoczenie się frontu. Bardzo mili ludzie. Ich syn, jak się dowiedziałem, jest w wojsku (może nawet SS) i przebywa w Czechach. Gawędzę z nim do 16-ej. Potem odwiedzałem ich jeszcze nieraz, przynosząc jedzenie, ale za to musieli wysłuchiwać moich długich wstrząsających opowieści o tym jak ich rodacy męczyli w Polsce moich rodaków. Może to było trochę okrutne z mojej strony, ale uważałem już wtedy, że „dobrzy Niemcy” powinni wiedzieć wszystko o hitleryzmie i nie miałem skrupułów. Nie mieli mi chyba tego za złe.

Dziś jednak po pożegnaniu się z Wenholzami idę do

Tarmstedtu. Pełno tam czołgów i przynależnych do nich Anglików. Widać też tu i ówdzie dość zastraszonych Niemców. Spotykam kolegów, wracamy razem do obozu.

#### *Piątek 4.5.*

O 8-ej obejmujemy służbę wartowniczą. Ale o 10.30 mam wolne i zawożę rowerem jedzenie do domku w lesie. Wracam o 12-ej i na dwie godziny obejmuję wartę z bronią, a jakże. Potem długie ślęczenie na wartowni. Od 18-ej do 20-ej znowu warta.

Ogłaszają nam hiobową wieść: bramy obozu zostają na 3 dni zamknięte z powodu podejrzenia tyfusu. To nas przygnębia. Zamknięcie bram ma znaczenie psychologiczne: znowu w niewoli?

Dowiaduję się o nowym zajściu z Hindusami. Jest to nieuniknione z chwilą przyjęcia przez nas roli obrońców niemieckiej cnoty. Mamy tak dobrą opinię, że niektóre Niemki krążą po lesie w pobliżu obozu gotowe dobrowolnie dać to, czego tam nie chciały, i to nie zawsze za materialne korzyści. Może rasizm z ich strony, a może złe maniery azjatyckich kolegów je odstręczały.

Przyjeżdża do obozu mjr hr. Zamoyski i wygłasza do nas przemówienie, dające się streścić w dwóch słowach: czekać cierpliwie! Ale na co, nie mówi.

O 20-ej ze wszystkich stron na niebie wybuchają rakiety: Kapitularcja Rzeszy, koniec wojny. (Okazuje się później, że tylko lokalnie).

#### *Sobota 5.5.*

Kolejne warty od północy do 3-ej nad ranem i od 6-ej do 8.30. pomiędzy nimi też nie mogę spać z powodu jakichś nieziemskich hałasów, więc w dzień odsypiam tę nieszczęsną noc.

#### *Niedziela 6.5.*

8.30 idziemy do dezynfekcji. 10.00 msza św. Widocznie takie zbiorowisko ludzkie potrzebuje oczyszczenia cielesnego i duchowego za jednym zamachem. Po południu jeżdżę na motocyklu. Całkiem przyjemna zabawka. Z Sandburdelu (jak

nazywamy obóz w Sandbostel) przyjeżdżają Pośpiech i Cien-  
ciała oraz płk Batory i opowiadają o tamtejszych stosunkach.  
Mniejsza o szczegóły. W każdym razie lepiej, że nie przebywa-  
my już w tamtejszej brzydocie, lecz w pięknym leśnym  
Westertimke.

### *Poniedziałek 7.5.*

Moje urodziny. Trudno w to uwierzyć, ale mam już 18  
lat. W południe spędzam 3 godziny w leśnym domku u  
Wenholzów. Polubiłem tych ludzi. Wracając znalazłem bu-  
telkę wina na angielskim stanowisku bojowym z niedawnych  
walk. Można powiedzieć – urodzinowy prezent. Wieczorem  
udaję pijanego. O 2-ej nad ranem przychodzi wiadomość o  
ostatecznej kapitulacji Niemiec. A to już najlepszy jaki sobie  
można wyobrazić prezent na moje skończone właśnie uro-  
dziny i zaczynające się...

### *Wtorek 8.5.*

Tak, dziś moje imieniny. Od 8-ej rano do 11.30 po-  
rządkujemy magazyn ubraniowy pozostawiony po naszych  
anglosaskich poprzednikach w tej części obozu, do której  
teraz dopiero mamy dostęp. W południe idę znowu do  
domku leśnego. Potem włączę się po lesie, oddycham jego  
cudownym powietrzem i rozmyślam – o Polsce i bliskich, o  
obecnej sytuacji i o nieznannej przyszłości. Co ma być to bę-  
dzie, ale trzeba pozostać wiernym jej i sobie. Choć lubię moją  
świeżo odzyskaną samotność, dobrze wiedzieć, że jeszcze nie  
jestem sam, ale z kolegami, z którymi „walczyłem i cier-  
piałem”, mówiąc górnolotnie. Jeszcze wciąż stanowimy zwartą  
mokotowską grupę. Ale jak długo jeszcze, zanim świat nie  
porwie nas w swe szpony z tej zaczarowanej wyspy?

## SZALEŃSTWA WOLNOŚCI

Istotnie niektórzy z nas zaczynają wkrótce „urywać się” i  
wędrować na własną rękę: do II Korpusu we Włoszech, do  
Dywizji Maczka w Meppen, do Belgii na studia (ogłoszono  
o stypendiach w Louvain), a także – wracać do Polski.

Większość z nas jeszcze przez co najmniej pół roku pozostaje razem. Co nie znaczy bynajmniej, byśmy ograniczali się do siedzenia w obozie i spacerowania po jego najbliższych okolicach. Przeciwnie, wycieczki „krajoznawcze” zataczają coraz szersze kręgi, obejmując całą strefę brytyjską i amerykańską Niemiec, a nawet sięgając za granicę.

Początkowo nie jest to tak wyraźne. W obozie mamy swoje obowiązki. Już 11 maja, po pierwszej wycieczce w okolicę, jestem od wieczora i przez cały dzień następnym zastępcą podoficera służbowego. Niedługo potem zostaję – któż by to mógł przypuścić – „wachmanem”, pilnującym z bronią jeńców – młodocianych Niemców, nawet nie żołnierzy, zmobilizowanych pod koniec wojny 15-to i 16-to latków, zatrudnionych przy sprzątaniu baraków porzuconych w nieładzie przez jeńców zachodnich, którzy je niedawno opuścili.

Nawiązuję kontakt z tymi niemal rówieśnikami, prawie się zaprzyjaźniam. Uczę ich różnych tricków – jak się udaje pracę, specjalnie się przy tym nie wysilając, co jest polską specjalnością, która Niemców zapewne wprawia w zdumienie. Robię to dla zabawy, bo trudno mi brać poważnie siebie jako wachmana i ich jako jeńców. Są zafascynowani moimi opowieściami o konspiracji i powstaniu. Dość wcześnie staję się Europejczykiem w dzisiejszym sensie tego słowa, widzącym jak wiele młodzi z różnych krajów mają ze sobą wspólnego, ale są wykorzystywani przez swoich dorosłych do celów nie zawsze słusznych. Eberhardt i Zygfyrd, z którymi miałem najlepszy kontakt, zostali zresztą wraz z innymi szybko zwolnieni i pojechali do domów. Kiedy w trakcie swoich wojaży po Niemczech dotarłem do Celle, gdzie jeden z nich mieszkał, zostałem gościnnie przyjęty i zanocowałem nawet u niego. Ale kontakt się nie utrzymał na długą metę. Byłem wszak ptakiem wędrownym.

Już 14 maja odbywam z kilkoma kolegami parodniową podróż do zniszczonej Bremy. Tuż po powrocie stamtąd zegniam się z Wenholzami w leśnym domku, bo wybierają się z powrotem do swego miasta. Dali mi swój adres w Bremie i gdy tam udałem się znowu 31 maja, odwiedziłem ich z kolegą. Na szczęście ich dom nie był zniszczony. Przyjęli nas bardzo mile i zatrzymaliśmy się u nich na dwie noce. Ale i



ten kontakt z czasem się urwał, gdy wydarzenia wojenne odchodziły coraz bardziej w przeszłość.

W czerwcu mają miejsce dwa ważne wydarzenia. 7-go przenoszą nas do innego obozu, w Seedorf koło miasteczka Zeven, zaledwie kilkanaście kilometrów od ulubionego Westertimke, gdzie tak niedawno przyszła po nas wolność w wydaniu walijskim. Tu już nie jesteśmy tak samodzielni. Nie pilnujemy obozu sami, lecz robią to za nas angielscy żołnierze. Robią to dość dyskretnie, ale czasem dochodzi do drażnień. Jesteśmy jednak materialnie uzależnieni od ich dostaw.

W obozie jest nudno, więc natychmiast po przeprowadzce podejmuję swoje turystyczno-krajoznawcze podróże, najpierw z kolegami, potem na własną rękę. 10-go czerwca przybywam do Cuxhaven, wysuniętego w morze u ujścia Łaby portu na trasie do Hamburga. Dwa dni później wynajmuję pokój w Seemannsheimie, czyli domu marynarza. Właściwie go zarekwirowałem, ale żeby mieć dobre stosunki z kierownikiem płacę „komorne” w postaci bodaj paczki papierosów tygodniowo. (Jeszcze są w cenie, jak w obozie, jako zastępcza waluta). Takie to były czasy. Jednakże „zalegalizowałem” też swój status u polskiego oficera łącznikowego, z którym miałem następnie stosunki raz lepsze, raz gorsze. Facet nie mógł mnie „rozgryźć” i na wszelki wypadek, ogólnie rzecz biorąc zostawiał mnie w spokoju.

Mieszkający w Seemannsheimie „matrosy”, żeglarze marynarki handlowej, przyjęli mnie życzliwie. Było wśród nich wielu Polaków, przeważnie z poznańskiego i Pomorza, zupełnie nie zorientowanych w sprawach polskich. Przypuszczałem, że było sporo *Volksdeutsch*' ów, jako że te sprawy widzieliśmy wówczas w sposób uproszczony (nie wiedząc o przymusowym wcielaniu, o tym że Polacy byli w najniższej grupie ludnościowej, mieli tylko obowiązki a żadnych praw itd.). Tym bardziej postanowiłem ich „reedukować” i zaplanowałem dla nich cykl prelekcji o polskim państwie podziemnym i powstaniu warszawskim. Zapisalem o tym w swoim Raptularzu (właśnie wznowionym jako kontynuacja tego, który spalił się w Warszawie i którego nie należy mylić z dziennikiem, prowadzonym stale od wybuchu powstania):

„Dziś miałem pierwszą część referatu o Polsce Podziemnej dla moich marynarzy. Z początku czułem się nieswojo, bo po raz pierwszy przemawiałem przed tak licznym audytorium (było ok. 100 osób), ale prędko się rozkręciłem i poszło jak z płatka. Dzisiaj omówiłem reminiscencje września, działalność rządu i wyczyny naszych wojsk na obczyźnie, władze krajowe i stronnictwa polityczne, szkolnictwo i sądownictwo. Wrażenie było dość duże”.

Niestety na tym wszystko się skończyło. Wtedy uważałem, że wykręty organizatorów spowodowane były machinacjami „moskiewskimi”, bo poruszałem zbyt niebezpieczne tematy. Z dystansu uważam, że mój wykład był nieco ponad głowami tych sympatycznych, ale prostych ludzi. Powinienem być powiedzieć coś od serca o samym powstaniu, a nie zaczynać „od jajka”. (Zachował mi się do dziś konspekt tych wykładów. Jest tam absolutnie wszystko i na jego podstawie mogłym i dziś wystąpić na uniwersytecie. Nie wiem skąd mi się to wzięło, a raczej wiem: byłem od lat absolutnie zaangażowany w to wszystko, co było tematem mojego cyklu).

Ale dlaczego temat był niebezpieczny? I skąd się wzięły machinacje moskiewskie? Czy to obsesja? Może trochę, ale miała pewne podstawy. Mój jedyny wykład miał miejsce 22 lipca, a wcześniej w tym samym miesiącu nastąpiły wydarzenia, które zapoczątkowały walkę o „rząd dusz” nad Polakami na obczyźnie przez dwie orientacje polityczne. Znowu Raptularz:

5.7.45 „Polskie gazety nie będą nam już dostarczane. Dziś ostatnia audycja radia polskiego z Londynu. Tragedia nasza dochodzi do swego punktu kulminacyjnego. Karta atlantycka była tylko nic nie znaczącym świstkiem papieru, a słowa Churchilla były tylko pięknymi słowami. Wojna jest dla nas przegrana i musimy się z tym pogodzić”.

6.7.45 „Anglia uznała rząd warszawski. Dalszy etap naszej tragedii. Nie ma na świecie sprawiedliwości. Rządzi wszystkim siła i interes silnych. Czekamy w powadze na dalszy rozwój wydarzeń, które są dla nas już tylko gwoźdźmi do trumny”.

Nie ulega kwestii, że o ile w obozie jeńców żyliśmy głównie sprawami bytowymi, wiadomościami z frontów i nadzie-

jami na rychłe wyzwolenie, to po nadejściu wolności wszystko się skomplikowało. Z jednej strony docierała do nas „wielka polityka” i absorbowała sprawa przyszłości Polski oraz naszej własnej, z drugiej – młodych kusił świat i jego uroki, co oznaczało też możliwość chwilowej ucieczki właśnie od niepokojących myśli – co będzie dalej. W obozie żyliśmy jeszcze w ramach pewnej dyscypliny. Niedłgie, ale regularne pobyty w Cuxhaven dawały mi szansę samotnej kontemplacji, choć „zasadnicze” zapiski robiłem i tu i tam. W Westertimke napisałem nawet pierwszy od czasu powstania wiersz (jeszcze bardziej grafomańskie *juvenilium* niż jego poprzednik), a to dzięki możliwości samotnych spacerów w lesie po wyzwoleniu.

Myśli o Polsce zaprzętały mój umysł zarówno pod wpływem aktualnych wydarzeń jak i w bardziej ogólnym sensie:

„W czasie dziecinnej dyskusji moich kolegów uświadomiłem sobie całą potworność zniszczenia naszej ojczyzny pod każdym względem i cały ogrom pracy, jaka nas czeka. Przeraza mnie nie tyle ruina materialna, ale moralna przede wszystkim. Inteligencja polska nie istnieje – o to postarali się Niemcy i Bolszewicy. Wielomilionowe rzesze ludności wywiezionej poza granice kraju zdemoralizowane kompletnie... Czy są ludzie, którzy by czuli się na siłach wziąć na swoje barki trud budowy przyszłego państwa? Tu potrzeba ludzi, którzy by budowali Polskę czynami, a nie bukietami pięknych słów. A takich jest mało, bardzo mało”. (Cuxhaven, 23.6.45)

Problemy te starałem się ująć też w innej formie, co sygnalizuje notatka w Ruptularzu: „Skończyłem dziś opowiadanie ‘Zwycięstwo’. Słabiuchne strasznie, ale to przecież od roku moja pierwsza próba”. Ukazany w nim zostaje konflikt między synem, który po powstaniu przebywa na obczyźnie i odrzuca wszelkie kompromisy a ojcem, profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, uważającym, że powinien pracować dla Polski nawet pod nowym, narzuconym reżymem (bohater może i przypomina mnie, ale profesor nie ma z moim Ojcem nic wspólnego). W tej istotnie słabej, a całkiem obszernej noweli coś jednak musiało być, bo jeszcze po latach, w 1954 r., uzyskała nagrodę na konkursie młodych

talentów, urządzonym w Londynie przez Zw. Pisarzy Polskich na Obczyźnie, po czym wydrukowało ją wychodzące w Niemczech pismo *Ostatnie Wiadomości*.

Raptularz z r. 1945 kwituje zjadliwymi i pryncypialnymi komentarzami cyniczne i ponure wydarzenia, rozgrywające się na politycznej scenie, jak proces 16 przywódców Polski Podziemnej w Moskwie i toczące się tam rozmowy w sprawie utworzenia Rządu Jedności Narodowej z udziałem niektórych członków rządu londyńskiego.

„Dziwię się naszym przywódcom politycznym, że wydali się nieopatrznie sami w ręce wroga. Dziwię się też panom, którzy teraz konferują w Moskwie z tymi, którzy na polskie propozycje pojednawcze odpowiadali Katyniem, celowym dopuszczeniem do klęski powstania warszawskiego, wymordowaniem i deportacją milionów ludzi i w końcu podstępny uwięzieniem czołowych polskich osobistości. Rozmowy toczą się jednocześnie z ohydną komedią procesu. Straszne, że imię Polski narażać trzeba na takie upokorzenia. Bo upokorzeniem nie jest cała komedia lubelskiej Polski panów Bieruta, Osóbki i Żymierskiego, która może ubliżyć jedynie inspiratorom i wykonawcom; ale upokorzeniem jest konferencja moskiewska, jak w zeszłym roku upokorzeniem był wyjazd do Moskwy Mikołajczyka, kiedy krwawiła konająca stolica”. (Seedorf, 20.6.) Teraz zaś „Mikołajczyk i Stańczyk wraz z p. Kołodziejem i ściągniętymi przez bolszewików konfidentami i schorowanymi starcami mają być przedstawicielami narodu i tworzyć „rząd jedności narodowej” – na co czeka skwapliwie Anglia i Ameryka, które uznałyby go. Sprytna gra Rosji, jaką niewątpliwie jest łagodny wymiar kary dla 16 „dywersantów” wskazuje, że „przedstawiciele narodu” dojdą do porozumienia i stworzą ów rząd. Będzie to ukoronowaniem łotrowskiej polityki bolszewickiej, a zarazem gwoździem do trumny dla niepodległości Polski na najbliższe lata”. (Cuxhaven, 21.6.45)

Trudno było, w sytuacji takiej jak nasza, nie być krytycznym wobec polityki mocarstw zachodnich. Szły one na ustępstwa wobec Rosji, bo nie uśmiechała im się trzecia wojna światowa. Pewnie miały rację w tej akurat kwestii. Wojny nie zaakceptowałyby ich własne społeczeństwa. Żołnierze alianccy, których spotykałem, marzyli tylko

o jednym: by jak najprędzej iść do cywila. Ale mocarstwa mogły zrobić więcej, nawet jeśli w sprawie zasadniczej – podziału sfer wpływów – miały związane ręce postanowieniami nieszczęsnej umowy jałtańskiej, zawieranej przez umierającego prezydenta i bezsilnego premiera z kutym na cztery łapy bandytą. Rosja mogła teraz bezkarnie realizować swoje plany. Naiwne wysiłki niektórych polskich polityków też oceniałem ujemnie. Radio przynosiło wciąż złe wiadomości (o niektórych już wspomniałem): o wycofaniu uznania dla rządu londyńskiego, likwidacji polskiego radia w Londynie (choć przecież było to logiczne następstwo poprzedniego wydarzenia). Zaś radio Moskwa w swych polskich audycjach nazywało akowców, czyli nas, polskimi hitlerowcami.

Trudno więc się dziwić, że spotkanego w kantine w Cuxhaven na dzień przed moim wykładem dla marynarzy osobnika w angielskim mundurze, mówiącego po polsku (z akcentem), który psioczył niewybrednie na rząd polski w Londynie, nazywając jego członków faszystami, a zarazem przekonując mnie o konieczności powrotu do Polski, uważałem za „bolszewicko-lubelskiego” agenta i być może jego „machinacjom” przypisywałem wstrzymanie moich prelekcji.

Wyjaśniwszy zatem obszernie tę sprawę, muszę jednak stwierdzić, że katastrofalne decyzje i wydarzenia na arenie wielkiej polityki nie mają bezpośredniego wpływu na życie młodego byłego jeńca. Mam więc w Cuxhaven wakacyjny dom z widokiem na morze – na całe trzy i pół miesiąca. Kąpię się i opalam, poluję – bez powodzenia – na amerykańskie statki z zamiarem podróży do Stanów. Raz już nawet miałem obietnicę zabrania mnie przez statek obsadzony załogą murzyńską, ale gdy na drugi dzień zjawiłem się w porcie – statek zniknął). Przyjeżdżają też do mnie grupkami kolidy z obozu, których z dumą podejmuję w swoich włościach i przyjmuję na nocleg. Chyba po raz pierwszy, a i zapewne ostatni, zaimponowałem im swoją przedsiębiorczością.

Pod koniec lipca mam też inne ciekawe przeżycie: „Na redzie portu w Cuxhaven stoi od wczoraj kontrtorpedowiec ORP „Krkowiak”. Śliczny okręt. Bardzo byłem wzruszony, gdy po raz pierwszy od r. 1939 ujrzałem polski okręt i polską banderę. Byłem na nim – tu, w niemieckim porcie – po raz

pierwszy w życiu na pokładzie okrętu wojennego. Jadłem podwieczorek i rozmawiałem z gościnnymi marynarzami. Przeważnie chłopcy z poznańskiego i Pomorza, w bardzo dobrym nastroju. Sprawili na mnie pierwszorzędną wrażenie, a cała wycieczka na okręt była dla mnie wielkim i radosnym przeżyciem”. (Cuxhaven, 25.7.45)

Jednak w chwilach odprężenia nad morzem trudno nie myśleć o tym, co dalej będzie. Oto jeszcze jeden zapis, charakterystyczny zarówno dla moich ówczesnych nastrojów, jak i wpływów literackich, jakim wówczas ulegałem (Młoda Polska nisko się kłania!):

„Siedzę w swym pokoju w Cuxhaven i patrzę w dal na morze. Cudny widok. Słońce zaszło już dawno, noc nadchodzi. Morze ciche, zastygłe w bezruchu ma teraz idealną barwę szmaragdu i kontrastuje z czarnym zarysem oddalonego brzegu, na którym raz po raz migają świetliki morskich latarni. Nad wszystkim rozpostarty ciemny, ciężki fiolet chmur. Patrzę w nieznaną dal i zdaję sobie sprawę z tego, że to symbol mojej przyszłości. Kto wie, co kryje się za straszliwie tajemniczą taflą wód na czarnym drugim brzegu. Tam przyszłość moja tułacza, brzemienne błyskawicami, które mnie osłepić, grzmotami, które mnie ogłuszyć i piorunami, które mnie zdruzgotać mogą”. (Cuxhaven, 25.7.45) (Mój dopisek teraz: Ufff!)

Cuxhaven leżało w sferze brytyjskiej, obejmującej, jak wiadomo całe północne Niemcy, ale stosunkowo niedaleko znajdowała się enklawa amerykańska z portem Bremerhaven u ujścia Wezery gdzie dokonuje się przeładunek statków z zaopatrzeniem dla strefy amerykańskiej. Jeżdżę tam do kina, a w czasie jednej z takich wizyt, 2 września poznaję trzech żołnierzy amerykańskich, którzy po służbie frontowej teraz są artystami czołówki teatralnej. Z Amerykanami stykałem się już przedtem. Wydawali mi się hałaśliwi, płytcy, zupełnie nieciekawi; zaś z tymi, którzy byli pochodzenia polskiego w ogóle nie miałem wspólnego języka, nawet jeśli umieli mówić po polsku, co też nie było częste. Ci są inni. Nazywają się: Frank Engdahl, John Breon i Frank Galuccio. Starsi zaledwie parę lat ode mnie, oczarowali mnie swą inteligencją, kulturą i oczytaniem. Z setek przygodnych spotkań na autosto-

powych trasach, to jedno okazało się brzemiennie w skutkach.

Już pierwszego wieczoru byłem na świetnym przedstawieniu rewiowym, opracowanym przez moich nowych znajomych, którzy też brali w nim udział, a potem na spektaklu sztuki Thorntona Wildera „Nasze miasto”, danym przez zawodowy zespół z Broadwayu. Był to początek moich zainteresowań teatrem i kulturą amerykańską. Wielokrotnie na przestrzeni następnego roku odwiedzałem najpierw całą trójkę, potem obu Franków, gdyż John został odkomenderowany na studia do Paryża, gdzie współpracował (sekretarował?) z wybitną amerykańską pisarką tam mieszkającą, Gertrude Stein. Rozmawiamy bez przerwy o wszystkich rzeczach pod słońcem, a moje dotychczasowe polonocentryczne perspektywy powiększyły się o zachodnie i transatlantyckie.

Dwie przyjaźnie utrzymały się. Korespondowaliśmy przez dziesięciolecia. Johna Breona odwiedzałem w Paryżu zarówno w jego pierwszym jak i drugim okresie (gdy pracował w ambasadzie amerykańskiej), a potem kilkakrotnie w Stanach. Ostatni raz byłem u niego z rodziną, niedługo przed jego śmiercią. John wydał powieść, do której moja osoba trafiła po imieniu i prawie z nazwiska, ale kariera pisarska mu się nie udała i pracował w wydawnictwie, dopóki zdrowie, nadwątlone niestety alkoholem, mu pozwoliło. Frank Engdahl przepracował wiele lat w szkolnictwie i edukacyjnym radiu w rodzinnym Minneapolis, gdzie go kilkakrotnie odwiedzałem w latach 70-tych i 80-tych, a on z żoną i jego dziećmi – nas w Londynie. Moja rodzina też u Endahlów była, zaś moja córka Ania odwiedziła ich na Florydzie nie dalej jak parę lat temu. Korespondujemy do dziś.

Wynajęcie pokoju w Cuxhaven nie oznaczało bynajmniej, że „przeciąłem pępowinę” z obozem, czy też zaprzestałem moich podróży. Do jesieni 1945 prowadziłem dziwnie włóczęgowski tryb życia, polegający na nieustannych wędrówkach autostopem, przerywanych regularnym „wpadaniem” do obozu, żeby się zorientować w sytuacji i pobrać, co mi się należało oraz do Cuxhaven, żeby odpocząć i „utwierdzić prawa terytorialne” w Seemannsheimie. W trakcie tych podróży zwiedziłem wszystkie chyba ciekawsze miasta w brytyjskiej

i amerykańskiej strefie Niemiec, podziwiając te, które się zachowały w swym historycznym kształcie, żałując zniszczonych, choć zawsze czyniąc nieuniknione porównania z Warszawą, którą na przykład Hamburg chyba jednak pobił, ze swym krajobrazem dziesiątków kilometrów gruzów wzdłuż i wszerz.

Poza turystyką podróże miały jeszcze inny cel: kino. Dla młodych ludzi spragnionych oglądania filmów od sześciu lat (bo w czasie wojny obowiązywała zasada „tylko świnie siedzą w kinie”, jako że część wpływów kasowych szła na Wehrmacht, a parę niemieckich szmir w obozie jeńców się nie liczy) była to atrakcja nie do pobicia. Zaś gęsta sieć wojskowych kin, z których były jeniec w mundurze mógł, podobnie jak ze stołówek, korzystać bez ograniczeń, była pokusą nieodpartą. Jeździliśmy z kolegami, gdzie się tylko dało i oglądaliśmy wszystko: musicale, thrillery, filmy historyczne i kostiumowe, westerny, dramaty i komedie. Z pewnością nadrobiliśmy stracone lata. Filmy, które nam się szczególnie podobały, oglądaliśmy po kilka razy, dosłownie jeżdżąc za nimi po kraju. Rychło zorientowaliśmy się, po jakich trasach wędrują i gdzie ich szukać. Potrafiliśmy jechać kilkaset kilometrów, żeby obejrzeć film i wrócić późną nocą do obozu.

Podróże były łatwe, bo po całych Niemczech jeździły wciąż tysiące wojskowych samochodów, ciężarówek i motocykli, a ich kierowcy, bez względu na przynależność narodową, zawsze nas brali, gdy tylko mogli. Czasem zdarzał się i zmotoryzowany cywil, choć w tym okresie niemieckich samochodów było na drogach bardzo mało. Zdarzały się wprawdzie puste drogi i pory, gdy nie było ruchu. Trzeba było wówczas nawet dwudziestokilometrowe odcinki przejść pieszo i to nieraz przemokniętym do nitki. Brało się jednak te niewygody z dobrodziejstwem inwentarza. Młodość, młodość wszystko zniosła...

Tam, gdzie w grę wchodziło nocowanie, jak w dłuższych podróżach już nie tylko filmowych, zawsze można było liczyć na wojskowe koszary, choć czasem był to i polski – cywilny lub wojskowy obóz. Pamiętam jak koło Hanoweru gościnnie przyjęli mnie polscy żołnierze z Brygady Spadochronowej



gen. Sosabowskiego, to znaczy resztki pozostałe po kolosalnych stratach poniesionych w niefortunnym desancie pod Arnhem. Stacjonowali tu jako garnizon okupacyjny. W przeciwieństwie do pulsującej życiem, nadaktywnej Dywizji Pancernej, otoczonej wianuszkami polskich obozów, spadochroniarze są spokojni i smutni, odnoszę wrażenie jak gdyby wciąż przeżywali to, co się stało.

„Nieporozumienia” z żandarmerią zdarzały się rzadko. Na przykład nie chciano mnie przepuścić przez most do Wilhelmshaven, które chciałem koniecznie zobaczyć, bo zdobyła je polska Dywizja Pancerna. Gdy mnie cofnięto, przejechałem most, ukryty w ciężarówce życzliwego wojskowego kierowcy, który nie lubił „kanarków”. Przybyłem tam o 21-ej, pytam o polski obóz, okazuje się, że nie ma żadnego, ani też wojska, choć polska flaga powiewa wciąż na ratuszu. Wstępuję więc do koszar brytyjskiego pułku Northumberland, gdzie zostaję wspianiale przyjęty, otrzymuję komfortowy nocleg i angielskie śniadanie.

Innym razem, gdy wróciłem do Seedorfu z wyprawy kinowej po „godzinie policyjnej”, którą w pewnym okresie ustanowili Anglicy, żandarmi zamknęli mnie w areszcie, gdzie miałem pozostać do rana. Tak długo się awanturowałem i łomotałem w drzwi, że wypuścili mnie w końcu, w obawie, bym nie rozwalił tego pomieszczenia, niezbędnego do trzymania poważniejszych ode mnie przestępców.

W późniejszym okresie, gdy szedłem z kuzynem ulicą w Monachium, zatrzymał się łazik z żandarmami; momentalnie mnie zwinęli i zawieźli na komendanturę. Przesłuchujący mnie oficer wyjaśnił, że byli jeńcy nie mają prawa nosić mundurów w kolorze khaki, a przefarbowane na czarno. Takie zarządzenie wydali Amerykanie w swojej strefie. Odpowiedziałem, że jestem ze strefy brytyjskiej, gdzie mamy prawo chodzić w mundurach wojskowych. Oficer speszył się i zwolnił mnie natychmiast, nakazując żandarmom, by odwieźli mnie tam, gdzie sobie życzą.

Ale opisawszy te incydenty stwierdzić muszę, że we wszystkich strefach (bo zaglądałem i do francuskiej) na ogół żandarmi byli bardzo pomocni, czasem sami zatrzymywali samochody, polecając kierowcom by mnie zabrali, a nawet

kilkakrotnie udzielili mi noclegu w swoich koszarach.

W sumie o okresie tym powiedzieć mogę: „żyć nie umierać”, co właśnie po nastaniu pokoju przystoi. Ale w gruncie rzeczy te gorączkowe wojaże i filmy, to czysty eskapizm. *Carpe diem*, żyć obecną chwilą, nie myśleć o przyszłości. A ona gdzieś tam się czai i czeka, choć może mniej spektakularnie niż w wizji, jaką nakreśliłem górno-chmurno w Cuxhaven na łamach Raptularza.

Na razie jednak wracamy w przeszłość. W obozie w Seedorf świętujemy pierwszą rocznicę wybuchu powstania. Świętujemy wspaniale i na wiele różnych sposobów. Już od kilku dni odbywają się próby defilady, kulminując próbą generalną. 31-go lipca, jak zapisałem w dzienniku: „wieczorem capstrzyk i apel poległych. Czytano długie szeregi nazwisk tych, co rok temu odeszli na zawsze, składając ojczyźnie największą ofiarę – ze swego życia”.

1-go sierpnia o 9.30 zbiórka, o 10-ej msza polowa, o 11-ej defilada przed delegatem dowódcy pierwszej dywizji gen. Rudnickiego, którym jest podpułkownik, dowódca 2 pułku dragonów. Maszerujemy jak cholera. O 13-ej obiad żołnierski. O 15-ej mecz piłki nożnej Polska-Anglia, czyli byli jeńcy przeciw żołnierzom brytyjskim. Polacy wygrali 3:1, co graniczyło z cudem, bo poprzedni mecz przed dwoma tygodniami wygrali Anglicy, kompromitującym dla nas stosunkiem bramek 12:0. Najwyraźniej od tego czasu polska drużyna trenowała na potęgę przed rocznicowym meczem, a Anglicy mieli inne obowiązki i zaprezentowali swą normalną, nie „świętęcną” formę.

Nie koniec na tym. O 17.30 odbyła się akademie w sali kinowej. Akademia to słabe określenie. Nieuniknione przemówienia tym razem nie były pustostowiem, ale raczej słowem wstępnym po polsku i po angielsku, w którym dość wyczerpująco omówiono dzieje Polski Podziemnej i Powstania. Słowem wstępnym do czego? A no właśnie, do świetnego spektaklu, który przez serię żywych obrazów odtworzył różne aspekty podziemnej konspiracji i samego powstania. Kolejne sceny to: drukarnie, łącznicy, rozbrojenie Niemca, wyrok na konfidentce, wykład wojskowy w sekcji, partyzanci w kościele. Potem nastąpiła recytacja o odbiciu „milionów”

złoty, zadeklamowano Lechonia „Pieśń o Warszawie”, pianista odegrał etiudę rewolucyjną, chór odśpiewał Marsz Mokotowa i hymn Śródmieścia. Wreszcie – dwie sceny pt. „Starówka”, przedstawiające walkę i pochód po kapitulacji, które stanowiły *clou* akademii. Uroczystość zakończył hymn państwowy i Warszawianka.

Wieczorem – wspólna kolacja, jedna z ostatnich przed serią wielkich rozjazdów. Po zapadnięciu zmroku rozszalała się znowu wojna, przynajmniej w warstwie *audio*. Ni mniej ni więcej była to godzinna kanonada z wszelkiego rodzaju broni – karabinów, broni maszynowej, granatów – broni, której oficjalnie nie wolno nam było posiadać. Grożą za to bardzo surowe kary. Tego wieczoru Anglicy, którzy byli dopiero co naszymi gośćmi, są bezradni i nawet nie starają się niczego szukać w ciemnościach. Ale następnego dnia zaczęły się nieprzyjemności, w końcu ogłoszono „amnestię” i broń trzeba było zdać. Podejrzewam, że trzymano ją nie z istotnej potrzeby, ale jako, żeby tak powiedzieć, rekwizyt teatralny, właśnie na tę rocznicę.

Po tym wszystkim „zabawiamy się” przez całą noc. Oto co zapisałem wówczas w Raptularzu na gorąco: „Przez radio słuchaliśmy polskich audycji BBC z Nowego Jorku i Londynu. Jak rok temu, tak i teraz rozczulano się nad naszym bohaterstwem, bajdurzono o niepodległej Polsce, gdy w praktyce nie daje się nam nic. To też smutek serca nasze ogarnia”. A do tego trzeba dodać „chocholą muzykę nadawaną przez rozgłośnię w Warszawie. Jeden za drugim brzmiały kujawiaki, mazury, oberki, pieśni wojskowe, stare zapomniane tanga i melodie, a nade wszystko woldenberski produkt – Walczyk o Warszawie”. Ma to nas pocieszyć czy rozłożyć? Podejmujemy własne działania. Gram na fortepianie, wszyscy śpiewamy powstańcze pieśni. Idziemy spać około 7-ej rano.

Chociaż amunicję wystrzelano i broń zdano, po dwóch tygodniach mamy znów – już chyba ostatnie na dużą skalę – uroczystości: 15 sierpnia – Święto Matki Boskiej i Święto Żołnierza Polskiego. Przed południem odprawiono mszę, po południu odbyła się dwu i pół godzinna akademie. Tak więc my Polacy, wciąż zapatrzeni w siebie i swoje religijno-patriotyczne święta. A przecież tego dnia wydarzyło się coś

ważniejszego, co jednak zauważyłem. Pod tą datą znalazł się w Raptularzu zapis, zapewne młodzieńczo-idealistyczny, ale jednak:

„Japonia skapitulowała. – Po kilkudniowych targach i wahaniach jest to dziś już fakt. Wierzyć się prawie nie chce, że na całym świecie jest pokój, że nigdzie się już nie biją. – Nie wiadomo, co więcej podziwiać, czy tajemniczą siłę atomu, która rozbija mocarstwa, czy wielkość narodu, którego jedynym odruchem na wieść o klęsce jest błaganie cesarza, by przebaczył mu, że wysiłki jego nie były dość wielkie. Jakże nierównie wyżej stoją Japończycy od Niemców, mimo że tamci bili się prawie do ostatka, a ci kapitulują. – Jest pokój, ale nie wiadomo, czy długo potrwa – a przyszła wojna będzie straszna”.

W trakcie rozjazdów kilkakrotnie jeżdżę na tereny w pobliżu granicy holenderskiej, znajdujące się we władaniu 1-ej Dywizji Pancerniej. Stolicą jest miasteczko Meppen, kraniec to miasteczko Lingen, kilkanaście kilometrów na południe. Jest też kilka polskich obozów, w tym miasteczko Maczków, Niederlangen i może najbardziej znany – kobiecy obóz wojskowy dla „akaczek”, jak je nazywaliśmy, w Oberlangen. W trakcie kolejnych wizyt koledzy tam właśnie zaczynają znikać. Oglądam niezłe widowisko Lotniczej Czołówki Teatralnej „Hejnał krakowski” i inny teatr polski, a w nim bodaj sztukę Jerzego Niemojewskiego. Odwiedzam „Jagiełłę”, który dostał się do dywizji, a po jakimś czasie został wysłany na studia do Oxfordu, oraz przyjaciela moich rodziców, dowódcę pułku, później artylerii dywizyjnej, płk. Marescha i nocuję u jego syna Jurka, też od niedawna żołnierza (trzech synów pułkownika było w obozach koncentracyjnych). Płk Maresch robi mi nadzieje na dostanie się do dywizji, ale jakoś nic z tego nie wyszło, zresztą może niezbyt energicznie się starałem.

Nastroje moje w tym polskim mini-państwie zmieniały się. Żołnierze dywizji raz mi się podobali, innym razem wydawali się zbyt wyniośli, uważający akowców za natrętów. Z czasem zrozumiałem, że wzajemne nieporozumienia brały się z obustronnej drażliwości. Przy lepszym poznaniu nieufność zniknęła. Nie upłynęło wiele czasu i opinia moja

o żołnierzach dywizji była jak najlepsza. Byli pod każdym względem na poziomie i prezentowali się lepiej od Anglików, z którymi na codzień miałem do czynienia. Byli też uczynni i widziałem ile dobrego robią dla polskiej ludności, która ich chmarami obsiadła.

Maczków mnie zafascynował od strony zewnętrznej: „Polskie miasto w Niemczech. Kiedy ujrzałem dziesiątki domów z polskimi flagami, polskie nazwy ulic, polski magistrat, ogłoszenia, sklepy – dałem się uwieść złudzeniu, iż jestem w Polsce. O, żeby kiedyś, gdy przyjdzie dzień wolności, ten Maczków mógł być w całości przeniesiony do Polski i przekazywany w pokolenia jako mauzoleum niespożytej siły polskiego ludu”. (30.6.45)

Zapis iście wzruszający, ale nie taję, że zbiorowisko polskich cywilów, czy wojskowych kobiet *en masse* pod skrzydłami dywizji, jakoś mi jednak nie odpowiadało. Zawsze wolałem w końcu wracać do siebie.

To znaczy do siebie w Cuxhaven czy w Seedorfie. Ale na początku września, dosłownie na drugi dzień po poznaniu amerykańskich „trzech muszkieterów”, gdy wróciłem do Cuxhaven, przyjechało do mnie paru kolegów, którzy powiedzieli mi, iż nasz drugi batalion przeniesiony został z Seedorfu do Stade. Moje rzeczy przewieziono bez mojego udziału, tak więc zostałem przeprowadzony *in absentia* do nowego obozu. Miasto już znałem, byłem w nim kilkakrotnie. Bodaj najstarsze w północnych Niemczech, bardzo ładne. Ale obóz, w którym znalazłem się dwa dni później, nie podobał mi się. Zaraz po zapoznaniu się z nim zrobiłem w Raptularzu notatkę, która rzuca światło nie tylko na to, ale jeszcze na inną sprawę:

„Nowy nasz obóz jest straszny. Barak położony jest u stóp zalesionej góry, przez co stale jest ciemno. Barak brudny, bo nie przeprowadzono dezynfekcji po bolszewikach. Straszliwie jest ciasno. – Pod jednym względem jest lepiej i nie żałujemy: uwolnieni jesteśmy od szykan, rewizji i obław angielskich. Jesteśmy sami!” (Stade, 6.9.45)

Patrząc na to z dystansu myślę, że byliśmy zanadto anarchiczni i drażliwi, chcieliśmy mieć absolutną swobodę, a Anglicy starali się utrzymać jakiś porządek i mieli z nami

krzyż pański. Jak by nie było, po przenocowaniu w Stade „prysnąłem” do Cuxhaven, gdzie zresztą miałem zaczęte leczenie u dentystki. Nie znaczy to, bym się z obozu w Stade wyprowadził, skądże znowu, ale podjąłem swoje podróże ze zdwojoną energią.

Na początku października zaliczyłem m.in. Stuttgart, Ulm, Augsburg i Monachium, wpadłem do Meppen, po czym odbyłem dwutygodniową podróż do Belgii i Paryża. Jak dość kwiecicie stwierdza mój Raptularz:

„Zobaczyłem trzy perły Europy: Brukselę, Paryż i Antwerpię. Przekonałem się jaką „zakazaną dziurą” są dzisiaj Niemcy. W przeciwieństwie do zniszczonych, opustoszałych szkieletów domów i rzucającej się na każdym kroku w oczy nędzy, zobaczyłem wielkie, piękne, tętniące życiem miasta”. (Stade, 9.10.45)

Zwłaszcza Paryż, widziany po raz pierwszy, mnie oszołomił. Sądząc z zapisków, zwiedziłem dokładnie wszystkie najważniejsze obiekty turystyczne z Luvrem i Moną Lizą włącznie. Natomiast w Brukseli widziałem po raz pierwszy Winstona Churchilla, który właśnie odwiedzał uwielbiającą go Belgię. Na drugi dzień widziałem go ponownie w Antwerpii. Nie był już premierem, tylko bohaterem skończonej wojny. Nie mogłem jeszcze przewidzieć, że już za kilka lat będę go widywał jako kanclerza mojego uniwersytetu w angielskim mieście Bristol i znowu premiera. Zarówno w Brukseli jak i w Paryżu wynajmuję pokoje w hotelach. To też dla mnie *novum*.

Jesień; rok mija od mojego wyjazdu, a raczej od wywiezienia mnie z Polski. Trudno się opędzić od refleksji, także i tych zasadniczych. Wyraziłem je w Raptularzu; naiwne, to fakt, ale niektóre uwagi nawet dziś, po 50 latach są dla mnie aktualne:

„Rok już trwający pobyt za granicą wywołał we mnie większe przemiany niż by się wydawało. Pomijam tu sam pobyt w niewoli, który z jednej strony miał kolosalne znaczenie wychowawcze, a z drugiej – fatalne skutki ujemne, jeśli chodzi o mój zasób wiadomości umysłowych. – Wyrwany z rodzimego gruntu polskiego, gdzie wszystko – do najdrobniejszego szczegółu – było swoje – znalazłem się

wśród obcych, gdzie wszystko jest obce. – Zetknąłem się z ludźmi wielu narodów – rozszerzyłem swe horyzonty, pozbyłem się zaściankowego szowinizmu, stanęło przede mną wiele problemów pierwszorzędnej wagi. – Byłem entuzjastą. Przed wojną byłem zadufany w mocarstwowych mrzonkach, jakimi karmieni byliśmy dla podtrzymania ducha i dlatego też klęska 1939 r. była dla mnie wielkim wstrząsem. Potem pracowałem w konspiracji i przez cały okres okupacji byłem przekonany, że Niemcy tylko formalnie i powierzchownie panują nad Polską, której faktycznymi władcami jesteśmy my. Dlatego drugim wielkim wstrząsem był dla mnie upadek powstania Warszawy, która była sercem Polski.

Pięć lat karmiono nas myślą o rozrachunku z Niemcami i w rezultacie ponieśliśmy drugą straszliwą klęskę. – Potem czekałem na sprawiedliwość, jaka przyjść miała w wyniku wygranej wojny. Tymczasem dostaliśmy łaskawie bolszewicką okupację i rządy, zaakceptowane na domiar przez Anglię i Amerykę. Trzecia klęska. – Jestem teraz za granicą i nikt specjalnie w Polskę wierzyć mi nie każe i nic tej wiary nie podtrzymuje. Ale ja w tę Polskę wierzę i wierzę w to, że tę Polskę wygram, chociaż nie jestem entuzjastą, poznałem i szanuję innych. – Przyznać muszę tylko, że jestem bliski utraty wiary w Polaka – w człowieka. Ludzie Polski nie odpowiadają mi i nie sprostają wielkiemu zadaniu jej wywalczenia i odbudowy. Trzeba wychować nowe pokolenia, a kto je wychowa? – Dylemat. Wiele tych dylematów jeszcze jest”. (Stade, 23.10.45)

Te słowa napisałem, gdy listopad już siadał na karku. Jeszcze jeździłem do Cuxhaven (moja przystań), do Meppen (Polacy), do Bremerhaven (moi Amerykanie) i do Hamburga (na filmy). Ale podjąłem już decyzję, że ten wypoczynkowo-rozrywkowy tryb życia, po sześciu miesiącach od wyzwolenia trzeba zmienić. Już wcześniej zapisałem w Raptularzu:

„Jedną z największych moich dolegliwości, obok trudności skupienia się na pracy umysłowej, jest duch włóczęgowski, który nie pozwala mi usiedzieć na miejscu. Ledwo trzy dni posiedziałem w Cuxhaven, już z detalami opracowana jest wycieczka do Kassel, Frankfurtu i Kolonii, którą jak dobrze pójdzie – przedsięwzięmę za półtora tygodnia. Przeklęty duch

trampa – a nazywa się to pięknie: jedyną okazją wykorzystania czasu przez zwiedzanie Niemiec. Może jeszcze pod hasłem „poznaj swój kraj?!” (Cuxhaven, 21.9.45)

Ośmiodniową podróż, o której mowa rzeczywiście odbyłem. Ale poczucie traconego czasu nękało mnie. 29-go listopada jeszcze byłem w Stade na ostatniej obozowej fecie, tym razem z okazji rocznicy wybuchu powstania listopadowego. Przebiegała ona zgodnie z ustaloną już „tradycją” i jeśli o mnie chodzi, do pewnego momentu „normalnie”: o 10-ej msza, o 11-ej defilada, o 11.30 akademія, o 14.30 mecz piłki nożnej z Anglikami (wynik 2:2). Ale już o 16-ej wyjeżdżam do Hamburga (dwie ciężarówkami), nocuję w związku Polaków i 30-go o 8-ej rano wyruszam do Lubeki (3 ciężarówki). Tegoż dnia odnotowuję w Raptularzu znamienny fakt:

„Byłem dziś w Lubece i zapisałem się do liceum humanistycznego. Wezmę odkomenderowanie z obozu i jadę. Po półtorarocznej przerwie wracam znowu na ławę szkolną. Zobaczmy, co z tego wyniknie...” (Stade)

## DO SZKOŁY I DALEJ

Wynikło wiele. Lubeka nie była mi miastem nieznanym, i niezależnie od pragnienia powrotu na ławę szkolną, ciągnęło mnie być może do samego miasta. Byłem tam po raz pierwszy w lipcu. To piękne gotyckie miasto, przypominające mi trochę rodzinny Toruń, a jeszcze bardziej Kraków, niestety nie wyszło z wojny bez szwanku. Historyczne centrum było bardzo zniszczone, bo choć Lubeka była portem przeładunkowym Czerwonego Krzyża i dość długo się ostała, w końcu jednak złośliwie i bezsensownie (nawet jeśli hitlerowcy nie w stu procentach utrzymali jej neutralny status, czego nie wiem) ją zbombardowano. Jednak na szczęście nie były to zniszczenia gruntowne. Przebywało tam w miejskich obozach sporo Polaków, zarówno cywilów jak i uwolnionych z oflagów oficerów. W trakcie pierwszej wizyty w tym mieście zanotowałem w Raptularzu swoje wrażenia:

„Hanzeatyczna Lubeka jest ślicznym miastem. Ogromnie



przypomina mi Kraków. W pewnej chwili miałem zupełnie wrażenie, że stoję na placu Dominikańskim i widzę z jednej strony wąski korytarz ulicy Grodzkiej, a z drugiej kwadrat rynku. – Jest tutaj trochę inteligencji polskiej, przeważnie z obozów koncentracyjnych oraz są też oficerowie. W kawiarni polskiej bardzo miły nastrój, związek Polaków funkcjonuje bez zarzutu. Jestem zbudowany”. (Lubeka, 12.7.45)

„Widok tyłu oficerów naszych wzruszył mnie. Dużo wycierpieli ci ludzie przez sześć lat niewoli i są nadzwyczaj wynędzniali. Niewątpliwie Polsce jeszcze się przydadzą, choć niewola wybiła na nich piętno”. (Rehhorst k. Lubeki, 13.7.45)

Przydali się przede wszystkim mnie i moim kolegom, bo z nich w dużej mierze rekrutowali się nauczyciele mojej nowej szkoły. Polskie Gimnazjum i Liceum w Lubece znajdowało się przy ulicy Steinraderweg w budynku mieszczącym przedtem, a z pewnością i potem, gdy nas już nie było, szkołę niemiecką. Budynek ten znajduje się tuż obok dworca kolejowego. Z okien mogliśmy oglądać w następnych miesiącach liczne transporty Niemców wysiedlanych z Polski, w warunkach niewiele lepszych od tych, w jakich nas wieziono.

Widok ten nie napawał mnie radością, choć w czasie wojny i ja musiałem przymusowo opuścić ojczyste strony, a Niemcy wyrządzili mi wiele krzywd. Myślę, że zanim przejdę do relacji z nowej fazy moich losów, w jaką wkroczyłem w Lubece, czas najwyższy „uporać się z kwestią niemiecką”, tak jak ją widziałem wtedy i w pewnym sensie nawet dziś. Ostatecznie, pod okupacją niemiecką w Polsce przeżyłem pięć lat, a następne dwa spędziłem w samych Niemczech.

Już w pierwszym wpisie do odnowionego Raptularza usiłowałem określić swój pogląd na „niemiecką winę” w sposób zapewne „młodzieńczy”, ale czy przez to mniej prawdziwy? Chyba nie:

„Najtrudniejszą z cnót ewangelicznych jest miłość nieprzyjaciół. ‘Miłujcie nieprzyjaciół waszych, dobrze czyńcie tym, którzy was nienawidzą’. Zagadnienie to jest teraz niezmiernie aktualne dla nas. Mój stosunek do Niemców sprecyzowałem sobie dość dokładnie i według tych zasad

postępuję. Niemcy są naszym wrogiem, który wyrządził nam wiele krzywd i zbrodni. O tym dobrze wiem. Zbrodniarzy wojennych należy ukarać z całą surowością i bezwzględnością; oni też nie znali litości, kiedy mordowali miliony swoich ofiar. Jednakże oprócz kilku dziesiątków tysięcy tych nikczemników pozostają milionowe masy narodu, który trudno winić o to, że pracował dla zwycięstwa swej ojczyzny, a zatem całą winą jego jest to, że bez cienia sprzeciwu tolerował na sobie reżim hitlerowski, o ile go nawet nie pochwalał. Jeśli naród niemiecki jako całość nie brał udziału w bestialstwach niemieckich bezpośrednio, to był niejako pośrednim sprawcą przez dopuszczanie do nich – dlatego też nie odpowiada bezpośrednio przed trybunałem, ale pośrednio przez zniszczenie kraju i zaznanie na sobie – po raz pierwszy od 140 lat – ciężaru okupacji.

Ręka hitlerowskiego oprawcy dotknęła mnie ciężko. Straciłem wszystko, prawdopodobnie nawet rodziców. Wiem dobrze, co znaczą macki gestapo, bo przez lata kryłem się przed nimi, a przez pół roku żyłem jak bezdomny pies, bez nazwiska, bez dachu nad głową; to, że przeżyłem ten czas zawdzięczam tylko dobrym ludziom. Czy znaczy to, że mam żądać zadośćuczynienia od ludzi niewinnych? Nie, ja wierzę, że sprawcy mojej poniewierki, których wyszukać chwilowo nie jestem w stanie, dostaną się w ręce sprawiedliwości. Nie będę mścił się na dzieciach i kobietach, pamiętam, że tysiące Niemców siedziało w obozach koncentracyjnych. Potrafię odnosić się obojętnie do mężczyzn, a uprzejmie i przychylnie wobec kobiet i dzieci. Winnych niech sądzą i karzą ludzkie trybunały – i Bóg; ja do tego powołany nie jestem”. (Westertimke, 24.5.45)

Natomiast kilka miesięcy później ustosunkowałem się do problemu, który teraz unaocznili mi sfłoczone w wagonach masy ludzkie, obserwowane z lubeckiego okna:

„Doniesienia gazet na temat wysiedleń Niemców z Polski są wcale niewesołe. Dziewięć milionów ludzi wyrzuconych na bruk, w nędzy i niedoli, to wynik beznadziejnie głupiej polityki uzurpacyjnego ‘rządu’”. (Nb. tę głupotę uzasadniałem względami ekonomicznymi, które się nie sprawdziły. Ale to co pisałem dalej, podtrzymuję do dziś, choć pół wieku

upłynęło od tych wydarzeń) „Nie małpować obcych wzorów. Postępuje się tak, jak postępowali Niemcy. Postępując tak jak oni zniża się do ich poziomu. Powinno się raz na zawsze skończyć z metodami hitlerowskimi”. (Seedorf, 26.8.45)

To co widzieliśmy z okien szkoły nie świadczyło o załatwieniu tej sprawy (nawet jeśli była to konieczność) w sposób humanitarny.

Szkoła, w której znalazłem się na początku grudnia 1945 r. była ciekawym zbiorowiskiem ludzkim. Ciało pedagogiczne składało się w większości z oficerów rezerwy, którzy przebywali w obozach jenieckich od 1939 r. do zakończenia wojny. Uczniami byli akowcy i powstańcy, także wyzwoleni więźniowie obozów koncentracyjnych. Szkoła była koedukacyjna, choć kobiety stanowiły mniejszość. „Sołtysem” naszej klasy był przedwojenny podoficer artylerii, również jeniec z 1939 r., Staszek Świerczyński, potem w Polsce długoletni księgowy jednego z łódzkich zakładów przemysłowych. Był on starszy od nas, więc cieszył się należytych respektem.

Warunki wyżywieniowe były całkiem dobre, dostawaliśmy też żołąd, wypłacany w markach okupacyjnych. Z warunkami mieszkaniowymi było nie najlepiej. Zakwaterowani byliśmy w sali bynajmniej niedużej, w której stało osiem piętrowych prycz, a więc było nas tam szesnastu. Po jakimś czasie, gdy zaprzyjaźniłem się ze Zbyszkim Czajkowskim-Dębczyńskim, wynajęliśmy pokój na mieście. Żeby go utrzymać, dorabialiśmy sobie trochę działalnością gospodarczą. Wstyd powiedzieć, ale przez krótki okres w życiu byłem – handlarzem bronią, za co groziła nawet kara śmierci.

W praktyce wyglądało to tak, że kupowaliśmy niemiecki pistolet, powiedzmy *parabellum*, i wieźliśmy do obozu amerykańskiego w Bremerhaven, gdzie wciąż jeszcze było dwóch moich „muszkieterów”. Tam „opylaliśmy” pistolet amatorom wojennych trofeów, którym nie udało się nic zdobyć na froncie, a koniecznie chcieli mieć pamiątkę po powrocie do Stanów. Pistolet sprzedawaliśmy za kartony papierosów, które z kolei przywoziliśmy do Lubeki, jako podstawę dalszych transakcji. Nie było to bezpieczne. Raz widząc zbliżającą się żandarmerię na jakimś pustkowiu

w czasie drogi powrotnej, ukryliśmy papierosy pod kamieniem, co zauważyły niemieckie wyrostki. Bezczelnie na naszych oczach ukradli je i uciekli w czasie gdy legitymowali nas żandarmi, którym, rzecz jasna, nie mogliśmy nic powiedzieć.

Jednakże handlowy proceder nie zajmował nam zbyt wiele czasu, podobnie jak wycieczki, które jednak czasem podejmowaliśmy. Zbyszek był dowódcą drużyny w batalionie „Parasol” i miał za sobą piękną kartę w powstaniu. Jego bezpośrednim dowódcą był Krzysztof Baczyński. Zbyszek był przy nim w pierwszych dniach powstania i był świadkiem jego śmierci, co na moje nalegania opisał w relacji do *Tygodnika Powszechnego* na wiosnę 1947 r., gdy było jasne, iż dokładne okoliczności nie są w kraju znane. (Był również autorem wydanego później w krakowskim WL wstrząsającego pamiętnika z walk na Starówce). Zbyszek miał naturalne zdolności dowódcze i techniczne. Całkiem mi imponował, więc i ja postanowiłem mu zaimponować, proponując podróż do Brukseli i Paryża, jako że tam już byłem i wiedziałem jak należy podróżować.

Jednakże wyprawa ta o mało co się źle skończyła. Mieliśmy wyruszyć z Hamburga pociągiem. Polskim komendantem wojskowym na północne Niemcy był wówczas pułkownik Ziemski, legendarny „Wachnowski”, dowódca powstańczej Starówki. Zbyszek uważał, że jego dawny wódz pójdzie nam na rękę i zameldowaliśmy się do niego po przepustki. Płk Ziemski uprzejmie z nami porozmawiał i kazał chwilę poczekać. Usłyszeliśmy jak z drugiego pokoju telefonuje na żandarmerię. Zwinęliśmy się natychmiast i wskoczyliśmy do windy jadącej w dół. Była to jedna ze staroświeckich otwartych sprzężonych wind, które są wciąż w ruchu, jedne w dół, drugie do góry. W windach minęliśmy się z jadącymi do góry żandarmami, którzy nic w tej sytuacji nie mogli nam zrobić.

Po wyskoczeniu z windy daliśmy drapaką wprost na dworzec, skąd wojskowym pociągiem wyruszyliśmy w podróż. W braku przepustki trzeba było na rozmaite sposoby wymigiwać się żandarmom, ale dla specjalisty od „małego sabotażu” z długim stażem Szarych Szeregów nie był to

problem. W Paryżu gościł nas u siebie John Breon, odkomenderowany już z wojska, zachwycony swoimi studiami i pracą u Gertrude Stein.

Była to jednak ostatnia wielka wyprawa. Na Święta Bożego Narodzenia 1945 pojechałem jeszcze do obozu w Stade i spędziłem je z kolegami. Było to pożegnanie, bo i oni się rozjeżdżali.

Paru (jak „Kruk” – Janek Komorowski) poszło nawet w moje ślady i przyjechało do naszej szkoły w Lubece. „Baszta” i oddziały mokotowskie przeszły dla nas z tą chwilą „do historii”. Od stycznia do września trzeba było się przykładać pilnie do nauki, by zaliczyć w ciągu tego okresu obie klasy liceum i przygotować się do matury.

Szkoła nasza w sensie formalnym podporządkowana była rządowi emigracyjnemu w Londynie. W połowie roku 1946, mniej więcej wtedy, gdy przeszliśmy z klasy pierwszej do drugiej, brytyjskie władze okupacyjne podporządkowały ją rządowi warszawskiemu. Dyrektor Witold Fang wówczas ustąpił, zachowując funkcje pedagogiczne (uczył nas prope-deutyki filozofii). Nowym dyrektorem został polonista i wychowawca naszej klasy, Stanisław Piotrowski.

W praktyce jedynym dla nas następstwem zmiany dyrekcji i statusu szkoły było to, że otrzymaliśmy normalne polskie świadectwa maturalne. Uczniowie garnęli się tak czy owak do nauki chcąc nadrobić stracone lata. Nasi profesorowie byli dobrymi fachowcami. Nie sądzę, by wobec nas musieli stosować taryfę zanadto ulgową, choć trochę niewątpliwie tak, biorąc pod uwagę zaniedbania wojenne w naszym wykształceniu.

Najwyraźniejszym tego przykładem była łacina, której nauczyciel zawarł z nami układ. Nie był to przedmiot egzaminacyjny. Łacinnik powiedział, że postawi każdemu dobry stopień, jeżeli obiecamy, iż nie będziemy studiowali łaciny na uniwersytecie. Chętnie i w dobrej wierze udzieliliśmy takiej obietnicy. Oczywiście nie mogłem przewidzieć, że będę miał w Bristolu łacinę jako przedmiot obowiązkowy. Ale jakoś dałem sobie z nią radę, zwłaszcza że kombatancki angielscy, których wielu ze mną zaczęło studia, byli w podobnej sytuacji i zdesperowany profesor uczył nas „po godzinach” także podstaw gramatyki itd.

Nasza klasa maturalna liczyła 26 osób, w tym 5 pań. Maturę zdaliśmy z zachowaniem wszelkich rytuałów w połowie września. Udało mi się zdać przedmioty egzaminacyjne z wynikiem bardzo dobrym i tak samo zaliczyć pozostałe przedmioty, z wyjątkiem chemii – dobry, i biologii – dostateczny. Do dziś uważam stopień bardzo dobry z matematyki za mocno podejrzany. Nie sądzę, by nasz wspaniały matematyk i przemiły człowiek, prof. Jerzy Doroszewski, z którym później przez lata po przyjacielsku korespondowałem, gdy osiedlił się w Stanach Zjednoczonych, dał mi jakieś fory. Raczej muszę ze wstydem przyznać, że przysłużyła mi się ściaga Zbyszka.

Odebraliśmy świadectwa dojrzałości i zrobiliśmy fotografię maturalną, na której oprócz zdjęć profesorskiego grona i naszych przedstawiona została nasza szkoła i... wieża zamku królewskiego w Warszawie. Są też, poza nazwiskami oczywiście, dwa napisy: „Polskie Liceum Humanistyczne nr 1 Lubeka 15.9.1946” i drugi, bardziej niezwykły: „Kraków 15.5.1956”. Tam bowiem postanowiliśmy odbyć zjazd na dziesięciolecie matury. Nie doszło to do skutku nie tylko dlatego, że Hotel Pollera, gdzie zjazd miał się odbyć, zmienił w międzyczasie nazwę, ale i dlatego, że Polska też zmieniła nazwę i w ogóle wszystko się zmieniło. Dwa kolejne zjazdy odbyły się grubo później, w latach 70-tych, w warszawskim mieszkaniu dyrektorstwa Piotrowskich. Nasz dyrektor ożenił się bowiem z jedną z naszych koleżanek, wrócił do kraju, działał w Samopomocy Chłopskiej, był w pewnym okresie wiceministrem kultury, potem ambasadorem w Turcji. Ale właśnie przeszedł na emeryturę. Na zjeździe u niego siedzieliśmy wspominając lubeckie czasy – do białego rana, niestety w dość znacznie pomniejszonym gronie.

Lecz to wszystko było później. Na razie, po zdaniu egzaminu i odebraniu świadectwa – otworzyła się przed nami pustka. Co robić? A przede wszystkim – wracać czy nie wracać? Podskórnie problem ten gnębił nas już od dawna, teraz na rozstrzygnięcie go poświęciliśmy cały miesiąc. Do szkoły przez cały rok przychodzili raz w tygodniu – w różne dni, rzecz jasna – oficerowie łącznikowi londyński i warszawski, przynosząc ze sobą ogromne naręcza prasy. Ilekroć

czytaliśmy prasę z Londynu, zajmującą się w dużej mierze emigracyjnymi swarami, mówiliśmy sobie: może jednak nie zostawać tutaj. Po przeczytaniu gazet z kraju, w tym oprócz zwykłej prasy także specjalnie dla rodaków za granicą redagowanego pisma *Repatriant*, nasz wniosek był: za żadne skarby nie wracać. W obu wypadkach kierowana do nas propaganda była wprost modelową antypropagandą.

Jednakże po maturze trzeba było jeszcze raz dobrze się zastanowić. W listach z Polski przyjaciele radzili nam wracać, choć mój Ojciec, z którym rok po zakończeniu wojny odzyskałem kontakt, był zdania, że nie powinienem. Od niego dowiedziałem się też, że Mamę, aresztowaną przed powstaniem zamordowali Niemcy. Oprócz oficjalnej optymistycznej propagandy przychodziły z Polski niedobre wieści o prześladowaniu akowców i innych horrorach, nie wszystkie zresztą sprawdzone. W wyniku całodobowej narady w naszym pokoju na mieście postanowiliśmy ze Zbyszkim dostać się do Anglii i pójść na studia. Uważaliśmy, że do czasu gdy je zakończymy, sytuacja się wyjaśni. (Oczywiście wyjaśniła się: zapadła głęboka stalinowska noc i wtedy nie było mowy o powrocie.)

Wprowadzenie naszej decyzji w życie nie było sprawą łatwą. Jedyna możliwość to zabranie się z jakimś transportem 1-ej Dywizji Pancerniej do Włoch i próbowanie wyjazdu dalej przez II Korpus. (*Nb.* płk Maresch na tym etapie radził powrót do Polski mówiąc, że w Anglii nie poszlibyśmy na studia, lecz do pracy w kopalni.) Nie robiono nam żadnej nadziei. Transporty były zarezerwowane dla rodzin przyjeżdżających z Polski, podobno na podstawie nieoficjalnego układu z reżymem, za pieniądze. Kilkakrotne podróże do Meppen i czekanie tam nie dały rezultatu. W końcu jednak udało się, niestety czymś kosztem. Jadących z Polski zatrzymano gdzieś na granicy, to znaczy nastąpiła jakaś wpadka, ktoś nie został opłacony, i ciężarówki do Włoch miały jechać puste. Zabrano więc czekających w Meppen.

5 listopada ruszyliśmy w podróż przez Francję, Alpy i Włochy do Ankony. Po drodze straszono nas, że i tak zostaniemy we Włoszech w cywilnym obozie dla uchodźców, bez prawa wyjazdu dokądkolwiek. Mieliśmy jednak list

polecający od Zbyszka Pełczyńskiego do płk. Buterlewicza, dowódcy Oddziału Społecznego II Korpusu. (Ich rodziny były ze sobą zaprzyjaźnione.) Idąc tam zauważyłem na sąsiednich drzwiach tabliczkę z nazwiskiem jego zastępcy, które brzmiało: mjr Tomasz Dziama. Przypomniałem sobie, że jest to kolega mojego ojca z gimnazjum. Może nie należy się więc zbyt dziwić, że po jego parotygodniowym, bardzo przyjemnym zresztą, pobycie nad ciepłym morzem w Ankonie i Porto San Giorgio, „siostrzeńcy” obu oficerów wyruszyli w dalszą drogę. Trzy dni koleją i bardzo niedobry rejs przez kanał la Manche małym stateczkiem. 2 grudnia 1946 r. stanęliśmy na gościnnej, choć zimnej ziemi angielskiej.

Czekało nas jeszcze 10 miesięcy obozowej egzystencji na terenie wojennego lotniska przy granicy Walii, w warunkach nie lepszych od obozu jenieckiego w Sandbostel. Tekturowe baraczki, prawie nie ogrzewane, brak ciepłej wody, głodowe racje żywnościowe, a zima była wyjątkowo ostra i mroźna. Ale podobnie jak w Sandbostel, wiosna przyniosła poprawę, tyle, że drugie wyzwolenie przyszło później: gdy na początku października 1947 wyjechałem do miasta Bristol i rozpocząłem studia na tamtejszym uniwersytecie, a zarazem względnie normalne, choć tak różne od poprzedniego, cywilne życie. Dopiero wtedy wojenna epopea i poniewierka została definitywnie zakończona.

*Bolesław TABORSKI*



Maciej BERNHARDT

## SZKOŁA WAWELBERGA I POLITECHNIKA WARSZAWSKA W LATACH 1940–1944

W końcu lata 1940 roku wpadł do mnie kolega z gimnazjum im. T. Czackiego i kompletów – z wiadomością, że szkoła samochodowo-lotnicza, mieszcząca się na końcu ulicy Narbutta, otrzymała zezwolenie na rozpoczęcie nauki dla kandydatów, którzy mają ukończone gimnazjum (małą maturę). Nazywała się teraz Zawodową Szkołą Techniczną (Technische Fachschule). Zgłosiłem się tam natychmiast i ledwie zmieściłem się w limicie miejsc. Znalazłem się w klasie pierwszej F. Uruchomiono tam sześć klas równoległych (od A do F), aby dać możliwość legalnej nauki jak największej liczbie młodzieży.

Była to bardzo dziwna szkoła. Wykładali w niej znakomici nauczyciele: częściowo ze wspomnianej szkoły zawodowej, cieszącej się przed wojną doskonałą opinią, częściowo ze szkoły Wawelberga i Rotwanda (już przed wojną domagającą się praw akademickich). Poziom nauczania był wysoki i rzeczywiście można było wiele się nauczyć, jeżeli miało się czas i warunki do nauki. Tym bardziej jeszcze, że ocalałe warsztaty szkolne były doskonale wyposażone.

Mieliśmy przez sześć dni w tygodniu po osiem godzin zajęć, w tym sporo zajęć praktycznych w warsztatach. Wymagania były duże, zadawano sporo „do domu”, częste były klasówki i często wrywano nas do tablicy. System nauczania był taki jak w szkołach średnich.

Pomimo wysokiego poziomu i dużych wymagań trudno było jednak otrzymać na okres ocenę niedostateczną. Legitymacja szkolna w pewnym stopniu chroniła podczas mniej poważnych łapanek, a dość skutecznie – przed wywiezieniem do Niemiec „na roboty”. Nauczyciele zdawali sobie z tego sprawę i znakomita większość z nich straszyla słabych uczniów niedostateczną oceną na okres lub

na koniec roku, ale ocen takich nie stawiała.

Zawdzięczam tej szkole bardzo wiele. Zdobyłem tam naprawdę solidne podstawy techniki, które przydały mi się zarówno podczas późniejszych studiów na Politechnice, jak i w pracy zawodowej. Ponadto szkoła zajmowała bardzo dużo czasu. Absorbowała nas bardzo, ale starczało nam jeszcze czasu i sił na działalność konspiracyjną i życie towarzyskie.

Przez krótki okres usiłowałem (podobnie jak i moi koledzy) łączyć naukę w tej szkole z kompletami licealnymi. Bardzo prędko zorientowaliśmy się, że jest to absolutnie niemożliwe. Wprawdzie zakres matematyki i fizyki był w tej szkole znacznie szerszy niż na kompletach, a chemii – porównywalny, ale brakowało wszystkich przedmiotów humanistycznych i przyrodniczych oraz geografii. Uzgodniliśmy, że będziemy utrzymywali kontakt z kompletami, aby znać zakres przerabianego materiału i niezbędnych wiadomości, i że maturę będziemy zdawać jako eksterniści.

Moi najbliżsi koledzy i przyjaciele w tym okresie to: Olek Pietraśiński, Andrzej Przyłuski, Andrzej Krupiński, Stanisław Witoszyński, Stanisław Brzosko. Pamiętam jeszcze kolegów Witolda Grabskiego, Stanisława Gębalskiego, Tadeusza Peche, Janusza Luniaka, Zbigniewa Łukowieckiego (nie jestem pewien, czy poznałem go w tej szkole, czy też później w PWST, o której piszę dalej), a także wiele innych twarzy i sylwetek, których nazwiska, niestety, wyleciały z pamięci.

W drugim roku nauki w szkole technicznej zajęcia odbywały się w starym budynku Szkoły Wawelberga i Rotwanda przy ulicy Mokotowskiej (między placem Zbawiciela i ulicą Polną). Nauka absorbowała nas jeszcze bardziej niż w poprzednim roku. Większość wykładowców realizowała z całym spokojem kurs przedwojennej szkoły Wawelberga, nie zwracając zupełnie uwagi na to, że szkoła była dwu- a nie trzyletnia i że większość z nas ma małą, a nie dużą maturę.

Zastanawiając się dziś, z perspektywy pół wieku i własnych doświadczeń nauczyciela akademickiego, muszę przyznać, że pomimo okupacyjnych przeciwności i dla wielu z nas bardzo trudnych warunków życia, intensywna nauka skutecz-

nie chroniła przed wojenną demoralizacją i dawała bardzo dobre wyniki.

Trzeba też przyznać, że postępom w nauce sprzyjała godzina policyjna. Podczas okupacji, zależnie od sytuacji na frontach oraz nastrojów, godzina policyjna zmieniała się od 20-ej do 22-ej wieczorem. Dodajmy, że nie chodziło się podczas okupacji do kin, nie istniała jeszcze wtedy telewizja, a za posiadanie lub tylko słuchanie radia groziła (i to nie teoretycznie) kara śmierci.

Docenialiśmy daną nam możliwość nauki, ale w pewnym stopniu zajmowaliśmy się nauką z braku innych możliwości spędzenia czasu.

Zastanawiam się nieraz nad reakcją dzisiejszej młodzieży na takie wymagania, jakie stawiała nam ówczesna szkoła i przy tak kiepskich warunkach życia.

Było nam na pewno bardzo trudno, ale wielu z nas musiało jeszcze dorabiać, aby utrzymać się na powierzchni; niemal wszyscy – jak się okazało podczas Powstania – byli zaangażowani w AK, w tym także w bardzo absorbujących oddziałach dywersyjnych. Mieliśmy także życie osobiste. Sam się dziś dziwię jak to wszystko było możliwe. Jednak było!

Naukę w naszej szkole kończył trwający dwa dni egzamin klauzurowy, przeniesiony „żywcem” ze zwyczajów szkoły Wawelberga. Dziś ta forma egzaminowania jest niemal całkowicie zapomniana, warto więc może ją przypomnieć.

Pierwszego dnia każdy ze zdających otrzymał zadanie egzaminacyjne. Z reguły była to konstrukcja jakiegoś przyrządu lub specjalnego uchwyty potrzebnego do obróbki części, której rysunek wraz z danymi obrabiarek, na których część ta miała być wykonywana, otrzymywaliśmy wraz z zadaniem (oczywiście innym dla każdego zdającego).

Egzamin trwał 8 godzin i wolno było korzystać z wszelkich możliwych książek, poradników itp. z wyjątkiem „pomocy sąsiedzkiej”.

Jeden z naszych profesorów zyczliwie uprzedzał, że na egzamin klauzurowy można przynieść na plecach całą bibliotekę, ale tematy będą takie, że trzeba będzie nad nimi dobrze popracować. W rzeczywistości tematy nie były „złośliwe”, ale wszystkie pracochłonne.

Drugiego dnia odbywał się egzamin ustny obejmujący obronę projektu wykonanego dnia poprzedniego, a także pytania z całego materiału przerabianego w szkole. Równolegle działały trzy grupy egzaminacyjne po 3-4 wykładowców. Przed jedną z dwóch broniło się swego projektu, trzecia – znając już wyniki obrony projektu – zadawała pytania ogólne. Jeżeli wyniki obrony były dobre, komisja pytająca dawała 2-3 pytania najczęściej typu „na inteligencję”. Jeżeli wynik obrony był słaby, lub z „inteligencją” było kiepsko, zaczynało się maglowanie. W sumie drugiego dnia egzamin dla każdego ze zdających trwał 30 do 45 minut.

Egzamin końcowy zdałem bez większych kłopotów, choć po pierwszym dniu wyszedłem ze szkoły całkowicie wykończony i w domu nie byłem w stanie nawet przejrzeć notatek i powtórzyć – jak to miałem w planie – materiału, który mógł być tematem pytań w dniu następnym.

Rozdanie dyplomów stwierdzających, że mamy prawo używać dumnego tytułu technika budowy maszyn, odbyło się bez wielkich uroczystości. Dyrekcja szkoły doszła do wniosku, że im ciszej i skromniej to się odbędzie, tym dla nas bezpieczniej. Zabroniono nam wręcz, aby przychodzili rodzice, nasze dziewczyny, znajomi itd. Im mniej będzie ludzi, tym lepiej.

Nie było żadnych przemówień, podziękowań itp. Dyrektor kolejno wyczytywał nazwiska, wręczał dyplom (wypisany po polsku i niemiecku), fundował łapę, a stojący obok jeden z profesorów dyskretnie doradzał (ale była to propozycja nie do odrzucenia), aby wychodzić pojedynczo ze szkoły i nie gromadzić się w jej pobliżu.

Otrzymałem mój dyplom jako jeden z pierwszych. Ot korzyść z nazwiska zaczynającego się na literę B. Wyszedłem z kilku kolegami z początku listy. Wstąpiliśmy do małego sklepika, który mieścił się prawie dokładnie naprzeciwko szkoły. Był to teoretycznie sklepik spożywczy, ale jak to było w czasach okupacji, po znajomości oferował wiele różnych towarów, które nie zawsze odpowiadały jego nazwie. Zналиśmy ten sklepik dobrze, bo wielu z nas kupowało tam swoje skromne drugie śniadania, a nawet obiady, a także zeszyty, papier kreślarski, ołówki, tusz i podobne „artykuły spożywcze”.

Oczywiście dla dobrych znajomych był także samogon, zresztą dobrego gatunku. Uczciliśmy nasze dyplomy kieliszkiem samogonu, zagryźliśmy ogórkiem lub pomidorem. Gdy wychodziłem, zaczepili mnie koledzy, których nazwiska zaczynały się na litery D, E, F; gdy wychodziłem po raz drugi – właśnie wchodzili koledzy na G, H, I, J. Powtórzyło się to jeszcze kilka razy.

Dobrze mi już szumiało w głowie, gdy spotkałem wychodzącego właśnie ze szkoły Staszka Witoszyńskiego. Nie mogłem przecież z nim nie wypić. W tym jednak miejscu film urwał mi się dokładnie. Koledzy wsadzili mnie do dorożki i odwieźli do domu na Miodową.

Krótko po tym wydarzeniu zachorowałem na zakaźną żółtaczkę. Byłem na mieście w sprawach konspiracyjnych. Wracałem do domu na piechotę i czułem się bardzo zmęczony. Zastanawiałem się, że trzeba będzie zrobić sobie mały urlop, bo bardzo intensywna nauka, zajęcia konspiracyjne przy nie najlepszym odżywianiu, widocznie nadmiernie mnie wyczerpały.

Doskonale pamiętam, że na rogu ulicy Trębackiej i Foche'a (obecnie Moliера) nagle zrobiło mi się słabo. Poczujęm, że mam wysoką gorączkę. Do domu miałem niedaleko, mniej niż pół kilometra. Doszedłem z wielkim trudem, wielokrotnie zatrzymując się po drodze.

Byłem naprawdę ciężko chory. Przeleżałem ponad dwa tygodnie. Długo byłem bardzo słaby, a konieczność stosowania ostrej diety – to był dopiero problem w czasie okupacji – nie sprzyjała odzyskiwaniu sił.

W czasie rekonwalescencji dowiedziałem się od kolegów, że od jesieni 1942 r. rusza w Warszawie Politechnika. Niemcy zgodzili się na uruchomienie Państwowej Wyższej Szkoły Technicznej (PWST) z polskim językiem wykładowym. Miała to być dwuletnia szkoła półwyższa. Jej absolwenci, zgodnie z założeniami, które zadecydowały o uruchomieniu, mieli być wykorzystani przez Niemców do zagospodarowywania Syberii po zwycięskim zakończeniu przez nich wojny. Miały być uruchomione wydziały: mechaniczny, elektryczny i budowlany (nie pamiętam, czy także chemiczny).

Zajęcia miały się odbywać w pomieszczeniach Politech-

niki Warszawskiej, której gmach główny, zniszczony w roku 1939, został w tym celu odbudowany. Personel nauczający mieli stanowić nauczyciele akademicy Politechniki Warszawskiej oraz przybyli do Warszawy z Politechniki Lwowskiej i Gdańskiej.

Polskie władze konspiracyjne, z którymi kadra profesorska miała ścisłe kontakty, nie miały żadnych zastrzeżeń co do uruchomienia uczelni, w której mogłaby się uczyć polska młodzież. Przeciwnie, uważano, że należy wykorzystywać wszelkie możliwości nauki, dzięki niespójnej w tym względzie polityce niemieckiej.

Niemieckie władze polityczne uważały, że Polakom wystarczy 4-o czy 5-o klasowa szkoła powszechna, a wszelkie inne nauczanie jest szkodliwe i niebezpieczne; zaś władze gospodarcze szykowały się do zagospodarowania zdobytych (i przewidzianych do zdobycia) terenów i zdawały sobie sprawę z niedostatku kadr technicznych, zwłaszcza takich, które można by użyć na terenach mało atrakcyjnych dla kadr niemieckich.

Podstawą do przyjęcia do PWST miało być zdanie egzaminu konkursowego. Obawiałem się go poważnie, gdyż choroba praktycznie uniemożliwiła mi nie tylko solidne przygotowanie się, ale nawet pobieżne powtórzenie materiału. W dodatku termin egzaminu był tuż, tuż, a ja wciąż byłem w bardzo kiepskim stanie i męczyło mnie nawet czytanie książek beletrystycznych.

Moje papiery niezbędne do dopuszczenia do egzaminu złożyli koledzy, ale do ostatka nie byłem pewien czy będę na siłach do niego przystąpić. W przeddzień Ojciec (lekarz) zbadał mnie dokładnie. Nie był do końca przekonany, czy powinienem iść na ten egzamin. Przygotował mi jednak jakieś lekarstwo, które miałem zażyć, jeżeli będę się słabo czuł. Miałem je w płaskiej butelce, tak rozcieńczone wodą, aby połowa zawartości odpowiadała jednej wymaganej dawce. Miałem więc dwie dawki, które wolno było mi zażyć w odstępie czasu nie mniejszym niż godzina.

W dniu egzaminu Mama zawiozła mnie do Politechniki dorożką. Moi najbliżsi koledzy, którzy wszyscy zdawali także na PWST dobrze wiedzieli o mojej chorobie i związanych z

nią obecnymi kłopotami. Pozostali patrzyli na mnie jak na cudaka. Przez pewien czas już po rozpoczęciu nauki, mówiono o mnie „to ten co go mamusia przywiozła na egzamin”.

Egzamin wstępny był z matematyki i fizyki. Zadania matematyczne były dość łatwe. W każdym razie po naszej szkole technicznej nie sprawiały mi trudności i rozwiązałem je dość szybko. Wiedziałem jednak, że mam „talent” do robienia w pośpiechu głupich pomyłek i że trzeba jeszcze całość dokładnie sprawdzić. W tym samym momencie poczułem się ogromnie zmęczony. Nagle przestałem rozumieć to, co sam przed paroma minutami napisałem. Do tej pory widocznie „trzymały mnie nerwy”. Patrzyłem więc przez dłuższą chwilę przez okno, żeby się odprężyć, a potem sięgnąłem do kieszeni po butelkę, otworzyłem ją i wypiliśmy solidny łyk mikstury. W tym momencie spotkałem wzrok pilnującego nas profesora Pogorzelskiego (słynny matematyk, profesor Politechniki Warszawskiej przed, w czasie i po wojnie). Miał minę tak zabawnie zdziwioną, że z trudem opanowałem śmiech.

Odczekałem chwilę aż lekarstwo zaczęło działać, sprawdziłem zadanie, poprawiłem znalezione drobne błędy i oddałem pracę profesorowi. Przy oddawaniu usiłowałem wytłumaczyć mu, że musiałem zażyć lekarstwo, ale nie bardzo chciał mnie słuchać.

Z profesorem Pogorzelskim spotkałem się jeszcze po wojnie; zdawałem u niego „Matematykę III” (pierwsze dwie zaliczył mi na podstawie egzaminów zdanych w PWST). Po odebraniu indeksu z wpisanym wynikiem egzaminu, przypomniałem mu nasze spotkanie na egzaminie wstępnym do PWST. Pamiętał je doskonale. Przyznał się, że w pierwszej chwili myślał, że wyciągam z kieszeni ściągaczkę, później był przekonany, że pociągam z butelki alkohol. „Wie pan w tych czasach nauczyłem się niczemu nie dziwić”.

Poprosił mnie jeszcze raz o indeks, przyjrzał się świeżemu wpisowi i powiedział: Szkoda, że mi pan nie przypomniał tej historii przed wpisaniem; postawiłbym panu pięć, a tak ma pan cztery i pół. Tak to wpisałem, że nie mam jak poprawić.

Nie pamiętam czy egzamin z fizyki był tego samego dnia, czy też dnia następnego. Pamiętam natomiast, że obejmował

aż 10 prostych zadań. Zrobiłem dobrze 9. Jedno dotyczyło akustyki i żaden ze zdających, którzy mieli ukończone szkoły techniczne go nie rozwiązał. Ten dział fizyki nie był u nas wykładany. Natomiast ci, którzy robili maturę na kompletach, nie mieli tu żadnych problemów.

Zajęcia na PWST, o ile pamiętam, rozpoczęły się już we wrześniu a nie jak to było w zwyczaju wyższych uczelni, w październiku. Byliśmy ogromnie obciążeni nauką: pięć dni w tygodniu mieliśmy po 8 godzin zajęć dziennie, a w soboty – 6 godzin. Przy tym większość profesorów nie uwzględniała w swych wykładach, że zgodnie z zamierzeniami władz niemieckich miała to być szkoła półwyższa. Wykłady prowadzili tak samo jak przed wojną na politechnice.

Tempo nauki było przy tym ogromne. W ciągu pierwszego roku przerobiliśmy prawie pełen kurs pierwszych dwóch lat według programu przedwojennego. „Darowano nam” jedynie kreślenia techniczne, oraz maszynoznawstwo ogólne, które większość z nas znała już ze szkół technicznych. Jednak ci nieliczni studenci, którzy uprzednio nie byli w tego rodzaju szkołach mieli dodatkowe duże trudności właśnie z tymi przedmiotami.

„Ścisnięcie” materiału spowodowało, że korelacja czasowa przedmiotów przestała częściowo istnieć. I tak np. profesor Wolfke w swych wykładach z fizyki operował równaniami różniczkowymi i całkowymi, które właśnie zaczynał wykładać profesor Pogorzelski. Nie przejmowali się także takimi drobiazgami asystenci na ćwiczeniach i kolokwiah.

Dziś podobna sytuacja spowodowałaby protesty studentów, publikacje prasowe, a może nawet doprowadziłaby do strajku. Wtedy dopingowała nas do nauki oraz powodowała, że samorzutnie powstawały grupki wspólnie uczących się i wspólnie pokonujących napotykaną trudności. Była to twarda szkoła.

Wykłady prowadzili tak znani profesorowie przedwojenni jak: Pogorzelski – matematyka, Huber – mechanika teoretyczna i techniczna, Wolfke – fizyka, Wesołowski – metaloznawstwo, Stefanowski – termodynamika, Biernacki – obróbka metali, Moszyński – części maszyn.

Legitymacja PWST (Państwowej Wyższej Szkoły Tech-



nicznej) skutecznie chroniła przed wywiezieniem do Niemiec na roboty i przy mniej poważnych łapankach. W innych przypadkach była praktycznie bez znaczenia.

W pierwszych miesiącach zajęć, któregoś dnia policja niemiecka otoczyła cały teren Politechniki. Wyglądało to bardzo poważnie, zwłaszcza, że znaleźmy już historię wywiezienia do obozów koncentracyjnych profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Tym razem wszystko zakończyło się szczęśliwie.

Na terenie uczelni, w pobliżu gmachu fizyki stały dwa polskie działa przeciwlotnicze, pozostałość jeszcze z 1939 roku. Bez kół, bez zamków i przyrządów celowniczych. Ale wszystkie pozostałe mechanizmy działały prawidłowo: kręcąc odpowiednimi korbami można było kierować lufę działa na wszystkie możliwe strony. Na przerwach pomiędzy zajęciami, stare byki nie miały nic lepszego do roboty, tylko bawiły się kręceniem korbkami i „machaniem” lufami dział. Ktoś zrobił na pamiątkę fotografię i dał film do wywołania do zakładu fotograficznego. Tam szpicle niemieccy natychmiast go wypatrzyli i donieśli do Gestapo, że w PWST odbywa się szkolenie wojskowe.

Podobno mało brakowało do zamknięcia szkoły. Na szczęście jej niemiecki dyrektor prof. Guettinger potrafił policji wyjaśnić całą sprawę i wszystko zakończyło się kupą śmiechu i wielkim pijaństwem Niemców.

Dla nas było to jeszcze jedno ostrzeżenie, że wszędzie i zawsze należy się liczyć z obecnością szpicli. Wiedzieliśmy o tym od dawna, ale wciąż nie docenialiśmy dostatecznie tego zagrożenia.

Prof. Guettinger został oddelegowany z jednej z bardziej znanych politechnik niemieckich (nie pamiętam niestety, z której). Podczas pierwszej wojny światowej utracił na froncie zachodnim obie nogi i zdobył krzyż żelazny. Do czasu przyjazdu do Warszawy stracił w drugiej wojnie dwóch synów.

Okazał się bardzo przyzwoitym człowiekiem. Podczas Powstania Warszawskiego pozwolono mu wyjść z terenu Politechniki zajętej przez oddziały AK, gdzie zastał go wybuch walk. Uzgodniono krótkotrwałe przerwanie ognia, aby umożliwić przejście prof. Guettingerowi przez linię frontu.

Po wojnie jedna z pierwszych uchwał senatu politechniki zawierała wyrazy uznania za jego postawę podczas okupacji.

Studenci z Guettingerem praktycznie nie stykali się. Nie wiem czy przez dwa lata studiów widziałem go przelotnie 3 czy może 4 razy. Miał typową postać pruskiego oficera, suchą twarz, włosy ostrzyżone krótko, wyglądał zdecydowanie niesympatycznie.

Pamiętam zdarzenie, które w pierwszej chwili wprowadziło nas wszystkich we wściekłość; dopiero później zrozumieliśmy (i to nie wszyscy) jego prawdziwy sens.

Na początku ostatniej godziny zajęć przyszedł do audytorium fizyki, w którym akurat słuchaliśmy wykładu profesora Wolfkego, jeden z profesorów i zakomunikował nam, że z polecenia Guettingera wszyscy mamy za karę zostać w „areszcie klasowym” przez cztery godziny. Powodem były jakieś nieporządki w ubikacjach, zalanie czegoś wodą i jeszcze coś w tym rodzaju.

Byliśmy oburzeni. Jak można było traktować nas, dorosłych ludzi, jak szczeniaków z podstawówki. Do tego takie bzdurne polecenia przekazuje nam profesor! Część z nas oczywiście nie usłuchała i wyszła z audytorium. Okazało się jednak, że wszystkie wyjścia z gmachu są zamknięte.

Po godzinie, czy półtorej, ogłoszono nam „amnestię” i otwarto drzwi. Na mieście dowiedzieliśmy się, że w śródmieściu była wielka łapanka w tym właśnie czasie, gdy siedzieliśmy w „kozio”.

Podobnych historii, choć nie tak spektakularnych, było więcej. Niestety nie pamiętam już szczegółów. Wiem także, że prof. Guettinger interweniował (choć nie wiem z jakim skutkiem) w przypadkach aresztowań profesorów i studentów.

Prof. Guettinger miał bardzo mocną pozycję zawodową, a jako kawaler żelaznego krzyża mógł sobie na wiele pozwolić. Nie był on jedynym Niemcem w kierownictwie uczelni. Był jeszcze jego zastępca – nazwiska niestety już nie pamiętam – o którym wiedzieliśmy, że jest nieprzeciętną kanalią i wysoką szyszką w hierarchii hitlerowskiej. Nie jestem tego pewien, ale chyba został on zastrzelony podczas Powstania.

## *Egzaminy na PWST*

Program studiów na PWST nie został (chyba celowo) sprecyzowany, a profesorowie wykładali normalny kurs politechniki, więc nie było w zasadzie jasnych kryteriów egzaminacyjnych.

Większość profesorów rozwiązywała to w sposób następujący: jeżeli miało się zaliczone ćwiczenia i choćby zielone pojęcie o przedmiocie, otrzymywało się ocenę dostateczną. Dawało to możliwość zachowania legitymacji szkolnej.

Jeżeli zdający wykazywał niezłą orientację w przedmiocie, dowiadywał się na ogół (choć w bardzo różnej formie), że jest dobrze przygotowany i wobec tego otrzyma pytanie takie, jakie przed wojną zadawano na politechnice. Ot tak z ciekawości i dla zabawy. W przypadku pozytywnej odpowiedzi najczęściej pojawiały się jeszcze dalsze pytania, a pan profesor oprócz oceny na liście egzaminacyjnej, zapisywał sobie coś jeszcze w swoim notatniku. Niemal wszystkie te notatki ocalały i po wojnie na ich podstawie zaliczano bez zastrzeżeń poszczególne przedmioty. W moim indeksie połowa egzaminów (niemal wszystkie z pierwszych dwóch lat i kilka z trzeciego roku) jest zaliczona właśnie na podstawie zapisów okupacyjnych szczęśliwie ocalałych u poszczególnych profesorów.

Niektórzy usiłowali skorzystać z okazji i zaliczyć sobie więcej niż im się należało.

Jeden z kolegów – nazwijmy go panem „G” – otrzymał w czerwcu 1944 roku zaświadczenie, że wysłuchał wszystkich wykładów i zdał wszystkie egzaminy przewidziane programem PWST i pozostało mu jeszcze wykonanie pracy dyplomowej. Zaświadczenia takie wydawano wszystkim, którzy spełnili wymagane rygory. Szkoła miała być dwuletnia, skończyliśmy właśnie drugi rok nauki i nie bardzo wiadomo było co dalej, zwłaszcza, że front był już niezbyt daleko od Warszawy. Teoretycznie mieliśmy na jesieni robić coś w rodzaju pracy dyplomowej, ale nikt tego nie brał na serio, bo czuło się, że wojna wreszcie się kończy.

Pan „G” wyjechał do rodziny gdzieś na wschód od Warszawy i znalazł się we wrześniu 1944 roku w wyzwolo-

nym Lublinie, gdzie przedstawił swoje zaświadczenie z PWST, podpisane nazwiskiem znanego profesora Politechniki Warszawskiej. Znalazł tam profesora Politechniki Lwowskiej, który wydał mu temat pracy dyplomowej. Przygotował pracę błyskawicznie, ale nie mógł jej bronić w Lublinie ze względów formalnych. Zgłosił ją więc do obrony na wiosnę 1945 roku w Politechnice Łódzkiej (Warszawska jeszcze nie działała). W Łodzi urzędował m.in. prof. Moszyński z Warszawy. Sięgnął do swego notesika i powiedział: nic z tego; pan „G” zaliczył projekty z części maszyn w zakresie wymaganym na PWST, a do programu politechniki trzeba zaliczyć jeszcze dwa (a może nawet trzy), a ponadto zaliczyć jeszcze kilka przedmiotów z trzeciego i czwartego roku studiów, które nie były wykładane lub wykładano je w ograniczonym zakresie na PWST.

Na pierwszym roku PWST bardzo skrupulatnie pilnowano obecności na wszystkich zajęciach. Na roku drugim sytuacja uległa radykalnej zmianie. Formalnie obecność sprawdzano jak poprzednio, ale wykładowcy nie dziwili się, że przy czytaniu listy obecni byli prawie wszyscy, a sala wykładowa była niekiedy w połowie pusta.

Jeżeli kogoś nie było na zajęciach, to znaczy, że miał inne, ważniejsze sprawy i nie starano się dochodzić zbyt rygorystycznie jakiejś przyczyny. Dobrze było każde zaświadczenie lekarskie, a najlepsze były zaświadczenia kolejowe o opóźnieniu pociągu. Pociągi w tym okresie spóźniały się zresztą nagminnie.

Mieliśmy dostęp do oryginalnych druków (nie był to problem; na kolei większość pracowników stanowili Polacy). Pieczętki były też oryginalne lub robione przy użyciu dziecinnej drukarenki. Nasi wykładowcy stali się programowo łatwowierni i „wierzyli” w najbardziej nieprawdopodobne bajdy. Zdarzało się także, że cicho proponowali studentom, aby, jeżeli to możliwe, wymyślili coś lepszego.

Trzeba przy tym podkreślić, że nie wykorzystywaliśmy tych możliwości urywania się z zajęć w stopniu większym niż wymagała tego konspiracja i naprawdę bardzo ważne sprawy życia codziennego (no i może czasami także jakaś ładna dziewczyna). Myślę, że na sumienne traktowanie nauki wpływał fakt, że dobrze zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że

zyskaliśmy, wyjątkową w skali kraju, szansę legalnej nauki i to pod kierunkiem najlepszych polskich profesorów. Szansę tę doceniali także nasi przełożeni z konspiracji. Obowiązywał nas absolutny zakaz przynoszenia na teren uczelni broni, bibuły i tym podobnych zakazanych rzeczy. Mieliśmy obowiązek być absolutnie „czyści” (jednocześnie jednak, o czym dowiedzieliśmy się wiele lat po wojnie, laboratoria Politechniki wykorzystywano m.in. do przeprowadzania analiz technicznych nowego uzbrojenia i niemieckiego sprzętu wojskowego. Do tego rodzaju prac, prowadzonych na zlecenie Komendy Głównej AK, dopuszczeni byli niektórzy profesorowie, np. prof. Groszkowski, który analizował szczątki rakiety V-2 na wiele miesięcy wcześniej niż świat dowiedział się o jej istnieniu.) O podejściu władz konspiracyjnych do naszej nauki świadczy m.in. dostosowywanie terminów niektórych szkoleń i zbiórek do zajęć na PWST. Nie oznacza to, że szkoła miała priorytet przed konspiracją. Jednak w tych przypadkach, gdy było to możliwe, starano się nie przeszkadzać nam w nauce.

Trzeba tu jednak dodać, że w miarę zbliżania się frontu do Warszawy, to znaczy od wiosny 1994 roku, wyrozumiałość naszych konspiracyjnych przełożonych zdecydowanie malała; także i nam coraz rzadziej zdarzało się przejmować rygorami szkolnymi.

Wymienieni w tych wspomnieniach moi koledzy ze studiów, a zarazem przyjaciele, byli także moimi towarzyszami broni w konspiracji i służyliśmy w jednej drużynie i sekcji w Powstaniu Warszawskim.

O świcie 2-go września podczas przechodzenia z Żoliborza do Puszczy Kampinoskiej batalionu „Serb” (później zmieniono nazwę na „Zubr”) Obwodu „Żywiciel” poległo ponad 70 żołnierzy II kompanii por. Starży, między innymi moi najbliżsi przyjaciele, koledzy i towarzysze broni z jednej sekcji:

Andrzej Krupiński „Jacek” – ciała nie znaleziono.

Waldemar Misiorowski „Papawer” – pochowany na cmentarzu wojskowym na Powązkach.

Zbigniew Przesztyński „Gozdawa” pochowany na cmentarzu wojskowym na Powązkach.

Jerzy Miller „Mak” – pochowany na Wawrzyszewie w kwaterze powstańczej.

Warszawa, dn. 8 VII 1996 r.

*Maciej BERNHARDT*

Maciej Bernhardt – podczas okupacji student Szkoły Wawelberga oraz Politechniki Warszawskiej; obecnie emerytowany profesor Politechniki Warszawskiej.

---

## DO REDAKCJI ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH

Po przeczytaniu „Dyszłowego z Birkenau” ogarnęła mnie zaduma. Od lat przecież spędzam długie godziny na czytaniu wspomnień, dzieł historycznych, pamiętników, nowelek i powieści z „tamtych” czasów i wydawało mi się, że znam wszystko, wiem o wszystkim tak dokładnie, że lepiej już nie można... Ale nie!

Nagle ukazuje się przed moimi oczami wóz zaprzężony w ludzi i czytam, że byli zadowoleni i uważali swój los za szczęśliwy...

Wszystko jest względne. Nawet zamiana człowieka w wynędzniałego, przepracowanego pociągowego konia może mieć swoje zalety. Pozwoli mu czuć się bezpiecznie, przynajmniej chwilowo.

„Rolwaga”. Rolwaga z Birkenau...

A oto wspomnienia jej dyszłowego, głównego konia-człowieka, więźnia numer 131617, kiedyś, w innym życiu, noszącego imię i nazwisko: „Julian Chrzanowski”...

Będąc pod dużym wrażeniem przeczytanego tekstu przesyłam go z propozycją druku.

*Barbara SCHENKEL*

## DYSZLOWY Z BIRKENAU

*Trudno uwierzyć, że w miejscu, gdzie miliony ludzi zginęło z głodu i wycieńczenia, znajdowały się „zakątki”, w których życie zbliżone było do niby „normalnego” stanu, jaki panował pod niemiecką okupacją.*

*Przy głównym wejściu do byłego obozu koncentracyjnego Oświęcim-Birkenau stoi odrestaurowany wielki czterokołowy wóz, który w czasach istnienia obozu nazywany był „rolwagą”. Rolwaga używana była do transportu żywności z głównego magazynu w Birkenau. I do głównej kuchni w męskim obozie w Birkenau II. Czasami w drodze do magazynu rolwaga zabierała z obozu męskiego posiłki dla niemowląt i kobiet ciężarnych do obozu kobiecego w Birkenau I. Poza tym do transportu pokarmów i w drodze powrotnej drobniejszych prowiantów z magazynu Birkenau I używana była mała, 2-kołowa ogumowana rolwaga, obsługiwana przez trzech więźniów (jeden przy dyszlu i dwóch „popychaczy”). Dużą rolwagę obsługiwało 10 do 12 więźniów (dwóch przy dyszlu, a reszta jako „popychacze” z tyłu, przy pasach i po bokach, przy szprychach wielkich kół).*

*Skąd ja to wiem? Otóż w czasie od jesieni 1943 roku do wiosny 1944 roku będąc więźniem Birkenau „pracowałem” jako dyszlowy przy obu rolwagach. Pracowałem dlatego, że dzięki znajomości języka niemieckiego i protekcji organizacji podziemnej w obozie (o istnieniu której wtedy nie wiedziałem) zostałem przydzielony do tego jednego z najlepszych komand pracy. Do moich obowiązków należało kierowanie rolwagą przy dyszlu i meldowanie przy obozowej bramie wyjazdów z obozu i przyjazdów do obozu. Wspominam pewne fragmenty moich przeżyć z tego okresu.*

Po odbyciu miesięcznej kwarantanny, gdzie prawie umierałem z głodu i ciężkiej pracy przy taczkach i kopaniu rowów, gdzie każdego dnia widziałem więźniów, którzy upadając z sił byli dobijani przez wściekłych „Kapów” i SS-manów i gdzie każdego dnia mogłem spodziewać się tego samego losu, „wylądowanie” w komandzie transportowym przy rolwagach było dla mnie czymś, w co początkowo nie mogłem uwierzyć. „Kapem” na kuchennym komandzie był rodak ze Śląska. Człowiek wykształcony i inteligentny, którego widzieliśmy tylko gdy przychodził by wydać nam specjalne rozkazy. Normalną rutyną pracy kierowaliśmy sami. SS-manów również widzieliśmy rzadko. Przychodzili tu tylko przeważnie po to, aby coś „zorganizować” z żywności (to znaczy ukraść z kuchennego magazynu) dla swoich kochanek, udając, że nie widzą naszej obecności. Czynili to w obecności „Kapo”, z którym byli zaprzyjaźnieni.

Wielki paradoks: SS-mani nie jako drapieżne tygrysy, a jako grzeczne kotki, których nie obchodzą myszki. Nigdy bym w to nie uwierzył, gdybym nie widział tego na własne oczy! W chwilach wolnych od pracy (a czasu tego mieliśmy sporo, bo rolwagi nie kursowały bez przerwy) zastanawiałem się nad tym, jak to się stało, że spotkało mnie to szczęście w nieszczęściu. Instynktownie wyczuwałem, że przeżycie bicia na Gestapo, a obecnie przydział na dobre komando zawdzięczać mogę modlitwom mojej matki, która będąc religijną niewiastą codziennie rano bez względu na pogodę chodziła do kościoła, aby modlić się o moje i mojego młodszego brata Janka zdrowie, i oddać nas pod opiekę Boską. Również do niedawna modliła się za męża, który zginął w obozie koncentracyjnym Dachau. Przesłali jej urnę z prochami. Stoi w szafie. Przeczuwałem tylko instynktownie, a nie z przekonania głębokiej wiary w Boga. Nawiedzały mnie dziwne uczucia. Wierzyłem w istnienie Boga i Jego sprawiedliwość, ale nie miałem odwagi błagać o własne życie. Bo cóż trwałego i istotnego mogłem za nie ofiarować Bogu w zamian? Czy może obietnicę, że zostanę księdzem i będę prowadził bezgrzeszne życie? Wiedziałem, że tego nie będę mógł uczynić, bo już za bardzo byłem przesiąknięty życiem doczesnym. Po cóż więc oszukiwać Boga i siebie. Mogłem tylko dziękować



Mu za dotychczasową opiekę i prosić o dalszą, bez żadnych zobowiązań z mojej strony. Przeżyłem 23 lata, z których byłem zadowolony, z wyjątkiem mojego zaniedbania kościoła i religii.

Jeżeli chodzi o sekret mojego przydziału do dobrego komanda to dowiedziałem się od kolegi z mojego miasta, który był już starszym (nie wiekiem ale pobyt w obozie) więźniem i miał możliwość swobodnego poruszania się po obozie (był fryzjerem i strzygł SS-manów), że mój przydział do rolwagi zawdzięczał rodakowi z mojego miasta, nazwiskiem Miłosz, który pracuje w biurze głównej ewidencji, ma wgląd w dokumenty więźniów z przybywających transportów i wpływ na ich przydział do obozowych komand. Prawdopodobnie uważał on, że za moją działalność w akcji podziemnej należy mi się tu jakaś pomoc. Nie przypominam sobie czy Miłosza spotkałem kiedyś osobiście, ale wiem, że interesował się więźniami z naszego miasta, Tomaszowa-Mazowieckiego, gdyż przydzielił nas (6-ciu byłych kolegów gimnazjalnych) do tego samego bloku (nr 12), gdzie spaliśmy na tej samej górnej „buksie”. Z kolegów tych przypominam sobie tylko dwa nazwiska: Kurc i Wiórkowski (syn akuszerki). Miłosz również, kiedy po likwidacji obozów czeskiego i cygańskiego (wszystkich zagazowano i spalono w krematorium) zanosilo się na to, że wszyscy pójdziemy do komory gazowej, „wyselekcjonował” mnie do pierwszego transportu ewakuacyjnego do Buchenwaldu w sierpniu 1944 roku.

Na komandzie przy rolwagach było nas dwunastu: ja, Żyd Jankiel i dziesięciu Rosjan, byłych jeńców wojennych, w tym dwóch oficerów – Sasza i Misza – i jeden Mongoł. Wszyscy byli silnie zbudowani i dobrze odżywieni, należycie przygotowani do ciężkiej pracy. Tylko ja byłem niedożywiony i słaby, ale do pracy przy dyszlu się nadawałem, chociaż czasami nie mogłem go utrzymać. Zaciskałem wtedy zęby i mówiłem sobie, że czuję się dobrze.

Praca przy dyszlu nie była łatwa. Przede wszystkim musiałem sterować rolwagą tak, aby nie „ugrzęzła” w dziurach wyboistej drogi. Rolwaga była ciężka i aby nią kierować potrzeba było wielkiego wysiłku. Jeżeli rolwaga „ugrzęzła”, a zdarzało się to czasami po większym deszczu kiedy kałuże

wody wyrównywały wszystkie dziury i trudno było zgadnąć, gdzie są głębsze dołki, wówczas my przy dyszlu byliśmy za to odpowiedzialni i czuliśmy się naprawdę upokorzeni, gdy nasi towarzysze patrzyli na nas z pogardą. Mieli ku temu powody, bo wyciągnięcie rolwagi z ugrzęźnięcia nie było łatwe. Sama rolwaga była ciężka, a do tego kilka ton ładunku! Czasami wymagało to kilkunastu minut intensywnego wysiłku. I my od dyszla także musieliśmy w tym pomagać. Gdy takich ugrzęźnięć po drodze było kilka, przybywaliśmy do obozu wykończeni, z godzinnym opóźnieniem, a gdy padał deszcz – przemoknięci do suchej nitki. Ale nie mieliśmy innego wyjścia. Gdybyśmy zażądali pomocy, przyszliby SS-mani i zmusili nas siłą do wyciągnięcia rolwagi, czego za wszelką cenę staraliśmy się uniknąć.

Rosjanie dostali się do obozu za ucieczkę z obozu jenieckiego. Mieli oni pewne przywileje, a mianowicie: nosili własne mundury wojskowe, w tym ciepłe kufajki i zakwaterowani byli w baraku przy kuchni. Z Jankielem, który może dlatego tu pracował bo miał niski numer, miałem bliski kontakt i rozumieliśmy się nawzajem. Do „Ruskich” nie miałem zaufania, chociaż w stosunku do mnie nie okazywali nienawiści, a nawet przeciwnie, byli bardzo uczynni – nie pozwalali mi chodzić od magazynu i dźwigać ciężkich worków. Worki trzeba było dźwigać na plecach z magazynu do rolwagi, dystans około 20 metrów. „Usiądź sobie Polaczku, odpocznij, bo ciężko miałeś przy dyszlu, a my sami załadujemy”. Myślałem, że czynią to dlatego, że widzieli na moich plecach jeszcze całkowicie nie zagojone rany z przesłuchania w Gestapo i chcieli mi pomóc. Gdy po pewnym czasie czułem się lepiej i mogłem już dźwigać mniejsze worki, a oni nadal zmuszali mnie abym odpoczywał, wzbudziło to we mnie podejrzenie. Pewnego dnia udałem się z nimi do magazynu z zamiarem przyniesienia do rolwagi 50 kg worka z solą. Gdy wszedłem tam zrozumiałem – Ruscy zamiast po worki udają się w kierunku pótek, na których zmagazynowane były kartony z margaryną, dyskretnie rozrywają kartony i ładują za pazuchy kostki margaryny. Następnie zakrywają dziury tak, aby „włamanie” nie było zauważalne.

Udałem, że tego nie widzę i powoli podszedłem do wor-

ków z solą, wziętem jeden na plecy i zaniósłem do rolwagi. Zdążyłem załadować jeszcze jeden worek udając, że nie widzę, co się wokół mnie dzieje. „Jutro zrobię to samo co oni” – pomyślałem, „ale dzisiaj lepiej nie zaczynać”. Widziałem, że byli zdziwieni, że nie poszedłem po margarynę. Zaobserwowałem zaniepokojenie na ich twarzach. Może myśleli, że ich „zakapuję”, bo przecież mogłem być kapusiem specjalnie w tym celu tu przydzielonym. Przypomniałem sobie jak byli początkowo zdziwieni dlaczego mnie, słabego i nie całkiem zdrowego więźnia, przystali na to komando do ciężkiej pracy. Tłumaczyłem im, że dlatego, że umiem po niemiecku i przy dyszlu praca nie jest ciężka. Może także byli zaniepokojeni tym, że meldując na bramie „Więzień nr 131617 i 11 więźniów po prowiant do magazynu” byłem za nich odpowiedzialny i może będą chciał wywiązać się gorliwie ze swoich obowiązków aby dostać awans na „Kapo”. Kiedy jednak jak zwykle przybyliśmy szczęśliwie do obozu, a ja dałem im do zrozumienia, że mnie nic nie obchodzi, co oni robią, zaczęli mi gratulować, że już mogę dźwigać worki i nawet ofiarowali mi kostkę margaryny.

W pracy przy rolwagach czułem się bezpiecznie. Gdyby nie widok tych naelektryzowanych drutów i wokół panujący smród z krematoriów, czułbym się może tak samo jak na wolności. Miałem zakwaterowanie, jedzenie i możliwą pracę, dobrego „Kapo” i rzadkie kontakty z SS-manami (tylko na bramie). Na bloku miałem również towarzystwo kolegów z mojego miasta. Myślałem często o tym, jak sobie radzą mamusia i brat tam na wolności. Przysyłają mi paczki z cebulą, chlebem i margaryną, a może sami nie mają co jeść. Ja piszę im w listach, że nic nie potrzebuję, ale tak muszą pisać wszyscy więźniowie. Czy oni mogą się domyślać, że właśnie ja piszę prawdę? Z pewnością martwią się o mnie, że ciężko pracuję i umieram z głodu. A ja im tego, że tak nie jest, wyjaśnić nie mogę.

Birkenau – miejsce komór gazowych i krematoriów, miejsce zagłady milionów ludzi, przede wszystkim Żydów (nie ma tu dokładnych danych, ale słyszałem o szacowaniu do 90%) wydaje się być dziwnym miasteczkiem, w którym tak jak na wolności odzwierciedlają się różne kontrasty. Jedni

mają władzę i nadmiar żywności, a drudzy ciężko pracują, żyją w ciągłym strachu i umierają z głodu. Blokowi, pisarze, sanitariusze i „Kapo” (w przeważającej większości z niskimi numerami) stanowią elitę obozową. SS-mani traktują ich tak, jak traktuje się pracowników w prywatnych przedsiębiorstwach. Wymagają od nich sumiennego wywiązywania się ze swoich obowiązków, bezwzględnego posłuszeństwa i uszanowania władzy. Tylko niekiedy, gdy przychodzi inspekcja „z góry” traktują ich jak zwykłych więźniów. Elita obozowa żyje własnym życiem: utrzymuje między sobą kontakty i wzajemnie sobie pomaga. Prowadzi sieć organizacji podziemnych, które utrzymują kontakt ze światem zewnętrznym i uzyskują informacje o tym, co dzieje się na świecie, na terenie obozu, oraz o planach i zamiarach kierownictwa. Ułatwia im to wszystko możliwość „służbowych” kontaktów, które pozwalają na poruszanie się po obozie.

Drugą „uprzywilejowaną” klasą są pracownicy na lepszych komandach na terenie obozu – w kuchni, w magazynach żywnościowych i ubraniowych oraz lokalnych izbach chorych (rewiry) a także na niektórych komandach pozaobozowych, gdzie można kontaktować się z pracownikami spoza obozu. Wszystkie te lepsze komanda powszechnie nazywa się „Kanałą”. Na komandach pozaobozowych, gdzie w pracy miesza się więźniowie z pracownikami cywilnymi z zewnątrz, można na czarno kupić od cywili wódkę, papierosy, kiełbasę itp. i przeschmuglować do obozu na własny użytek lub sprzedać za wyższą cenę. Czarny rynek jak na wolności! A ryzyko? Zależy od szczęścia. Gdy w na chybił trafił przeprowadzanych przy bramie rewizjach SS-mani znajdą schmuglowane towary, a szczególnie wódkę i papierosy, zabierają je dla siebie, a więźniowie dają kilka kijów w tyłek i na tym się kończy. Kiedy przy rewizji jest obecna wyższa władza, numer schmuglera zostaje zapisany i spotyka go później jakaś kara, albo przenoszą go do gorszego komanda.

Byłem zdziwiony, kiedy dowiedziałem się, że w obozie nawet można się „pokochać”, gdy się bardzo chce i ma się odwagę. Po drugiej stronie drogi, która prowadziła do obozu kobiecego, znajdowały się trzy obozy – kwarantanna (A), rodziny żydowskie z transportu z Teresienstadt (B) i rodziny

żydowskie z transportu z Węgier (C). Rodziny w obozach B i C przetrzymywane były tam już od dłuższego czasu, nie wiadomo dlaczego, bo normalnie wszystkie transporty Żydów szły prosto do krematoriów. Jednak w lecie 1944 roku spotkał ich ten sam los; jednej nocy spalono ich w krematorium.

Do obozów tych mieli wstęp za przepustkami pracownicy-fachowcy, zatrudnieni przy naprawach instalacji obozowych i inni w sprawach służbowych. Ale w praktyce przepustki te można było „wypożyczyć” wraz z numerem od upoważnionego fachowca i dostać się do wnętrza obozu. Po co? Nie za szmugłem, ale po to, aby się pokochać z młodymi dziewczynami. Nie była to prostytucja, ale po prostu oddawanie sobie wzajemnych usług seksualnych, których spragnione były zarówno kobiety jak i mężczyźni z męskiego obozu. A że w obozie brak było żywności, należało honorowo za miłosne usługi czymś zapłacić. Zastanawiałem się, czy w tej sytuacji było to grzechem.

Pod koniec wojny na skutek pogarszania się sytuacji Niemiec na froncie wschodnim (klęski pod Stalingradem i nadchodzących wojsk rosyjskich) co mądrzejsi SS-mani zaczęli zdawać sobie sprawę, że Niemcy wojny nie wygrają. W głównym obozie męskim D widoczna była zmiana na lepsze. Przeprowadzane selekcje do krematoriów ograniczono tylko do Żydów. Selekcje odbywały się na niedzielnych apelach. Lekarz obozowy (*Lagerarzt*) zjawiał się jak błyskawica. Krzyk blokowego „Uwaga”, a następnie rozkaz „Wszystcy Żydzi wystąpić”. Występowali. Głos zabierał SS-Lagerarzt: „Wy przekłete psy! Jeszcze was tyłu zostało? Biegiem do rogu baraku i z powrotem. Szybko! Szybciej!” Żydzi biegali tam i z powrotem. Lekarz wskazywał blokowemu dwóch, którzy przybyli na końcu, odwracał się i maszerował do następnego bloku. „Rozejść się” krzyczał blokowy. Koniec. Dwuminutowa selekcja. Blokowy zapisał numery dwóch nieszczęśliwców. Jutro nie pójdą do pracy, przyjedzie po nich i wyselekcjonowanych w pozostałych blokach więźniów karetka i zabierze ich do krematorium. Wszystko odbywa się bez żadnej widocznej emocji. Nawet ci skazańcy udają, że wyrok śmierci nie wywołuje na nich żadnego wrażenia. Wcześniej czy później to musiało się stać.

Ze zbliżającym się fronem wschodnim zwiększa się liczba ucieczek z obozu. Niektóre dobrze zaplanowane początkowo udają się. Gdy ktoś zaginie w pracy natychmiast wyje syrena i rozpoczynają się poszukiwania. Wartownicy z warty zewnętrznej (na wieżyczkach) nie schodzą z posterunku przez trzy dni dlatego, że uciekinier może ukryć się w obrębie posterunków i gdy warta zejdzie ze służby, wyjdzie z ukrycia i przedostanie się poza teren obozu. W dużych szczątkach rozbitych amerykańskich samolotów uciekinier łatwo znajdzie schowek, jak np. w olbrzymiej oponie, tak że nawet SS-mańskie psy nie wywąchają go w tej kryjówce. Ale niestety większość początkowo udanych ucieczek kończy się fiaskiem. Po kilku dniach uciekinier zostaje schwytyany gdy jest już daleko poza obozem, a następnie maszeruje przez bramę obozową z tablicą „Ja jestem z powrotem”, zostaje postawiony na głównym placu tak, aby go wszyscy widzieli i byli świadkami jego egzekucji.

Poza tymi nadzwyczajnymi wydarzeniami jak selekcje i publiczne egzekucje życie w głównym męskim obozie toczy się normalnym trybem. Teraz wszyscy zdają sobie sprawę, że koniec wojny jest bliski, nawet i SS-mani. Ostatnio pozwolili „Kapo” bloku nr 11 (kompania karna), Bednarkowi, na urządzenie gry w piłkę nożną obok jego bloku. Ale na zewnętrznych komandach, poza „Kanadą”, a szczególnie na kwarantannie, wciąż panuje dawny stan rzeczy. Kapo i SS-mani dobijają słabych więźniów, komanda wracają do obozu z kilkunastoma nieboszczykami i więźniowie systematycznie umierają śmiercią „naturalną” z bicia i głodu. Tu panuje inny, „normalny” tryb życia.

A jaka jest sytuacja w krematoriach? Wszystkie cztery pracują bez przerwy przez 24 godziny. Przychodzące transporty muszą czekać na swoją kolejkę aby pójść do rzekomej łaźni. Nocami drogą obok naszego obozu maszerują bez przerwy w kierunku krematorium Żydzi z transportów z krajów bałkańskich. SS-mani gorliwie wywiązują się ze swoich obowiązków znęcając się nad swoimi ofiarami, które przecież i tak wkrótce zginą w komorze gazowej. Piekło na Ziemi. Czy świat nie wie o tym, co się tu dzieje? Może słyszy ale nie chce w to uwierzyć. A może się tym nie interesuje. Przecież to nie front. Lepiej o tym nie myśleć.

Nie chcę, ale myślę o tym w drodze do pracy. Przy rolwagach zaczynamy później, gdy wszystkie zewnętrzne komanda wyjdą do pracy i droga z naszego obozu do magazynu jest wolna. Jesienne słońko świeci już na niebie. To samo słońko, które świeciło gdy wczesnym rankiem wybierałem się na ryby. To samo słońko, ten sam świat ale inne otoczenie ludzkie. Idąc między blokami unikam głównej drogi, aby nie natknąć się na SS-mana, który widząc mój wysoki numer może pod pretekstem, że za wolno ściągnąłem czapkę z głowy aby mu się skłonić, tak dla kaprysu uderzyć mnie nahają. Idę i myślę o tym, co stało się wczoraj. Powieszono dwóch za ucieczkę. Na kwarantannie SS-manowi znów udało się sztuczka z ucieczką więźnia. Rozkazał nowemu nie zorientowanemu w obozowej sytuacji więźniowi, aby zbliżył się do jego posterunku i zobaczył co to jest, co leży tam na ziemi. Gdy więzień się zbliżył SS-man wycelowwał w jego głowę i zabił na miejscu. Za udaremnienie ucieczki dostał kilka dni urlopu. Rano znaleziono na zelektryzowanych drutach ciała kilku więźniów, którym uprzykrzyło się życie i „poszli na druty”. W ubiegłym tygodniu wymieniono „Sondercommando” (obsługa krematoriów), którego kwatery mieszczą się na bloku 13. Było ich 200. Sami Żydzi. Wymieniono – to znaczy zagazowano ich i spalono, a na ich miejsce do roboty przydzielono innych. Takie wymieniania odbywają się co kilka miesięcy.

Cztery krematoria w ubiegłym tygodniu pobiły rekord produkcji. Spaliły 30 tysięcy Żydów. Olbrzymia fabryka śmierci. Współczujemy Żydom i pomagamy im jak możemy, ale nie możemy uratować ich od śmierci. W ubiegłym tygodniu stało się coś nadzwyczajnego, z czego byliśmy zadowoleni, Żydówka z transportu z Bergen-Belzen zastrzeliła zniechęconego SS-mana Schillingera, podobno jego własnym pistoletem.

Dziś idąc do pracy czuję się nieswojo. Wyczuwam, że coś nieprzyjemnego stanie się przy pracy. Może będzie rewizja na bramie i znajdą u Ruskich woreczki z cukrem, ukryte za pasami. Ruscy wyciągają cukier ze 100 kg worków aluminiowymi rurkami do małych płóciennych woreczków, umieszczonych za pasem. Robią to po drodze. Dziurki w workach zatykają kuleczkami z papieru. Jeżeli ich wykryją to

i ja wpadnę, bo jestem za nich odpowiedzialny. Dotychczas rewidowano tylko to, co wieźliśmy na rolwagach, ale może jakiś nowy SS-man na bramie zarządzi osobistą rewizję. A może stało się coś w domu? Może aresztowano brata Janka i znaleziono w komórcie część dokumentów majora Hubala, które myśmy tam zakopali? I wtedy przyjdą po mnie i zabiorą do komory gazowej. Wszystko jest możliwe. Nurtowały mnie złe myśli.

Po przybyciu do pracy zastałem dużą rolwagę gotową na transport. Czekali tylko na mnie. Zbliżałem się do dyszla gdy nagle podbiegł do mnie Jankiel i odwołał na stronę. „Słuchaj Julek, dziś nie mogę jechać z rolwagą, bo w ostatniej chwili „Kapo” zarządził, abym został w kuchni. Jeden z kucharzy zachorował i nie przyszedł do pracy, ja mam go zastąpić. Jestem w kłopotcie, bo mam przygotowaną paczuszkę dla pewnej kobiety, która będzie na mnie tam czekać. Czy chcesz mnie w tym wyręczyć? Ona sama zbliży się do rolwagi gdy wy będziecie zajęci ładowaniem. Zrobisz to dla mnie?” „Oczywiście zrobię, daj mi tę paczkę”. Jankiel wyjął zza pazuchy niewielką paczuszkę a ja ją szybko schowałem pod kapotkę pod prawe ramię. Będę przy dyszlu z lewej strony tak, że prawą ręką opartą na dyszlu przytrzymam ją pod pachą, a po przejściu przez bramę schowam ją za pasek.

Szczęśliwie przejechaliśmy przez bramę i zajechaliśmy pod drzwi magazynu. Kiedy zaczęliśmy ładować prowiant, zza baraku wychyliła głowę kobieta i zaczęła rozglądać się za Jankielem. Dałem jej znak, aby zbliżyła się do mnie. W pobliżu nie było nikogo. Gdy podeszła podałem jej paczkę i powiedziałem, że Jankiel musiał zostać w kuchni. Szybko uciekła za barak. Załadowaliśmy rolwagę i szczęśliwie bez żadnej rewizji przybyliśmy do naszych kuchennych magazynów. Gdy rozładowaliśmy prowiant i usiedliśmy na chwilę, aby odpocząć, nadszedł nasz „Kapo” z SS-manem i zarządził zbiórkę. Stanęliśmy w szeregu nie wiedząc o co chodzi. Ja przypomniałem sobie o paczce i przeszedł mnie dreszcze. Ale szybko się uspokoiłem. Przecież kobieta ją zabrała i wszystko było w porządku. Gdyby ją złapano przysliby od razu do rolwagi. SS-man wystąpił przed szereg i ostrym głosem zapytał:



„Kto z was dostarczył paczkę do żeńskiego obozu?”

Zatrzęsły mi się nogi. Przez kilka sekund zastanawiałem się co robić. Czy się przyznać czy poczekać, bo może złapali ją z paczką ale ona nie wydała mnie i oni się tylko domyślają, że paczkę dostarczyła „rolwaga”. Po kilku sekundach ciszy ponowne pytanie SS-mana:

„Kto dostarczył paczkę – wystąp! Jak winny się nie przyzna, to wszyscy będą bici po tyłku dotąd aż się przyzna!”

Teraz nie miałem innego wyjścia jak tylko się przyznać. Wyszedłem z szeregu.

„A to ten, który ma wszystkich pilnować” – sarkastycznie zaśmiał się SS-man, a następnie dodał: „O godz. 8-mej zameldować się w kuchni”. SS-man odszedł z „Kapo” i coś z nim omawiał, a my usiedliśmy na ławce, Ruscy byli bardzo zdziwieni, bo nie spodziewali się, że ja będę miał odwagę szmuglować paczkę. Przecież nawet bałem się kraść margarynę. Nadbiega przestraszony Jankiel. Gdy mu powiedziałem co zaszło, prawie że rzucił mi się na szyję. „Julku, uratowałeś mi życie, bo gdyby mnie Żyda na tym złapano, to może bym już nie żył”. „Nie myśl o tym więcej Jankiel, takie widocznie było przeznaczenie, abyś jeszcze żył”.

Jankiel szybko wrócił do kuchni a mnie zawołano do małej rolwagi. Przez cały dzień myślałem o tym, co może stać się ze mną wieczorem. Może przywiozą tę babę i razem zawiozą nas do krematorium? Albo będą robić dochodzenie, skąd ukradłem żywność do paczki? Wszystko jedno co się stanie, nie mogę wkopać Jankiela. Wytrzymam tak, jak wytrzymałem na Gestapo. Co ma być – to będzie.

Wieczorem o 8-mej stawiłem się w kuchni. Obecni już byli: SS-man, „Kapo” i dwóch pracowników z kuchni. SS-man rozkazał mi się zameldować, a następnie posłał do końca kuchennej sali. „Stamtąd zaczniemy ’żabkę’”, oświadczył z ironicznym uśmiechem, a następnie rozkazał głośnym głosem: „Skacz!” Zacząłem skakać jak żaba, w przysiadzie, z rękoma wyciągniętymi do przodu. „Szybciej, szybciej! Do przodu, do przodu!” pogaśniał SS-man. Po kilku minutach nogi nie wytrzymały i usiadłem na cementcie. Podszedł do mnie SS-man i donośnym głosem rozkazał „Powstań!” Wstałem. „Skacz dalej, nie udawaj, że nie możesz!” Wydając ten rozkaz kopnął

mnie w pośladek i kilka razy uderzył pałką po plecach. Powstałem i skoczyłem żabką jeszcze kilkanaście razy, i znów się przewróciłem. Ta procedura powtórzyła się jeszcze kilka razy, aż w końcu jak się przewróciłem to już nie wstałem. Byłem kompletnie wykończony. Udaję, że zemdlałem i nie reaguję ani na kopnięcia ani na pałki. Nie otwieram oczu. „Ocućcie go”, słyszę rozkaz SS-mana.

Podbiegli do mnie dwaj pracownicy kuchenni, chwycili za ręce i nogi, a następnie ponieśli przez kilkanaście metrów i rzucili do olbrzymiego kotła napełnionego zimną wodą. Tego się nie spodziewałem, gdyż oczy miałem zamknięte i nie widziałem, gdzie mnie nieśli. Przez moment myślałem, że chcą mnie utopić, gdyż po wrzuceniu do kotła zanurzono mnie pod wodą, a gdy puszczono, pozostawiono w kotle. Kocioł nie był wysoki i łatwo mogłem się z niego wydostać. Ale się nie spieszyłem – chciałem trochę odpocząć. Ale już po chwili słyszę rozkaz SS-mana: „Wychodź szybciej, bo jak nie to ja ci pomogę”. Wyszedłem i oparłem się o ścianę kotła. „Z powrotem na miejsce ćwiczeń!”. I znów żabką, z tą tylko różnicą, że z większymi przerwami i SS-man siedzi na ławce obok „Kapo” nie podnosząc się z miejsca. Chociaż co kilka sekund upadałem, jednak sam podnosiłem się. Wstąpiła we mnie nadzieja, że ćwiczenia przetrzymam. Czułem, że SS-man nie ma zamiaru mnie wykończyć, gdyż nie bił mnie po głowie, ale po plecach i po tyłku. Po kilkunastu minutach SS-man wstał, oświadczył: „Na dziś wystarczy” i odszedł w pośpiechu. „Kapo” także zabierając swoich pracowników udał się do kuchni. Pozostałem sam. Odpocząłem kilka minut, a następnie truchcikiem pobiegłem do mojego bloku, bo było mi bardzo zimno. Tu koledzy dali mi suchą bieliznę, okręcili kocem i położyli spać. Spałem dobrze, tylko gdy przebudziłem się rano bolały mnie mięśnie na plecach i pośladkach. W pracy rano nie było czasu na rozmowę. Rolwaga była gotowa. Ale ja zamiast do dyszla, wpierw poszedłem do „Kapo” i podziękowałem mu, że się za mną wstawił. „Ja nic nie robiłem” odpowiedział „Kapo” udając zdziwienie: „Ale ja wiem, śniło mi się o tym w nocy”. „Kapo” uśmiechnął się skromnie i w pośpiechu udał się do kuchni, a ja do dyszla. Po pracy „towarzysze” i Jankiel zaczęli się wypytywać, czy mnie pytano w

jaki sposób „zorganizowałem” paczkę. „Miałem szczęście. SS-man o nic się nie pytał tylko przeprowadził ze mną gimnastykę. Powiedział, że na dziś wystarczy, ale sądzę, że tylko mnie tak straszyl. Jeżeli dotychczas mnie nie wołają, to znaczy, że wszystko zapomniane”. „Dobrego mamy Kapo”, wtrącił Jankiel. Gdyśmy się rozeszli, Ruscy odwołali mnie na bok i poczęstowali wódką. „Charaszo, Polaczku, jesteś naszym towarzyszem”.

Gdy na początku lata 1944 oddziały rosyjskie dochodziły do Wisły, często po pracy przed rozejściem się do kwater przez kilka minut gawędziliśmy o sytuacji na frontach. Pewnego dnia wyraziłem radość, że już wkrótce powrócę do mojej wolnej Ojczyzny. Byłem zdziwiony kiedy Misza oznajmił: „Nie ciesz się Polaczku, bo tam w twojej ojczyźnie będą inne porządki i my tam będziemy rządzić. Przede wszystkim zaczniemy od tego, że ‘wyrezamy’ wszystkich panoczków”. „A kto jest panoczek?” – spytałem. – „Czy chodziłeś do szkoły?” – „Tak, nawet do gimnazjum”. Gdy to powiedziałem momentalnie ugryzłem się w język, ale było za późno. Po mojej odpowiedzi natychmiast głos zabrał Sasza zwracając się do towarzyszy: „Widzicie, przeklęty (wyrzucił się bardziej niegrzecznie, ale tego papier nie przyjmie) panoczek, a udawał towarzysza. Takich właśnie wyrezamy”.

Zapanowała cisza. Nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć i spuściłem głowę. Jankiel przeprosił, że musi już iść, podniósł się i poszedł w stronę drzwi. Ja z opuszczoną głową bez słowa poszedłem za nim. Gdy następnego dnia przyszedłem do pracy, czekał na mnie Kapo. „Zostałeś przeniesiony do innego komanda, ale tu w obozie”. „Dziękuję”, odpowiedziałem. Domyślałem się, że to Jankiel zameldował Kapo o wczorajszym zajściu i ten natychmiast dla mojego bezpieczeństwa załatwił mi przeniesienie. Jankiel – mądry, uczciwy i grzeczny człowiek. Ciekawe, czy żyje, A jeżeli tak, to może się jeszcze spotkamy, bo mały jest ten świat.

W takich okolicznościach dla mnie skończyła się „Kanada”.

Gdy po pożegnaniu Jankiela, który podszedł do mnie gdy odszedł Kapo szedłem do mojego bloku, zawiął wiatr od krematorium niosąc ze sobą obrzydliwy zapach palonego

ludzkiego tłuszczu. Przypomniał mi się mój pierwszy dzień w obozie. Gdy maszerowaliśmy na kwarantannę przy drodze pracowali robotnicy w pasiastych uniformach. Zapytałem jednego po polsku z nadzieją, że to Polak: „Czy te kominy tam na horyzoncie należą do cegielni czy do jakiejś innej fabryki?” Odpowiedział po polsku obojętnym, zrezygnowanym głosem: „To są kominy, przez które każdy z nas tu przejdzie”.

Dziwiłem się wtedy, co to miało znaczyć.

lipiec 1996

*Julian CHRZANOWSKI*

## POLITYKA NARODOWOŚCIOWA PRL

Krzysztof TARKA

### LITWINI W POWOJENNEJ POLSCE 1944-1950

Po zakończeniu działań wojennych stosunki między Polakami a Litwinami w północno-wschodniej Suwalszczyźnie nie były wolne od napięć. Obciążeniem we wzajemnych relacjach była przeszłość, a pierwsze powojenne lata nie sprzyjały ich poprawie. Prowadzoną wówczas politykę cechowało dyskryminowanie mniejszości narodowych. Litwini poddani zostali presji migracyjnej, pozbawiono ich możliwości kształcenia w języku ojczystym, prowadzenia zorganizowanej działalności społeczno-kulturalnej czy politycznej. (W kraju rządzonym przez komunistów prześladowano zresztą nie tylko „mniejszość” ale i „większość”). Język litewski rugowano również z Kościoła.

*Układ między PKWN a LSSR o obustronnej wymianie ludności (22 IX 1944 r.)*

„Odnowione państwo polskie będzie państwem narodowym” – pisał w programowym artykule ogłoszonym w kwietniu 1943 r. na łamach *Wolnej Polski* Alfred Lampe. Nieba-

wem słowa te stać się miały myślą przewodnią polityki narodowościowej rządzących Polską komunistów. Lampe dodawał: „Ani jedna piędź ziemi polskiej nie może pozostać poza granicami Polski. Nie żądamy też dla siebie ani jednej piędzi ziemi ukraińskiej, białoruskiej czy litewskiej. Wymagamy dla siebie prawa całkowitego zjednoczenia narodowego w ramach własnego państwa i uznajemy prawo Ukraińców, Białorusinów i Litwinów do takiego całkowitego zjednoczenia narodowego”<sup>1</sup>. Przyszła Polska miała być krajem narodowo jednolitym. Nacisk kładli na to zwłaszcza komuniści przebywający w Związku Sowieckim.

Komuniści działający w okupowanym kraju nie akcentowali początkowo jego jednonarodowego charakteru. W pierwszej odezwie programowej PPR ze stycznia 1942 r. podkreślono, iż w nowej Polsce „istnieć będzie równość i braterskie współżycie wszystkich narodowości”<sup>2</sup>. W deklaracji programowej „O co walczyć?” z listopada 1943 r. potwierdzono, iż „Obywatele państwa traktowani są jednakowo, bez względu na ich pochodzenie narodowościowe. Przynależność do narodowości polskiej nie może być przywilejem w odniesieniu do tych mniejszości narodowych, które się znajdują w granicach państwa polskiego”<sup>3</sup>.

Od 1943 r. komuniści, w kraju i ZSSR, na czoło zaczęli wysuwać zasadę o prawie narodów do samostanowienia. Już w pierwszej deklaracji KC PPR z marca tego roku enigmatycznie stwierdzono, iż należy „Włączyć do państwa polskiego wszystkie ziemie polskie – na ziemiach spornych decyduje wola ludności. Uznać zasadę prawa narodów [do] samostanowienia o sobie”<sup>4</sup>.

---

1. A. Marek (A. Lampe), „Miejsce Polski w Europie”, *Wolna Polska* 1943 nr 7 z 16 IV.

2. „Polska Partia Robotnicza. Dokumenty Programowe 1942-1948”, Warszawa 1984, s. 54 (dalej PPR – K.T.). Frazeologia narodowa zajęła naczelne miejsce w publicystyce komunistów. Słowo „naród”, rzadko obecne w dokumentach KPP, stawało się najczęściej używanym: K. Kersten, „Polska – państwo narodowe. Dylematy i rzeczywistość (w: „Narody: Jak powstawały i jak wybijały się na niepodległość”, Warszawa 1989, s. 473-474. W deklaracji KC PPR z I 1942 słowo „naród”, „narodowy” pada aż 26 razy!

3. PPR, s. 156.

4. Tamże, s. 122.

Myśl tę rozwinięto w drugiej deklaracji z listopada 1943 r.: „Na wschodzie, na terenach zamieszkałych od wieków przez etniczną większość ukraińską i białoruską, naród polski, który tak krwawo opłaca własną wolność, uznając zasadę prawa narodów do samostanowienia, nie może odmawiać bratnim narodom ukraińskiemu i białoruskiemu prawa określenia swej przynależności państwowej zgodnie z wolą ludności”<sup>5</sup>. Prawo narodów do samostanowienia komuniści od początku interpretowali jako prawo przyłączenia ziem wschodnich II RP do odpowiednich republik sowieckich<sup>6</sup>.

Niebawem hasło „mniejszości narodowe” zniknęło z dokumentów programowych komunistów. Coraz wyraźniej problematykę narodowościową wiązano z koncepcją zmiany granic i przesiedleniami ludności. W „Manifeście” PKWN deklarowano co prawda przywrócenie „równości wszystkich obywateli bez różnicy rasy, wyznania i narodowości”. Stanowczo podkreślono jednak, iż granica wschodnia „powinna być uregulowana zgodnie z zasadą: ziemie polskie – Polsce, ziemie ukraińskie, białoruskie i litewskie – Radzieckiej Ukrainie, Białorusi i Litwie”<sup>7</sup>.

Jednym z następstw zmian granic państwa polskiego były powojenne ruchy migracyjne. W wysiedleniu mniejszości, pozostałych w nowych granicach, komuniści widzieli ostateczne rozwiązanie problemów narodowościowych. Polska miała być krajem jednonarodowym. Litwini, podobnie jak Białorusini czy Ukraińcy, wyjechać mieli na wschód, do Związku Sowieckiego. Znamienne jest, że jednym z pierwszych posunięć PKWN było podpisanie umów przewidujących przesiedlenia ludności<sup>8</sup>.

Już 22 września 1944 r. Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego podpisał układ z rządem Litewskiej Socjalistycz-

---

5. Tamże, s. 152-153.

6. S. Ciesielski, „Myśl polityczna polskich komunistów w latach 1939-1944”, Wrocław 1990, s. 251.

7. PPR, s. 527-528.

8. K. Kersten, „Narody...” s. 475-476; A. Magierska, „Zewnętrzne ruchy migracyjne jako następstwo zmian granic Polski po II wojnie światowej” (w:) *Zeszyty Naukowe INP (Uniwersytet Warszawski)* 1981, z. 9, s. 45-69.

nej Republiki Rad o obustronnej ewakuacji ludności (wcześniej, 9 września podobne umowy podpisano z władzami sowieckiej Ukrainy i Białorusi). Porozumienie przewidywało ewakuację na Litwę sowiecką „wszystkich obywateli narodowości litewskiej, zamieszkałych w województwie białostockim oraz w innych okręgach Polski”. Z LSSR przesiedleni mieli być wszyscy Polacy i Żydzi, będący obywatelami polskimi przed 17 września 1939 r. Wyjazd miał być dobrowolny. Chęć ewakuowania się mogła być wyrażona ustnie lub pisemnie. Wyznaczono bardzo krótkie terminy. Między 15 października a 1 grudnia 1944 r. przeprowadzić miano rejestrację osób chcących się ewakuować, a przesiedlenie od 1 grudnia 1944 do 1 kwietnia 1945 r. W tak krótkim czasie nie było szans na ewakuację kilkudziesięciu czy nawet kilkuset tysięcy osób, w zdecydowanej większości wileńskich Polaków. Na życzenie jednej ze stron termin ewakuacji mógł być po wzajemnym uzgodnieniu przedłużony, co rzeczywiście nastąpiło. Deklarowano korzystne warunki przemieszczenia, m.in. możliwość wyboru miejsca osiedlenia, anulowanie wszelkich zaległości, zwolnienie od podatków i opłat ubezpieczeniowych za rok 1944 i 1945, udzielenie pożyczki na zagospodarowanie, prawo wywozu majątku ruchomego (do 2 ton na rodzinę), inwentarza żywego, wyposażenia warsztatów. Za pozostawioną ziemię i nieruchomości przesiedleńcy otrzymać mieli odszkodowanie. Na terenie objętym ewakuacją każda ze stron powoływała swego przedstawiciela głównego oraz pełnomocnika głównego (polskiego na Litwie i litewskiego w Polsce), rezydujących w Sejnach i Wilnie. Nad realizacją układu czuwać mieli pełnomocnicy rejonowi. Na terenie Polski ich siedziby znajdowały się w miejscach zamieszkania ludności litewskiej: w Sejnach, Puńsku, Berżnikach, Smolanach i Widugierach<sup>9</sup>.

Według danych Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w latach 1945-1947 z LSSR przesiedlono ogółem 197 156 osób: w tym 177 814 Polaków (90,2 proc.), 16 958 Żydów (8,6 proc.) i 2384 (1,2 proc.) osób innej narodowości<sup>10</sup>.

---

9. Tekst układu m.in.: CA MSW, PKWN 5 k.1-8.

10. J. Czerniakiewicz, „Repatriacja ludności polskiej z ZSRR 1944-1948”, Warszawa 1987, s. 58-59.



Trudno obecnie ustalić ilu wśród nich mogło być Litwinami. Prawdopodobnie niewielu, gdyż małżeństwa polsko-litewskie należały do rzadkości (przeważali zapewne Białorusini). Nieco odmienne (niższe ogółem o 26 tys.) są dane strony litewskiej. Według nich do Polski przesiedlono 171 158 osób: w tym 98,6 proc. Polaków, 1,4 proc. Żydów i zaledwie 52 osoby innej narodowości<sup>11</sup>. Trudno również ustalić dokładną liczbę Litwinów ewakuowanych z Polski. Nie były to jednak wielkości znaczące. Ze względu na niewielką liczbę Litwinów żyjących w nowych granicach Polski problem transferu ludności litewskiej „praktycznie nie istniał”<sup>12</sup>.

Litwini byli zdecydowanie negatywnie usposobieni do wyjazdu na wschód. Od pokoleń żyjąc „na swoim” nie chcieli opuszczać swych domostw i stron rodzinnych. Czynnikiem nie bez znaczenia było to, iż w rzeczywistości wyjechać mieli do Związku Sowieckiego, a nie na niepodległą Litwę. Jerzy Sztachelski, pełniący obowiązki wojewody białostockiego, sygnalizując antypolskie nastawienie ludności litewskiej, w końcu listopada 1944 r. zaproponował w miejsce wymiany obszarów przygranicznych (kilka gmin zamieszkałych przez Litwinów w zamian za sąsiednie tereny z ludnością polską). Tym sposobem rozwiązano by ostatecznie problem litewski<sup>13</sup>. Propozycja wojewody, choć nie została podjęta przez Resort Administracji Publicznej PKWN, potęgowała atmosferę tymczasowości i niepewności. Nie było dostatecznie jasne, jaki zasięg będzie miała ewakuacja ludności litewskiej, czy użyte zostaną środki przymusu, a może zmianie ulegnie dotychczasowa granica?

Dominowało przekonanie, iż wysiedlenia obejmą wszystkie osoby spośród mniejszości narodowych zamieszkałych na

---

11. N. Kariukstyte, „Vilniaus krasto gyventoju sudeties pokyciai 1939-1946” (w:) *Lietuvos rytai*, Vilnius 1993, s. 292-293.

12. K. Kersten, „Przemiany struktury narodowościowej Polski po II wojnie światowej. Geneza i wyniki, *Kwartalnik Historyczny* 1969 nr 2, s. 358; E. Kołodziej, „Polityka Rządu RP w Warszawie wobec repatriacji i reemigracji obywateli polskich z ZSRR w latach 1944-1948”, *Komunikaty Warmińsko-Mazurskie* 1994 nr 2-3, s. 320.

13. CA MSW, MAP 7, k. 3a, „Sprawozdanie sytuacyjne wojewody białostockiego z 29 XI 1944 r.”.

Białostoczczyźnie. Świadczyły o tym działania „zabezpieczające”, podjęte przez wojewodę. Na początku 1945 r. starosta suwalski (z polecenia Sztachelskiego) wydał okólnik nakazujący rejentom niedokonywanie umów kupna – sprzedaży nieruchomości (budynków) osobom narodowości białoruskiej, ukraińskiej i litewskiej, „gdyż do ich siedlisk przybędą Polacy spoza linii Curzona”<sup>14</sup>.

Nieuregulowana sytuacja polityczna, niechętny stosunek Litwinów do wyjazdów, wpłynęły na niedotrzymanie pierwotnych terminów przesiedleń. Do organizacji rejonowych przedstawicielstw do spraw ewakuacji ludności litewskiej strona polska przystąpiła dopiero w początkach lutego 1945 r. W terenie dochodziło też do sporów między przedstawicielami rejonowymi a lokalną administracją. Podczas wojewódzkiej odprawy starostów powiatowych w Białymstoku w dniu 13 lutego 1945 r. Wacław Kraśko, starosta suwalski, skarżył się, iż na podległym mu terenie „Komitety do spraw ewakuacji ludności litewskiej organizowane są bez porozumienia ze starostwem”<sup>15</sup>.

Pełnomocnicy strony litewskiej na Suwalszczyznę dotarli w końcu lutego. Do ich obowiązków należało rozlepienie obwieszczeń informujących o możliwości i warunkach ewakuacji. Na podstawie osobistych zgłoszeń mieli ustalić personalia oraz liczbę chcących wyjechać. W ciągu 10 dni gotowe spisy należało dostarczyć głównemu pełnomocnikowi i przedstawicielowi strony polskiej. Po zatwierdzeniu przez obie strony przystąpić miano do ewakuacji ludności<sup>16</sup>. Po przybyciu delegacji ponownie pojawiły się głosy jakoby część Suwalszczyzny, zamieszkała przez ludność litewską, miała być przyłączona do Litwy sowieckiej<sup>17</sup>.

---

14. Archiwum Państwowe w Białymstoku, Urząd Wojewódzki Białostocki 1944-1950 (dalej AP B – K.T.) 62, k.13, Protokół odprawy starostów powiatowych z 13 II 1945 r.

15. Tamże, k. 12; AP B 180, k.7, Sprawozdanie starosty suwalskiego za luty 1945 r.

16. Uprawnienia pełnomocników głównych i przedstawicieli głównych normował artykuł 9 układu z 22 IX 1944 r. Dalszą procedurę określały artykuły 10-14: CA MSW, PKWN 5, k. 4-6.

17. AP B 180, k.7, Sprawozdanie starosty suwalskiego za luty 1945 r.

Mimo akcji propagandowej nie ulegał zmianie niechętny stosunek Litwinów do ewakuacji. W początkach kwietnia 1945 r. Sztachelski informował Ministerstwo Administracji Publicznej, iż Litwini „wrogo ustosunkowują się do ewakuacji, zrywając plakaty obwieszczające o niej i umieszczając wrogie Polsce i Polakom napisy”<sup>18</sup>.

Podobnie sytuację oceniał nowy wojewoda białostocki, Stefan Dybowski (w maju 1945 r. Sztachelski został ministrem aprowizacji). Za najlepszą metodę rozwiązania problemów narodowościowych uznał on przesiedlenia ludności. Władze lokalne (wojewoda i starosta) dążyły do maksymalnego rozszerzenia przesiedleń<sup>19</sup>. Celem miało być stworzenie z Polski państwa jednonarodowego.

Presja migracyjna, jaką wywierano na Litwinów sprawiła, iż uwidoczniła się wśród nich tendencja do zmiany narodowości. Znaczna część ludności litewskiej podawała polską narodowość. Ten swoisty parasol ochronny zabezpieczać miał przed przesiedleniem na wschód. Ciągłe obawiano się też zastosowania środków przymusu. Ewakuacja zachowała jednak dobrowolny charakter. Litwini w dalszym ciągu nie zdradzali chęci wyjazdu, pozostając na terenie przygranicznych gmin. W tej sytuacji w czerwcu 1945 r. polska i litewska komisja ewakuacyjna zaprzęstały działalności. Ewakuacja, która miała rozwiązać problem litewski nie spełniła pokładanych w niej nadziei. Wobec zdecydowanie negatywnego stanowiska ludności litewskiej jej rezultaty były bardzo skromne. Do 1 maja 1945 r. wyjechały zaledwie 3 osoby narodowości litewskiej z Ciechanowca i 15 osób (5 rodzin) z Sejnu<sup>20</sup>. We wrześniu tego roku ewakuowano jeszcze 2 Litwinów z Łodzi<sup>21</sup>.

---

18. CA MSW, MAP 40, k.9, Sprawozdanie wojewody białostockiego za marzec 1945 r.

19. Tamże, k. 121, Sprawozdanie wojewody białostockiego za sierpień 1945 r. Zob. też E. Mironowicz, „Białorusini w Polsce 1944-1949”, Warszawa 1993, s. 146.

20. CA MSW, MAP 40, k.52a, Sprawozdanie wojewody białostockiego za czerwiec 1945 r.

21. Tamże, k.154, Sprawozdanie wojewody białostockiego za wrzesień 1945 r.

6 lipca 1945 r. przedstawiciele TRJN i rządu sowieckiego podpisali w Moskwie umowę „o prawie obywatelstwa radzieckiego osób narodowości polskiej i żydowskiej mieszkających w ZSRR i o ich ewakuacji do Polski i o prawie zmiany obywatelstwa polskiego osób narodowości rosyjskiej, ukraińskiej, białoruskiej, rusińskiej i litewskiej mieszkających na terytorium Polski i o ich ewakuacji do ZSRR”<sup>22</sup>. Umowa (podobnie jak układy podpisane przez PKWN we wrześniu ubiegłego roku) zakładała pełną dobrowolność przesiedlania się. Dawła możliwość wyjazdu Polakom, którzy znaleźli się na terenie Związku Sowieckiego, poza trzema przygranicznymi republikami. Ponownie otwierała również sprawę ewakuacji Litwinów. Chętnych od wyjazdu na wschód i tym razem jednak nie było.

W połowie października 1945 r. wojewoda Dybowski deklarował, iż będzie dążył do tego by wszyscy Litwini zamieszkali na Białostocczyźnie skorzystali z możliwości przesiedlenia się na Litwę<sup>23</sup>. Świadczyło to o marzeniach i intencjach administracji wojewódzkiej. Ewakuacja *de facto* została już jednak zakończona.

Powojenna migracja Litwinów miała dwukierunkowy charakter. Jeśli tylko nieliczni wyjeżdżali na Litwę sowiecką, to zdecydowanie więcej przybywało zza wschodniej granicy. Kilka tysięcy osób narodowości litewskiej, wysiedlonych w 1941 r. przez Niemców z Suwalszczyzny na Litwę, po zakończeniu działań wojennych samorzutnie („nielegalnie”) powróciło do swych dawnych miejsc zamieszkania. Nie mogli oni skorzystać z postanowień układu z 22 września 1944 r. (prawo do ewakuacji z LSSR do Polski przysługiwało jedynie Polakom oraz Żydom, posiadającym obywatelstwo polskie i ich najbliższej rodzinie). Wojewoda białostocki, Jerzy Sztachelski szacował, iż do końca listopada 1944 r. w ślad za Armią Czerwoną przybyło około 3 tys. osób narodowości litewskiej<sup>24</sup>. Dziewięć miesięcy później jego następca, Stefan Dybowski,

---

22. Tekst umowy TRJN-ZSSR: AAN, Generalny Pełnomocnik Rządu RP d/s Repatriacji 1, k. 16-18.

23. CA MSW, MAP 40, k.154, Sprawozdanie wojewody białostockiego za wrzesień 1945 r.

24. CA MSW, MAP 7, k.3a, Sprawozdanie wojewody białostockiego z 29 XI 1944 r.

pisał o „przeszło 5 tys.” Litwinów, którzy powrócili na Suwalszczyznę<sup>25</sup>. Żywiołowe powroty Litwinów przyczyniały się do wzrostu napięcia w stosunkach z ludnością polską.

### *Stosunki między Polakami a Litwinami na Suwalszczyźnie*

Na przełomie lipca i sierpnia 1944 r. wojska 3 Frontu Białoruskiego opanowały niemal całą Suwalszczyznę. 23 lipca oddziały sowieckie zajęły Berżniki, 31 lipca – Sejny, 2 sierpnia – Puńsk, 4 sierpnia – Krasnopol<sup>26</sup>.

Według lokalnych władz (starostwa suwalskiego) Litwini byli wrogo ustosunkowani do Polaków i państwa polskiego. Zachowywali bierny opór wobec zarządzeń lokalnej administracji (bojkotowali akcję poborową, niektórzy posiadali broń)<sup>27</sup>.

Za sprawę najważniejszą uważano uregulowanie „nielegalnej” imigracji Litwinów, wysiedlonych w okresie okupacji przez Niemców na Litwę. W 1944 i 1945 r. część z nich wróciła na swe byłe gospodarstwa. Często zajmowali je już Polacy. Spory między dawnymi i nowymi właścicielami nakładały się na konflikt między obu narodowościami, pogłębiając wzajemny antagonizm<sup>28</sup>.

Burmistrz Sejn, Józef Śmigielski, już w sierpniu 1944 r. przestrzegał przybyszów z Litwy przed samowolnym zajmowaniem swoich byłych gospodarstw. Podkreślił, iż „osoby odporne będą [przymusowo – K.T.] ewakuowane”<sup>29</sup>. W początkach

---

25. CA MSW, MAP 40, k.87, Sprawozdanie wojewody białostockiego za lipiec 1945 r.

26. H. Majecki, „Pierwsze lata władzy ludowej w sejneńskim (1944-1947) (w:) Materiały do dziejów ziemi sejneńskiej”, t. 2, pod red. J. Jaskanisa, Warszawa 1975, s. 376.

27. AP B 179, k.6, Sprawozdanie starosty suwalskiego za październik 1944 r.; tamże, k.15, Sprawozdanie starosty suwalskiego za listopad 1944 r.

28. CA MSW, MAP 7, k.3a, Sprawozdanie wojewody białostockiego z 29 XI 1944 r.

29. Archiwum Państwowe w Suwałkach (dalej AP S – K.T.), Urząd Miejski w Sejnach 25, k.1, Burmistrz Sejn do wszystkich wójtów powiatu z 19 VIII 1944 r.

września 1944 r. tymczasowy starosta suwalski, Stanisław Łapot, zamierzał usunąć poza linię demarkacyjną Litwinów przybywających w ślad za Armią Czerwoną na Suwalszczyznę. Nie dysponował jednak żadnymi środkami. Próba spotkała się również z protestem lokalnego dowództwa sowieckiego<sup>30</sup>.

W połowie stycznia 1945 r. burmistrz Sejn sporządził wykaz 22 osób („obywateli litewskich”) przybyłych przez „zieloną granicę”, przeznaczonych do wysiedlania. 14 spośród nich podawało się za Polaków, a 8 za Białorusinów (w 1941 r. zostali wysiedleni jako Litwini). Po powrocie na Suwalszczyznę zostali członkami organizującej się właśnie w Sejnach komórki PPR. Interweniujący w ich obronie u starosty członkowie Komitetu Miejskiego PPR w Sejnach podkreślili: „Wysiedlenie w obecnym czasie z granic państwa polskiego tych Polaków byłoby niedorzecznością”<sup>31</sup>.

Wielu Litwinów wysiedlonych w czasie wojny nie wracało jednak na swe były gospodarstwa. Jesienią 1944 r. starosta suwalski szacował, iż na terenie gminy Sejwy znajdowały się 124 opuszczone gospodarstwa politewskie o łącznej powierzchni ponad 700 ha. W sąsiedniej gminie Krasnowo było 152 takich gospodarstw (ponad 1,3 tys. ha)<sup>32</sup>. Dane te wydają się niepełne. Już bowiem w styczniu następnego roku okazało się, że tylko na terenie gminy Krasnowo znajdowało się 425 gospodarstw politewskich (3,5 tys. ha)<sup>33</sup>. W czerwcu 1947 r. na terenie starostwa suwalskiego (gminy Krasnowo, Zaboryszki, Sejwy, Berzniki, Kadaryszki, Krasnopol i Wizajny) było ogółem 645 opuszczonych gospodarstw politewskich o łącznej powierzchni 5468 ha (183 z nich – 1245 ha –

---

30. Tamże, k.3, Pełnomocnik białostockiej WRN s. Łapot do wszystkich wójtów gmin powiatu suwalskiego z 8 IX 1944 r. Zob. też: CA MSW, MAP 7, k.3a, Sprawozdanie wojewody białostockiego z 29 XI 1944 r.

31. AP S, Bezpieczeństwo i porządek publiczny 71, k.7, Wykaz obywateli litewskich przeznaczonych do wysiedlenia na Litwę (burmistrz Sejn do starosty suwalskiego) z 17 I 1945 r.; tamże, k.9 Komitet Miejski do starosty suwalskiego z 19 I 1945 r.

32. AP B 179, k.9, Sprawozdanie starosty suwalskiego za październik 1944 r.

33. AP B 180, k.3, Sprawozdanie starosty suwalskiego za styczeń 1945 r.

znajdowało się w dzierzawie, pozostałe leżały odłogiem)<sup>34</sup>.

Starosta suwalski, Wacław Kraśko, uważał, iż powracających Litwinów należy traktować jako obywateli obcego kraju, nielegalnie przekraczających granicę Polski. Twierdził, że w 1941 r. dobrowolnie wyjechali na Litwę i zrzekli się polskiego obywatelstwa. Nie uznawał również ich roszczeń do pozostawionych gospodarstw. Sugerował, iż mogą zasilać oddziały zbrojne („bandy”) działające na terenie powiatu suwalskiego. W połowie 1945 r. „uregulowanie sprawy litewskiej” starosta uważał za kluczowe zagadnienie na podległym mu terenie. Kraśko opowiadał się za zdecydowanymi działaniami. Domagał się powstrzymania napływu Litwinów i przymusowego wysiedlenia tych, którzy już powrócili do swych gospodarstw. W tej sprawie interweniował u komendanta wojennego oraz w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego. Zabiegi te nie przyniosły rezultatu. Starosta zarzucał nawet suwalskiemu UB bierność i wyczekiwanie w sprawie litewskiej<sup>35</sup>.

Z jego opinią w pełni zgadzał się wojewoda Dybowski. W sierpniu 1945 r. alarmował, iż stosunek Litwinów do ludności polskiej „stale pogarsza się”. Zarzucał powracającym na swe gospodarstwa Litwinom, iż dokonywali samowolnych rozbiórów domów mieszkalnych, stodoł, zabierali nowym właścicielom (Polakom) zasiewy. Wojewoda, podobnie jak starosta, był zwolennikiem zdecydowanych działań<sup>36</sup>.

28 sierpnia 1945 r. przekonywał Ministerstwo Administracji Publicznej, iż „obywateli LSSR”, przekraczających nielegalnie granicę Polski, należy „zatrzymywać, osadzać w areszcie i odstawiać do granicy, jako przestępców politycznych”<sup>37</sup>.

---

34. AP S, Starostwo Powiatowe Suwalskie 114, k.1, Wykaz opuszczonych gospodarstw politewskich, porosyjskich, pożydowskich i poniemieckich.

35. AP B 180, K.13a, 15 Sprawozdanie starosty suwalskiego za czerwiec 1945 r.

36. CA MSW, MAP 40, k.87, Sprawozdanie wojewody białostockiego za lipiec 1945 r.

37. CA MSW, MAP 298, k.6, Wojewoda białostocki do MAP z 28 VIII 1945 r.

W ministerstwie zaaprobowano „twardą” linię wojewody. Litwinów przechodzących granicę, bądź przyjeżdżających transportami „repatriacyjnymi” przy pomocy sfałszowanych dokumentów ewakuacyjnych jako Polacy, nakazywano zatrzymywać, odstawiać do granicy i oddawać do dyspozycji władz sowieckich, jako zbiegów z ZSSR. Opowiadano się również za tym, by wszyscy Litwini, pozostający na terenie województwa białostockiego, skorzystali z umowy zawartej między TRJN a rządem sowieckim 6 VII 1945 r. (jako obywatele polscy narodowości litewskiej mogli ubiegać się o zmianę obywatelstwa i ewakuować się do ZSSR)<sup>38</sup>.

Wobec bierności UB starosta i wojewoda za konieczne uznawali obsadzenie granicy na odcinku „litewskim” przez wojsko polskie, co zahamuje falę powrotów oraz utrudni przekraczanie granicy oddziałom zbrojnym z Litwy<sup>39</sup>.

W początkach września 1945 r. Kraśko wskazując na wagę problemu litewskiego przypominał, iż sprawa „obywateli litewskich” nie została dotąd uregulowana. W dalszym ciągu zdarzały się zatargi pomiędzy ludnością polską a powracającymi Litwinami. Starosta ponownie zarzucił PUBP w Suwałkach, iż „wobec tej kwestii nie przyjął żadnych środków zapobiegawczych”<sup>40</sup>.

Wojewoda wzmocniony stanowiskiem władz centralnych 19 września 1945 r. żądał od kierownika Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Białymstoku „stanowczego i bezkompromisowego” ustosunkowania się do powracających Litwinów. Poleciał ich „aresztować, osadzać w areszcie i odstawiać do granicy, jako przestępców”<sup>41</sup>.

Nie uregulowana pozostawała również sprawa granicy.

---

38. Tamże, k. 7 MAP do wojewody białostockiego z 13 IX 1945 r.

39. CA MSW, MAP 40, k.121, Sprawozdanie wojewody białostockiego za sierpień 1945 r.; AP B 62, k.38 Odprawa starostów powiatowych z 5 IX 1945 r.; AP B 180, k.21, Sprawozdanie starosty suwalskiego za sierpień 1945 r.; także, k.58, Sprawozdanie starosty za grudzień 1945 r.; AP B 277, k.10a, Sprawozdanie starosty suwalskiego za luty 1946 r.

40. AP B 180, k.21, Sprawozdanie starosty suwalskiego za sierpień 1945 r.

41. CA MSW, MAP 298, k.10, Wojewoda białostocki do kierownika WUBP w Białymstoku z 19 IX 1945 r.



Wydaje się, iż Litwini w sposób zwarty mieszkający na przygranicznym obszarze stanowić mieli dla władz sowieckich argument na rzecz przyłączenia go do Litwy sowieckiej. Kilkakrotne interwencje starosty i wojewody w UB na niewiele się zdały. W sprawozdaniu za październik 1945 r. Kraśko ponownie alarmował swego zwierzchnika: „Obywatele litewscy w dalszym ciągu nielegalnie pozostają na gospodarstwach, a Urząd Bezpieczeństwa na moją interwencję odpowiedział, że w dalszym ciągu przeprowadza rejestrację. Żadnych kroków celem usunięcia obcego elementu nie przedsięwzięli”<sup>42</sup>. Podobną opinię powtórzył miesiąc później: „Sprawa przebywania na terenie tutejszego powiatu kilku tysięcy Litwinów nastawionych szowinistycznie i wrogo do Rządu dotąd przez UBP w Suwałkach nie została rozwiązana”<sup>43</sup>.

Pomimo wyraźnych dyrektyw wojewody, suwalska „bezpieka” w dalszym ciągu bagatelizowała „zagrożenie” litewskie. Dla pracowników UB i ich sowieckich doradców wrogiem, którego należało zwalczać w pierwszym rządzie była „Polska Podziemna”. Niejasne są też intencje Sowietów w kwestii granicy. Wojewoda konsekwentnie domagał się większej aktywności PUBP w Suwałkach wobec Litwinów „nielegalnie” przekraczających granicę. W styczniu 1946 r. ponownie interweniował w tej sprawie w WUBP w Białymstoku. Powtórzył znaną już dyrektywę: Litwinów należało zatrzymywać, odstawiać do granicy i oddawać do dyspozycji władzom sowieckim, jako zbiegłych z ZSSR<sup>44</sup>.

Wobec małej aktywności UB w połowie lutego 1946 r. wojewoda „dla zahamowania napływu destrukcyjnego elementu litewskiego” ponownie nalegał na obsadzenie granicy przez Wojska Ochrony Pogranicza<sup>45</sup>. Jednostki WOP przyby-

---

42. AP B 180, k.34, Sprawozdanie starosty suwalskiego za październik 1945 r.

43. Tamże, k.47, Sprawozdanie starosty suwalskiego za listopad 1945 r.

44. AAN, MAP 784, k.27, Wojewoda białostocki do WUBP w Białymstoku z 21 I 1946 r.

45. CA MSW, MAP 41, k.4, Sprawozdanie wojewody białostockiego za styczeń 1946 r.

ły ostatecznie w marcu. Ich funkcjonowanie pozostawiało jednak wiele do życzenia. W ocenie starosty suwalskiego: „WOP wskutek całkowitego braku dyscypliny, wykształcenia oraz małej liczebności nie spełnia powierzonego zadania ochrony granic i nie zapewnia spokoju i porządku publicznego w pasie przygranicznym”<sup>46</sup>.

Granice w dalszym ciągu przekraczały oddziały partyzanckie. Nie prowadziły one akcji zbrojnych, a po krótkim odpoczynku w bazach na terenie Suwalszczyzny powracały na Litwę. Biegła tędy również trasa kurierska, łącząca litewskie podziemie z emigracją na Zachodzie<sup>47</sup>.

### *Delimitacja granicy*

16 sierpnia 1945 r. premier Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej Edward Osóbka-Morawski oraz zastępca przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych i Ludowy Komisarz Spraw Zagranicznych ZSSR Wiczesław Mołotow podpisali w Moskwie umowę graniczną między obu państwami. Granica, jak ustalili przywódcy Wielkiej Trójki w Jałcie, przebiegała wzdłuż „lini Curzona” z odchyleniami od niej na rzecz Polski w niektórych rejonach od 5 do 8 kilometrów. Po ratyfikacji umowy przeprowadzenie rozgraniczenia w terenie przekazano wspólnej komisji polsko-sowieckiej<sup>48</sup>.

Członkowie mieszanej komisji delimitacyjnej przybyli na Suwalszczyznę w końcu czerwca 1946 r. Ich zadaniem było szczegółowe opisanie granicy na odcinku „litewskim”. Przyjazd komisji ożywił pogłoski o przyłączeniu wschodniej Suwalszczyzny do ZSSR. Starął się im przeciwdziałać nowy starosta suwalski, Karol Mancewicz, ale i tak wśród ludności wybuchła panika<sup>49</sup>.

---

46. AP B 277, k.18, Sprawozdanie starosty suwalskiego za marzec 1946 r.

47. Rozmowa z J.S. Forencwiczem.

48. „Sprawa polska w czasie drugiej wojny światowej na arenie międzynarodowej. Zbiór dokumentów”, Warszawa 1965, s. 765-767.

49. AP B 277, k.36, Sprawozdanie starosty suwalskiego za marzec 1946 r.

Plotki rzeczywiście okazały się przesadzone. W lipcu mieszana, polsko-sowiecka komisja delimitacyjna dokonała szeregu drobnych poprawek granicy, pozostawiając jednak jej ogólny zarys bez zmian (odchylenia sięgały w głąb od 10 do 150 m.). Większych zmian (w porównaniu z granicą z 1939 r.) dokonano tylko na terenie gminy Giby. Polska utraciła pas ziemi długości 16 km i szerokości 13 km. W większości był to teren zalesiony i bagienny, zamieszkały jednak przez ludność polską. Obszar ten Sowietci zajęli już jesienią 1944 r., zaraz po wkroczeniu Armii Czerwonej. Prace związane z opisaniem nowej granicy zakończono ostatecznie w listopadzie 1946 r.<sup>50</sup>. Wytyczenie linii granicznej kończyło stan pewnej tymczasowości na Suwalszczyźnie.

### *„Obywatele sowieccy”*

W końcu lipca 1946 r. starosta Mancewicz (na żądanie wojewody białostockiego) przedstawił spis osób zamieszkałych na terenie powiatu suwalskiego, nie posiadających obywatelstwa polskiego, bądź których obywatelstwo polskie było wątpliwe. Na 658 osób, ujętych w zestawieniu, 404 były narodowości litewskiej<sup>51</sup>.

Po ostatecznym wytyczeniu granicy na odcinku „litewskim” zauważalna była zmiana taktyki Sowietów. Dopiero gdy okazało się, że tereny zamieszkałe przez ludność litewską pozostaną ostatecznie przy Polsce strona sowiecka zaczęła uważać Litwinów wysiedlonych w 1941 r. przez Niemców, powracających po zakończeniu działań wojennych na swe byłe gospodarstwa, za swych obywateli, domagając się wysiedlenia ich do ZSSR. W tym celu w listopadzie 1946 r. na teren powiatu suwalskiego przybyła specjalna sowiecka komisja wojskowa. Sporządzała ona spisy „obywateli sowieckich”.

---

50. Tamże, k.44, Sprawozdanie starosty suwalskiego za lipiec 1946 r.; AAN, PUR V/46, k.30-30a, Sprawozdanie Rejonowego Pełnomocnika d/s delimitacji granicy na terenie pow. suwalskiego z 30 XI 1946 r.

51. AP B 687, k.25-48, Pismo starosty suwalskiego do wojewody białostockiego z 27 III 1946 r. wraz ze spisem osób.

Starosta Mancewicz informował wojewodę, iż „Litwinów tych ZSSR ma zabrać w najbliższych tygodniach, jako swoich obywateli”<sup>52</sup>. Starosta został też zobowiązany do „okazania wszechstronnej pomocy” wojskowej komisji sowieckiej. Czesław Matejko, Naczelnik Wydziału Społeczno-Politycznego w Urzędzie Wojewódzkim, nakazał mu: „W szczególności przedłożyć wszystkie posiadane przez starostwo i urzędy gminne spisy podanych osób i inne dane”<sup>53</sup>.

Sprawę wysiedlenia „obywateli sowieckich” uregulowano niebawem na szczeblu centralnym. 23 listopada 1946 r. szefowie trzech ministerstw: Administracji Publicznej, Ziem Odzyskanych i Bezpieczeństwa Publicznego wydali zarządzenie w sprawie wysiedlenia do ZSSR obywateli sowieckich, przebywających nielegalnie w Polsce. Wysiedleniu podlegały osoby, które na terytorium Polski znalazły się w związku z działaniami wojennymi (powracający z przymusowego pobytu w Niemczech, zdemobilizowani żołnierze Armii Czerwonej, byli jeńcy wojenni itp.) oraz wszyscy Rosjanie, Białorusini, Ukraińcy, Rusini i Litwini, „którzy przed dniem 17 września 1939 r. posiadali obywatelstwo polskie, a zamieszkiwali na ziemiach wschodnich, odstąpionych ZSSR”. Całością akcji wysiedleńczej na terenie Polski kierował Pełnomocnik do Spraw Repatriacji Obywateli Radzieckich. Wspomagała go administracja terenowa oraz PUR, MO, UB. Osoby podlegające wysiedleniu kierowane były do punktów zbornych (dla województwa białostockiego utworzono je w Suwałkach, Kuźnicy i Sokółce) skąd po weryfikacji odsyłano je do centralnego obozu w Wołowie<sup>54</sup>.

Jeśli trzymać się litery zarządzenia z 23 listopada 1946 r.,

---

52. AP B 492, k.31, Sprawozdanie starosty suwalskiego za listopad 1946 r.

53. AP B 687, k.63 Pismo Naczelnika Wydziału Społeczno-Politycznego B.C. Matejki z 2 XI 1946 r.

54. AAN, MAP 784, k.32-32a, Zarządzenie z 23 XI 1946 r. ministrów Administracji Publicznej, Ziem Odzyskanych i Bezpieczeństwa Publicznego w sprawie wydalania obywateli radzieckich przebywających nielegalnie w Polsce do ZSSR. Zob. też: F. Kusiak, Wysiedlanie osób uznanych za obywateli ZSRR z ziem zachodnich i północnych Polski w latach 1946-1950, *Sobótka* 1995 nr 1-2, s. 59-68.

to Litwini powracający na swe gospodarstwa nie podlegali wysiedleniu, jako obywatele sowieccy. Przed 17 września 1939 r. posiadali bowiem obywatelstwo polskie i mieszkali na terenach, które nie zostały przyłączone do ZSSR. Komisja sowiecka, a także wojewoda i starosta suwalski interpretowali jednak zarządzenie inaczej. Białostockie władze zresztą już wcześniej opowiadały się za wysiedleniem Litwinów do Związku Sowieckiego.

23 grudnia 1946 r. wojewoda białostocki, Stefan Dybowski, wydał zarządzenie w sprawie wysiedlenia do ZSSR wszystkich cudzoziemców przebywających nielegalnie na podległym mu terenie (za takich uważano m.in. Litwinów wysiedlonych w 1941 r.). Akcję przeprowadzić miano już 27 grudnia. Starosta suwalski od dawna oczekiwał takich dyrektyw. Wykazując się nadgorliwością do działań przystąpić chciał już w dniu otrzymania pisma, (cztery dni przed planowanym terminem). Wysiedlenia nie przebiegały zgodnie z oczekiwaniami organizatorów. Zimą zapewne trudno było dotrzeć do wielu litewskich gospodarstw. Pracownicy UB i milicja zaabsorbowani byli przede wszystkim zbliżającymi się wyborami do sejmu: „Z uwagi na trudności techniczne pozostające w związku z akcją wyborczą – raportował 4 stycznia 1947 r. starosta – organa bezpieczeństwa zaleconych czynności nie wykonały”<sup>55</sup>. Trzeba było poczekać kilka dni. Ponadto niektórych osób przeznaczonych do wysiedlenia nie odnaleziono w miejscach zamieszkania. Ich poszukiwaniem zajął się PUBP w Suwałkach<sup>56</sup>.

Trudności sprawiły, że akcję wysiedleńczą przedłużono do 10 marca (pierwotnie planowano ją zakończyć w połowie stycznia)<sup>57</sup>. Jednak i ten nowy termin nie okazał się realny. W początkach kwietnia Wacław Białkowski, p.o. wojewody, na wniosek Pełnomocnika do Spraw Repatriacji Obywateli Sowieckich, polecił starostom przedłużyć wysiedlenia do

---

55. AP B 277, k.76, Sprawozdanie starosty suwalskiego za grudzień 1946 r.

56. AP B 96, k.5, Sprawozdanie miesięczne z działalności Wydziału Społeczno-Politycznego dla wojewody białostockiego za styczeń 1947 r.

57. Tamże, k.25, Sprawozdanie za luty 1947 r.

końca miesiąca. Dotychczasowa akcja nie objęła bowiem wszystkich osób<sup>58</sup>. W maju, po piśmie Ministerstwa Administracji Publicznej do wszystkich wojewodów, po raz trzeci przedłużono termin akcji wysiedleńczej na Białostocczyźnie, tym razem do 1 lipca 1947 r.<sup>59</sup>.

Z Suwałk do Wołowa wysłano ogółem cztery transporty „obywateli sowieckich”. Pierwszy z 72 osobami (35 Rosjan, 27 Białorusinów, 5 Ukraińców i 5 Litwinów) odszedł 11 stycznia, drugi liczący 10 osób (4 Białorusinów, 4 Ukraińców i 2 Litwinów) – 16 lutego, trzeci: 18 osób (15 Rosjan, 2 Litwinów i 1 Białorusin) – 14 kwietnia, czwarty: 17 osób (11 Litwinów, 3 Białorusinów, 2 Rosjan i 1 Ukrainiec) – 12 czerwca. Wśród „repatriowanych” dominowali Rosjanie i Białorusini. Litwinów było ogółem 20 (na 117 osób znajdujących się w wykazie), przeważnie ci, którzy powrócili z Litwy w 1944-1945 r.<sup>60</sup>. Trudno jednak dostrzec kryterium, jakim kierowali się organizatorzy akcji. Na Suwalszczyznę powróciło przecież znacznie więcej osób narodowości litewskiej. Zapał wojewody i starosty suwalskiego wyraźnie kontrastował z wynikami akcji wysiedleńczej. Sprawiała ona wrażenie doraźnych i chaotycznych działań. Tak, jakby chciano Litwinów zastraszyć, a nie wysiedlić.

Ostatecznie, od początku akcji do 1 lipca 1947 r. z Suwałk do Wołowa wyjechało 129 osób (108 przymusowo i 21 dobrowolnie). Zwolniono 58 osób, gdyż zawarły związek małżeński z obywatelami polskimi<sup>61</sup>.

### *Liczebność i rozmieszczenie Litwinów*

Po zakończeniu działań wojennych w nowych granicach państwa polskiego pozostała nieznaczna ilość Litwinów. W

---

58. APB 552, k.5, Pismo wojewody białostockiego do starostw powiatowych z 2 IV 1947 r.

59. Tamże, k.6, Pismo wojewody do starostów powiatowych z 10 V 1947 r.

60. Tamże, k.14, 21, 24, 27, Wykazy „obywateli sowieckich” przeznaczonych do wysiedlenia.

61. Tamże, k.34, Zbiorczy wykaz „obywateli sowieckich” wysłanych z Suwałk do Wołowa.

sposób zwarty zamieszkiwali oni niewielki, przygraniczny obszar (około 200 km<sup>2</sup>) powiatu suwalskiego, głównie gminy Sejwy i Krasnowo oraz Zaboryszki, Berżniki, Krasnopol i Wizajny. W warunkach powojennej płynności określenie dokładnej liczby Litwinów napotyka na znaczne przeszkody. Zmiany, jakie nastąpiły w latach wojny sprawiły, iż ostatni powszechny spis ludności z 1931 r. nie może stanowić punktu wyjścia, nawet do szacunkowych ustaleń. Dane, jakich dostarczył spis z 1946 r., były również bardzo dalekie od precyzji. Pamiętać trzeba także o żywiołowych powrotach ludności litewskiej, które trwały od końca 1944 do początków 1946 r. Istotny czynnik stanowiło ukrywanie własnej narodowości. Zjawisko koniunkturalizmu widoczne jest zwłaszcza wówczas, gdy deklaracja o przynależności narodowej wpłynąć może na określenie losów życiowych. Uwzględnić należy nie do końca wykrystalizowane poczucie świadomości narodowej i więzi z określoną grupą narodową u części (jakiej?) ludności wiejskiej, a *de facto* tylko spośród niej wywodzili się Litwini. Podobne w zasadzie problemy występowały w przypadku wszystkich mniejszości narodowych<sup>62</sup>.

Organizująca się na Białostocczyźnie administracja PKWN, w większości przysłana z zewnątrz, nie orientowała się dostatecznie w stosunkach narodowościowych<sup>63</sup>. W końcu listopada 1944 r. kierownik WRN w Białymstoku (p.o. wojewody) Jerzy Sztachelski za najistotniejsze uznał jednak zagadnienie litewskie. Sygnalizował, iż „Wymaga [ono] dokładnego opracowania, co nie jest możliwe do wykonania przez naszych pracowników. Pożytecznym byłoby wysłanie specjalnego delegata. Wysunąłem tę propozycję w Resorcie Spraw Zagranicznych”<sup>64</sup>.

Pierwszą próbę ustalenia struktury narodowościowej województwa podjęto jeszcze jesienią 1944 r. Jej wiarygodność

---

62. K. Kersten, „Kształtowanie stosunków ludnościowych” (w:) „Polska Ludowa 1944-1950. Przemiany społeczne”, pod red. F. Ryszki, Wrocław 1974, s. 77.

63. H. Majecki, „Białostocczyzna w pierwszych latach władzy ludowej 1944-1948”, Warszawa 1977, s. 15, 20.

64. CA MSW, MAP 7 k.3, Sprawozdanie wojewody białostockiego z 29 XI 1944 r.

budzić może poważne zastrzeżenia. Dane przesłane przez starostów powiatowych powstały według bliżej nieokreślonych kryteriów. Wielu urzędników gminnych nie odróżniało np. pojęcia narodowości od obywatelstwa. Na terenie województwa zdarzały się przypadki, że jako mniejszość narodową traktowano wyłącznie czasowo przebywających Rosjan!<sup>65</sup>

Bezpośrednio po zakończeniu działań wojennych na Białostocczyźnie ogółem mieszkać miało 2738 Litwinów. Niemal wszyscy (2729 osób) przebywali na terenie powiatu suwalskiego<sup>66</sup>. Szczegółowe dane statystyczne dla tego okresu zachowały się jedynie z gminy Sejwy, gdzie mieszkało 1807 Litwinów (2/3 ogółu osób narodowości litewskiej zamieszkających na terenie województwa) i 2170 Polaków. Niemal w całości litewskie były trzy wsie: Szlinokiemie, Wojtokiemie i Zwikiele. W trzech dalszych Litwini tworzyli wyraźną większość mieszkańców (Ogórki, Oszkinie, Wołyńce), zaś w Puńsku, Rejsztokiemiach, Szołtanach, Trakiszkach i Wiłkopedziach stanowić mieli około połowy mieszkańców. Pojedyncze osoby narodowości litewskiej mieszkały ponadto w osadzie Boksze i w Sejwach (osiem wsi w gminie zamieszkających miało być wyłącznie przez Polaków)<sup>67</sup>.

Wyraźnie odmienne dane podał pełnomocnik WRN na powiat suwalski (p.o. starosty) Stanisław Łapot. W sprawozdaniu za październik 1944 r. stwierdził, iż na obszarze przygranicznym mieszka 6 tys. Litwinów. Mieli oni stanowić około 50% ogółu ludności na tym terenie<sup>68</sup>.

Tak znaczne rozbieżności kazały z wielką ostrożnością podchodzić do danych statystycznych dotyczących ludności litewskiej. Rzutują również na ich wiarygodność. Różnica powstała zapewne stąd, iż pierwsza liczba (2738 osób) nie obejmowała najprawdopodobniej Litwinów wysiedlonych w

---

65. E. Mironowicz, dz.cyt. s. 106.

66. AP B 686, k.17,27, Wykaz mniejszości narodowych na terenie powiatu suwalskiego i województwa białostockiego bezpośrednio po wyzwoleniu.

67. AP B 348, k.208, „Wykaz ludności polskiej i litewskiej w gminie Sejwy w końcu 1944 r.

68. AP B 179, k.6, Sprawozdanie starosty suwalskiego za październik 1944 r.



okresie wojny przez Niemców, powracających od drugiej połowy 1944 r. na swe byłe gospodarstwa. Uznawano ich za obcokrajowców („obywateli sowieckich”) i jako takich przeznaczono do wysiedlenia, zaś 6 tys. to najprawdopodobniej szacunkowa liczba ogółu Litwinów mieszkających na terenie powiatu suwalskiego jesienią 1944 r.

W przeprowadzonych po II wojnie światowej powszechnych spisach ludności nie wyodrębniano kategorii „mniejszość narodowa”, „narodowość” czy „język ojczysty”. Jedynie pierwszy powojenny spis z 14 lutego 1946 r. pozwalał na określenie struktury narodowościowej. W arkuszu spisowym ankieterzy do oddzielnych rubryk wpisywać mieli Polaków wraz ze zweryfikowanymi i zrehabilitowanymi, osoby, co do których toczy się postępowanie weryfikacyjne lub rehabilitacyjne, Niemców i innych. Sytuacja zewnętrzna (presja migracyjna, niechętny stosunek władz do mniejszości narodowych, zatajanie własnej narodowości) w istotny sposób rzutowała na wyniki. Według oficjalnych rezultatów spisu, powiat suwalski zamieszkiwały ogółem 79 354 osoby (15 348 w dwóch miastach: Suwałkach i Sejnach oraz 64 006 w 16 gminach wiejskich). Gminy ze znacznym odsetkiem ludności litewskiej liczyć miały ogółem ponad 20 tys. mieszkańców: Berzniki 3160 osób, Krasnopol 5533, Krasnowo 2287, Sejwy 4967, Wizajny 3428, Zaboryszki 4389. Ponadto w Sejnach mieszkało wówczas 1678 osób<sup>69</sup>. Nie opublikowano jednak danych statystycznych ukazujących strukturę narodowościową ludności na poziomie gmin, powiatu suwalskiego czy województwa białostockiego. Liczbę Litwinów szacować można na około 30 proc. ludności wymienionych gmin, co daje ogółem – 7-8 tys. osób narodowości litewskiej.

Według wykazów zarządów gmin Sejwy i Krasnopol z 30 września i 8 października 1946 r. (sporządzonych na podstawie wyników powszechnego spisu ludności) w parafii Smolany, leżącej na części obszaru obu gmin, mieszkać miało zaledwie 43 osoby narodowości litewskiej na ogółem 1287<sup>70</sup>.

---

69. Statystyka Polski, seria D, Powszechny sumaryczny spis ludności z dnia 14 II 1946 r., Warszawa 1947, s. 36.

70. Archiwum Kurii Biskupiej w Elku, Nie uporządkowane akta byłej Diecezji Łomżyńskiej (dalej DŁ – K.T.), Parafia Smolany, Pisma zarządów gmin Sejwy i Krasnopol z 30 IX i 8 X 1946 r.

Powyższe dane zdecydowanie kwestionowali parafianie narodowości litewskiej. W liście protestacyjnym do biskupa łomżyńskiego oświadczyli, iż obawiając się wysiedlenia zataili podczas spisu swą narodowość: „my zawsze mówiliśmy, że jesteśmy mieszanymi, róbcie z nami co chcecie, tylko zostawcie nas na miejscu, przy swoich gospodarstwach, to taki nasz był podpis” – pisali 2 marca 1947 r.<sup>71</sup>.

W październiku 1946 r., na wniosek Ministerstwa Administracji Publicznej, wojewoda białostocki polecił starostom nadesłać dane dotyczące liczby mniejszości narodowych na terenie województwa. Już po upływie miesiąca starosta suwalski, Henryk Mancewicz, przekazał żądane informacje. Na terenie powiatu mieszkać miało 1774 Litwinów oraz 462 Niemców, 249 Rosjan, 55 Żydów, 12 Ukraińców, 6 Czechów, 5 Białorusinów i 3 osoby innej narodowości. Starosta zaznaczył, iż „Dane podano w przybliżeniu, ścisłych danych brak, odchylenia od stanu faktycznego minimalne”<sup>72</sup>. Wykazy nadsyłane z pozostałych starostw nie wpłynęły, czego można się było spodziewać, na ogólną liczbę Litwinów. Według wykazu na terenie województwa białostockiego na dzień 1 listopada 1946 r. poza powiatem suwalskim mieszkało zaledwie 24 Litwinów (19 w Białymstoku i 5 w starostwie powiatowym Sokółka)<sup>73</sup>.

Wykazy liczbowe mniejszości narodowych w tym samym czasie sporządzono na terenie całego kraju. Z danych nadsyłanych przez urzędy wojewódzkie wynika, iż w listopadzie 1946 r. na obszarze całej Polski (poza województwem suwalskim) przebywać miało 687 osób narodowości litewskiej. Najwięcej w województwie gdańskim – 512 osób. Ponadto w województwie poznańskim 55 osób, bydgoskim 45, w Łodzi 29, w województwie warszawskim 17, w krakowskim i lubelskim po 10, w kieleckim 9 osób (w województwie rze-

---

71. Tamże, List Litwinów z parafii Smolany do biskupa łomżyńskiego z 2 III 1947 r.

72. AP B 686, k.17, Wykaz mniejszości narodowych na terenie powiatu suwalskiego według stanu na 1 XI 1946 r.

73. Tamże, k.27, Wykaz mniejszości narodowych na terenie województwa białostockiego według stanu na 1 XI 1946 r.

szowskim i śląsko-dąbrowskim nie odnotowano żadnej osoby narodowości litewskiej)<sup>74</sup>. Brak danych z województwa olsztyńskiego, koszalińskiego, szczecińskiego (gdzie Litwinów mogło być stosunkowo dużo) oraz z zielonogórskiego i wrocławskiego.

Naczelnik Wydziału Społeczno-Politycznego, Czesław Bernard Matejko, liczbę „obywateli litewskich”, przebywających na terenie powiatu w lutym 1946 r. szacował na „około 5000”<sup>75</sup>. Podobną liczbę, rok później, podał starosta suwalski. Według niego na terenie powiatu „zamieszkuje obecnie około 5500 Litwinów”<sup>76</sup>.

W związku z sygnalizowanym wzrostem działalności narodowej ludności litewskiej Ministerstwo Administracji Publicznej w grudniu 1947 r. ponownie poleciło wojewodzie białostockiemu nadesłanie dokładnych informacji dotyczących liczebności i rozmieszczenia Litwinów w terenie oraz określenia w czym przejawiała się ich działalność narodowa. Ministerstwo zainteresowane było również nazwiskami wybitniejszych osobistości spośród mniejszości<sup>77</sup>.

Na wniosek wojewody 31 stycznia 1948 r. starosta suwalski przesłał powyższe dane. Na terenie powiatu suwalskiego zamieszkiwać miało ogółem 3344 Litwinów: 1383 osoby w gminie Krasnowo, 1246 w gminie Sejwy, 410 w gminie Zaboryszki, 220 w gminie Berźniki, 64 w gminie Krasnopol i 21 osób w mieście Sejny. Posługiwali się oni wyłącznie językiem litewskim. Większość była też wrogo ustosunkowana do ludności polskiej (szczególnie z terenu gminy Krasnowo), dążąc do wywalczenia niepodległości Litwy. Jedynie na terenie gminy Zaboryszki „działalności żadnej nie zauważono”. Spośród wybitniejszych osobistości wymieniono w wykazie kilkanaście osób: Bronisława Forencewicza i Antoniego

---

74. CA MSW, MAP 299, k.1, Pismo Wydziału Narodowościowego MAP z 25 IX 1946 r. i odpowiedzi poszczególnych urzędów wojewódzkich: tamże: k.4, 6, 8, 12-17, 19, 23, 25, 29, 33, 36.

75. AP B 95, k.14, Sprawozdanie z działalności Wydziału Społeczno-Politycznego dla wojewody białostockiego za luty 1946 r.

76. AP B 278, k.10, Sprawozdanie starosty suwalskiego za luty 1947 r.

77. AAN, MAP 785, k.3, Pismo MAP do wojewody białostockiego.

Tumialisa ze wsi Połuńce, Józefa Zdanowicza z Widugier, Józefa Żukowskiego i Jana Grablunasa z Burbiszek, Bronisława Samulewicza z Przystawańc, Jerzego Jankowskiego zamieszkałego we wsi Dziedziule, Józefa Sendę z Nowinnik, Antoniego Ogórkisa ze wsi Reszecie, Bronisława Duran z Sankur (wszyscy z gminy Krasnowo), Jana Pietruszkiewicza i Piotra Dapkiewicza z Żegar, Wincentego i Józefa Sienkiewicza z Ogrodnik (gmina Berzniki) oraz Jana Buchowskiego i Ignacego Buraczewskiego (gmina Krasnopol). Z terenu gminy Sejwy wymieniono całe wsie: Ogórki, Wołyńce, Kompocie, Wojtokiemie, Trakiszki, Oszkinie, Szlinokiemie, Puńsk, Szotłany, Wiłkopedzie, Zwikiele<sup>78</sup>.

Na początku roku 1949 na żądanie białostockiego urzędu wojewódzkiego sporządzono kolejne zestawienie ludności województwa. Uwzględniono w nim również liczbę mniejszości narodowych. Potwierdziły się dane, co do obszaru zamieszkałego przez Litwinów. Niemal wyłącznie przebywali oni na terenie powiatu suwalskiego. Na ogółem 74 374 mieszkańców powiatu Litwinów było 4190: w tym na terenie gminy Sejwy 1770, Krasnowo 1480, Zaboryszki 501, Berzniki 293, Krasnopol 120, Wizajny 25 oraz 1 osoba w mieście Sejny<sup>79</sup>. Znikoma liczba Litwinów mieszkała na pozostałym obszarze województwa białostockiego: w powiecie Gołdap 36 osób, Bielsk Podlaski 6, Ełk 3, Białystok 2<sup>80</sup>.

Trudno wyjaśnić dlaczego trzy miesiące później starosta suwalski szacował liczbę Litwinów zaledwie na „około 2000”<sup>81</sup>.

Szacunki dotyczące liczby ludności litewskiej w drugiej połowie lat 40. generalnie są mało wiarygodne i zanizone. Uwzględniając powojenne migracje, niechęć lokalnych władz, ukrywanie przez część osób swej narodowości można

---

78. Tamże, k.5, Wykaz ludności litewskiej zamieszkałej na terenie powiatu suwalskiego z 13 II 1948 r.

79. AP B 646, k.125, Wykaz mniejszości narodowych na terenie powiatu suwalskiego według stanu na 1 II 1949 r.

80. Tamże, k.4, Wykaz mniejszości narodowych na terenie województwa białostockiego według stanu na 1 II 1949 r.

81. AP B 280, k.5a, Sprawozdanie starosty suwalskiego za maj 1949 r.

zakładać, iż na terenie województwa białostockiego (przede wszystkim w powiecie suwalskim) mieszkało wówczas, co najmniej 7-8 tys. osób narodowości litewskiej. Ponadto na terenie pozostałych województw w rozproszeniu mieszkać mogło około 1-2 tys. Litwinów.

### *Szkolnictwo litewskie*

W końcu października 1944 r. Stanisław Skrzyszewski, kierownik Resortu Oświaty PKWN, ustalił zasady tworzenia szkół z litewskim (i białoruskim) językiem nauczania. Szkoły powszechne mogły być otwierane na pisemny wniosek rodziców. Minimalną liczbę uczniów szkoły określono na 40 dzieci. Wobec spodziewanego przesiedlenia ludności litewskiej i białoruskiej do odpowiednich republik sowieckich Skrzyszewski uważał, iż „tworzenie specjalnego aparatu nadzorczego dla szkolnictwa mniejszościowego w tej chwili jeszcze nie jest celowe”. Tymczasowy nadzór nad szkołami litewskimi (i białoruskimi) kurator Okręgu Szkolnego Białostockiego powierzyć miał, w ramach istniejących wydziałów szkolnictwa powszechnego i średniego, wizytatorom i inspektorom szkolnym, znającym język danej mniejszości<sup>82</sup>.

Wiosną 1945 r. na terenie powiatu suwalskiego działały trzy szkoły powszechne z litewskim językiem wykładowym. Powstały one samorzutnie. Były to szkoły wiejskie o obniżonym stopniu organizacyjnym. Litwini domagali się przekształcenia ich w szkoły 7-klasowe<sup>83</sup>.

Bezpośrednio po zakończeniu działań wojennych stosunki między ludnością polską a litewską były bardzo

---

82. AAN, PKWN XIV/17, k.79-80, Pismo Resortu Oświaty S. Skrzyszewskiego do kuratora Okręgu Szkolnego Białostockiego w Białymstoku z 24 X 1944 r.

83. AP B 188, k.8, Sprawozdanie z działalności Kuratorium Okręgu Szkolnego Białostockiego za czerwiec 1945 r. W dotychczasowej literaturze przedmiotu twierdzono, iż pierwsze szkoły litewskie po II wojnie światowej zorganizowano w 1952 r., zob. S. Mauersberg, „Szkoły jakich nie znamy”, *Życie Literackie* 1968 nr 36, s. 10; C. Żołędowski, „Szkolnictwo litewskie w Polsce”, *Acta Baltico-Slavica* 1990, t. 19, s. 218.

napięte. Jednym z ognisk konfliktu stało się szkolnictwo. Dochodziło np. do niszczenia pomieszczeń szkół polskich. W nocy z 27 na 28 lutego 1945 r. „jedna klasa szkoły w Puńsku, mieszcząca się w budynku prywatnym, została przez nieznanych sprawców zdemolowana. Godło zdarte ze ściany i zabrudzone, ozdoby znajdujące się na ścianach podarte i rozrzucone po podłodze, lokal klasy zanieczyszczony”<sup>84</sup>. Akty wandalizmu władze lokalne (starosta suwalski, wojewoda białostocki) przypisywały bojówkom litewskim<sup>85</sup>.

Szkoły litewskie nie istniały długo i najprawdopodobniej już jesienią 1945 r. zostały zlikwidowane. Wiązało się to z koncepcją przesiedlenia ludności litewskiej z Polski na Litwę sowiecką. Nieco dłużej działały na terenie województwa białostockiego szkoły białoruskie, choć i one zostały ostatecznie zamknięte w roku szkolnym 1947/1948<sup>86</sup>.

### *Język nabożeństw*

Obszar w zwarty sposób zamieszkały przez Litwinów wchodził w skład diecezji łomżyńskiej. Sprawą bardzo ważną był dla nich język nabożeństw. Bezpośrednio po zakończeniu II wojny światowej nabożeństwa w języku litewskim odprawiano w Puńsku i Sejnach oraz co drugą niedzielę (na przemian z polskimi) w Smolanach. Nie trwało to długo. Już 14 września 1945 r. sejneński proboszcz Wincenty Astasiewicz wezwany został do Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Suwałkach, gdzie pouczono go, iż odprawianie nabożeństw w języku litewskim „nie jest po myśli interesów państwowych”. Mimo to ks. Astasiewicz nie zrezygnował z posługi

---

84. AP B 301, k.2, Doniesienie kierownika szkoły powszechnej w Puńsku S. Łysakowskiego do inspektora szkolnego M. Gniazdowskiego z 1 III 1945 r.

85. AP B 188, k.8, Sprawozdanie z działalności Kuratorium Okręgu Szkolnego Białostockiego za czerwiec 1945 r.; CA MSW, MAP 40, k.49, Sprawozdanie wojewody za marzec 1945 r.

86. E. Mironowicz, dz.cyt., k.192-195.

duszpasterskiej dla Litwinów w ich ojczystym języku<sup>87</sup>.

Z żądaniem zniesienia litewskich nabożeństw i kazań w Puńsku oraz w Sejnach kierownik PUBP w Suwałkach ppor. Stasiukowski wystąpił ponownie wobec dziekana suwalskiego ks. Gumkowskiego w grudniu 1945 r. Twierdząc, że większość mieszkańców w obu parafiach stanowią Polacy, zgodził się jedynie na odprawianie jednego nabożeństwa w miesiącu w języku litewskim<sup>88</sup>.

W kurii biskupiej w Łomży naciski ze strony UB uznano za ingerencję w wewnętrzne sprawy Kościoła i niechętnie im ulegano. Dobrą okazję do zlikwidowania litewskich nabożeństw w Sejnach stworzyła śmierć ks. Astasiewicza. Prośby ludności litewskiej, by nowy proboszcz również znał język litewski nie zostały przez kurię uwzględnione. W połowie 1946 r. ordynariusz łomżyński, biskup Stanisław Łukomski, wyznaczył na to stanowisko ks. Józefa Złotkowskiego<sup>89</sup>.

Już niebawem nowy proboszcz tryumfalnie informował kurię: „W Sejnach z polecenia Najdostojniejszego Pasterza odprawia się wszystko w kościele po polsku”. W przekonaniu ks. Złotkowskiego „wszyscy Litwini rozumieją i mówią po polsku, więc nie ma trudności w porozumiewaniu się z penitentami i każdego załatwiamy, kto tylko przyjdzie”<sup>90</sup>.

Napięta sytuacja wytworzyła się w Puńsku. Parafia o mieszanym składzie narodowościowym (choć z wyraźną przewagą Litwinów, którzy – według szacunków proboszcza, ks. Antoniego Żewisa – stanowili 60 proc. mieszkańców) nie była łatwą placówką. Powodem ostrych konfliktów były z pozoru błahe sprawy. Polacy wielokrotnie występowali do proboszcza

---

87. DŁ, Parafia Sejny, List ks. W. Astasiewicza do kurii łomżyńskiej z 20 IX 1945 r.

88. DŁ, Parafia Sejny, PUBP w Suwałkach do kancelarii parafii suwalskiej z 5 XII 1945 r.

89. DŁ, Parafia Sejny, Litwini parafii sejneńskiej do biskupa łomżyńskiego z 5 XII 1946 r. 15 VI 1946 ks. J. Złotkowski mianowany został dziekanem dziekanatu sejneńskiego: DŁ, Parafia Smolany, Odpis aktu nominacyjnego.

90. DŁ, Parafia Sejny, List ks. J. Złotkowskiego do kurii łomżyńskiej z 28 XII 1946 r.

(Litwina z pochodzenia) o zmianę dotychczasowego rozkładu niedzielnych nabożeństw; Litwini zdecydowanie sprzeciwiali się jakimkolwiek nowelizacjom<sup>91</sup>.

Parafianie narodowości litewskiej z Puńska w 1946 r. żalili się z kolei biskupowi łomżyńskiemu, że „przez cały okres postu i w czasie Wielkanocy, parafianie Polacy nie dali brać udziału nam w nabożeństwie w kościele w języku macierzystym. Parafianie Polacy, których zupełnie jest mały procent, zaledwie 15%, stawiają opór i chcą żeby zupełnie usunąć nabożeństwa w języku litewskim”. Między obu społecznościami dochodziło do bójek. W szykanowaniu Litwinów Polaków wspomagało wojsko (straż graniczna)<sup>92</sup>.

W ocenie zarządu gminy Sejwy: „Najbardziej bolącą sprawą w tutejszej gminie, a raczej parafii puńskiej, obecnie [w kwietniu 1946 r. – K.T.] jest unormowanie nabożeństw w kościele: albo mają być po polsku, albo po litewsku”<sup>93</sup>.

Starając się pogodzić zwaśnione strony oraz rozładować napiętą sytuację w maju 1946 r. ks. Żewis ustalił z dziekanem suwalskim ks. Gumowskim, iż będzie odprawiał niedzielne nabożeństwa na przemian w języku polskim i litewskim<sup>94</sup>.

Utrzymywanie języka litewskiego w Puńsku i Smolanach krytykował nowy proboszcz sejneński ks. Złotkowski obawiając się eskalacji napięcia między parafianami obu narodowości, a jeszcze bardziej pretekstów do ingerencji z zewnątrz w wewnętrzne sprawy Kościoła czy prowokacji (UB?) ostrzegał kurię: „niech no tylko na tym podłożu rozgoryczenia i rozdrażnienia uczuć religijnych padnie ziarno agitacji sekciarskiej, będziemy mieli wnet alarmy i ubolewanie, ale poniewczasie, kiedy już kto inny będzie decydował”. Przekonywał, iż do obu parafii na miejsce księży litewskich należy przysyłać proboszczów Polaków, znających

---

91. DŁ, Parafia Puńsk, List ks. A. Żewisa do dziekana suwalskiego ks. Gumowskiego z 18 IV 1946 r.

92. DŁ, Parafia Puńsk, zażalenie parafian Litwinów z Puńska do biskupa łomżyńskiego z 7 V 1946 r.

93. AP S, Wydział Powiatowy w Suwałkach 222a, k.10, Sprawozdanie zarządu gminy Sejwy za kwiecień 1946 r.

94. DŁ, Parafia Puńsk, Oświadczenie ks. A. Żewisa i ks. Gumkowskiego dla biskupa łomżyńskiego z maja 1946 r.



język litewski, a wówczas „cały szowinizm litewski odpadnie”<sup>95</sup>.

Niebawem rzeczywiście zostały zlikwidowane litewskie nabożeństwa w Smolanach. Już wiosną 1946 r. znacznego ograniczenia (bądź likwidacji) litewskich nabożeństw domagali się od miejscowego proboszcza, księdza Wacława Budrewicza, żołnierze z posterunku straży granicznej. Parafia smolańska w połowie zamieszkała była przez Polaków i Litwinów. Nabożeństwa w języku litewskim – jak wspomniano – odprawiane były co drugą niedzielę, na przemian z polskimi, natomiast w dni powszednie odprawiano tylko nabożeństwa w języku polskim. Wywoływało to „pewne niezadowolone” Litwinów. Proboszcz uważał jednak, iż utrzymanie dotychczasowego rozkładu zapewni spokój. Parafianie narodowości polskiej nie występowali bowiem o zmianę porządku czy dodatkowe nabożeństwa<sup>96</sup>.

Gwarancja proboszcza utrzymania spokoju w parafii zadowolila ordynariusza łomżyńskiego. Biskup Łukomski przestrzegal przed dokonywaniem jakichkolwiek zmian „na żądanie osób postronnych” (UB lub straży granicznej). Zezwalał jedynie na odprawianie dodatkowych nabożeństw w języku polskim dla wojska w niedzielę lub w święta<sup>97</sup>. Kilka miesięcy później, pod naciskiem miejscowych władz, zmienił swe stanowisko.

Jesienią 1946 r. zarządy gmin w Sejwach i Krasnopolu zawiadomiły władze kościelne, iż według wyników niedawnego powszechnego spisu ludności, na terenie parafii smolańskiej mieszka zaledwie 43 Litwinów, na ogółem 1287 mieszkańców<sup>98</sup>. Wobec nacisków i rzekomo znikomej liczby parafian narodowości litewskiej biskup łomżyński w grudniu

---

95. DŁ, Parafia Sejny, Ks. J. Złotkowski do biskupa łomżyńskiego z 30 XI 1946 r.

96. DŁ, parafia Smolany, Ks. W. Budrewicz do biskupa łomżyńskiego z 4 IV 1946 r.; Oświadczenie ks. W. Budrewicza i dziekana suwalskiego ks. Gumowskiego dla biskupa łomżyńskiego z 6 V 1946 r.

97. DŁ, Parafia Smolany, List bpa S. Łukomskiego do ks. W. Budrewicza z 16 V 1946 r.

98. DŁ, Parafia Smolany, Pisma zarządów gmin w Sejwach i Krasnopolu z 30 IX i 8 X 1946 r.

1946 r. nakazał ks. Budrewiczowi zaprzestać odprawiania nabożeństw litewskich. Wywołało to protesty Litwinów<sup>99</sup>. Sytuacja nie uległa już jednak zmianie.

Większość Litwinów mieszkających na terenie parafii Smolany obawiając się wysiedlenia do Związku Sowieckiego zatajała swą narodowość, podając się za „tutejszych” (ludność „mieszana”). Protestując przeciw likwidacji nabożeństwa przesłali biskupowi spis 368 katolików narodowości litewskiej z parafii. Przeciwno obecności języka litewskiego występowała niewielka, acz aktywna grupka Polaków. Negatywnie ustosunkowany był również ks. Złotkowski. Sejneński prałat straszył Litwinów upominających się o przywrócenie nabożeństwa, iż zawiadomi UBP w Suwałkach. Krzywda wyrządzona Litwinom zniechęcała niektórych spośród nich do Kościoła i księży. Mimo kilkukrotnych listownych interwencji w kurii ordynariusz łomżyński nie odpowiedział na prośby Litwinów. Nie zostało też przywrócone litewskie nabożeństwo w Smolanach<sup>100</sup>.

Ks. prałat Złotkowski, wskazując na antypolskie działania Litwinów w minionych dziesięcioleciach, opowiadał się za uspokojeniem sytuacji i... pozostawieniem wyłącznie polskich nabożeństw: „rozpocząć na nowo walkę narodowościową – pisał w lutym 1948 r. do biskupa Łukomskiego – byłoby bez korzyści dla Kościoła”. Podkreślając religijność Litwinów, którzy „nie gorzej od Polaków, a nawet lepiej od nich rozumieją i troszczą się o ważność sakramentów św.”, bagatelizował równocześnie ich protesty: „choćby chcieli, to gadaniem Litwy tu nie zrobią”. Proboszcz uważał, iż dalsze protesty spowodować mogą interwencję władz: „Biedni ci zaślepieni patrioci litewscy mogą być wysiedleni albo do Litwy, aż na Sybir, albo tylko na zachód”. Biskupowi zwracającemu się z prośbą o opinię, jak postępować wobec

---

99. DŁ, Parafia Smolany, Bp S. Łukomski do ks. W. Budrewicza z 9 XII 1946 r.; tamże List Litwinów parafii Smolany do biskupa łomżyńskiego z 2 III 1947 r.

100. DŁ, Parafia Smolany, List Litwinów do biskupa łomżyńskiego z 27 III, 14 VI, 15 VI, 28 VII 1947 r. i z 21 I 1948 r.

Litwinów, radził, „żeby wszelkie anonimowe skargi wiejskich grafomanów [!] rzucać bezwzględnie... do kosza”<sup>101</sup>.

Diecezjalne władze kościelne obawiając się zapewne tworzenia precedensów w zastrządzających się stosunkach z władzami państwowymi, wstrzymywały się natomiast z usuwaniem proboszczów i to pod wyraźną presją z zewnątrz. Jesienią 1947 r. o przeniesienie na inny teren ks. Żewisa, który „prowadzi otwartą litwinizację ludności polskiej” występował starosta suwalski, Henryk Matejczyk<sup>102</sup>. Proboszczowi w Puńsku zarzucano, iż „nadal wygłasza kazania w języku litewskim” oraz wydaje fałszywe metryki urodzenia Litwinom zagrożonym wysiedleniem do ZSSR<sup>103</sup>.

W październiku 1947 r. starosta suwalski informował Urząd Wojewódzki w Białymstoku, że „księży o wybitnym nastawieniu demokratycznym [czyli popierających przemiany polityczno-ustrojowe – K.T.] na terenie tutejszego powiatu nie ma”. Zaznaczył jednak, iż ks. Żewis „zajmuje wyraźnie wrogie stanowisko dla obecnej rzeczywistości” (stanowisko ks. Złotkowskiego z Sejnu uznał za „lojalne”)<sup>104</sup>. Proboszcza w Puńsku, któremu władze państwowe zarzucały chęć litwinizacji miejscowych Polaków, zaliczano do „najbardziej wrogo aktywnych” księży na terenie starostwa suwalskiego (obok proboszcza w Berznikach, wypowiadającego się przeciwko reformie rolnej). PUBP w Suwałkach prowadził nawet dochodzenia przeciwko obu księżom<sup>105</sup>.

W sprawozdaniu sytuacyjnym za luty 1948 r. starosta suwalski zaznaczył, iż ks. Żewis „w dalszym ciągu uprawia

---

101. DŁ, Parafia Smolany, List ks. J. Złotkowskiego do biskupa łomżyńskiego z 3 II 1948 r.

102. AP B 492, k.47, Sprawozdanie starosty suwalskiego za wrzesień 1947 r.

103. Tamże, k.49, Sprawozdanie starosty suwalskiego za październik 1947 r.

104. AP B 670, k.21, Wykaz proboszczów i prefektów rzymskokatolickich z 20 X 1947 r.

105. AP B 492, k.52, Sprawozdanie starosty suwalskiego za grudzień 1947 r.

106. AP B 279, k.2, Sprawozdanie starosty suwalskiego za luty 1948 r.

swą politykę narodowo-litewską na terenie kościoła”<sup>106</sup>. O „wroziej” działalności proboszcza w Puńsku wojewoda białostocki w początkach 1948 r. informował nawet Ministerstwo Administracji Publicznej<sup>107</sup>.

Ks. Żewis nie został jednak ani aresztowany, ani przeniesiony do innej parafii. Po jego śmierci nowym proboszczem jesienią 1949 r. został ks. Kazimierz Romanowski, z pochodzenia Polak, znający dobrze język litewski. Litwini prosząc biskupa łomżyńskiego, Czesława Falkowskiego, o jak najszybsze wyznaczenie nowego proboszcza wskazywali na swego rodaka, ks. Antoniego Szumińskiego, urodzonego w Puńsku<sup>108</sup>.

### *Przesiedlenia na ziemie zachodnie*

W powojennym okresie władze partyjno-państwowe kilkakrotnie posługiwały się groźbą deportacji na wschód, do Związku Sowieckiego, co bardziej aktywnych jednostek spośród Litwinów („obywateli sowieckich”). Po ostatecznym uregulowaniu sprawy granicy i zakończeniu wymiany ludności chwycono się jeszcze jednego sposobu na zastraszenie miejscowej ludności.

27 grudnia 1949 r. wojewoda białostocki (na wniosek MBP i MAP) nakazał staroście suwalskiemu wydać zakaz zamieszkania i przebywania w strefie przygranicznej dla 87 Litwinów (22 rodziny). Wskazane osoby mieszkały we wsiach Budzisko, Grauże Stare, Krejwiany, Poluńce, Romaniuki, Szlezak, Szlinokiemie, Trakisзки, Wojciuliszki, Wojponie, Wojtokiemie, Zaboryszki, Zaczory, Zwikiele. Zarzucano im, że stanowią bazę materialną i moralne oparcie dla przychodzących z Litwy partyzantów. W ciągu 24 godzin mieli być przesiedleni do województwa szczecińskiego. Na nowym

---

107. CA MSW, MAP 42, k.94, Sprawozdanie wojewody białostockiego za grudzień 1947 r.; tamże, k.104, Sprawozdanie wojewody białostockiego za luty 1948 r.

108. DŁ, Parafia Puńsk, Rada Parafialna do biskupa łomżyńskiego z 13 IX 1949 r.

miejscu planowano osiedlać pojedynczo, w powiatach położonych z dala od granicy morskiej i lądowej<sup>109</sup>. Przesiedlenia na ziemię zachodnie kontynuowano jeszcze w listopadzie następnego roku. Ogółem wysiedlono około 150-200 osób narodowości litewskiej. Po 1956 r. część z nich powróciła do swych rodzinnych siedzib<sup>110</sup>.

*Krzysztof TARKA*

---

109. AP S, Starostwo Powiatowe Suwalskie 58, k.34, Pismo wojewody białostockiego do starosty suwalskiego; AP B 691, k.8,9, Pisma MAP do Urzędu Wojewódzkiego w Szczecinie i Białymstoku z 19 i 20 XII 1949 r.

110. Nakaz opuszczenia miejsca zamieszkania dla M. Borowskiego z 13 XI 1950 r. (kserokopia w posiadaniu autora); Rozmowa z J.S. Forenciewiczem.

---

Bernadetta NITSCHKE

## WYSIEDLENIA NIEMCÓW W CZERWCU I LIPCU 1945 ROKU

Wkrótce po przesunięciu linii frontu za Odrę i Nysę Łużycką rozpoczęły się wysiedlenia ludności niemieckiej. Decyzja o podjęciu wysiedleń była wynikiem wypracowanej przez PPR koncepcji państwa. Polska miała być państwem jednolitym narodowościowo. Znalazło to wyraz w uchwale KC PPR z dnia 26 maja 1945 roku, gdzie wskazano na konieczność usunięcia w ciągu roku wszystkich Niemców z Ziemi Odzyskanych i osiedlenia tam 3,5 mln Polaków, w tej

---

1. „PPR. Rezolucje, odezwy, instrukcje i okólniki Komitetu Centralnego VIII 1944 – XII 1945”. Warszawa 1959, s. 158.

liczbie 2,5 mln w okresie do lata 1945 roku<sup>1</sup>. Takie stanowisko KC PPR oraz instrukcje napływające z Warszawy spowodowały, że lokalne władze administracyjne i partyjne dążyły do szybkiego pozbycia się ludności niemieckiej. Generalnie więc usunięcie Niemców uznano za konieczne. Tendencje te jeszcze bardziej nasiliły się, gdy zaobserwowano stałe zwiększanie liczby Niemców. Wynikało to z faktu, że część Niemców (którzy uciekli przed frontem) wracała do swych poprzednich miejsc zamieszkania. Było to szczególnie widoczne na ziemiach zachodnich i północnych. Tak np. na Pomorze Zachodnie miało powrócić wówczas około 100 tys., a na Dolny Śląsk około 500-700 tys.<sup>2</sup> Źródła niemieckie wyolbrzymiają liczbę powracających do 1 mln 250 tys.<sup>3</sup> W celu powstrzymania napływu Niemców wojewoda śląsko-dąbrowski wydał 18 czerwca zarządzenie, w którym nakazywał: „Bezwzględnie nie dopuścić do zajmowania gospodarstw i mieszkań przez powracających Niemców zza Odry i Nysy. Powracających należy przymusowo odsyłać z powrotem do Niemiec a opornych zamykać w obozach”<sup>4</sup>.

Wysiedlenia przedpoczdamskie rozpoczęły się już w kwietniu 1945 roku. Nosiły one jednak wtedy bardziej charakter wyjazdów dobrowolnych. 17 kwietnia 1945 r. zainicjował je wojewoda gdański. Upoważnił on prezydentów miast i starostów do wydawania Niemcom odpowiednich zezwoleń, umożliwiających wyjazd<sup>5</sup>. Nasilenie akcji wysiedleńczej przypada na czerwiec i lipiec 1945 roku. Jest to okres określany mianem wysiedleń wojskowych. Został on zapoczątkowany rozkazem Naczelnego Dowódcy Wojska

---

2. S. Kaczkowski, „Osadnictwo polskie w Szczecinie 1945-1950”. Poznań 1963, s. 32; S. Zwoliński, „Wkład ludowego Wojska Polskiego w utrwalenie przemian społeczno-politycznych na ziemiach zachodnich i północnych”, w: „Ludowe Wojsko Polskie w walce i pracy na ziemiach zachodnich i północnych”, praca zbiorowa pod red. S. Gacia, Poznań 1983, s. 309-310.

3. J. Sobczak, „Przesiedleńcy w Niemieckiej Republice Federalnej”, Poznań 1962, s. 68.

4. AP w Opolu, Starostwo Powiatowe w Strzelcach Opolskich, sygn. 177, s. 5

5. AP w Gdańsku, Urząd Wojewódzki Gdański, Wydział Społeczno-Polityczny, sygn. 58, s. 59.

Polskiego nr 236 z 10 czerwca 1945 r., gdzie wskazano na konieczność wysiedlenia powracających Niemców<sup>6</sup>. Całości ludności niemieckiej dotyczyły natomiast rozkazy dowódcy 1 Korpusu Armii Wojska Polskiego z 22 czerwca 1945 r. i dowódcy 2 Armii Wojska Polskiego z 24 czerwca 1945 r. Dowódca 2 Armii Wojska Polskiego, gen. brygady Sankowski zalecał nawet swoim żołnierzom, że powinni z Niemcami „postępować tak jak oni postępowali z nami”. Ponieważ „wielu zapomniało jakie było ich postępowanie z naszymi dziećmi, żonami i starcami. Czesi potrafili postąpić tak, że Niemcy sami uciekli z ich terytorium. Należy wykonywać swoje zadanie w sposób tak twardy i zdecydowany, żeby germańskie plugastwo nie chowało się po domach, a uciekało od nas samo, a znalazłszy się na swojej ziemi dziękowało Bogu za szczęśliwe wyniesienie głów. Nie zapominajmy, że Niemcy zawsze będą Niemcami. Wykonując swoje zadanie nie prosić, a rozkazywać”<sup>7</sup>. Jednakże w tych pierwszych rozkazach nie ustalono żadnych sposobów postępowania z ludnością niemiecką i tryby jej wysiedlania.

U podstaw wysiedleń wojskowych tkwił fakt, że chciano przygotować miejsce dla osadników wojskowych, którzy mieli się stać (jak twierdziła ówczesna propaganda) fundamentem stworzenia nad Odrą i Nysą Łużycką „bastionu polskośći”<sup>8</sup>.

W wysiedleniach uczestniczyły 5, 7, 8, 10, 11, 12 i 13 dywizje piechoty. Usuwano Niemców przede wszystkim z powiatów leżących po prawej stronie rzek Odry i Nysy

---

6. Archiwum Wojskowego Instytutu Historycznego (dalej A WIH), sygn. IV/96/31, s. 48; R.L. Polkowski, „Akcja wysiedlania ludności niemieckiej z terenów przygranicznych przez jednostki 1 i 2 Armii WP w 1945 roku”.

7. CAW, Ludowe Wojsko Polskie, sygn. III/60/5, s. 135; Rozkaz dowódcy 2 Armii WP z 24 czerwca 1945 r.

8. T. Białecki, „Geneza i rezultaty wysiedleń wojskowych na ziemiach zachodnich w połowie 1945 r.”, w: *Przegląd Zachodnio-Pomorski*, nr 1 z 1970 r., s. 33; T. Białecki, „Przesiedlenie ludności niemieckiej z Pomorza Zachodniego po II wojnie światowej”. Poznań 1968, s. 55-57; Podstawę prawną dla osadnictwa wojskowego stworzył rozkaz Naczelnego Dowódcy Wojska Polskiego nr 111 z 3 czerwca 1945 roku. Na podstawie tego rozkazu Generalnym Inspektorem do Spraw Osadnictwa Wojskowego został mianowany gen. broni Karol Świerczewski.

Łużyckiej. W pierwszej kolejności opróżniano z Niemców następujące powiaty: w województwie szczecińskim – kamieński, woliński, nowogardzki, szczeciński, gryfiński, chojeński; w województwie wrocławskim: żagański, żarski, zgorzelecki, lubański, lwówecki; w województwie białostockim – ełcki, gołdapski i olecki. W województwie szczecińskim dotyczyło to również powiatów: choszczeńskiego, łebskiego, pyrzyckiego i stargardzkiego, a w województwie wrocławskim bolesławieckiego, jeleniogórskiego i ząbkowickiego. Ponadto dla potrzeb osadnictwa marynarki wojennej wysiedlono 10-kilometrowy pas poza granicami następujących miejscowości: Szczecin, Świnoujście, Warpno, Wolin, Darłowo, Kołobrzeg, Ustka, Sopot, Gdańsk, Elbląg i Tolkmicko<sup>9</sup>. Niektóre jednostki rozpoczęły wysiedlanie Niemców już w połowie czerwca. Otto Baumer z Gwarowa w powiecie zgorzeleckim tak zapamiętał sytuację: „16 czerwca 1945, wcześniej o godz. 7.00 przyszli polscy żołnierze i chcieli wygnać ludność. Na rozkaz Rosjan Polacy wycofali się i ludność pozostała. Następnego dnia Polacy przyszli ponownie z decyzją na piśmie, że ludność musi odejść. Teraz także Rosjanie nie mogli pomóc. Polacy rozeszli się do poszczególnych zagród i wypędzili mieszkańców, pod strzałami i uderzeniami bicia z mieszkań. Na spakowanie się pozostawiono 5 minut i pozwolono zabrać tylko to, co każdy mógł unieść. Polacy zabrali co chcieli. Wypędzenie objęło 80% mieszkańców. Pozostali tylko pracujący na rosyjskim cmentarzu”<sup>10</sup>. Wy-

---

9. S. Banasiak, „Działalność osadnicza Państwowego Urzędu Repatriacyjnego na Ziemiach Odzyskanych w latach 1945-1947”. Poznań 1963, s. 130; T. Białecki, „Geneza i rezultaty wysiedleń wojskowych na ziemiach zachodnich w połowie 1945”, w: *Przegląd Zachodnio-Pomorski*, nr 1 z 1970 r., s. 35; Z. Romanow, „Ludność niemiecka na ziemiach zachodnich i północnych w latach 1945-1947”. Słupsk 1992, s. 16.

10. „Documentation der Verteilung der Deutschen aus Ost-Mittel-europa. Die Vertreibung der deutschen Bevölkerung aus den Gebieten ostlich der Oder-NieBe”. Band 2. München 1984, s. 694. Tekst oryginalny: „Am 16. Juni 1945, früh 7.00 Uhr, kamen polnische Soldaten und wolten die Bevölkerung heraus jagen. Auf Befehl der Russen zogen die Polen ober wider ob, und die Bevölkerung blieb. Den nachsten Tag komen die Polen wieder mit einem schriftlichen Bescheid, daB die Bevelkerung raus maB. nun konnten auch die Russen nihct mehr helfen. Die Polen, verteiten sich auf die einzeinen Gehöfte und trieben die



siedleń dokonywały niewielkie grupy 8-20 żołnierzy, które formowały z Niemców kolumny marszowe albo przy dużej odległości organizowały transport samochodowy. Teoretycznie mieli być konwojowani 10 km w głąb radzieckiej strefy okupacyjnej. Często jednak nawet nie doprowadzano ich do tej strefy<sup>11</sup>.

Najwięcej raportów ze swej działalności przesyłała 5 dywizja, której dowódca płk. Kupsza już 21 czerwca 1945 roku wydał szczegółowy rozkaz podlegającym mu jednostkom. Zalecał w nim zakończyć wysiedlenie do 28 czerwca. Sprecyzował również, jaką część swego majątku Niemcy mogą zatrzymać. Tak więc każdy z nich miał prawo do 20 kg bagażu, na który mogła się składać jedynie niezbędna odzież i żywność na drogę<sup>12</sup>. Dowódca 11 dywizji piechoty pozwalał natomiast Niemcom zabrać nawet konie i woły, celem przyspieszenia transportu. Odbierano je jednak w punktach kontrolnych przed przekroczeniem granicy<sup>13</sup>. W zasadzie podobnie postępowały inne dywizje. Wszędzie panował również jednakowy chaos i bałagan. Metody stosowane przez wojsko dalekie były od humanitaryzmu, często nie odbiegały od hitlerowskich. Przykładem mogą być m.in. wspomnienia Gertrudy Płoppa z Wrocławia: „Był wieczór, godzina 9.30.

---

*Einwohner unter schieBen und PeitschenhieBen aus ihren Wohnungen. zum Packen wurde nur fünf Minuten Zeit gelassen, un es durfte nur mitgenommen werden was jeder tragen konnte. Die Polen nahmen inzwieschen an sich, was sie wolten. Die Austreibung ertrekte sich ouf 80 Prozent der Einwohner, nur fur die Arbeiten auf dem russischen Friedhof blieben paar zurück”.*

11. B. Pasierb, „Migracja ludności niemieckiej z Dolnego Śląska w latach 1944-1947”. Wrocław 1969, s. 91; S. Zwoliński, „Wkład Ludowego Wojska Polskiego w utrwalenie przemian społeczno-politycznych na ziemiach zachodnich i północnych”, w: „Ludowe Wojsko Polskie w walce, służbie i pracy na ziemiach zachodnich i północnych”, praca pod red. S. Gacia. Poznań 1983, s. 312; A. Ogrodowczyk, „Nad Odrą i Bałtykiem. Osadnictwo wojskowe na zachodnich i północnych ziemiach Polski po drugiej wojnie światowej”. Warszawa 1979, s. 33-34.

12. CAW, Ludowe Wojsko Polskie, sygn. III/61/26, s. 280; CAW, Ludowe Wojsko Polskie, sygn. III/60/5, s. 104; A WIH, sygn. IV/96/31, R.L. Polkowski, op.cit. s. 54.

13. CAW, Akta dowództwa 11 dywizji piechoty, sygn. IV.521.11, brak nr. str.; Rozkaz nr 027 sztabu 11 dywizji z 21 czerwca 1945 r.

Rozległ się głos polskiego oficera: 'Precz, ustawiać się w szeregu z innymi, wszystko pozostawić. Także dzieciennych wózków nie zabierać ze sobą'. My zrobiliśmy to, ustawiliśmy się w szeregu. 'Stać pod ścianą, mężczyźni na prawo, kobiety na lewo, ręce w górę. Wszyscy zostaną rozstrzelani'. Kobieta z dwojgiem dzieci na rękach krzyknęła, że nie może podnieść rąk. Położono je przy nas. Wierzyliśmy, że przyjdzie nasz koniec. Dokonano obchodu i obrabowano tych, którzy jeszcze coś mieli: ozdoby, zegarki, pióra itp. Piękny polski oficer wydawał mi się wcielonym szatanem"<sup>14</sup>.

Nie był to odosobniony wypadek, gdyż żołnierze bardzo często dopuszczali się rabunków. W efekcie spadała wartość bojowa oddziałów i morale żołnierzy. Dowódca 11 dywizji piechoty stwierdzał: „Z wiedzą i pobłażaniem starszych oficerów liczne grupy składu osobowego zajmowały się morderstwem, skutkiem czego u każdego oficera, podoficera i szeregowego znajduje się wiele wszelkiego rodzaju rzeczy, jak: ubrania, materiały, rowery, motocykle i cenne przedmioty"<sup>15</sup>. Część zrabowanych przedmiotów odebrano żołnierzom i umieszczono w specjalnie do tego celu przygotowanych magazynach. Takie sytuacje powtarzały się jednak stale. W tych warunkach zdesperowani Niemcy wielokrotnie podpalali swe domy, zabudowania, a nawet lasy. Celem zapobieżenia takim wypadkom, uznawanym przez wojsko za sabotaż, dowódca 7 dywizji piechoty wydał 11 lipca rozkaz, w którym nakazał wysiedlanie jednocześnie wszystkich Niemców na podstawie

---

14. *Documentation der Vertreibung der Deutschen aus Ost-Mittel-europa I. Die Vertreibung der deutschen Bevölkerung aus der Gebieten ostlich der Oder-NeiBe. Band 2. München 1984, s. 701;*

Tekst oryginalny: „*Es war abends 9.30 Uhr. Da erhorte das Kommando eines polnischen Offizieres: 'Raus, in Reih und Glied anterten, alles dalassen. Auch kinderwagen dürfen nicht mitgenommen werden'. Wir tanten es, stellten uns in Reih und Glied. 'An die Wand stellen. Männer rechts, Frauen links, Hände hoch. Alle werden erschossen'. Eine Frau, die zwei Kinder auf den Armen hatte, wurde angebrüllt, daB sie die Hande nicht hochhob. Mon legte auf uns on. Wir glaubten, unseres Ende sei gekommen. Man visitierte uns köperlich und raubte denden, die noch etwas hatten, Schmucksachen, Uhren, Fuller usw. Der schöne polnische Offizer erschien mir wie ein leibhaftiger Satan"*.

15. CAW, Akta dowództwa 11 dywizji piechoty, sygn. IV.521.11, brak nr. stron, Rozkaz nr 039 sztabu 11 dywizji.

sporządzonych wcześniej spisów. Bezwzględnie wymagał również doprowadzenia Niemców do granicy<sup>16</sup>. Jednocześnie zakazano wszelkich kontaktów z Niemcami. Niezastosowanie się do tych rozkazów mogło pociągnąć za sobą bardzo surowe konsekwencje. Doświadczył tego m.in. oficer polityczny 86. Pułku Artylerii Przeciwlotniczej, który ożenił się z *volksdeutsch*’ką. Został za to zdegradowany do stopnia starszego ogniomistrza<sup>17</sup>. Karano również za ewidentne przestępstwa wobec Niemców<sup>18</sup>.

Niemcy nie mogli więc liczyć na ochronę ze strony wojska. Rabowano nie tylko majątek pozostawiony przez nich – lecz również pozbawiano ich nielicznych rzeczy, które początkowo pozwolono zabrać. Wikariusz Generalny Wrocławia w piśmie do biskupa Stanisława Adamskiego, tak oceniał los Niemców: „Ciągące szeregi wysiedlonych bywają także odzierane w drodze i na miejscach odpoczynku przez rosyjskie i polskie bandy prawie ze wszystkiego. W ten sposób skazuje się ich na niechybną śmierć głodową”<sup>19</sup>. „Nędza wysiedlonych jest nie do opisania” – zauważał dalej – „Nie widzą oni celu przed sobą. Dochodzą do Nysy Łużyckiej, gdzie wszystko się tłoczy, gdzie nie ma żywności, ani schronienia. Szerzy się epidemia samobójstw”<sup>20</sup>. Biskup Stanisław Adamski interweniował w tej sprawie u Ministra Administracji Publicznej Władysława Kiernika. W liście skierowanym do niego podkreślał, że metody stosowane podczas wysiedleń

---

16. CAW, Ludowe Wojsko Polskie, sygn. III/20/60, s. 26.

176. CAW, Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego, sygn. 1584/75/64, s. 231, Rozkaz nr 022 z 12 marca 1946 r.

18. CAW, Ludowe Wojsko Polskie, sygn. III/112/90, s. 2, Rozkaz dowództwa 9 dywizji piechoty z 2 maja 1945 roku. Tak więc np. morderców 3 niemieckich kobiet i 75-cio letniego mężczyzny, którzy byli żołnierzami 9 dywizji piechoty, wyrokiem sądu wojskowego zdegradowano i odesłano do kompanii karnej.

19. Archiwum Archidiecezjalne w Katowicach, Akta Rzeczowe, Władze świeckie, t.1 (1911-1967), brak sygnatury i nr. stron, Pisma Arcybiskupa Wikariusza Generalnego Wrocławia do księdza biskupa Adamskiego z 7 lipca 1947 r.

20. Tamże, brak nr. stron.

21. AAN, Ministerstwo Administracji Publicznej, Departament Polityczny, sygn. 758, s. 67.

kompromitują Polskę na arenie międzynarodowej<sup>21</sup>. Reakcja ta nie spowodowała żadnych efektów. Dopiero pod koniec roku władze przyznawały, że: „Na tle zdziczenia wojennego można rozumieć nastroje społeczeństwa, wyładowujące się tutaj w realizacji prawa odwetu, rzeczą czynników państwowych i społecznych jest załatwienie tych spraw w sposób, nie stawiający nas na równi z niemieckim barbarzyństwem”<sup>22</sup>.

Wysiedlenia nie wszędzie przebiegały bez problemów. Było to widoczne m.in. w 5 dywizji piechoty. Jedną z najważniejszych przeszkód w wysiedleniach był sprzeciw ze strony komendantów radzieckich. Zdarzały się nawet wypadki aresztowania przeprowadzających wysiedlenie. Z tego powodu w niektórych rejonach zupełnie wstrzymano wszelkie działania<sup>23</sup>. Czerwonoarmiści nie liczyli się zresztą wcale z polskim wojskiem i administracją. Czynili nawet Niemcom nadzieję, że odzyskają tereny na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej. Podburzali ich przeciwko Polakom strasząc, że kiedy wyjadą, zostaną przez Polaków obrabowani a następnie zamordowani. Na Śląsku Opolskim zdarzały się nawet wypadki odbijania przez oddziały radzieckie, Niemców osadzonych w aresztach<sup>24</sup>. Ośmieleni w ten sposób Niemcy zaczęli również sami dochodzić swoich praw. Stawiali opór wobec przejmowania gospodarstw rolnych przez polskich osadników. W Prudniku doszło nawet do tego, że Niemcy obrabowani przez Polaka

---

22. A MSZ, Departament Polityczny, sygn. 18/81/7, s. 15, „Problem niemiecki w Polsce w momencie dzisiejszego przelomu, opracowanie dyskusyjne”. Toruń 20 listopad 1945.

23. A WIH, sygn. IV/96/31, R.L. Polkowski, op.cit. s. 54; B. Pasierb, op.cit. s. 81-92; CAW, Ludowe Wojsko Polskie, sygn. III/605, s. 155, Rozkaz dowództwa II Armii WP z 24 czerwca 1945 r.; CAW, Ludowe Wojsko Polskie, sygn. III/5/257, s. 283, Raport z inspekcji 12 dywizji piechoty w dniach od 9 do 18 lipca 1945 r. Informowała o tym zwłaszcza 12 dywizja, której żołnierze często napotykali tego typu trudności. Tak np. w miejscowości Plote aresztowano całą 7 kompanię z 33 pułku piechoty.

24. A UOP w Opolu, Raporty sytuacyjne i sprawozdania okresowe z Komendy Powiatowej Milicji Obywatelskiej w Kluczborku za lata 1945-1949, sygn. 11/31/413, Raport sytuacyjny za okres od 5.07 do 19.07.1945, s. 1.

25. A UOP w Opolu, Raporty sytuacyjne i sprawozdania okresowe z Komendy Powiatowej Milicji Obywatelskiej w Prudniku za lata 1945-1949, sygn.2/UB/11, Raport sytuacyjny za okres od 19.06 do 2.07.1945, s. 1..

zaatakowali posterunek milicji<sup>25</sup>. Zupełnie inne trudności napotkała 10 dywizja piechoty. Na teren wyznaczony jej do wysiedleń zaczęli napływać Niemcy usuwani z Czechosłowacji. Na rozkaz dowódcy zawrócono ich z drogi, gdyż mogło to uniemożliwić wykonanie rozkazu<sup>26</sup>.

Przeciwko usuwaniu Niemców szybko zaczęła również protestować polska administracja. Gwałtownie zmniejszała się bowiem liczba rąk do pracy. Powodowało to unieruchomienie wielu fabryk, a nawet kopalń. Największe problemy przewidywano jednak w okresie żniw. Zmusiło to Naczelnego Dowódcę Wojska Polskiego do korekty wcześniejszych rozkazów. Problem ten został poruszony w rozkazie z 6 lipca 1945 r., gdzie zalecono:

„1. Akcję wysiedleńczą Niemców prowadzić w ścisłym porozumieniu z władzami administracji publicznej;

2. W akcji wysiedleńczej przestrzegać zasady, aby zakłady przemysłowe i wszelkie urządzenia gospodarcze przez wysiedlenie nie uległy zniszczeniu i dewastacji. Specjalistów pracujących w zakładach przemysłowych należy pozostawić, zaopatrując ich w specjalne zaświadczenie i zalecając im odpowiedzialność za utrzymanie i konserwację zakładów. Załogę można zmniejszyć tylko do takiego stanu, aby zakład nie uległ zniszczeniu;

3. Na terenach rolnych należy wybrać elementy antyhitlerowskie spośród ludności niemieckiej w takiej ilości, aby zapewnić opiekę nad trzodą i dobytkiem. Uwzględnić również potrzeby przeprowadzania żniw. Pozostawionych w gospodarstwach rolnych Niemców zaopatrzyć w odpowiednie dokumenty i obciążyć ich odpowiedzialnością za całość dobytku<sup>27</sup>.

Działania te były już spóźnione i tylko w niewielkim

---

26. CAW, Ludowe Wojsko Polskie, sygn.III/127/7, s. 81.

27. A WIH, sygn.IV/96/31, R.L. Polkowski, op.cit., s. 40-51; S. Zwoliński, „Wkład Ludowego Wojska Polskiego w utrwalanie przemian społeczno-politycznych na ziemiach zachodnich i północnych, w: „Ludowe Wojsko Polskie w walce, służbie pracy na ziemiach zachodnich i północnych”, praca zbiorowa pod red. S. Gacia. Poznań 1983, s. 314; CAW, Ludowe Wojsko Polskie, sygn. III/20/60, s. 139, Rozkaz dla jednostek 7 dywizji piechoty 2 Armii WP z 4 lipca 1945 r., nr 139.

stopniu mogły poprawić sytuację. Niemcy przyjęli powstrzymanie wysiedleń z dużą ulgą, gdyż nadal żywili nadzieję na pozostawienie terenów na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej w granicach Niemiec. Było to szczególnie widoczne wśród niemieckich mieszkańców Szczecina.

Wysiedlenia wojskowe zostały zahamowane na początku lipca, ze względu na zbliżające się żniwa i brak rąk do pracy. Pierwszy interweniował w tej sprawie S. Radkiewicz. Następnie pełnomocnicy rządu na okręgi Pomorze Zachodnie i Śląsk Opolski (L. Borkowicz i S. Piaskowski) interweniowali dowódcy 2. Armii Wojska Polskiego, gen. K. Świerczewskiego<sup>28</sup>. Wpływ na powstrzymanie wysiedleń miały także zapewne protesty mocarstw zachodnich. Wszystko wskazuje również na interwencje władz radzieckich, z którymi wysiedlenia najprawdopodobniej nie zostały uzgodnione. Jednakże dowódca 2 Armii Wojska Polskiego w swym rozkazie z 24 czerwca 1945 r. powoływał się na zgodę Moskwy. „Nie należy wdawać się w dyskusję z komendantami – pisał – a postawić ich trzeba wobec faktów dokonanych. My wysiedlamy Niemców z polskiego terytorium działając w myśl dyrektyw z Moskwy”<sup>29</sup>. Wysiedlenia wojskowe zostały zakończone na początku sierpnia 1945 roku. Najdłużej, bo aż do 10 sierpnia prowadziła wysiedlenia 10 dywizja piechoty<sup>30</sup>.

Decyzja o wysiedleniu Niemców już w czerwcu 1945 r. została podjęta zbyt pochopnie i w konsekwencji niekorzystnie odbiła się na gospodarce. Przy braku odpowiedniej liczby osadników polskich, Niemcy byli niezbędni do przeprowa-

---

28. Archiwum Państwowe w Szczecinie (dalej AP w Szczecinie), Wojewódzka Rada Narodowa, Wydział Koordynacji i Planowania, s. 5, Raport sytuacyjny pełnomocnika akcji żniwno-siewnej na Okręg Pomorze Zachodnie; S. Zwoliński, „Wkład Ludowego Wojska Polskiego w utrwalanie przemian społeczno-politycznych na ziemiach zachodnich i północnych”, w: „Ludowe Wojsko Polskie w walce, służbie i pracy na ziemiach zachodnich i północnych”, praca zbiorowa pod red. Stanisława Gacia. Poznań 1983, s. 315.

29. CAW, Ludowe Wojsko Polskie, sygn. III/60/5, s. 155; Z. Romanow, „Ludność niemiecka na ziemiach zachodnich i północnych w latach 1945-1947”. Słupsk 1992; B. Pasierb, „Migracje ludności niemieckiej z Dolnego Śląska w latach 1944-1947”. Wrocław 1969, s. 91.

30. CAW, Ludowe Wojsko Polskie, sygn. III/4/320, s. 64.

dzenia zbioru zbóż, ziemniaków a nawet siewów jesiennych. Wyludnienie stwarzało również szerokie pole działania dla szabrowników. W tym czasie ani wojsko, ani administracja cywilna nie dysponowały dostatecznymi siłami aby zapobiec rozgrabieniu i niszczeniu majątku pozostawionego przez Niemców<sup>31</sup>.

Wysiedlenia wojskowe wpłynęły również niekorzystnie na strukturę narodowościową. Bowiem ze względu na pośpiech i bałagan, nie badano wtedy ściśle pochodzenia ani nawet nie starano się sprawdzić przedkładanych dokumentów<sup>32</sup>. Skutkiem tego wśród wysiedlanych Niemców znaleźli się również autochtoni. Nie było to zjawisko masowe, ale wojewoda poznański interweniował w tej sprawie u dowódcy 2 Armii Wojska Polskiego gen. K. Świerczewskiego.

Równoległe z wysiedleniami prowadzonymi przez wojsko, usuwaniem Niemców zajmowała się również polska administracja. Jej działania rzadko nosiły brutalny charakter. Starano się raczej skłonić Niemców, żeby sami podjęli decyzję o wyjeździe. Temu miało służyć prowadzenie wobec nich polityki mającej na celu pogłębienie trudności dnia codziennego. Było to widoczne zwłaszcza w urzędach, gdzie sprawy niemieckich petentów z reguły załatwiano odmownie lub wcale ich nie rozpatrywano. Ministerstwo Administracji Publicznej wydało również zakaz drukowania niemieckich czasopism i książek, działalności niemieckich stowarzyszeń, otwierania niemieckich teatrów oraz wyświetlania niemieckich filmów w kinach<sup>33</sup>.

Niemcom, którzy zdecydowali się na wyjazd umożli-

---

31. H. Dominiczak, „Proces zasiedlania województwa zielonogórskiego w latach 1945-1950”. Zielona Góra 1975, s. 31; S. Zwoliński, „Wkład Ludowego Wojska Polskiego w utrwalanie przemian społeczno-politycznych na ziemiach zachodnich i północnych”, w: „Ludowe Wojsko Polskie w walce, służbie i pracy na ziemiach zachodnich i północnych”, praca zbiorowa pod red. S. Gacia. Poznań 1983, s. 315.

32. AP w Poznaniu, Urząd Wojewódzki Poznański, Oddział Społeczny, sygn. 126, s. 109; Sprawozdanie wojewody poznańskiego z 1 marca 1946 r.

33. A MSW, Ministerstwo Administracji Publicznej, Departament Polityczny, sygn., s. 23, Zarządzenie Ministra Administracji Publicznej z czerwca 1945 r.

wiono szybkie załatwianie wszystkich formalności i wydawano specjalne zaświadczenia<sup>34</sup>. Usuwanie Niemców w ten sposób nie przybrało wprawdzie masowego charakteru, ale stosowano je zarówno na ziemiach nowych, jak i dawnych Polski.

Na obszarze centralnej Polski największym skupiskiem Niemców było województwo łódzkie. Byli oni głównie potomkami kolonistów niemieckich, ale znaleźli się wśród nich również niemieccy przesiedleńcy z Estonii, Litwy, Łotwy oraz Rumunii. Podczas, gdy nowi przybysze zamieszkiwali głównie wioski i kolonie na zachodnich terenach województwa, pozostali Niemcy koncentrowali się w miastach. W samej Łodzi jeszcze w październiku 1945 roku mieszkało 3.815<sup>35</sup>. Liczba Niemców w województwie łódzkim według obliczeń z dnia 27 maja 1945 roku wynosiła 33.565. Na skutek nacisków administracji w okresie wysiedleń przedpoczdamskich województwo łódzkie opuściło około 3 tys. Niemców<sup>36</sup>. W tak krótkim okresie był to stosunkowo duży procent, gdyż w ciągu następnego roku (do 9 sierpnia 1946 r.) wyjechało zaledwie 12 tys. Niemców<sup>37</sup>.

Podobna sytuacja panowała również na terenie byłego Wolnego Miasta Gdańska. Tam wyraźnie można było zaobserwować, jakiej kategorii ludności niemieckiej pozbywano się w pierwszej kolejności. Usuwano więc Niemców niezdolnych do pracy ze względu na wiek i choroby. Największe szanse na pozostanie mieli fachowcy z różnych dziedzin przemysłu, a zwłaszcza przemysłu stoczniowego. Według

---

34. A MSW, Ministerstwo Administracji Publicznej, Departament Polityczny, sygn., 308, s. 30. Zaświadczenia wystawiane przez administrację miały wszędzie podobną treść:

„Zaświadcza się, że... obywatel niemiecki narodowości niemieckiej, urodzony dnia... w... udaje się na stały pobyt do Niemiec. Władze wojskowe i cywilne uprasza się o umożliwienie wymienionemu podróży do Niemiec. Zaświadczenie niniejsze traci swą ważność po upływie 1 miesiąca od daty wystawienia”.

35. A MSW, Ministerstwo Administracji Publicznej, Departament Polityczny, sygn. 18, s. 136, Sprawozdanie sytuacyjne za październik 1945 roku.

36. A MSW, Ministerstwo Administracji Publicznej, Departament Polityczny, sygn. 299, s. 6.

37. AAN, Ministerstwo Administracji Publicznej, Departament Polityczny, sygn. 753, s. 12.



obliczeń z września 1945 r. stanowili oni 1/3, ze 100 tys. zatrzymanych Niemców. Pozostali pracowali w prywatnych i państwowych gospodarstwach rolnych, gdzie odczuwano brak rąk do pracy<sup>38</sup>.

Podanie dokładnej liczby Niemców, którzy opuścili byłe Wolne Miasto Gdańsk w okresie wysiedleń przedpoczdamskich jest niemożliwe. Wynika to z faktu, że nie prowadzono wtedy tak dokładnych statystyk. Przymusowo wyjechało jednak wtedy około 20 tys. Niemców<sup>39</sup>.

Pojedyncze wypadki wyjazdów Niemców odnotowano również z województw krakowskiego i warszawskiego. Na tym obszarze było to zjawisko marginalne, ze względu na niewielką liczebność Niemców. W województwie warszawskim według danych z listopada 1945 roku mieszkało zaledwie 2 tys. Niemców<sup>40</sup>. W wypadku wyjazdu musieli oni również uzyskać indywidualne zezwolenia<sup>41</sup>. Ponieważ nie były one ewidencjonowane, nie można podać nawet szacunkowych liczb obrazujących ten proces.

Podobny przebieg miało wysiedlanie Niemców przez administrację państwową na ziemiach Polski zachodniej i północnej. Tu również nosiły one dobrowolny charakter, chociaż zachodziły również wypadki stosowania przymusu<sup>42</sup>.

---

38. AP w Gdańsku, Urząd Wojewódzki w Gdańsku, Wydział samorządowy, sygn. 1443, s. 27, Protokół z konferencji w sprawach wysiedleńczych i koordynacji akcji osiedleńczej z wysiedleńczą, odbytej dn. 22 września 1945 r.

39. A MSW, Ministerstwo Ziem Odzyskanych, sygn. 19, s. 6.

40. A MSW, Ministerstwo Administracji Publicznej, Departament Polityczny, sygn. 303, s. 45.

41. AP w Krakowie, Urząd Wojewódzki Krakowski, Wydział Społeczno-Polityczny, sygn. 1086, brak nr. stron.

42. *Documentation der Vertreibung der Deutschen aus Ost-Mittel-europa I. Die Vertreibung der deutschen Bevölkerung aus der Gebieten ostlich der Oder-Neiße. Band 2.* München 1984, s. 685.

Tak zapamiętała swoje wysiedlenie Mima Binder mieszkająca w Rogoźnie: „25 czerwca o godz. 9.00 polski burmistrz przyszedł i powiedział: ‘O godz. 11 zbierzecie się przy pomniku i zostaniecie wydalenii’. Po pół godzinie przyszedł i powiedział: ‘Pozostańcie tutaj’. Kilka kobiet poszło w sprawie wydalenia do rosyjskiego komendanta, który powiedział ‘Nie mogę nic zrobić, ja mam tylko władzę wojskową, cywilna należy do Polaków’. Gdy mieszkańcy wsi zebrali się, mogli

Warunkiem wyjazdu były przepustki, których uzyskanie nie stanowiło żadnego problemu. Często otrzymywały je nawet osoby wpisane do II, III i IV grupy niemieckiej listy narodowej. Wyjeżdżającym nie zabezpieczano transportu. Z reguły decydowali się na podróż pociągami, często nie posiadając biletów na przejazd. Jednakże polskie i radzieckie władze kolejowe nie robiły im żadnych trudności z tego powodu. Zdarzały się nawet wypadki, że oddawano do ich dyspozycji wagony osobowe<sup>43</sup>.

Ten sposób usuwania Niemców nie był jednak nigdzie stosowany powszechnie. Ponieważ był prowadzony w tym samym okresie i często na tym samym obszarze co wysiedlenia wojskowe, nie można wyodrębnić z ogólnej liczby wysiedlonych Niemców tych, którzy wyjechali na skutek nacisków administracji. Wysiedlenie Niemców zarówno przez władze cywilne, jak i przez wojsko, było jedynie doraźnym sposobem rozwiązania tego problemu. Wznowiono je w późniejszych miesiącach, ale w nieco odmienny sposób i bardziej planowo.

Niezwykle trudna do ustalenia jest liczba Niemców wysiedlonych w czerwcu i lipcu 1945 roku. Wśród historyków nie ma w tym względzie zgodności. T. Białecki liczbę wysied-

---

zabrać rzeczy do 20 kg. Polacy przeszukali ich i zabrali co im się podobało. Po południu polski burmistrz przyszedł i powiedział: 'Musicie natychmiast odejść'".

Tekst oryginalny: „Am 25. Juni, 9.00 Uhr, kam der polnische Bürgermeister und sagte: 'Um 11.00 Uhr am Denkmal versammeln, sie werden ausgewiesen'. Nach einer halben Stunde kam er: 'Hierbleiben'. Einige Frauen gingen wegen der Ausweisung zum russischen Kommandanten, er sagte: 'Kann nicht machen, ich nur Militargewalt, Zivil der Pole'. Als sich die Dorbewohner versammelt hatten, wurde die wenige Habe, 20 Kilo, die sie mitnehmen durften, durchsucht, und was den Polen gefiel, nahmen sie an sich. Nachmittags. .. kam der polnische Bürgermeister: 'Sie müssen sorort raus'".

43. AP w Gdańsku, Urząd Wojewódzki Gdański, Wydział Społeczno-Polityczny, sygn. 59, s. 145.

44. T. Białecki, „Geneza i rezultaty wysiedleń wojskowych na ziemiach zachodnich w połowie 1945 r.”, w: *Przegląd Zachodnio-Pomorski*, nr 1 z 1970 r., s. 37.

45. S. Banasiak, „Repatriacja Niemców z Polski, w: *Przegląd Zachodni*, nr 3 z 1966 r., s. 125.

lonych szacuje na 200-250 tys.<sup>44</sup>, S. Banasiak na 300 tys.<sup>45</sup>, A. Magierska na 350-450 tys.<sup>46</sup>, K. Skubiszewski na 400 tys.<sup>47</sup>, A. Ogrodowczyk na 500 tys.<sup>48</sup>, S. Zwoliński na 620-630 tys.<sup>49</sup>, K. Kersten na 1,2 mln.<sup>50</sup> Źródła niemieckie podają, że latem 1945 roku wysiedlono 250 tys. osób<sup>51</sup>.

Nie w pełni wiarygodne są również dane wojskowe. Według tych źródeł poszczególne dywizje wysiedliły: 5 dywizja piechoty – 174 tys. osób, 7 – około 350 tys., 8 – brak danych, 10 – około 200 tys., 11 – 305 tys., 12 – 193 tys. i 13 – brak danych<sup>52</sup>. Raporty wojskowe podają zatem, że wysiedlono 1 mln 222 tys. Niemców. Nie uwzględniają one danych 8 i 13 dywizji. Niektórzy historycy twierdzą, że osiągnęły one wyniki zbliżone do pozostałych. Sumując te wielkości otrzymujemy 1,5 miliona, jako szacunkową liczbę Niemców wysiedlonych przez wojsko<sup>53</sup>. Podobna liczba znajduje się w raporcie Poznańskiego Okręgu Wojskowego, który został przedłożony Departamentowi Poboru i Uzupelnień Wojska Polskiego w dniu 28 września 1945 r<sup>54</sup>.

Jak dotąd nie ma żadnych innych oficjalnych danych sta-

---

46. A. Magierska, „Ziemie zachodnie i północne w 1945 roku. Kształtowanie się podstaw polityki integracyjnej państwa polskiego”. Warszawa 1978, s. 125.

47. K. Skubiszewski, „Wysiedlenie Niemców po II wojnie światowej”. Warszawa 1968, s. 99-100.

48. A. Ogrodowczyk, „Nad Odrą i Bałtykiem. Osadnictwo wojskowe na zachodnich i północnych ziemiach Polski po drugiej wojnie światowej”. Warszawa 1979, s. 37.

49. S. Zwoliński, op.cit. s. 317.

50. K. Kersten, „Osadnictwo wojskowe w 1945 roku. Próba charakterystyki, w: *Przegląd Historyczny*, z. 4 z 1964 r., s. 650.

51. *Documentation der Vertreibung...*, Band I, s. 155; K.D., Henke, *Der Weg nach Potsdam – die Alliierten und die Vertreibung*, w: *Die Vertreibung der Deutschen aus dem Osten, Frankfurt am Main 1985*, s. 67; H.W. Rautenberg, *Ursachen und Hintergründe der Vertreibung Deutscher*, w: *40 Jahre Arbeit für Deutschland – die Vertriebenen und Flüchtlinge*. Ullstein 1989, s. 27.

52. A. WIH, sygn. IV/96/31, R.L. Polkowski, op.cit., s. 86; S. Zwoliński, „Wkład Ludowego Wojska Polskiego w utrwalanie przemian społeczno-politycznych na ziemiach zachodnich i północnych”, w: „Ludowe Wojsko Polskie...”, s. 315.

53. A. WIH, sygn. IV/96/31, R.L. Polkowski, op.cit., s. 86.

54. CAW, Ludowe Wojsko Polskie, sygn. III/2/200, s. 201.

tystycznych, pozwalających skonfrontować te szacunki. Jest niemal pewne, że rozmiary podawane przez wojsko zostały znacznie zawyżone. Po zakończeniu wysiedleń w czerwcu i lipcu liczba Niemców w niektórych rejonach wzrosła. Znajduje to potwierdzenie w licznych raportach sytuacyjnych. Przykładowo inspektor Ministerstwa Administracji Publicznej, Michał Różycki opisując warunki na Dolnym Śląsku stwierdzał „W pasie przygranicznym a przede wszystkim w większych miastach jak Wrocław ilość Niemców nie tylko nie zmniejszyła się ale znacznie wzrosła przez nieumiejętne przeprowadzenie pierwszego wysiedlenia. Wysiedlenie to spowodowało, że Niemcy nie doprowadzeni do granicy państwa skryli się w miastach, co nie zmniejszało ilości na terenie Państwa a odbiło się ujemnie na akcji zniwnej”<sup>55</sup>.

Zaniepokojony tymi informacjami, szef sztabu 2. Armii Wojska Polskiego gen. brygady Joskiewicz pisał: „w ostatnim czasie skutkiem słabego pełnienia służby przygranicznej na granicy i niedostatecznej kontroli nad przybywającymi ludźmi i pociągami z terenów niemieckich wysiedleni Niemcy masowo powracają na swoje dawne miejsca zamieszkania”. Celem zastopowania tego procesu rozkazał: „1. Na kontrolne punkty wydzielić najlepszych i najbardziej wyszkolonych żołnierzy, których zobowiązać do bezwzględnej kontroli dokumentów u wszystkich osób przyjeżdżających z zagranicy do Polski lub z Niej wyjeżdżających; 2. Wszystkich Niemców, którzy powrócili wysiedlić z powrotem zorganizowanym porządkiem”<sup>56</sup>. Jasne więc stają się przyczyny niezbyt pochlebnych ocen wysiedleń wojskowych na szczeblu centralnym. Ministerstwo Administracji Publicznej było zdania, że: „Próby wysiedlenia masowego podjęte przez Wojsko Polskie dały wyniki niepożądane, ujemne dla restytuowania gospodarki na terenach odzyskanych i niepożądane w stosunkach międzynarodo-

---

55. A MSW, Ministerstwo Administracji Publicznej, Departament Polityczny, sygn. 138, s. 13.

56. CAW, Ludowe Wojsko Polskie, sygn. III/60/5, s. 272, Zarządzenie nr 056 dowództwa 2 armii.

57. A MSW, Ministerstwo Administracji Publicznej, Departament Polityczny, sygn. 303, s. 14, Projekt w sprawie przesiedlenia Niemców z 20 sierpnia 1945 r.

wych”<sup>57</sup>.

Pospieszny i chaotyczny charakter wysiedleń przeprowadzonych w czerwcu i lipcu 1945 r. sprawił, że odegrały one znikome znaczenie w całości akcji zmierzającej do usunięcia z Polski ludności niemieckiej. Brak możliwości skutecznego chronienia granic wpłynął na znaczne zmniejszenie rezultatów tego etapu wysiedleń. Łącznie w czerwcu i lipcu 1945 r. wojsko i administracja państwowa usunęły około 400 tys. Niemców<sup>58</sup>. Te wysiedlenia miały jednak szerszy zasięg i kontekst. Nie ograniczały się one tylko do Polski zachodniej i północnej, objęły również część ziem dawnych. Uczestniczyło w nich wojsko i administracja państwowa. Wbrew dotychczasowym sądom wojsko nie koncentrowało się wyłącznie na oczyszczaniu z Niemców przygranicznych powiatów. Niektóre dywizje znacznie wykraczały poza przydzielony do oczyszczania teren. Pododdziały 5 i 7 dywizji piechoty działały nawet w odległości ponad 100 km od wyznaczonego obszaru. Wojsko określiło to mianem tzw. wysiedleń dodatkowych albo ponadplanowych. Równoległe do wojska wysiedlenia prowadziła również administracja. To za jej przyczyną sięgnęły one ziem dawnych. Mimo braku współdziałania między nimi, można było przystąpić do rozpoczęcia osadnictwa wojskowego. Uświadomiono również Niemcom, że nie mogą liczyć na pozostanie w Polsce. Na skutek tego niektórzy zdecydowali się na wyjazd jeszcze w 1945 roku.

*Bernadetta NITSCHKE*

---

58. Obliczenia własne na podstawie sprawozdań Departamentu Politycznego MSZ, sygn. 18/204/15; sygn. 10/646/70 oraz meldunków dowódców 5,7,8,10,11,12,13 dywizji piechoty CAW sygn. II/60/7, III/5/230, III/4/320, 11 dywizja piechoty/84, III/5/25, III/4/231.

## CI, CO ODESZLI

Grzegorz MAZUR

### Z KART WOJENNEJ SŁUŻBY CZESŁAWA ZGORZELSKIEGO

Profesor Czesław Zgorzelski urodził się 17 marca 1908 r. w Boryczewie pod Kleckiem w ziemi nowogródzkiej. Ukończył gimnazjum im. Króla Zygmunta Augusta w Wilnie, a następnie studia polonistyczne na Uniwersytecie Stefana Batorego i został asystentem prof. Konrada Górskiego. Dalszy ciąg pomyślnie rozwijającej się kariery naukowej przerwała wojna.

Już w pierwszych dniach po klęsce wrześniowej przedstawiciele młodej wileńskiej inteligencji zaczęli myśleć o stworzeniu podziemnej organizacji. W listopadzie 1939 r. Józef Borkowski i Jerzy Wroński powołali do życia „Akcję Ludową”, organizację, w której silne były ideowe wpływy socjalistyczne, ale zarazem także chrześcijańskie. Do nich dołączyli: doc. Uniwersytetu Warszawskiego Jan Błaton, Teofil Witek, ks. Henryk Hlebowicz (od stycznia 1940 r.), który wkrótce zaczął odgrywać rolę dominującą w organizacji, będąc postacią wybitnie charyzmatyczną; oraz: Józef Filipczak, Stanisław Wawrzyńczyk i Czesław Zgorzelski. Był on też zaangażowany w działalność Organizacji Polski Walczącej

(OPW), redagując jej codzienne pismo *Polski Biuletyn Informacyjny*, zawierający wiadomości z nasłuchu radiowego. Ukazywało się ono od 4 XII 1939 r. do 2 I 1940 r. Należał również do jeszcze jednej z powstałych wtedy licznych organizacji konspiracyjnych w Wilnie, „Komisariatu Rządu”. W styczniu 1940 r. litewska policja polityczna Sauguma dokonała szeregu aresztowań wśród członków OPW. W nocy z 26-go na 27-go stycznia 1940 r. ich ofiarą padł też Czesław Zgorzelski, osadzony w więzieniu na Łukiskach. Wkrótce jednak – w końcu lutego – został zwolniony przez władze litewskie w wyniku – jak sam wspomina – interwencji przedstawicielstw mocarstw zachodnich w Kownie. Dodatkowo z prośbą o uwolnienie jego i innych aresztowanych zwróciła się 15 I 1940 r. do pełnomocnika rządu litewskiego na Wileńszczyznę, Kazysa Bizauskasa, delegacja Komitetu Polskiego, nieoficjalnej reprezentacji tamtejszego społeczeństwa polskiego wobec władz litewskich (nawiasem mówiąc, Cz. Zgorzelski był członkiem tego Komitetu). Niedługo potem ponownie włączył się do pracy konspiracyjnej. Wiosną 1940 r., wprowadzony przez dr. Stanisława Wawrzyńczyka, znalazł się w zespole redakcyjnym pisma SZP-ZWZ Okręgu Wilno *Polska w Walce*, obok senatora mjr. Władysława Kamińskiego (poległ potem pod Monte Cassino), Stefana Bratkowskiego, Eugeniusza Gulczyńskiego, ks. Kazimierza Kucharskiego, dra Jerzego Dobrzańskiego i prof. Szczepana Szczeniowskiego. Jednocześnie wraz z J. Borkowskim uczestniczył w redagowaniu pierwszego numeru pisma *Jutro Polski*<sup>1</sup>. Jak wspomina, „wychodziło ono jako organ grupy młodej inteligencji, skupionej wokół księdza profesora doktora Henryka Hlebowicza<sup>2</sup>”. W pracach nad drugim numerem już nie zdążył wziąć udziału. Aresztowany 24 VIII 1940 r. przez NKWD przebywał w wileńskim więzieniu na

---

1. L. Tomaszewski, „Kronika wileńska 1939-1941”, Warszawa 1994, ss. 65-67, 152-153; C. Zgorzelski, „Przywołane z pamięci”, Lublin 1996, ss. 108-109, 116-118, 121-122; J. Turowicz, „Uczony, obywatel, przyjaciel. Czesław Zgorzelski 17.03.1908 – 26.08.1996”, *Tygodnik Powszechny*, 1996, nr 36; P. Łossowski, „Litwa a sprawy polskie 1939-1940”, Warszawa 1982, s. 165.

2. C. Zgorzelski, s. 178.

Łukiszkach. Wraz z innymi miał zostać wywieziony do łagrow – nie doszło do tego, bowiem wileńscy kolejarze 23 VI 1941 r. odczepili wagony pełne więźniów od lokomotywy, kiedy to do Wilna zbliżały się już czołwki wojsk niemieckich<sup>3</sup>. Zaraz po powrocie do domu Cz. Zgorzelski ponownie włączył się do działalności konspiracyjnej, redagując *Jutro Polski*. Następnie wszedł w skład zespołu redakcyjnego pisma *Dla Polski* – będącego kontynuacją *Jutra Polski* – wraz z Leonem Lechem Beynarem (Pawłem Jasienicą), Stanisławem Stommą, S. Wawrzyńczykiem, J. Borkowskim, J. Wrońskim i Joanną Piekarską. Ukazały się jednak tylko trzy numery tego pisma z powodu niemieckich aresztowań kolporterów i częściowo zespołu redakcyjnego. Na wileńskich Ponarach zginął brat Czesława, Władysław Zgorzelski, ps. „Grzegorz”, aresztowany w lutym 1942 r. i wkrótce potem rozstrzelany przez Niemców<sup>4</sup>.

Następny etap działalności podziemnej Cz. Zgorzelskiego rozpoczął się w 1942 r., kiedy objął stanowisko zastępcy szefa Biura Informacji i Propagandy (BIP) Okręgu AK Nowogródek (szefem był dr S. Wawrzyńczyk) i redaktora tygodnika *Świt Polski*, pisma BIP-u tegoż okręgu. W formie dodatków do niego były publikowane wstrząsające „Listy z piekła” – fragmenty autentycznych listów osób wywiezionych w głąb ZSSR jeszcze za czasów okupacji sowieckiej. Od lipca do września 1944 r. był szefem BIP-u Okręgu AK Nowogródek. Brał udział w pogrzebie mjr./ppłk. Macieja Kalenkiewicza poległego w bitwie z siłami NKWD pod Surkontami 21 VIII 1944 r. Niedługo potem aresztowany, znalazł się w więzieniu w Lidzie, a potem w Baranowiczach i Grodnie. Nie rozszyfrowanemu przez NKWD, szczęśliwie udało mu się uniknąć wywiezienia do łagru i w końcu września 1944 r. został zwolniony, po czym powrócił do rodziny w Wilnie. W listopadzie 1945 r. opuścił na zawsze to miasto. Cz. Zgo-

---

3. Centralne Archiwum Państwowe Republiki Litewskiej, Fond R-756, Ap. 6, t. 35, k. 84-84; Cz. Zgorzelski, s. 128; relacja Cz. Zgorzelskiego (zbiory autora).

4. L. Tomaszewski, „Kronika wileńska 1941-1945. Z dziejów Polskiego Państwa Podziemnego”, Warszawa 1992, ss. 57-58; Cz. Zgorzelski, ss. 166-167.



rzelski używał pseudonimów „Cedro”, „Rafał”, „Zbigniew”, „Leon” – na jego życzenie w swojej monografii BIP-u nie ujawniłem jego nazwiska, publikując tylko pseudonimy; podobnie uczynił Jan Erdman w książce „Droga do Ostrej Bramy”<sup>5</sup>.

Po zakończeniu wojny prof. Zgorzelski poświęcił się pracy naukowej – najpierw na Uniwersytecie w Toruniu, potem w Ossolineum, a od 1950 r. na KUL-u. Zastąpił jako wybitny znawca literatury polskiej, zwłaszcza okresu romantyzmu. Związał się z redakcją *Tygodnika Powszechnego* już w 1945 r., a w 1956 r. wszedł w skład jego zespołu redakcyjnego. W 1976 r. był sygnatariuszem „Listu 101”, wystosowanego przez intelektualistów protestujących przeciw ówczesnym zmianom w konstytucji, a w lutym 1978 r. podpisał deklarację Towarzystwa Kursów Naukowych. Otrzymał wiele godności naukowych – w tym doktorat *honoris causa* Uniwersytetu Jagiellońskiego, nagrodę PEN Clubu i nagrodę Fundacji Jurzykowskiego<sup>6</sup>.

Profesor Czesław Zgorzelski zmarł w Lublinie 26 sierpnia 1996 r.

Grzegorz MAZUR

---

5. Cz. Zgorzelski, ss. 177, 191; G. Mazur, „Biuro Informacji i Propagandy SZP-ZWZ-AK 1939-1945”, Warszawa 1987, s. 401.

6. J. Turowicz, A. Friszke, „Opozycja polityczna w PRL 1945-1980”, Londyn 1994, ss. 330, 501.

## RECENZJE

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

### „POLSKI” ROZDZIAŁ U AKSJONOWA

Gdy myśli się o ilości sowieckich żołnierzy, którzy w latach 1944-1945 przeszli przez Polskę, zdumiewa nieproporcjonalnie mała ilość świadectw literackich tego okresu w literaturze rosyjskiej ostatnich lat pięćdziesięciu. I to w czasie, gdy pisarze polscy lat powojennych niemal bez wyjątku wprowadzali do swych opowiadań, powieści czy wierszy postaci Rosjan – lepszych czy gorszych, zależało to od autora. Mamy więc całą ich galerię, od dobrotliwego żołnierza w pociągu z opowiadania „Nocne spotkanie” (w tomie „Gwiazda zaranna”, 1955) Marii Dąbrowskiej, aż po gigantycznego pijaka w powieści Kazimierza Orłosa „Przechowalnia” (1985), podczas gdy pisarze rosyjscy zdawali się Polskę i Polaków niemal całkowicie ignorować. Oczywiście, były obowiązkowe reportaże dyżurnych korespondentów wojennych typu Borysa Polewoja czy Konstantina Simonowa, jednak temat ich zainteresowania stanowiły raczej zbrodnie „niemieckich faszystów” popełniane na terenie Polski, a nie ludność tego kraju, jej wojenne przeżycia i próby pogodzenia się z nową rzeczywistością, w której obecność sowieckiej armii liczącej w siłach 1., 2. i 3. Frontów Białoruskich i 1. Frontu

Ukraińskiego kilka milionów ludzi, stała się czynnikiem nie mniej ważnym niż okupacja niemiecka.

Pośród tych milionów sowieckich żołnierzy walczących w Polsce, na pewno niewielu było intelektualistów, toteż literackie odbicia tego masowego wtargnięcia na teren obcego, suwerennego dotychczas państwa, policzyć by można na palcach. Jednym z nich była wzmianka w autobiografii Wiktora Niekrasowa o ranie otrzymanej podczas walk o Lublin, podczas gdy Lew Kopelew poświęcił parę rozdziałów swych wspomnień opisom bitwy o „Graudenz”. Marginesowo przypomnieć też trzeba krańcowo różne utwory niejakiego Władimira Bogomołowa, od sentymentalnego opowiadania „Zosia” poczynając, a kończąc na paszkwilanckiej powieści „W awgustie sorok czetwiertogo” (1974), która stawia znak równania między niemiecką *Abwehrą* a polską partyzantką w Nowogrodzynie, obficie czerpiąc z faktograficznego opisu wymordowania przez NKWD oddziału Macieja Kalenkiwicza „Kotwicza”. W sumie zdawać by się mogło, że „polski epizod” nie pozostawił w literaturze rosyjskiej trwałego śladu, gdyby nie wydana ostatnio po rosyjsku, potem zaś po angielsku, trylogia Wasyla Aksjonowa „Moskowskaja saga”, zawierająca co prawda jeden tylko, ale za to charakterystyczny rozdział o polskiej tematyce\*.

Aksjonow, urodzony w 1932 r., syn znanej rosyjskiej dysydentki Jewgienii Ginzburg, bez wątpienia należy do czołowych powieściopisarzy rosyjskich ostatnich trzydziestu lat, a fakt, że od 1980 r. mieszka w Stanach Zjednoczonych, czyni go znany szerzej, niż wielu innych, nie zawsze dostępnych poza granicami Rosji pisarzy. Szybkie tłumaczenie trylogii na angielski i wydanie jej przez prestiżowe wydawnictwo *Random House* w Nowym Jorku popularność tego pisarza z pewnością rozszerzy dzięki szerokiej reklamie i przychylnym recenzjom, takim jak wypowiedź krytyka *The Washington Post Book World*, który powieść Aksjonowa nazwał „dwudziestowiecznym odpowiednikiem ‘Wojny i

---

\* Wasilij Aksjonow, „Moskowskaja saga. Kniga wtoraja: wojna i tiurma”. Moskwa 1993, oraz Vassily Akcyonov, „Generations of Winter”, New York, 1994 i „The Winter’s Hero”, New York, 1996

Pokoju”. Sądzę więc, że warto zająć się tu „polskim” rozdziałem trylogii jako pewnego rodzaju wprowadzeniem „polskiej kwestii” do literatury rosyjskiej bodajże po raz pierwszy od czasów Tołstoja, dla którego stosunek Rosji do Polski i Polaków stał się kamieniem probierczym zagadnień moralnych, jak to udowodnił prof. Wacław Lednicki w swej pracy „Tolstoy Between War and Peace” (1965).

Najpierw jednak słów parę o całości trylogii i występujących w niej postaciach, wśród których dwie pojawiają się następnie w wątkach polskich. Określona w tytule jako saga, trylogia przedstawia dzieje moskiewskiego rodu Gradowych, a ściślej mówiąc trzech jego pokoleń w okresie stalinizmu, od późnych lat dwudziestych aż po lata pięćdziesiąte naszego stulecia, przy czym, rzecz charakterystyczna, każdy z przedstawicieli poszczególnych pokoleń staje się w mniejszym lub większym stopniu ofiarą terroru. Nawet patriarcha rodu, członek Akademii Nauk ZSSR i znakomity lekarz Borys Gradow, dopuszczony w pewnym momencie do leczenia Stalina, nie uniknie aresztowania, podczas gdy wcześniej do łagrów trafią obaj jego synowie, a córka uniknie ich losu jedynie dzięki protekcji swego kochanka, najbliższego współpracownika Berii. Sytuacja rodzinna poprawia się nieco w okresie wojny, gdy Nikita Gradow zwolniony zostaje z zesłania i zaczyna robić błyskawiczną karierę wojskową, a w konsekwencji, już jako marszałek i głównodowodzący Frontem Rezerwowym, trafia do Prus Wschodnich wiosną 1944 roku, tym samym rozpoczynając „polski” rozdział w drugim, wojennym tomie trylogii.

W tym samym okresie działa w Polsce jego syn, zwany Borysem IV, jako sowiecki dywersant zrzucony ze spadochronem „gdzieś na tyłach wroga”, przy czym zadania grupy dywersantów, w której służy, nie są początkowo bliżej wyjaśnione i stają się wyraźne dopiero w miarę rozwoju akcji. W ten sposób dwaj członkowie moskiewskiej rodziny Gradowych prowadzą równoczesne działania w Polsce, co pozwala autorowi na bliższe ukazanie „polskiej kwestii”.

Rozdział jej poświęcony zatytułowany jest „Virtuti Militari”, co, *nota bene*, w angielskim tłumaczeniu podane jest nie wiadomo czemu jako „Vertuti Militari” (!), raz jeszcze

świadcząc o wielokrotnie okazywanym lekceważeniu lub czystej ignorancji, z jakimi do realiów polskich odnoszą się redaktorzy amerykańskich wydawnictw. I nie tylko amerykańskich, o czym za chwilę.

Jest kwiecień 1945 roku, a wojska Frontu Rezerwowego, zajmwszy właśnie pruskie miasteczko Schlossburg „na spornym niemiecko-polskim terytorium” (s. 260)\*\* rozpoczynają bezlitosną grabież, gwałty nieletnich dziewcząt i niszczenie ludności cywilnej, czemu zapobiec próbuje marszałek Nikita Gradow wbrew oficjalnej polityce Stalina i aparatu politycznego Frontu. Ale konflikt z reprezentantem partii, generałem Strojło, ma dalsze i poważniejsze implikacje: w centrum konfliktu znajduje się „ta przekłęta kwestia polska” (s. 269), jak powiada marszałek, gdy na terenie operacji Frontu pojawia się dywizja AK, usiłująca wynegocjować od Rosjan bezkolizyjne przejście do neutralnej Szwecji.

Dywizja, licząca ok. 3000 ludzi, przypominała Gradowowi wileńską AK, „wspaniale wyposażoną, w konfederatkach i panterkach, prawdziwą, regularną armię”, z jaką spotkał się w Wilnie, po uprzednich doświadczeniach w Białorusi, „w katyńskim lesie, gdy zobaczył czaszki z jednakowymi dziurkami w potylicach i zrozumiał, że w tym przypadku Niemcy nie kłamią, że to mokra robota tych samych ‘rycerzy rewolucji’” (s. 269). Przypomniawszy sobie także jak Stalin położył „zdrową łapę na mapie, zakrył wierzchem dłoni Warszawę, palcami Kraków i Gdańsk, i wypowiedział jedno tylko słowo: ‘Złoto!’” (s. 269). Porównując proporcje 500 ludzi w Armii Ludowej z 380 tysiącami bagnatów AK, która w samej Warszawie, w początku Powstania wystawić mogła 40 tysięcy żołnierzy (s. 270) i sięgając pamięcią od Suworowa po Jałtę, marszałek Gradow upewniał się coraz bardziej, że Rosja „dręczy ten kraj” i mając teraz „maleńką szansę” na przywrócenie sprawiedliwości, postanowił pozwolić akowskiej dywizji pułkownika Wigora przejść przez Schlossburg do Zalewu Wiślanego i na Mierzeję, a stamtąd do Szwecji, przy czym przemarsz odbył się z pełnymi wojskowymi honorami: marszałek Gradow w asyście sztabu salutował polskie oddzia-

---

\*\* Cytaty w tekście podano wg stronic rosyjskiego oryginału

ły, a nawet przez chwilę zastanawiał się, czy by nie zejść i nie podać ręki wyprostowanemu w „Willysie” Wigorowi, przez którego głowę przebiegały dokładnie takie same myśli. Skończyło się jednak na sztywnym, wojskowym salucie, z tym przecież, że dopiero po defiladzie zameldowano marszałkowi o ignorującej jego dżentelmeńską umowę z Polakami decyzji Szmiersz'u, skąd przybyli specjaliści od rozbijania i internowania polskich żołnierzy. Niespodziewany atak kilku młodzików z *Hitlerjugend* i śmierć Gradowa kończą ten rozdział, przy czym sytuacja przypomina nieco śmierć generała Iwana Czerniachowskiego, który autentyczne negocjacje prowadził z wileńską AK bezwzględnie i surowo, a wkrótce potem, w lutym 1945 r. zginął w Prusach Wschodnich w miejscowości Insterburg (nazwanej później przez Rosjan jego imieniem), rzekomo od rany odłamkiem pocisku artyleryjskiego, w okolicznościach do dzisiaj nie całkowicie wyjaśnionych.

Wątek – nazwijmy go „pruskim” – marszałka Gradowa ma pewne, najszerzej pojęte cechy realizmu powieściowego („tak nie było, ale mogło się zdarzyć”) i mimo szeregu potknięć faktograficznych uznany być może za wyraz sympatii dla Polski. Marszałek myśli szerokimi, historycznymi kategoriami, jest człowiekiem honoru, zdaje sobie sprawę z krzywd, jakie Polskę od Rosji spotkały, toteż stara się wykorzystać swoją „maleńką szansę” i ocalić polskich żołnierzy, mimo sprzeciwu swego „politycznego nadzorcy”, który zdecydowanie protestuje przeciw wypuszczeniu zagranicę „całej dywizji antysowieckich” (s. 290). „Polska – to hańba Rosji”, powtarza Gradow i oddaje honory pułkownikowi Wigorowi, który podczas negocjacji zachowywał się „jak dumny szlachcic choć wyglądał na nauczyciela kreślarstwa” (s. 273). W sumie tę część „polskiego rozdziału” ocenić należy pozytywnie, zwłaszcza w kontraście z wątkiem drugim, godnym zaliczenia do dziedziny czystej fantazji i mimo akcentów propolskich, zdecydowanie słabszym od poprzedniego.

Jest to historia syna marszałka, młodego Borysa IV, który jako sowiecki dywersant znajduje się od roku w Polsce i podczas gdy marszałek życiem przypląca próbę pomocy Polakom, jego syn odznaczony zostaje Krzyżem Orderu

„Virtuti Militari” za... mordowanie Polaków dokładnie w tym samym okresie, wiosną 1945 roku. Na zdziwione pytanie, kto nadał mu to odznaczenie, Borys dowiaduje się od swego dowódcy, majora Drzemiącego Wilka (!), że to „jedyne polski rząd, który uznajemy”, w ten sposób ocenił jego zasługi w walce podczas Powstania Warszawskiego. I tu zaczyna się fantazja na temat „jak sobie mały Baboczka wyobraża sytuację w Polsce”.

Kiedy wiosną 1944 r. grupa sowieckich dywersantów zrzucona została do kraju, „chłopcy myśleli, że nie opadli na grzeszną ziemię, a podnieśli się na spadochronach w siódme niebo”. Ale akcje dywersyjne przeciw Niemcom stopniowo zmieniały się w „coraz częstsze starcia z AK” (s. 276). Potem zaś, latem, nastąpił moment „natchniony, historyczny” – sowieckich dywersantów zrzucono w płomienie Powstania, którym dowodził generał Bór-Komarowski (!), walcząc z bliżej nie zidentyfikowanym Bachem-Zalewskim(!). (Zauważyć warto, że Aksjonow nie jest na pewno znawcą nazwisk: na s. 287 znajduje się wzmianka o Adolfie Hitlerze – tak bowiem odczytać należy rosyjską literę „X” używaną dla oddania polskiego „ch”). Okazało się jednak, że zrzut na płonące Krakowskie Przedmieście miał na celu nie walkę z Niemcami, ale wyciągnięcie z Warszawy generała AL Stycharskiego, który siedział sobie w oświetlonej elektrycznością piwnicy pod portretem W. I. Lenina i „poweselał ujrawszy stalinowską gwardię” (s. 280), po czym ochoczo pomaszzerował kanałem do Wisły. Tylko na brzegu rzeki, gdy podpływały po uciekających motorówki, honor AL uratowała pewna dziewczyna, która na propozycję ewakuacji wykrzyknęła: „Rosyjscy zdrajcy! Wierzyliśmy w was, a wy tylko patrzycie, jak nas zabijają!” i wróciła do gorejącego miasta (s. 281).

„Zabójcy, zdrajcy, okupanci – to tylko słyszeliśmy od miejscowych” – myślał Borys, zwłaszcza po „akcji” przeprowadzonej pod Krakowem, w miasteczku Telcy, gdzie „inwalida nie wiadomo jakich wojen, pan Tałuba, grał na harmonii Walc Ulicy Gnojeń, siedząc pod wyszczerbioną rykoszetami ścianą ze znakiem Kotwicy” (s. 273). Sześciu sowieckich dywersantów, a wśród nich „nasz Baboczka”,

dokonuje napadu na ratusz i „zarzont miejski” (s. 274). Pod byle pretekstem (dosłowny cytat: „Ma my list od gienierała Bura. Osobiszczce dla pana Wietuszzińskiego”), Rosjanie, ubrani w „czarne, deszczowe płaszcze i ośmiokątne(?) czapki z pośpiesznie przyszpilonymi znaczkami AK” napadają na wartujących polskich „chłopców z lasu”, rozbijają zebranie, mordują, podpalają i niszczą, a potem wskakują na motocykle i wesoło odjeżdżają do swojej leśnej, dwupiętrowej rezydencji, mimo że jednego z nich drasnęła „białopolska kula” (s. 275). I tam właśnie bohaterski Borys dowiaduje się o nadaniu mu „Virtuti Militari”, co stanowi akcent jeśli nie wręcz oburzający, to przynajmniej ponuro ironiczny.

Biorąc odwet za „bandycki” (jak to sam Borys określa) napad na miasteczko, batalion AK atakuje ciężką bronią rozkwaterowanych w lesie Rosjan, ci zaś bohatersko walczą, a potem ładują się na trzy amerykańskie ciężarówki i znikają na zamaskowanej w lesie drodze...

Jeśli jednak w całym rozdziale znaleźć można wiele podobnych nonsensów i błędów, Aksjonow stara się być stuprocentowym realistą w odtwarzaniu żołnierskiego języka, przy czym nie unika komicznej niejednokrotnie przesady. „Kurwy syn!” wołają Polacy, natomiast Rosjanie bluzgają słowami tak ordynarnymi, jakie dotychczas można było w pewnych środowiskach jedynie od nich usłyszeć, obecnie jednak czyta się tu wyrazy najordynarniejsze na równych prawach ze słownikiem przyjętym przez ludzi cywilizowanych. Toteż omawiając trylogię w jednym z amerykańskich kwartalników zaproponowałem, ażeby od jej wydania rozpocząć nowy rozdział w historii literatury rosyjskiej i nazwać do Plugawym Realizmem (*Filthy Realism*). Dla polskiego zaś czytelnika nawet stosunkowo sympatyczny „polski rozdział” – czy raczej prymitywny komiks na polski temat – każe postawić pod znakiem zapytania pozytywną ocenę powieści czołowego rosyjskiego pisarza naszej ery.

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI



## OKRUCHY HISTORII

Tadeusz WYRWA

### FRANCUZI I POLACY PODCZAS OKUPACJI NIEMIECKIEJ

WEDŁUG SPRAWOZDANIA PŁK. JÓZEFA JAKLICZA

Różne na ogół panują kryteria oceny sytuacji we Francji po jej kapitulacji w czerwcu 1940 roku. Podobnie jest z oceną stosunków polsko-francuskich z okresu rządów Vichy. Jeśli chodzi o Polaków, to ich opinie o Francuzach z tego okresu są przeważnie jednostronnie krytyczne. Odmienny i raczej odosobniony punkt widzenia reprezentował płk dypl. Józef Jaklicz (po wojnie mianowany generałem), dowódca Organizacji Wojskowej utworzonej we Francji z resztek wojska polskiego, które nie zdążyło przedostać się do Wielkiej Brytanii. Twórcą i pierwszym dowódcą Organizacji Wojskowej był gen. Juliusz Kleeberg, mianowany przez gen. Sikorskiego w lipcu 1940 roku dowódcą wojska polskiego, pozostałego we Francji. Poszukiwany przez Niemców i okupacyjne władze francuskie i narażony coraz bardziej na aresztowanie, gen. J. Kleeberg przekazał swoje funkcje 4 grudnia 1942 roku, płk. J. Jakliczowi, a sam opuścił nielegalnie Francję w kwietniu następnego roku.

W maju 1944 roku płk Jaklicz został przez rząd polski odwołany z zajmowanego stanowiska i wezwany do Londynu, gdzie wkrótce dotarł po przejściu Pirenejów i krótkim pobycie w więzieniu hiszpańskim. W Londynie napisał od razu, mając jeszcze żywy obraz sytuacji we Francji, 40-to stronicowy raport z datą 28 lipca 1944 roku, zatytułowany „Sprawozdanie z działalności Organizacji Wojskowej we Francji”<sup>1</sup> z zaznaczeniem na wstępie, że obejmuje ono tylko okres, w którym autor stał na czele Organizacji Wojskowej, tzn. od 4 grudnia 1942 r. do 16 maja 1944 r. Tytuł tego sprawozdania niezbyt jednak dokładnie oddaje jego treść, gdyż zawarte w nim problemy nie ograniczają się tylko do Organizacji Wojskowej. Autor wnikliwie i zwięźle przedstawia w ogólnym zarysie atmosferę okupacji, postawę Francuzów i Polaków, oraz wzajemne ich stosunki, nie oszczędzając cierpkich uwag pod adresem własnych rodaków.

Płk. J. Jaklicz znał Francuzów już przed wojną; co ułatwiło mu działalność podczas okupacji. Jako zastępca gen. Wacława Stachewicza, szefa Sztabu Głównego, brał udział w rozmowach polsko-francuskich wiosną 1939 roku i w maju uczestniczył w misji gen. Tadeusza Kasprzyckiego, przybyłej do Paryża celem dalszych pertraktacji z gen. Maurice Gamelin, w wyniku której został podpisany „protokół wojskowy”. Po kampanii wrześniowej płk Jaklicz zameldował się w Paryżu, w pierwszej dekadzie listopada 1939 roku, u gen. Sikorskiego, który – dawniej przychylnie do niego nastawiony – nie dał mu żadnego przydziału (skutek niechlubnej „czystki” przedwojennej kadry oficerskiej). Przydział otrzymał dopiero, w pierwszych dniach czerwca 1940 roku, w dowództwie 3 Dywizji Piechoty, ale tydzień po objęciu stanowiska Francja skapitulowała<sup>2</sup>.

Po kapitulacji Francji i chaotycznej ewakuacji wojska polskiego, na jej terytorium znalazło się kilka tysięcy

---

1. Egzemplarz tego sprawozdania znajduje się w Archiwach Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie. Sygnatura: Akta Władz Naczelnych A.XII.4/145.

2. Zob. Gen. Józef Jaklicz „Z zeszytów gen. Józefa Jaklicza”, *Zeszyty Historyczne* nr 82, Paryż 1987, str. 123-152.

żołnierzy, którzy bez rodzin i żadnych środków do życia nie mieli co z sobą zrobić. Z tych to żołnierzy Francuzi utworzyli kilkanaście kompanii pracy. Na bazie i w oparciu o te kompanie rozwijała się działalność Organizacji Wojskowej (OW). Do dzisiaj nie zostało definitywnie ustalone czy OW była organizacją jawną czy tajną. Władysław Pobóg-Malinowski, historyk i uczestnik polskiego ruchu oporu we Francji pisał, że OW była organizacją tajną<sup>3</sup>, podczas gdy według płk. Jaklicza była „organizacją jawną, tolerowaną a nawet uznawaną cicho przez władze francuskie”, które z czasem oficjalnie ją uznały. W sumie można założyć, że OW była organizacją jawną, a tajna była część jej działalności i to też w zależności od okresu. Całkowicie natomiast konspiracyjną była Polska Organizacja Walki o Niepodległość (wcześniej o trochę innej nazwie) o kryptonimie „Monika”, której twórcą w 1941 roku i szefem był Aleksander Kawałkowski. Obydwie te organizacje zębały się w swej działalności, wzajemnie nie skoordynowanej, o czym będzie jeszcze mowa.

Sprawozdanie płk. Jaklicza składa się z trzech części: 1. Sytuacja ogólna we Francji, 2. Organizacja i działalność wojskowa; 3. Ocena – wnioski. W bardzo skrótowym przedstawieniu tego sprawozdania ograniczam się przede wszystkim do ogólnych zagadnień i obserwacji autora z pominięciem problemów struktury organizacyjnej. W części pierwszej, będącej wprowadzeniem do właściwego tematu Jaklicz charakteryzuje poszczególne etapy rozwoju sytuacji, w jakiej znalazła się Francja po rozejmie. Warto raz jeszcze przypomnieć, że jest to relacja pisana „na gorąco”, bez żadnych koniunkturalnych upiększeń, tak często później spotykanych i to zarówno w odniesieniu do Polaków, jak i do Francuzów.

Zgodnie z ogólnie przyjętym schematem rozwój sytuacji we Francji Jaklicz dzieli na dwa etapy: pierwszy od podpisania rozejmu – czyli kapitulacji dnia 22 czerwca 1940 roku – do listopada 1942, gdy po wylądowaniu Aliantów w Afryce Północnej, Niemcy zajmują tzw. wolną strefę Francji i rozciągają okupację na cały kraj; od tej daty zaczyna się

---

3. Zob. „Najnowsza historia polityczna Polski”, tom 3, Londyn 1960, str. 760.

drugi etap. W pierwszym okresie, jak potwierdza Jaklicz, Francja stała po znakiem kolaboracji prawie całego narodu, któremu wydawało się, że przez zbliżenie się do Niemiec kraj ich będzie mógł odzyskać należne mu miejsce w Europie. Na zajęcie wolnej strefy i tym samym zerwanie rozejmu, naród francuski – pisze dalej Jaklicz – „odpowiedział prawie jednomyślnie odwróceniem się od kolaboracji i przejściem do oporu. Na terenie współpracy pozostał tylko rząd, który spada do rządu i roli raczej rządu quislingowskiego... Marszałek Pétain w sytuacji tragicznego nieporozumienia postanowił wytrwać na swym stanowisku za cenę osobistego poświęcenia się, już chyba nie po to aby uratować kraj, lecz aby zsolidaryzować się z jego cierpieniami i ofiarami”.

Zbyt łagodna ocena postawy Pétaina przez Jaklicza, jak i twierdzenie o powszechnym już prawie ruchu oporu społeczeństwa francuskiego po listopadzie 1942 – co niezupełnie odpowiadało rzeczywistości – wypływa zapewne z przychylnego ustosunkowania się Francuzów do Polaków tak, jak to odczuł i widział Jaklicz. W sprawozdaniu swoim pisał, że od samego początku postępowanie rządu Vichy nacechowane było „dobrą wolą przyjsia Polakom z pomocą”, domagając się jednak, żeby postępowanie Polaków nie naruszało porządku rozejmowego, co oczywiście trudne było do uniknięcia, stąd różnego rodzaju konflikty, z aresztowaniami włącznie, łagodzone w zależności od zapatrywań poszczególnych urzędów administracji francuskiej. Zasadnicza różnica była oczywiście między strefą wolną, na południu, dopóki ona istniała i Francją północną, oficjalnie okupowaną przez Niemców od podpisania rozejmu.

Paradoksem wydaje się być to, że w traktowaniu Polaków, pisze Jaklicz, „data 10 listopada 1942 r. staje się punktem zwrotnym ku lepszemu”. Otóż jest to data rozciągnięcia okupacji na całą Francję i co za tym idzie wzmożonego wobec wszystkich terroru niemieckiego, „który uderzył zarówno w Polaków jak Francuzów, dokonało się jakby zsolidaryzowanie się czynników oficjalnych z naszym uchodźstwem pod auspicjami najwyższej hierarchii rządowej jakkolwiek współpracującej z okupantem”. Konkretnie fakty

miały być dowodem, że „w tym nowym okresie rząd francuski starał się oszczędzać i chronić Polaków przed Niemcami”. Odtąd też czynniki francuskie patrzyły z większą tolerancją na działalność tajnych organizacji.

Podobną życzliwość, jaką okazywał rząd Vichy, widział również Jaklicz w środowisku *Résistance*, francuskiego ruchu oporu, gdzie zaznaczyło się dążenie wciągnięcia uchodźstwa polskiego do obozu „Francji Walczącej”, prawdopodobnie przypuszczając, że „obecność Polaków wpłynąć może na morale i aktywność obozu *Résistance* i podniesie go w oczach narodu francuskiego”. Zdaniem Jaklicza, wchodzenie Polaków do ugrupowań francuskiego ruchu oporu nie było liczne i ograniczało się do wypadków indywidualnych i bezmandatowych. Ogół uchodźstwa, jako całość i w poszczególnych organizacjach „nie dał się pociągnąć ofercie, kierował się linią wytyczną, zresztą nie uzgodnioną i przyjętą samorzutnie, nieangażowania się w wewnętrzne sprawy Francji”. Przy tej okazji można tutaj odnotować to, że francuski ruch oporu, początkowo bardzo nieliczny i podzielony na różne odłamy, rozrósł się dopiero wtedy, gdy zbliżało się zwycięstwo, a jego główne trzony zostały scalone dopiero w maju 1944 roku.

Kierownictwo Polskiej Organizacji Walki o Niepodległość (POWN) odradzało branie czynnego udziału we francuskim ruchu oporu, co oczywiście nie było jednoznaczne z potrzebą utrzymywania kontaktów i wzajemnej pomocy. Na łamach *Walki*, konspiracyjnego czasopisma POWN, wielokrotnie w różnej formie przypomniano: „Wszystko dla Polski, tylko dla Polski! Oto hasło, pod którym grupujemy się od dawna przy naszej ‘Walce’. Skoro pragniemy brać udział w odbudowaniu Polski i powrócić masowo do Kraju, nie możemy dać się sprowadzić z tej drogi żadnymi dążeniami ubocznymi i żadnymi zachętami, skądkolwiek by one pochodziły. Żaden Polak nie powinien brać udziału w życiu francuskim, ani należeć do partii i organizacji francuskich, nawet takich, którym życzymy zwycięstwa. Francuzi walczą o swoje cele, życzymy im powodzenia, ale nie zapominajmy o własnych celach. Nie wolno nam przedwcześnie rozproszyć naszej energii na żadne poczynania, które mogłyby spowo-

dować represje i osłabić nas przed chwilą, która już nie jest odległa”<sup>4</sup>.

Powracając do sprawozdania płk. Jaklicza, to druga jego część poświęcona jest działalności OW i jej współpracy z władzami francuskimi oraz innymi organizacjami polskimi. „Francja zwyciężona – jak podkreślał płk Jaklicz – ujawniła nam bardzo dużo sympatii, a nawet przyjaźni”. Surowo natomiast traktowali Francuzi nielegalne opuszczanie kraju, zwłaszcza w latach 1940-1942. Pod koniec 1940 roku Francuzi zgrupowali wojskowych w kompaniach pracy, co wywołało protesty, ale co mogli zrobić innego z bezdomnymi Polakami, zalegającymi ulice południowej Francji. Z kompanii pracy brano Polaków do różnych zajęć, za które otrzymywali mieszkanie i wyżywienie, oraz skromne wynagrodzenie. W każdej kompanii pracy opiekę nad żołnierzami sprawował, przy boku swego francuskiego kolegi, oficer polski, pełniący formalnie rolę tłumacza (*interprète*), ale w rzeczywistości był on zakamuflowanym dowódcą kompanii. Nadzór nad wszystkimi kompaniami i poszczególnymi tłumaczami miał „generalny tłumacz” (*interprète général*), którym najpierw był gen. J. Kleeberg a po nim płk J. Jaklicz.

Pewnego rodzaju nadbudówką tych kompanii była OW, tolerowana przez władze francuskie. W połowie 1942 roku, Jaklicz nie podaje dokładnej daty, gen. Kleeberg osiągnął uznanie w Vichy tej części OW, która sprawowała opiekę nad b. kombatantami w kompaniach pracy. Oficerom, którzy sprawowali tę opiekę nadano tytuły tłumaczy, o czym jest mowa wyżej. Po zajęciu przez Niemców wolnej strefy, oficjalny charakter OW formalnie nie uległ zmianie. Z dniem 1 stycznia 1943 roku płk Jaklicz został mianowany przez władze Vichy „generalnym tłumaczem”, ale władze te zajądły jednocześnie zlikwidowania wszelkiego szkolenia i nie ujawniania na zewnątrz żadnej żywotności, co należało już do tajnej działalności, w której poczesne miejsce zajmowała ewakuacja żołnierzy z Francji. Ogólne założenia, na jakich Jaklicz oparł działalność OW były następujące: 1. Uchronić element wojskowy przed zabraniem go przez Niemców,

---

4. *Walka*, luty 1943, str. 1.

2. Otoczyć wojskowych opieką, 3. Utrzymać dyscyplinę. 4. Przygotować OW do współpracy przy tworzeniu się Wojska Polskiego we Francji.

Złożone były problemy współpracy OW z innymi organizacjami o charakterze niewojskowym, które opiekowały się uchodźcami polskimi. Istniała zasadnicza różnica w traktowaniu uchodźców, którzy znaleźli się w północnej części Francji i podlegali bezpośrednio władzy niemieckiej a tymi, w strefie wolnej, pod rządami administracji francuskiej w Vichy. Pomoc dla uchodźców w północnej Francji napotykała na duże trudności i była głównie udzielana za pośrednictwem *Service Social d'Aide aux Emigrants* i Francuskiego Czerwonego Krzyża. Całkiem odmienna była sytuacja w wolnej strefie, gdzie działał jawnie Polski Czerwony Krzyż, przemianowany w grudniu 1941 na Towarzystwo Opieki nad Polakami we Francji (TOPF) i Biura Polskie, przekształcone w tym samym czasie na Biura Administracji Polaków, które istniały do grudnia 1942 roku, służąc również do utrzymania półoficjalnych stosunków rządu polskiego w Londynie z rządem Pétaina w Vichy, co stanowiło jeden z największych paradoksów naszej dyplomacji podczas drugiej wojny światowej<sup>5</sup>.

Kierowniczą rolę w organizowaniu pomocy uchodźstwu polskiemu w południowej Francji odegrał PCK – później TOPF. Jego rozwinięty zmysł organizacyjny był dumą polskiej żywotności, imponował Francuzom, ale z drugiej strony, jak pisze płk Jaklicz „cel i środki PCK spowodowały osłabienie polskich charakterów, utrwaliły gnuśność i inercję. Osłabiły wolę walki”. Niechcący wskazywały możliwość „przeczekania wojny w wygodnych warunkach”. Warunki po temu znajdowały się w tworzonych od września 1940 roku schroniskach. Uchodźcy cywilni i następnie oficerowie, którzy dostali się do schronisk mieli tam, przypomina Jaklicz, „bezpłatny, często luksusowy dach nad głową” i wystarczające wyżywienie. Nikt nie pracował, wszyscy byli na utrzymaniu rządu polskiego i rządu francuskiego, który wpłaca do PCK

---

5. Zob. „Stosunki rządu generała Sikorskiego z rządem Pétaina”, *Zeszyty Historyczne* nr 101, Paryż 1992, str.32-55.

tw. alokacje uchodźcze, „rozpoczyna się idylla próżniactwa” i w jej następstwie nieporozumienia i tarcia. W tym samym schronisku tworzą się różne kategorie ludzi, różnie wyposażonych, gdyż niektórzy otrzymują specjalne dodatki. Wszystkie te kategorie łączy wspólna idea: „nie pozwolić wciągnąć się do żadnej pracy”. Perswazje nie odnoszą żadnego skutku, brak jest egzekutywy, a do egzekutywy francuskiej PCK nie chce się odwoływać. Z tej czy innej racji wszyscy sądzą, że wszystko im się należy. W środowisku schroniskowym „żyje około 3.000 wojskowych, przenika jego atmosferę, staje się burzliwym elementem warcholstwa wzniecającym ustawiczne scysje”.

Specjalną uwagę zwraca Jaklicz na problem młodzieży akademickiej. Zarząd PCK w trosce o wykształcenie przyszłych intelektualistów zgrupował w Grenoble około 200 studentów, w tym 120 wojskowych. Młodzież ta myśli jednak o wszystkim, lecz nie o nauce a „wymagania jej, zwłaszcza finansowe rosną... staje się elementem fermentu i rozkładu”. Wzięcie jej w karby nastąpiło dopiero pod koniec 1941 roku. W przeciwieństwie do młodzieży akademickiej, młodzież gimnazjalna, zgrupowana w internacie Gimnazjum i Liceum C. Norwida w Villard-de-Lans „zachowuje zdrowie duchowe. Trudno ją utrzymać na miejscu do zdania matury. Rwie się do wojska. Bezpośrednio po maturze zgłasza się do ewakuacji”<sup>6</sup>.

W wyciągniętych wnioskach Jaklicz podkreśla wysiłek organizacyjny i ofiarność pracowników PCK, ale jednocześnie stwierdza, że „podstawowe zasady na jakich została oparta opieka nad Polakami we Francji były fałszywe i doprowadziły do zdemoralizowania uchodźstwa we Francji. Społeczeństwo to, a w nim wojskowi, zatracili dzięki bezczynności i wyzbyciu się trosk materialnych, poczucie stanu wojny i obowiązków jakie ten stan na nich nakładał”. Słusznie następnie zaznacza, że działalność PCK winna być ograniczona do pomocy starcom, chorym i dzieciom. PCK a następnie TOPF

---

6. Należy przynajmniej odnotować w kilku słowach, że uczniowie, absolwenci i profesorowie tej szkoły uczestniczyli w ruchu oporu i ponieśli bardzo duże ofiary.



zdał sobie sprawę z błędu i starał się go naprawić, ale wyniki były minimalne, gdyż zbyt głęboko „zakorzenił się wrzód próżniactwa w nasze społeczeństwo wojskowe”.

Omawianie współpracy OW z innymi organizacjami zaczyna Jaklicz od wzajemnych stosunków z PCK-TOPF. Działalność OW nie tylko zazębiała się z działalnością PCK, ale była od niego zależna. PCK posiadał własny budżet, administrował i żywił wojskowych w schroniskach, dożywiał kompanie pracy i w ogóle prowadził akcję opiekuńczą we Francji, finansowaną nieoficjalnie przez rząd polski w Londynie<sup>7</sup>. We współpracy OW i PCK wytworzył się dualizm środków i celów, wypływający m.in. z faktu, że PCK-TOPF, jako instytucja charytatywna, podlegał Ministerstwu Opieki Społecznej, a OW, z uwagi na swój charakter, podlegała Ministerstwu Obrony Narodowej. Wywoływało to niepotrzebne tarcia, ale „wojsko oderwać się od TOPF-u nie mogło, gdyż nie posiadało funduszy na samodzielne istnienie”. Mimo różnych trudności i wadliwości organizacyjnych współpraca TOPF-u z wojskiem dała – zdaniem Jaklicza – „bardzo dodatnie wyniki”.

W grę wchodziła następnie organizacja YMCA. W trosce o rozwinięcie życia kulturalno-oświatowego, do kompanii pracy i schronisk wojskowych, administrowanych przez PCK, została wprowadzona YMCA, mająca własne fundusze i swojego kierownika, który nie podlegał dowódcy kompanii. Wytworzył się przeto już nie dualizm, lecz trializm, powodujący tarcia i utrudniający dowodzenie. Współpracę z YMCA Jaklicz dzieli na dwa okresy: pierwszy do zajęcia wolnej strefy przez Niemców, kiedy YMCA przejawiała dużą aktywność i drugi od grudnia 1942, gdy wskutek aresztowań i wewnętrznych rozdzźwięków działalność jej znacznie osłabła. W sumie Jaklicz sądzi, że z uwagi na niewspółmierność wysiłku finansowego z jego wynikami YMCA „winna być zlikwidowana i przeorganizowana”.

Działalność OW zazębiała się również ze wspomnianą już

---

7. Zob. Mieczysław Biesiekierski, „Polska akcja opiekuńcza we Francji w okresie okupacji niemieckiej (czerwiec 1940 – wrzesień 1944)”, *Zeszyty Historyczne* nr 105, Paryż 1993, str.38-63.

w innym miejscu „Polską Organizacją Walki o Niepodległość” (POWN), która powstała we wrześniu 1941 roku i była kierowana przez Aleksandra Kawałkowskiego („Bernard”, „Justyn”) b. konsula w Lille. Organizacja ta otrzymała następnie kryptonim „Monika”. Po zrzuceniu w lipcu 1943 roku z Anglii do Francji ppłk. Antoniego Zdrojewskiego („Daniel, „Nestor”), „Monika” działała w dwóch pionach: cywilnym i wojskowym. Szefem tego ostatniego został ppłk Zdrojewski, z niezbyt ścisłym rozgraniczeniem kompetencji między nim a Kawałkowskim, co powodowało niepotrzebne tarcia. Podział „Moniki” na dwa piony pociągał za sobą podporządkowanie jednego Ministerstwu Spraw Wewnętrznych, a drugiego Ministerstwu Obrony Narodowej, z czym z kolei związany był podział kredytów na poszczególną działalność. Od utworzenia POWN Jaklicz był z Kawałkowskim – jak to określił – w kontakcie „o charakterze wyłącznie informacyjnym”, a od przybycia Zdrojewskiego kontakt z tym ostatnim, szefem wojskowego pionu „Moniki”, zamienił się „w bardzo ścisłą współpracę”, mającą na celu przygotowanie kadr dla przyszłego tworzenia wojska polskiego we Francji.

Niewiele miejsca w swoim raporcie poświęca Jaklicz Oddziałowi II-mu. Bez bliższego wchodzenia tutaj w ten temat, trzeba przynajmniej zaznaczyć, że wywiad polski we Francji podczas drugiej wojny światowej odegrał znaczną rolę, która do dzisiaj nie została opracowana tak, jak na to zasługiwała<sup>8</sup>. Wywiad ten oddał duże usługi sojusznikom, zwłaszcza „Wolnej Francji”, ale niewielkie polskiemu ruchowi oporu na ziemi francuskiej. Jaklicz pisze, że w pierwszych miesiącach 1943 roku, „kontakty nasze (z Oddziałem II) były tylko powierzchowne. Szef ekspozytury, na skutek wydanych wyższych rozkazów, odseparował się całkowicie od polskiego życia organizacyjnego. Życie jednak przemogło rozkazy i narzuciło wzajemną pomoc i doświadczenia”. Jaklicz nie podaje kto był szefem tej ekspozytury i z uwagi na to, że we Francji działało kilka siatek wywiadu polskiego nie wiem kto

---

8. Zob. „Los wywiadu polskiego we Francji 1940-1945”, *Zeszyty Historyczne* nr 97, Paryż 1991, str. 193-202.

był szefem tej, o której jest tu mowa. W końcowym paragrafie tego rozdziału Jaklicz pisze: „nieuregulowanie przez czynnik nadrzędny naszego wzajemnego stosunku, mogło wpłynąć ujemnie na działalność naszych organizacji. Jakkolwiek doszliśmy własnymi drogami do zacieśnionej współpracy, to jednak straciliśmy szereg miesięcy. Brak kierownictwa ogólnego życia polskiego we Francji i jednolitego dowodzenia – i na tym odcinku dał się odczuć”.

Najbardziej rozwiniętą działalnością OW była ewakuacja, o której Jaklicz pisze dość obszernie. Ewakuacja przeszła przez szereg okresów, Jaklicz rozróżnia cztery. Okres pierwszy, zaraz po klęsce Francji, trwał od lipca do końca września 1940 r. Była to ewakuacja samorzutna, nie zorganizowana. W okresie drugim, od końca 1940 do listopada 1942 roku, ewakuacja weszła w pierwszą fazę organizacji, częściowo przez Pireneje, głównie morzem. Granica francusko-hiszpańska była hermetycznie zamknięta i ewakuowani zdawali sobie sprawę z grożącego im niebezpieczeństwa, jakim było osadzenie ich w specjalnych obozach. Pomimo tego, zgłaszających się było bardzo dużo i co charakterystyczne: w minimalnej tylko części rekrutowali się ze schronisk, gdzie warunki były znośne. Prawie wszyscy pochodzili z kompanii pracy. Jaklicz potwierdził, że wojskowi, którzy w tym okresie opuścili legalnie a zwłaszcza nielegalnie Francję „byli najlepszym, najbardziej ideowym elementem żołnierskim, który widział przed sobą jedyny cel – służbę w szeregach, nie bacząc na drogi, którymi ten cel osiągnie”. Trzeci okres trwał zaledwie dwa tygodnie: od 17 do 30 listopada 1942 roku. W okresie tym bezpośrednim po wylądowaniu wojsk sojuszniczych w Afryce Północnej, gen. Kleeberg wydał rozkaz masowego opuszczenia Francji, ale nie wszystkim, którzy chcieli udało się ten rozkaz wykonać.

Czwarty, ostatni okres ewakuacji, od grudnia 1942 r. do czerwca 1944, czyli przybycia Jaklicza do Londynu, podzielony jest na trzy podokresy: 1-szy trwał przez zimę 1942-1943 r. i wiosnę 1943. Wówczas, po zajęciu wolnej strefy Francji, Niemcy dopiero się organizowali i na ogół nie przeszkadzali życiu polskiemu. Aresztowania Polaków były co prawda na porządku dziennym, ale dotyczyły one indywi-

dualnie uczestników, zwłaszcza kierowników ruchu oporu. Przejścia graniczne były opanowane przez placówki konspiracyjne, lecz nie istniał odbiór ewakuowanych po stronie hiszpańskiej, stąd wielu z nich znalazło się w więzieniu hiszpańskim, przeważnie w osławionej Mirandzie. Element, który w tym czasie opuścił Francję, pisze Jaklicz, „był w całym tego słowa znaczeniu ochotniczo-ideowym”. W drugim natomiast podokresie, od lipca do września 1943 r., warunki ewakuacji znakomicie się poprawiły, ochotnicy są na ogół dobrymi żołnierzami, ale „szeregi ewakuowanych wypełniał również element oportunistyczny i szmelc”.

Ostatni, trzeci podokres ewakuacji, od października 1943 do późnej wiosny 1944 roku, przypada na miesiące, kiedy życie we Francji zaczyna być ciężkie. Zagrożenie rośnie, co też głównie było powodem, że „zjawiają się ochotnicy, których kilka miesięcy wcześniej nie można było namówić na wypełnienie ich obowiązku”. Również jednak i w tym okresie ewakuuje się jeszcze poważny odsetek wartościowego elementu, lecz coraz liczniejsi są wojskowi, „widzący mniejsze ryzyko w pseudo-bohaterskim marszu pirenejskim, niż w pozostawaniu na miejscu”. W ogólnej ocenie warunków ewakuacji od końca 1942 roku, Jaklicz podkreśla z naciskiem: „Ponieważ ewakuacja z małymi przerwami funkcjonowała normalnie, nikt z oficerów nie wchodzących w kadry Organizacji Wojskowej i ewakuacyjnej nie ma prawa zaślaniać się pretekstem niemożności wydobycia się z Francji. Opuśczenie jej zależało wyłącznie od ich swobodnej decyzji”.

Oдноśnie do kadry Organizacji Wojskowej i ewakuacyjnej, to Jaklicz zwraca uwagę, że kadra ta, za minimalnym wynagrodzeniem, „pracuje z prawdziwym poświęceniem i narażeniem swej wolności”, ale coraz bardziej się szczybi i ci którzy pozostają pełnią funkcje swoje i za tych, którzy odeszli, przeważnie wskutek aresztowania lub wyjazdu. Otóż „kadra ta jest pokrzywdzona w stosunku do tej części wojska, które przez szereg lat żyje na terenie Anglii czy też Afryki, w normalnych warunkach służbowych, awansowych, odznaczeniowych i finansowych”. Na innym z kolei miejscu swojego sprawozdania, w części poświęconej gospodarce finansowej i poborom, Jaklicz ubolewał nad wysokim zróżnicowaniem

uposażenia w poszczególnych organizacjach konspiracyjnych, a „co było szczególnie demoralizujące, to wysokość uposażenia w organizacjach konspiracyjnych”. Rezultat tego był od razu widoczny, zwłaszcza przed 1943 rokiem, kiedy „tak zwanego konspiratora rozpoznawało się po eleganckim ubiorze i wytwornym życiu”. Niejednokrotnie oficerowie „pracowali równocześnie w kilku organizacjach (pobierając uposażenie w każdej z nich – T.W.). Brak jednolitego kierownictwa wszystkich organizacji dał się odczuć również i na polu finansowym”. Jakże diametralnie inne były, w tym samym czasie, warunki i bezinteresowne oddanie się konspiracyjnej działalności i walce podziemnej w Polsce, co warto tutaj przypomnieć.

Dużym też zdziwieniem napawać musi zasięg prowokacji. Początkowo prowokacje nie były liczne, ale, jak pisze Jaklicz, „Niemcy zaczęli następnie używać coraz częściej Polaków jako swoich agentów, którzy informowali ich o życiu organizacyjnym... W ostatnich miesiącach życie nasze układało się w ten sposób, że w równej mierze byliśmy zmuszeni strzec się Niemców jak i Polaków”. Jedną z trudności, której również nie potrafiiono zwalczyć – „to wyjątkowe polskie gadulstwo i zasada: *Après moi le déluge* (po mnie potop)”.

W konkluzji, jakiej poświęcona jest trzecia, ostatnia część sprawozdania, Jaklicz szczególny nacisk położył na imperatywną potrzebę jednolitości dowodzenia, o czym już wcześniej wspominał, a teraz szerzej to ujął pisząc: „Francja jest krajem wybitnych polskich możliwości. Lecz od samego początku organizacyjnego ruchu polskiego, brakowało mu najbardziej zasadniczego elementu, nazywam go językiem wojskowym, jednolitości dowodzenia. Powstawały organizacje jawne i tajne, samodzielne, dobrze wewnątrznie zgrane i kierowane, lecz wzajemnie się ze sobą ścierające, wrywające sobie pracowników, rządzące się własnymi prawami, często wzajemnie się podkopujące. Wszystkie te organizacje posiadały pieniądze, więc były przez kogoś nadrzędne – z oddali kierowane. Natomiast brakowało na miejscu kierownika dla skoordynowania ich działalności, sprowadzenia jej do pracy dla jednego wspólnego celu”.

Znane Jakliczowi organizacje, przypomina on dalej,

„posiadają swoich szefów, którzy nastrajają je według własnego poglądu, własnej oceny sytuacji i własnych celów. Brak jednego szefa, który by je zgrał wszystkie razem dla wspólnego celu i wyzyskał możliwości i aparat poszczególnych organizacji na korzyść innych. W ciągu całego okresu mego dowodzenia nikt, nigdy nie dał mi żadnych wytycznych i nie skoordynował z pracą innych organizacji. Wskutek braku ogólnego kierownictwa wydajność poszczególnych organizacji nie została wyzyskana tak, jak wyzyskana być mogła. Równocześnie niepotrzebnie rodziły się tarcia i zużywania energii na pokonywanie trudności drugorzędnych, często prestiżowych. Każda organizacja rozbudowywała swój aparat zależnie od potrzeb wynikających z jej celów. Często rozbudowywała go niepotrzebnie, aby się uniezależnić od innych. Aparat ten strzegła zazdrośnie przed innymi organizacjami i użyczała go w zamian za potrzebne jej inne świadczenia. Np. Organizacja Wojskowa posiadała monopol na Hiszpanię, Oddział II-gi – monopol na Szwajcarię, TOPF trzymał w ręku pomoc i opiekę materialną. Korzystanie z dobrodziejstw aparatu sąsiadów odbywało się drogą dobrych stosunków lub targów, gdy powinno być regulowane kierowniczą drogą rozkazodawczą szefa”.

W zakończeniu Jaklicz pisze, że zasadniczym w tym wszystkim problemem jest fakt, iż rząd polski, mając zamiar stworzyć wojsko we Francji, z wykorzystaniem uchodźstwa i emigracji, nie bierze pod uwagę potrzeby należytej współpracy z innymi organizacjami i opiera się jedynie na rozprawowaniu tego zagadnienia przez A. Kawałkowskiego i A. Zdrojewskiego, co przy najlepszej ich woli nie mogło być wystarczające. „Szefowie poszczególnych organizacji są dojrzałymi i świadomymi celu obywatelami, nauczyli się działać konspiracyjnie. Należy ich zebrać wszystkich razem, ocenić wkład jaki może dać każda organizacja, wyzyskać ten wkład i nadać tej pracy kierunek ogólny”.

Obserwacje i zalecenia płk. Jaklicza nie zostały wykorzystane, nie mogły być z prostej przyczyny: Francja była już wtedy wyzwolana przez wojska alianckie. Polski ruch oporu niewielką odegrał wówczas rolę. Jaklicz został odwołany przez rząd polski do Londynu w decydującym dla Francji mo-

mencie<sup>9</sup>, co było dużym błędem. Jego sprawozdanie, oparte na znajomości ludzi, terenu i organizacji, stanowi cenny wkład do dziejów uchodźstwa polskiego we Francji podczas drugiej wojny światowej, zwłaszcza pod kątem widzenia tego, co można było i należało zrobić, ale czego niestety nie zrobiono.

Tadeusz WYRWA

---

9. Przed opuszczeniem Francji płk Jaklicz przekazał kierownictwo Organizacji Wojskowej ppłk. Kazimierzowi Gaberle, który wkrótce podporządkował się zwierzchnictwu POWN, jej wojskowemu szefowi ppłk. Zdrojewskiemu.

Ludwik HASS

## WOLNOMULARSTWO W POLSCE WSPÓŁCZESNEJ

W ostatnich dniach roku 1995 w poczytnym dzienniku warszawskim wielki sekretarz Wielkiej Łoży Narodowej Polski, prof. Tadeusz Cegielski, oświadczył: „Perwersja dzisiejszych stosunków w naszym kraju polega bowiem i na tym, że na czele prawicowych, katolickich partii stoją wolnomularze, niekiedy byli, a niekiedy nadal aktywni (*Rzeczpospolita*, nr 299 z 28 grudnia 1995, s. 24). Tak niecodzienna informacja, jaskrawa ilustracja nieprzejrzystości polskich stosunków partyjno-politycznych, przeszła niepostrzeżenie – ze względu na pochłaniającą uwagę świata politycznego „sprawę Oleksego”, czy zbliżającą się noc sylwestrową? Faktem pozostaje, że z żadnej strony nie doczekała się jakiegokolwiek

komentarza. A pisać było o czym. Przecież ugrupowania wymienionych kierunków wszędzie są pryncypialnymi przeciwnikami, wręcz wrogami „masonerii”, jak u nas z cudzoziemska – z odcieniem pejoratywnym – nazywane bywa wolnomularstwo. Ponad półroczne milczenie nawet tytułów wszędzie, po Kościół katolicki włącznie, doszukujących się kno- wań i wpływów ludzi loży, poniekąd uwiarygodnia ów bar- dziej niż nietypowy fakt, sprzeczny z powszechnymi prawid- łościami. Jego korzenie tkwią zaś w okolicznościach towa- rzyszających odrodzeniu się w Polsce ruchu lożowego, które poniekąd ważą na jego stanie aktualnym.

Wolnomularstwo zostało w Polsce rozwiązane dekretem Prezydenta RP z 22 listopada 1938 r., w dwa dni później ogłoszonym w *Dzienniku Ustaw*. Ten akt prawny wyprzedziła decyzja Wielkiej Loży Narodowej Polski z 26 paździer- nika o samorozwiązaniu własnym i podległych jej struktur. Loże bez oporu podporządkowały się temu postanowieniu. W najpomysłniejszym momencie (1928) liczyły 333 członków czynnych. Analogicznie zachowały się zrzeszające część ich adeptów, mianowicie posiadaczy wyższych stopni wtajemniczenia (od 4. po najwyższy – 33.), czyli „szkotów”, placówki skupione w Radzie Najwyższej Polski. Do aktu prawnego głowy państwa w pełni zastosowały się trzy pozostałe piony wolnomularstwa w Polsce: dogorywające już loże niemieckie, tzw. mieszane (czyli przyjmujące również kobiety) zrzeszone w Federacji Polskiej systemu „Droit Humain” (w krajach anglosaskich – Co-Masonry), skupiające ok. 200 osób i dwu- dziestokilkuosobowe wolnomularstwo mistyczne systemu Memphis-Misraïm. Z tego mikrokosmosu „wtajemniczo- nych” jedynie dwie-trzy nieduże grupy byłych członków pla- cówek Wielkiej Loży nadal spotykały się w Warszawie i Kra- kowie w ostatnim roku pokoju i w latach okupacji, w Krakowie również na początku okresu powojennego.

Stopniowe zaostrzanie się reżymu, m.in. procesy o „fa- szyzację” Polski itp. w czasach bierutowskich sprawiły, że ci spośród krajowych wolnomularzy polskich, którzy dochowy- wali wierności zasadom swego ruchu, woleli uniknąć ryzyka, jakie pociągnęłyby za sobą ich mniej czy bardziej regularne spotkania. Liczyli się z faktem, że z racji swojej przedwojen-



nej i okupacyjnej działalności niejednen z nich znajdować się może pod obserwacją aparatu bezpieczeństwa. Zaś powstała w Paryżu na przełomie roku 1939 i 1940 loża polska „Kopernik” na kraj nie oddziaływała, jako że długo wiodła byt raczej efemeryczny. Zamarła po wkroczeniu Niemców do stolicy Francji, reaktywowana w 1950 r., po dwóch latach usnęła. Dopiero po ponownym obudzeniu w 1962 r. okazała się żywotna.

W kraju zaś, w klimacie pewnego zelżenia atmosfery po Październiku '58, ośmiu wolnomularzy przedwojennych spod znaku Wielkiej Łoży 12 lutego 1961 r. wznowiło przedwojenną lożę „Kopernik” w Warszawie, teraz jako placówkę niezależną, czyli nie podporządkowaną jakiegokolwiek centrali. W tydzień później przyjęto w niej do wolnomularstwa (inicjowano) trzech pierwszych kandydatów, w tym Jana Józefa Lipskiego, byłego redaktora głośnego tygodnika *Po Prostu* i do niedawna prezesa Klubu Krzywego Koła. Nowa komórka organizacyjna „sztuki królewskiej” (patetyczna nazwa wolnomularstwa) patrzyła na rzeczywistość realistycznie: nie orientowała się na natychmiastową szeroką rozbudowę organizacji, lecz na przechowywanie „światła wolnomularskiego” do czasów pomyślniejszych. Dopełniała więc swoje szeregi tylko w stopniu zapewniającym nieprzerwane funkcjonowanie, czyli pokrywała nieuchronne ubytki spowodowane biologią. Toteż do 1990 r. stan osobowy loży w żadnym momencie nie przekroczył liczby 15 członków, zaś w ciągu całego okresu 1961-1989 przyjęto w niej do wolnomularstwa zaledwie dwadzieścia kilka osób. Narybek ten pierwotnie wywodził się z kręgu uczestników zebrań Klubu Krzywego Koła, który władze zamknęły u schyłku zimy 1962 r. Z czasem również ze środowiska stopniowo formującej się tzw. Opozycji Demokratycznej, zwłaszcza zaś jej Lewicy Laickiej. Starej daty ludzie loży zapewne satysfakcjonowało, że ich kontynuatorzy biorą czynny udział w walce z dyktaturą, realizują zatem wolnościowe i demokratyczne ideały ich ruchu. Mogli być też dumni, że niektórzy – jak Lipski, Edward Lipiński, czy Jan Kiełanowski – odgrywają ważną rolę w utworzonym w 1976 r. Komitecie Obrony Robotników (KOR).

Natomiast dla części nowego pokolenia adeptów, zwłaszcza

cza z lat wcześniejszych, atrakcyjność wolnomularstwa – jak później okazać się miało – polegała na tym, że była dla nich sposobem dotarcia przez zaledwie raczkującą opozycję do liberalnych kręgów starszego pokolenia, uzyskania w nich pewnego oparcia, chociażby moralnego, dla niej, również drogą do nawiązania pewnych kontaktów zagranicznych, m.in. za pośrednictwem paryskiego „Kopernika”. Te koneksje łoży z polityką bieżącą miały jednak również swoją stronę ujemną, w określonej sytuacji przyhamowały rozwój wolnomularstwa. Sprawily np., że w ciągu słynnych 16 miesięcy pomiędzy wrześniem 1980 r. a grudniem roku następnego, kiedy cenzura złagodziła a przeróżne nieocenzurowane druki szeroko krążyły po kraju, wolnomularstwo nie dało o sobie znać, chociażby w wyraźniejszy sposób aluzyjny, nie mówiąc już o wykorzystaniu atmosfery wolnościowej dla zwiększenia swoich szeregów. Widocznie od takich kroków powstrzymywali je członkowie teraz angażujący się w „Solidarność”. Zasadnie mogli żywić obawę, że w przypadku ujawnienia ich przynależności łożowej utracą swoją pozycję w niej, jako że w nowym związku-ruchu wyraźnie przybierały na sile środowiska związane z Kościołem. Niektórzy z takich „pragmatyków” po przełomie 1989 r., kiedy łoża jako instrument działalności opozycyjnej stała się zbędną, wręcz wycofali się z niej. Stwierdzili, że wolnomularstwo interesowało ich póki było częścią konspiracji antyrządowej. Teraz ze swoją obrzędowością, fartuszkami itp. akcesoriami jest im zbędne.

„Jesień ludów” roku 1989 miała dla wolnomularstwa w Polsce, jak i w całym byłym bloku wschodnim, również swoją stronę pozytywną. Wszak ustały represje policyjne a wszędzie tu zapanował charakterystyczny dla okresów transformacji społecznej i politycznej pewien chaos kulturowy, sprzężony z rozchwianiem się dotychczasowych norm moralnych i postaw światopoglądowych. Niektóre grupy ludzi światłych, z reguły inteligentów, zaczęły dotkliwie odczuwać, iż zagubiły się ich dotychczasowe kryteria sądenia co dobre, co zaś złe, co jasne, co natomiast ciemne, wręcz czarne. Był to poniekąd kryzys świadomości, podobny temu, który w XVIII w. zrodził zapotrzebowanie na nowożytne wolnomularstwo. Nową sytuację szybko pojął Wielki Wschód Francji, od początku lat 60.

myślący o rozciągnięciu swej sieci organizacyjnej na tę część kontynentu. Zdecydował się zaproponować takim zagubionym, w miejsce utraconych wartości, swoje, wolnomularskie. Już w kwietniu 1990 r. wystąpił nad Wisłą na rekoniesans adepta polskiego pochodzenia. W Warszawie i Łodzi, nie wykluczone, że również gdzie indziej, spotykał się on z ludźmi, którzy według opinii Paryża i niektórych miejscowych mogliby zostać adeptami „sztuki królewskiej”. Osiągnął też, że w ówczesnie nader poczytnym sobotnio-niedzielnym wydaniu *Życia Warszawy* z 12-13 maja na stronie pierwszej ukazał się wywiad z nim, jako reprezentantem centrali paryskiej. *Interview* nie mógł nie zwrócić na siebie uwagi. Wszak kilka lat wcześniej był nie do pomyślenia. Teraz stanowią sygnał, że coś się w tej dziedzinie rusza.

Już 9 sierpnia tegoż roku w stołecznym Klubie Lekarza odbyło się otwarte spotkanie z członkiem kierownictwa Wielkiego Wschodu i kilku towarzyszącymi mu osobami. Zapowiedziane było płatnym ogłoszeniem w sobotnio-niedzielnym numerze *Gazety Wyborczej*. Goście rozdawali agitacyjne wydawnictwa wolnomularskie, otwarcie też został ogłoszony zamiar utworzenia w Polsce legalnych placówek francuskiej centrali, a skłonni do udziału w nich wezwani zostali do indywidualnego skomunikowania się z przybyłymi. Inicjatywa zaowocowała i w ciągu roku 1991 zostały powołane trzy podległe Paryżowi loże – dwie w Warszawie i jedna w Katowicach. W latach 1992-1994 powołano do życia jeszcze cztery – w Krakowie, Mikołowie oraz dwie kolejne w Warszawie. Ten 7-członowy pion „francuski” skupia obecnie do 200 osób. Z nim związane są: utworzona w sierpniu 1994 r. Polska Grupa Uniwersalnej Ligi Wolnomularskiej (*Ligue Universelle des Francs-Maçon*) oraz ukazujący się od jesieni 1993 r. *Wolnomularz Polski, Pismo Przyjaciół Sztuki Królewskiej*.

Francuscy inspiratorzy-założyciele łóż „wielkowschodnich” w Polsce, również ich pierwsi członkowie miejscowi, raczej nie orientowali się, że w Warszawie od trzech dziesięcioleci czynna jest loża „Kopernik”. Kładąc podwaliny pod swoje komórki organizacyjne byli poniekąd przeświadczeni, że sieć organizacyjną „sztuki królewskiej” rozciągają na tereny

dotąd leżące ugięciem. Zarazem – uważali – w ten sposób zyskują punkty w trwającej od ponad wieku, a silnie zaostrej po zakończeniu II wojny światowej, rywalizacji w światowym wolnomularstwie pomiędzy upolitycznionym nurtem liberalnym (określanym też jako agnostyczny), któremu przewodzi ich Wielki Wschód, a mieniącym się „regularnym”, bezwyznaniowo-religijnym ze Zjednoczoną Wielką Lożą Anglii na czele, dominującym w świecie anglosaskim. Faktycznie zaś, wobec orientowania się „Kopernika” na „regularnych”, kroki Paryża przeszczepiły nad Wisłę podziały funkcjonujące w świecie wolnomularskim.

Mimo powstania rywalizujących placówek, do pewnego stopnia jawnych, „Kopernik” jeszcze blisko rok nie wychodził z ukrycia. Dopiero 2 grudnia 1991 r. zachęcony czy naciskany przez centrale łóż „regularnych” zwłaszcza przez Wielki Wschód Włoch, podjął kroki zmierzające do rozbudowy reprezentowanego przez siebie nurtu. Kiedy zdecydował się na to już od dwóch lat jawnie czynna była w Budapeszcie Wielka Loża Węgier, zaś od ponad roku także w Belgradzie i Pradze. W Warszawie powzięto decyzję o podziale starej placówki na trzy loże – dwie w stolicy i jedną w Krakowie. One zaś w pięć dni później (7 grudnia) powołały czy obudziły Wielką Lożę Narodową Polski i jej wielkim mistrzem wybrały Tadeusza Gliwica, ostatniego z przedwojennej daty adeptów tego pionu, syna jej wybitnego członka, Hipolita Gliwica, ministra przemysłu i handlu w pierwszym rządzie po przewrocie majowym i dużego formatu działacza gospodarczego. Nowa centrala lożowa w pół roku później w specjalnej audycji telewizyjnej ujawniła swoje istnienie. Wystąpili w niej w strojach wolnomularskich Gliwic oraz zamieszkały we Francji poeta i publicysta Jan Winczakiewicz. Kolejnym krokiem ku normalizacji kwestii wolnomularskiej na wzór zachodni była rejestracja 22 lutego 1993 r. w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie – zgodnie z prawem stowarzyszeniowym – Wielkiej Loży Narodowej Polski. Na krok taki nie zdobyła się jej międzywojenna poprzedniczka, uważała go za niemożliwy do zrealizowania. W ciągu następných czterech lat powstała zaledwie jeszcze jedna loża tej centrali – w kwietniu 1993 r. w Warszawie. Wszystkie cztery łącznie skupiają około półtorej

setki adeptów, zatem mniej niż „wielkowschodnie”. Z tym pionem związana jest Fundacja „Sztuka Królewska w Polsce” oraz periodyk *Ars Regia. Czasopismo poświęcone myśli i historii wolnomularstwa* (ukazuje się od września 1993 r.).

Mniejsza – w porównaniu z lożami „wielkowschodnimi” – liczebność tego pionu jest wy tłumaczalna. Tamte, zgodnie z podstawową zasadą „swego” Paryża, nie zwracają uwagi na przekonania polityczne i religijne zgłaszających się do nich. Dopuszczają więc w swoje szeregi – po dyskusji i tajnym głosowaniu nad każdą kandydaturą zarówno wierzących jak i agnostyków czy nawet ateistów. Nie biorą pod uwagę również – co w stosunkach polskich jest sprawą niebłahą – ich przekonań politycznych ani przeszłej przynależności do ugrupowania reżymowego, jedynie ówczesne zachowanie i czyny. Toteż spotkać w nich można byłych członków PZPR, nawet dostojników PRL i pojedynczych byłych pracowników aparatu bezpieczeństwa. Na ogół są to ludzie odczuwający potrzebę nowego oparcia moralnego, w sytuacji kiedy dawne zawiodło, oraz znalezienia sobie kręgu zaufanych znajomych, w którym mogą czuć się swobodnie i być szczerzy. W tym przypadku element wyrachowania raczej w grę nie wchodzi. Ono wszak nakazywałoby znaleźć sobie miejsce w ugrupowaniach i stowarzyszeniach prawicy, również kościelnych; gdzie niejednego z taką przeszłością zobaczyć można. Do polskich loż Wielkiego Wschodu wstępują również – raczej nawet przede wszystkim – liberalnie i wolnomyślnie nastawieni a „nieumaczani” w PRL, którym mniej czy bardziej nie odpowiada atmosfera i morale solidarnościowego rodowodu elit.

Natomiast od zgłoszenia się do placówki Wielkiej Loży niejednego może powstrzymać wymóg wiary w Wielkiego Budowniczego Świata, czyli – upraszczając rzecz – w Boga, aczkolwiek konfesjonalnie, dogmatycznie nie sprecyzowanego. W warunkach względnej tajności – na wspomnianym wystąpieniu telewizyjnym i rejestracji sądowej jawność się skończyła, potem wystąpił nawet pewien regres – w sytuacji gdy nie są podawane, jak na Zachodzie, adresy pod które chętni mogliby się zgłosić, istotne ograniczenie dla dopływu narybku stanowi zasygnalizowany już polityczny skład pierwotnej grupy powojennej daty członków i ich zrozumiała

niechęć do ludzi w przeszłości spoza kręgu opozycji. Prawicowa ewolucja znacznej części byłych opozycjonistów, przypadki kiedy wczorajsi sympatycy PPS, bądź nawet skrajnej lewicy, przeistoczyli się w gorliwych katolików-nacjonalistów, nie ominęła również starszych członków „Kopernika”. Taka sytuacja stworzyła w środowisku Wielkiej Łoży błędne koło. Wspomniani na wstępie przywódcy bądź działacze czy publicyści katoliccy lub nacjonalistyczni, którzy pozostali w nim, z obawy przed skompromitowaniem siebie nie proponują wstąpienia do wolnomularstwa swoim aktualnym przyjaciółom partyjnym. Nie życzą też sobie – rzecz zrozumiała – zasiadać w loży obok takich, którzy mogliby zakwestionować zgodność ich obecnych postaw i przekonań z wolnomularskimi zasadami tolerancji i ogólnoludzkiego braterstwa. Tego rodzaju kandydatów odrzucają zatem w obowiązującym przy rozpatrywaniu zgłoszeń głosowaniu tajnym, w którym dwa głosy negatywne („czarne kule”) wystarczą do negatywnego wyniku balotażu.

Obok wspomnianych dwóch polskich pionów „sztuki królewskiej”, czynne są 2 loże wspomnianego już systemu „Droit Humain” (damsko-męskie) – jedna (od lata 1993 r.) w Warszawie, druga (od listopada 1995 r.) w Katowicach. Inicjowani w Niemczech Polacy utworzyli w 1994 r. we Wrocławiu lożę pod zwierzchnictwem jednej z kilku central w Niemczech. Winna była w ciągu roku wejść w skład Wielkiej Łoży Polski, co jednak nie nastąpiło. Na porządku dziennym stoi powołanie do życia w Warszawie placówki Wielkiej Żeńskiej Łoży Francji, do czego sposobi się kilka pań przyjętych do jednej z placówek paryskich tej centrali.

Wolnomularska mapa Polski w niczym nie odbiega więc od przeciętnej krajów, w których loże nie miały tak długich przerw. Jednak owa „normalność” jest wielce niepełna, powierzchowna. Tak jak jesień 1989 r. w żadnej dziedzinie nie okazała się powrotem do Drugiej Rzeczypospolitej, tak również stany osobowe Wielkiej Łoży i placówek „Droit Humain” – Wielki Wschód Francji w latach 30. nie miał u nas swoich komórek – jeśli weźmie się pod uwagę znacznie większą liczbę ludności polskiej obecnie, poważnie odbiegają *in minus* od ówczesnych. Zresztą i wtedy były nieporówny-

walnie niższe niż w Europie Zachodniej czy w Niemczech przedhitlerowskich bądź w Austrii, nawet dollfussowskiej. Obecna słabość łóż nie jest jedynie kwestią „drugiej młodości”, po której przyjdzie „normalność” typu zachodniego. Świadczy o tym aktualna liczba wolnomularzy w Czechach i na Węgrzech. Mimo wcześniejszych początków jest znacznie niższa od międzywojennej, nawet w połowie lat dwudziestych.

Chyba zjawisko to pozostaje w związku, wręcz bezpośrednio, z klimatem politycznym czy moralnopolitycznym kraju, z postawami tych jego dużych grup społecznych, które w stopniu szczególnie znaczącym przeżywają proces transformacji – inteligencji, czy w ogóle górnych grup stanu średniego, oraz burżuazji. Wszak w nich, zwłaszcza u nas – popatrzmy prawdzie w oczy – antyświęceniowe tradycje i tendencje, kwestionowanie dorobku i walorów Wieku Świąteł, zyskują na sile. Spotykamy się z potężną falą ciemnej nienawiści, tępego a ostentacyjnego wstecznictwa i dobrowolnej opcji za głupotę. Tym samym stawiane są pod znakiem zapytania również podstawowe wartości jakie trzon wolnomularstwa – jako ruch reform – wniósł do myślenia ludzkiego, właśnie w XVIII w., tym uwieńczonym Rewolucją Francuską, i do kształtu nowej rzeczywistości, a którym pozostał wierny. Ta jego rola stanowiła w Europie kontynentalnej i chyba nadal stanowi, podstawę jego społecznej racji bytu.

Pochodną zaś tych zjawisk i ich konsekwencji w życiu społeczeństw jest m.in. stopień jawności łóż i ich adeptów – w Polsce i w całej naszej części Europy, zarówno w Międzywojniu jak i obecnie, nieporównanie mniejszy aniżeli na Zachodzie. To właśnie zawęża możliwości rekrutacyjne, zresztą z innych przyczyn skromne. Wobec tego bowiem, że tradycyjne, zamożne mieszczaństwo u nas było i pozostaje skleryzowane, rekrutacja do łóż odbywać się może raczej wyłącznie w środowiskach inteligencji i w tych jej niedużych grupach, które obecnie zajęły się działalnością gospodarczą na rachunek własny. Zarazem w niektórych kołach inteligencji, nawet intelektualnie postępowej, obecnie zarysowała się, niezauważalnie wytłumaczalna, podejrzliwość wobec wolnomularstwa, połączona z niechęcią do niego. Inne zaś kręgi tej wars-

twy żyją w autentycznym strachu przed prawicą, w stronę której przecież przesuwa się coraz szybciej ta część byłego obozu solidarnościowego, która dawniej prawicową nie była. Strachu tego nie osłabiły wyniki wyborów parlamentarnych w 1993 r. ani niedawnych prezydenckich. Inteligenci z pokoleń powojennych, nawet z kręgu Lewicy Laickiej, dziś chrzczą uroczyście swoje dzieci, inni, podkreślający publicznie że nie byli chrzczeni, posyłają swoje pociechy do pierwszej komunii św., żeby nie odróżniały się od rówieśników. Oczywiście, że tacy rodzice do wolnomularstwa nie wstąpią. Jeśli zaś w nim wcześniej znaleźli się, starają się jego kręgu nie rozszerzać, jako że zwiększyłyby to ryzyko ich dekonspiracji jako członków loży. Więc mogłoby stać się źródłem przykrości, przynajmniej izolacji towarzyskiej. Ludzie z kręgu Sojuszu Lewicy Demokratycznej nie kwapią się do loży, brak w nim tego rodzaju tradycji. Pozostają więc nieduże środowiska inteligenckie rozczarowane do polityki bądź stojące na uboczu od niej a nie aprobujące aktualnego klimatu moralnego i politycznego.

Tak usytuowane wolnomularstwo nikomu trzeźwo myślącemu nie jawi się drogą do kariery politycznej, chyba też i innej. Zatem nie przyciąga karierowiczów. Oczywiście, nie wyklucza to, że członkowie loż świadczą sobie rozmaite usługi życiowe. Tak przecież dzieje się w każdym gronie bliskich znajomych i przyjaciół. Lecz od podobnego rodzaju zachowań do wpływowej klikli jeszcze daleko.

Perspektywy „sztuki królewskiej” w Polsce schyłku XX w., przy utrzymaniu się obecnych stosunków, są więc mniej niż skromne.

*Ludwik HASS*



Marek RUDZKI

## WINIETKI WYZWOLENIA I DRUGIEJ OKUPACJI

### KONIEC PIERWSZEJ OKUPACJI

*20 lipca 1944, czwartek*

Pierwsze sygnały zbliżania się frontu przyszły 20 lipca. Adam Nagórski zanotował tego dnia: „Przyjechały wojska niemieckie i rekwirują wille w alei Lipowej. Wszyscy mają się wynieść do wieczora. Robi się wielkie zamieszanie, kwatermistrze chodzą po alei, samochody wjeżdżają do ogrodów, furmanki jeżdżą po całym Nałęczowie z rzeczami. Żołnierze biwakują na trawnikach. Dzień przeszedł pod znakiem wielkiego ruchu”. Według moich notatek, były to rekwizycje na szpitale polowe i na kwatery dla dywizji pancernej, która nosiła znak niedźwiedzia.

*21 lipca 1944, piątek*

Sytuacja zmieniła się następnego dnia. Wuj Adam zanotował: „Od rana duża niespodzianka, bo Niemcy o świcie wyjechali, mieszkania zwolnili. Odjechali podobno na Kraśnik. Wszyscy zaczynają przenosić się do swoich mieszkań. Ale największa sensacja to wiadomość, że na Hitlera był zamach. Ma być ranny, a może i zabity. Wszyscy jesteśmy tym bardzo poruszeni. Jeśli to prawda, to skutki tego mogą być doniosłe”. Wobec uspokojenia sytuacji w Nałęczowie, wuj Adam zdecydował pojechać jeszcze do Warszawy, myśląc że bez trudności wróci za parę dni. „Zaraz po 1-szej dorożką jadę na dworzec. Pociąg pośpieszny spóźnia się, tłok jest tak wielki, że ledwo można się dostać do wagonu. Nawet w polskich wagonach pełno jest Niemców cywilnych i wojsko-

wych. W Puławach wsiada jeszcze sporo osób. Stoję cały czas na platformie. Nikt nie sprawdza biletów, w Dęblinie nie ma oczywiście żadnej rewizji i nie widać ani jednego żandarma. Do Warszawy przyjeżdżamy przed 8-mą. Z domu już nigdzie nie wychodzę. Telefonuję w różne miejsca. Władka [Tatarkiewicz] nie ma w Warszawie”.

*22 lipca 1944, sobota*

Nałęczowskie wydarzenia tego dnia najlepiej ilustrują moje notatki. Dzień rozpoczęliśmy od dalekiej pieszej wędrowki. „Mieliśmy od dawna w projekcie by na okres przesuwania się frontu usunąć się z Nałęczowa, przez który przebiega szosa Lublin-Puławy, o pewnym znaczeniu strategicznym. Doszliśmy do wniosku, że przyszedł moment kiedy należy zająć się poszukiwaniem odpowiedniego miejsca. Problemem była babcia, która prawie nie chodziła, miały być wynajęte konie, by ją przewieść. Poradzono nam, by zbadać wieś Łubki, położoną osiem kilometrów na południe od Nałęczowa. W tamtych okolicach na spacerze rok wcześniej spotkaliśmy staruszkę, która nie widziała jeszcze Niemca, miejsce więc naprawdę spokojne”. Wyruszyliśmy do Łubek wczesnym rankiem z matką, nauczycielką angielskiego p. Zagórską, oraz córką lekarza, dyrektora nałęczowskiego zakładu, Asią Szczepińską. „Spokój, cisza, nikogo nie spotykamy. Wstępnie zamawiamy noclegi na nieokreślony jeszcze termin. Po drodze kupujemy wiśnie. W kierunku wschodnim słyszymy szereg bliskich detonacji. Bierzymy to za bombardowanie, nie przypuszczając ani przez chwilę że ‘zaczyna się’, że to są odgłosy walk w okolicy Lublina. Mam nieprzyjemny wypadek, bo gubię portfel z Kennkartą, a nieposiadanie Kennkarty może równać się śmierci, szczególnie w niepewnym okresie. Zawracam z Mamą i szczęśliwie portfel znajduję”.

„Do Nałęczowa wracamy około 2-giej. Na razie zupełny spokój, jemy obiad w domu, wszystko wydaje się normalne. Dopiero koło 3-ciej ukazują się kolumny samochodowe z wojskiem niemieckim jadące od Lublina na zachód. Zatrzymują się w Nałęczowie, żołnierze wchodzą nawet na teren

naszego ogrodu, błagają o jedzenie i picie. Wyglądają zmęczeni, brudni, bez dawnej buty. Nie damy im oczywiście nic, muszą się zadowolić wodą ze studni. Niewiele chcą mówić o sytuacji na froncie i odjeżdżają. To jest jeszcze wojsko regularne. Wkrótce jednak zaczyna się prawdziwa ucieczka w popłochu. Jadą więc ciężarówki, samochody osobowe, wozy i furmanki pełne żołnierzy niemieckich, Ukraińców, „kałmuków”, cywilnych *Volksdeutsch*’ów i innych, którzy uznali za stosowne uciekać. Żołnierze jadą konno i idą piechotą. Zajęte są jezdnie i chodniki bezładną masą wiejącego żołdactwa i cywilów. Niektórzy idą ranni, nieopatrzeni, słaniają się. Ukazują się wozy z rodzinami, dziećmi i dobytkiem – mężczyźni ze swastykami. To niemieccy osiedleńcy. Mój brat znalazł się na ulicy Pocztowej i zostaje zatrzymany przez rannego, który każe mu przynieść wodę. Brat daje mu wodę i biegnie do domu. Z najwyższego balkonu obserwujemy tę ucieczkę z rozkoszą. Żałuję, że nie można porobić zdjęć. Mam aparat, ale jest to zbyt ryzykowne. Nie pozostaje nic innego jak patrzeć i cieszyć się. Są pogłoski, że Lublin zajęty (nieprawda jeszcze), że bolszewicy nadchodzą, że właściwie oddziały frontowe i SS jeszcze nie przeszły, że będzie przechodzić *Vernichtungs Kommando*, którego zadaniem jest spalenie wszystkiego i wybicie wszystkich. Pod wieczór ucieczka dobiega końca, coraz mniej pojazdów i pieszych na szosie, nie ma śladu regularnego wojska. Wszystko odbyło się dotąd spokojnie, strzałów nie było słychać”.

„Późniejszym wieczorem dochodzą do nas z terenu parku i Zakładu leczniczego położonego naprzeciw nas, po drugiej stronie ulicy, jakieś trzaski i krzyki. Mieścił się tam szpital niemiecki, ewakuowany przed paroma dniami. Odbywa się rabunek, rozbijanie baraków i składów. Podobno Niemcy zakazali pod karą śmierci cokolwiek brać, zapowiadając powrót, ale ostatni *Volksdeutsch* nawoływał do rabunku by się nie dostało bolszewikom. Tłumy ciągną i wracają przez dziury w płocie z cukrem, winem francuskim, szampanem. My początkowo boimy się, ale ja w końcu nie mogę wytrzymać i późno już, około 11-tej idę w parę osób. Nic cennego już niestety nie ma, wynosimy skrzynkę papierowych

bandaży, które chyba przez pół roku używamy jako papier klozetowy. Nawet ten rabunek odbywa się względnie spokojnie. Tylko jeden znany złodziej i bandyta, zaczajony przy wyjściu, bije i odbiera wynoszone rzeczy, ale to tylko pojedynczy wypadek. Człowiek ten zastrzelony został dwa dni później przez partyzanta, którego po pijanemu napadł. Gdy nie ma już co rabować w Zakładzie, obawiamy się czy tłuszczka nie będzie z kolei rabować 'burżujów' i czy nie zaczną się porachunki osobiste, ale nic takiego nie następuje. Boimy się też, by nagle nie zjawili się jeszcze Niemcy i nie zaczęły się represje, zwłaszcza po tym rabunku. Nikt w ogóle nie przypuszcza, by te gromady cywilów i zdezorientowanych żołnierzy były całą armią broniącą frontu wschodniego i czekamy na regularne wojsko – no i na osławione i mityczne, krwawe 'kolumny niszczące'.

„Późnym wieczorem przygotowujemy walizeczki z żywnością i apteczką, każde z nas ma trochę pieniędzy i po 20 dolarów przy sobie. Chcemy w razie czego uciec do pobliskiego lasu, Wąwozów. Sytuacja jest zresztą trudna, bo babcia nie może wyjść, mama chce z nią zostać, a my z bratem nie chcemy zostawić mamy. Pamiętam doskonale jak siedzimy już po ciemku z bratem na ławeczce na tyłach domu z naszymi walizeczkami i oczekujemy biegu wypadków. W oddali na wschodzie widać jasne światła. Myślimy, że to pożary spowodowane przez „kolumny niszczące”, są to jednak światła z samolotów i inne związane z działaniami wojennymi. Dochodzą nas dość bliskie strzały karabinowe i dzikie jakieś krzyki. Rozchodzi się nawet pogłoska, że to „kolumny niszczące” palą i mordują we wsi Bochotnica, tuż obok Nałęczowa na wschód, ale to nieprawda. Potem słychać więcej strzałów i miarowe kroki na ulicach. To już polskie patrole tajnych organizacji opanowały sytuację i strzelają dla dodania sobie odwagi. Czujemy się trochę pewniej i na pół ubrani, czuwając, kładziemy się spać, by zebrać trochę sił do następnego dnia, nie wiedząc co nas jeszcze czeka”.

Tymczasem w Warszawie wuj Adam spędził spokojny dzień, nie mając najmniejszego pojęcia o nałęczowskich wydarzeniach. Cytuję prawie w całości zrobioną tego dnia notatkę, bo dobrze ilustruje atmosferę, jaka panowała w Warszawie

na dziesięć dni przed wybuchem powstania. „Wstaję dość wcześnie. W nocy słychać było jakieś detonacje i w dalszych dzielnicach alarm lotniczy. Podobno spadło parę bomb na fabrykę [słowo nieczytelne]. Wychodzę dość późno. W Banku Powszechnym spotykam się z Julkiem<sup>1</sup>. Chwilę jestem u dyr. Broniewskiego w Banku Spółek Zarobkowych. Wszyscy dziwią się, że zaryzykowałem przyjazd wobec sytuacji na froncie i zbliżania się bolszewików. Komunikat niemiecki mówi jednak tylko o walkach koło Brześcia, Łucka i nad Bugiem. Niemieckie pisma pełne wiadomości o Hitlerze. W Manili spotykam się z Julkiem. Siedzimy przy stoliku p. Żochowskiej<sup>2</sup>. Jest Roman Jasiński. Idziemy z Julkiem do kawiarni na Bracką. Są tam Ożgowie<sup>3</sup>, Wachowski, etc<sup>4</sup>. Obiad jem w domu. Potem idę do starego p. Berezowskiego<sup>5</sup>. Dowiaduję się, że w poniedziałek była u nich rewizja. Idę następnie do p. Reni Tatarkiewiczowej [żony Władysława] ale jej nie zastaję. Po 6-tej spotykam się u Pomianowskiego z Czermińskim. Jemy lody. W Warszawie spokojnie, ruch normalny. Fala drożyzny trochę osłabła. W domu porządkuję rzeczy i pakuję do waliz. Jutro chcę wracać do Naęczowa.

## PRAWDZIWA WOLNOŚĆ

*23 lipca 1944, niedziela*

Przechodzę do moich naęczowskich notatek. „Wstajemy dość wcześnie, wydaje się być na razie spokój i cisza. Cały

---

1. Architekt Juliusz Nagórski, brat Adama, rozstrzelany w początku sierpnia.

2. Zofia Żochowska, córka Emila Wedla, właścicielka kawiarni Manila przy Nowym Świecie, zasypana wraz z córką w domu Wedla przy ul. Szpitalnej we wrześniu.

3. Wanda i Stanisław Ożga, córka i zięć Juliusza Nagórskiego.

4. O wymienionych tu kawiarniach i ich bywalcach pisałem we wspomnieniu: „Lechonia poznałem pod fortepianem...”, *Twórczość* 1996, nr 7.

5. Konrad Berezowski, przedwojenny sędzia Sądu Najwyższego, dziadek mojej przyszłej żony, Marty Berezowskiej. Rozstrzelany w połowie sierpnia.

dzień leje ulewny deszcz. Koło 9-tej ktoś wpada z wiadomością, że w Nałęczowie rozbijają Niemców. Wobec tego natychmiast wkładam płaszcz i wychodzę, do kieszeni biorę jedyną 'broń' jaką posiadam, gumowy knut z metalową śrubą na końcu, którym można zrobić trochę krzywdy uderzywszy w głowę. Nie rozstaję się z nim przez następnych parę dni, a noszę go trzymając rękę w kieszeni, sprawiając wrażenie, że mam coś więcej. Mama, która boi się o mnie, wybiega wraz ze mną. Idziemy przez Armatnią Górę, na plac Postój i w górę ulicy Pocztowej. Idąc po prawej stronie Pocztową, spotykamy idących naprzeciw po lewej stronie dwóch Niemców w mundurach, z karabinami i bagnetami w ręku. Moment nieprzyjemny, ale oni są zdaje się w większym strachu niż my, przechodzą spokojnie. Za nimi sunie jakiś cywil z ręką w kieszeni, który podobno później ich wykończył. Zatrzymujemy się na rogu Pocztowej i alei Lipowej. Jest tam grupka młodych ludzi, właściwie chłopaków, z kijami głównie, nie wiem czy jeden ma broń palną. Zatrzymują furmanki z uciekającymi Ukraińcami i kierują ich w ulicę Piłsudskiego, a potem do Zakładu, „do niewoli”. Widzę, jak biją i rewidują mężczyzn w nadjeżdżających furmankach. Jeden z chłopaków walił Ukraińca tak długo laską w głowę, aż mu ją na głowie złamał, a Ukrainiec runął na ziemię. Od strony Zakładu słychać wybuch granatu. Jeden z Ukraińców wyrывa się i ucieka w górę alei Lipowej stojąc na furmance. Biegną za nim, lecz nie mogą go złapać; nie strzelają, bo nie ma z czego. W pewnym momencie ukazuje się rozbrojonny Niemiec w mundurze, zwykły żołnierz, z którym obchodzą się dobrze, dają mu płaszcz i każą iść w kierunku stacji kolejowej, odległej o 3 kilometry, gdzie są jeszcze Niemcy. Ja nie mogę się powstrzymać i krzyczę do niego: *Du deutsche Schweine!*

Potrzebny jest w tym miejscu komentarz. Uciekający na furmankach Ukraińcy kolaborowali, rzecz jasna, z Niemcami, a ukraińskie okrucieństwa popełniane na Polakach za Bugiem były wszystkim znane. Stąd wyjątkowa wtedy do nich nienawiść, stąd inne traktowanie ukraińskich uciekinierów, niż niemieckiego żołnierza. Żołnierz był wystraszonym, młodziutkim chłopakiem. Miałem potem wyrzuty sumienia i wręcz wstydyłem się, że spontanicznie krzyknąłem w ten

sposób do bezbronnego Niemca. Był to dla mnie pewien symbol, symbol uwolnienia, poczucie, że oto mogę się tak do prawdziwego Niemca odezwać. Miałem z nimi moje własne, dziecinne jeszcze porachunki z czasów, kiedy przed wojną mieszkałem na terenie Wolnego Miasta Gdańska<sup>6</sup>.

„W pewnym momencie ktoś przybiega z wiadomością, że nadchodzą Niemcy z granatami. Robi się krótka panika i ulice pustoszeją. Wchodzimy z Mamą na teren willi „Ustرونie”. Nic jednak nie następuje. Z bocznych ulic wyłaniają się mężczyźni w cywilu, z bronią pod płaszczami, przychodzą piechotą lub przyjeżdżają furmankami z różnych stron i zbiera się spory oddziałek. To partyzanci z lasu zjawiają się w Nałęczowie. Widzimy szereg przywitań z rodziną ludzi którzy długi czas, może lata całe, spędzili poza domem. Na godzinę 10-tą idę, choć niechętnie, z mamą do kościoła. Jest zwykła msza, kościół prawie pusty. Zaraz potem wracam na ten sam róg alei Lipowej i Pocztowej. Jak się dowiaduję, tego ranka rozbrojono jeszcze kilku Niemców i zabito też paru. Mój późniejszy nauczyciel matematyki i fizyki, Jerzy Górski, walczył gołymi rękami z dwoma Niemcami z karabinami i mało nie zginął. Niemca, który mierzył do niego zastrzelił ktoś inny. Młoda panienka, Zosia Maciążek, zastrzeliła trzech Niemców, co ślubowała uczynić, jako zemstę za zamęczonego w więzieniu na Zamku w Lublinie brata Jurka. Była moją starszą koleżanką z podziemnych kompletów. Chodzi z pistoletem maszynowym. Wyloty ulic są już obstawione przez partyzantów A.K. i B.Ch., z bronią, często w niemieckich mundurach i płaszczach, zazwyczaj z biało-czerwonymi opaskami. Oczekuje się bitwy z Niemcami, którzy są na stacji kolejowej. Słyszeć armaty. Obawiamy się wciąż jeszcze

---

6. Mój ojciec, Adam Rudzki, był w latach 1937-1939 dyrektorem Rady Portu w Gdańsku. Mieszkając w tym okresie w Sopocie, byłem dwukrotnie pobity przez niemieckich chłopaków. W zbiorach archiwum gdańskiego znajduje się notatka z 29 XI 1938 sporządzona przez prezydenta gdańskiego Senatu Arthura Greisera (późniejszego namiestnika w poznańskim, straconego za zbrodnie wojenne), po rozmowie z polskim Komisarzem Generalnym, Marianem Chodackim: „Dwaj synowie Rudzkiego, dyrektora handlowego Rady Portu, pobici zostali przez *Hitlerjugend*, za to, że rozmawiali po polsku”. Miałem wtedy 9 lat.

'kolumn zniszczenia' SS. Podobno jest w Nałęczowie w niewoli kilkunastu Niemców, a zawiadomienia o tym, że będą rozstrzelani jeśli zginie choć jeden Polak, umieszczone są w odpowiednich miejscach na szosie. Nie wiem czy to prawda”.

Był to więc dzień prawdziwego wyzwolenia, wyzwolenia polskimi rękami, choć bez potrzeby walki ze zdemoralizowanymi Niemcami. Żadne rosyjskie jednostki nie pojawiły się. Pierwsza okupacja była zakończona, a druga jeszcze się nie rozpoczęła.

W Warszawie dalej panował spokój, choć zaczynały już krążyć pogłoski o rozwoju wypadków za Wisłą. Cytuję dziennik wuja Adama: „Wczoraj długo się namyślałem kiedy jechać. Rano wstawać mi się nie chciało. Zamawiam telefon do Nałęczowa. Po chwili Międzymiastowa mówi mi, że linia jest uszkodzona. Rozmawiam z Wojtkami [Wajchtami] z Konstancina. Zapraszali mnie na obiad, ale nie dziwią się, że chcę jechać do domu. Wojtek mówi mi, że Puławy już są zajęte. Uważam to za wykluczone i pewien jestem, że dojadę bez przeszkód, zwłaszcza, że Julek dowiadywał się na Dworcu Wschodnim, że pociągi kursują. Wydadę Ludwice ostatnie polecenia, bo zdajemy sobie sprawę, że to już ostatni mój pobyt w Warszawie przed przyjściem bolszewików. Z dwiema walizkami idę na stację z Ludwiką<sup>7</sup>. Kasjer zawiadamia mnie, że pociąg idzie tylko do Dębina. Jestem tą wiadomością przerażony, bo mogę się dalej nie dostać i być od Nałęczowa odcięty. A tego najbardziej się obawiałem. Chwilę się waham, ale jadę. Na stacji szukam partnerów jadących za Dębin. Zbiera się parę osób, między innymi Ronikier, jadący do Drzewc. W pociągu nie ma wielkiego tłoku. Do Dębina dojeżdżamy bez przeszkód przed 5-tą i zaraz rusza nas garstka w drogę. Dzień deszczowy, są chmury i kropi. Przejście przez Dębin jest dość nieprzyjemne. Wszędzie są posterunki, armaty, trochę wojska idzie ze wschodu. Koło Gołębia wysadzają obiekty lotnicze. Musimy obok tego przechodzić. O 8-mej jesteśmy we wsi Wólka Gołębska i tam nocujemy.

---

7. Ludwika Witwicka, wierna służąca czasu wojny.



Cały wieczór i noc słyhać olbrzymie detonacje od strony Dęblina. Cała wieś wystraszona stoi przy chatach i czuwa. Leżałem w stodole z Ronikiem, o spaniu nie było mowy”.

## WEJŚCIE WOJSK ROSYJSKICH DO NAŁĘCZOWA

*24 lipca 1944, poniedziałek*

W Nałęczowie była już inna atmosfera. „Pogoda znów ładna, słońce, gorąco. Dzień zaczyna się pod znakiem oczekiwania na wkroczenie oddziałów sowieckich. O Niemcach już się nie mówi, ich przejście przez Nałęczów wydaje się być niemożliwe. Słyszę jednak rano szereg bardzo głośnych detonacji – to nasze jednostki zdobywają (z sukcesem) niemiecki pociąg pancerny stojący na torach koło Klementowic. Nałęczów jest zupełnie opanowany przez oddziały partyzanckie A.K. i B.Ch. Już od południa robią przygotowania na wkroczenie bolszewików. Na placu Postój jest komenda A.K. w dawnym kiosku Ruchu. Ostrzegają, by nie być na ulicach, bo bolszewicy często strzelają na ślepo, obawiając się Niemców. Sfery bardziej ‘czerwone’ przygotowują sztandar sowiecki i odpowiednie transparenty koło Domu Ludowego, w alei Lipowej. Z moimi kolegami, Zbyszkim Kupczykiem i Wiktorem Eysmontem, chcemy zapisać się do jakiejś organizacji. Na razie zbyt wielkie zamieszanie, jesteśmy za młodzi by być z bronią w rękę, a broni za mało. Łazimy więc mniej lub więcej bez celu. W naszej willi, która była zajęta przez Niemców, zdzieramy niemieckie napisy, mimo lekkiego strachu dozorców Ciozdów, że może jeszcze Niemcy wrócą. Widzę, jak na Postoju wprowadzają do Komendy jakiegoś obszarpanego cywila. Rozpoznano go jako gestapowca z Lublina. Krótki sąd wojenny i eskortujący partyzant kładzie go od razu trupem w bocznej uliczce prowadzącej do parku. Słyszę o podobnym wypadku. Brat mojej nauczycielki Zielińskiej spotkał w cywilu gestapowca, który go torturował

w więzieniu. Po krótkim badaniu w Komendzie miał satysfakcję zastrzelenia go własnoręcznie”.

Były też incydenty bezprawia, najczęściej spowodowane wódką. Trzech pijanych mężczyzn zatrzymało mnie z kolegami na bocznej ulicy. Jeden przyłożył mi rewolwer do brzucha, twierdząc, że jestem Niemcem. Udało mi się spokojnie wytłumaczyć, że się myli, pokazałem Kennkartę, pijani odeszli. Zameldowałem o tym zaraz członkowi Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, ale nic nie zrobiono. Pół godziny później ten sam człowiek, nazwiskiem Wieczorek, zastrzelił kogoś w alei Lipowej. Dostał chłostę od A.K., a później, jak słyszałem, wstąpił do U.B.

Pierwsze jednostki sowieckie pojawiły się po południu. „Gdy idziemy z kolegami przez Armatnią Górę w kierunku Postoju, koło willi ‘Oktawia’, nadjeżdża panczerka sowiecka (pierwsza). Siedzi w niej brudny, ale śmiejący się, skośnooki Sowiet. Machamy mu, on nam macha. Przy jezdni stoją dwaj czy trzej mężczyźni w biało-czerwonych opaskach, my opasek jeszcze nie mamy. Za pierwszą pancerką jedzie druga. Mijając nas, wali na wiwat serię z szybkostrzelnej armatki, w górę. Nim zdążyłem się zorientować, że strzela w górę, pochylony przebiegłem zygzakiem do najbliższego drzewa, gdzie padłem plackiem na ziemię. Wiktor i Zbyszko wybuchnęli śmiechem i długo potem nie mogli mi tego darować. Dochodząc do Postoju spotykamy oddział partyzantów z bronią (parę kobiet), częściowo w niemieckich mundurach, śpiewających ‘Tę piosenkę, tę jedyną, śpiewam dla Ciebie dziewczyno’ – partyzancka piosenka z tego okresu (‘Serce w plecaku’), która potem przyjęła się w wojsku. Kobiety płaczą i rzucają kwiaty, nastrój super patriotyczny. Prowadzi ich por. Bolek, Żyd; są oddziałem A.L., a więc komunistycznym, może to ci sami, którzy dawniej walczyli z A.K. Na Postoju zatrzymują się, powiewają polskie sztandary, por. Bolek wygłasza krótkie okolicznościowe przemówienie, pełne zresztą komunistycznych haseł o ‘panach i robotnikach’ (na co nikt nie zwraca uwagi). Dr Polaczek robi zdjęcia i wszyscy są szczęśliwi. W pewnym momencie ukazują się niemieckie myśliwce, ktoś woła: ‘Lotnik – kryj się!’ i tłum rozpierzcha się i kładzie plackiem. Leżę w jakichś malinach. Po chwili porucznik

przemawia dalej i kończy szeregiem okrzyków 'niech żyje! Wszyscy śpiewają 'Jeszcze Polska nie zginęła''.

„Po skończonym przemówieniu por. Bolka, ulicą Pocztową zjeżdżają w dół trzy czołgi na których siedzą Sowietci. Wszyscy krzyczą i wiwatują. Stoją chwilę na Postoju, wsiada paru partyzantów i jadą dalej. Wszyscy oni (Sowieci) podobno zginęli potem koło Kazimierza nad Wisłą. Nad Komendą powiewają, obok polskiej, również flagi alianckie. W chwili gdy czołgi były na Postoju, z Armatniej Góry wyłonił się wuj Adam! Wracamy z nim do domu, jest dziko wymęczony”.

Wuj Adam opowiadał, że nad ranem do stodoły w której nocował wszedł mężczyzna z bronią, w niemieckim mundurze. Wuj odezwał się dyplomatycznie *Schoene Wetter, nicht war?* „To Pan Niemiec?” „Ja nie, ale Pan”. Okazało się, że był to partyzant. Adam Nagórski tak opisał swoje tego dnia przygody: „Wstajemy przed 4-tą i przed 5-tą ruszamy w drogę. Przez las idziemy okólną drogą, nie na Puławy bo tam Niemcy podobno zabierają ludność do roboty przy okopach. We wsi Młynki pijemy mleko. Dalej idziemy na Opokę i Witowice. Omijamy Końskowole bo nas straszą, że tam są jeszcze w bunkrach Niemcy. Potem ktoś nam mówił, że strzelali wzdłuż szosy. Z daleka widać już pożary. Pali się wieś Pożóg, ostrzelana i podpalona przez Niemców. Droga staje się coraz niebezpieczniejsza. Wszyscy nas ostrzegają, żeby nie iść dalej. W lasach obozują ludzie ze spalonych wsi. Na polach nikogo nie ma przy pracy. Żniwa przerwane. Koło Klementowic nasze oddziały walczą z załogą pociągu pancernego, który nie może przedostać się z Lublina na zachód, bo przed paroma godzinami wysadzono inny pociąg i rozbrojono Niemców. Słysząc strzelaninę z karabinów maszynowych. Nad nami latają samoloty niemieckie. Koło Kurowa samoloty bombowe atakują artylerię rosyjską, która wkrótce zaczyna strzelać. Przed Drzewcami samoloty rzucają bomby na tor. O 5-tej jestem w domu. Matkę zastaję samą. Walunia z chłopcami na Postoju. Radość z mego przyjazdu ogromna. Wjeżdżają akurat pierwsze czołgi sowieckie, potem wchodzi oddział A.L. (Armii Ludowej PPR a więc nie A.K.). Jestem śmiertelnie zmęczony, nogi mam poranione”. Wuj Adam miał wtedy 58 lat.

25 lipca 1944, wtorek

Dzień rozpoczął się od przejazdu przez Nałęczów dużych jednostek sowieckich. „Wczesnym rankiem budzi nas ryk motorów czołgów. Wstaję koło 6-tej i wychodzę na ulicę. Wałą dziesiątki szarych, brudnych sowieckich czołgów (*U.S. made*) od Lublina ku Puławom, ze wschodu na zachód. Siedzą na nich brudni żołnierze, pytają którędy i jak daleko do Berlina. Koło 9-tej rano przejazd kolumn czołgów kończy się i znów zapada cisza. Po ulicach chodzą partyzanci A.K., B.Ch. i A.L. Zapisuję się, wraz z Kupczykiem i Eysymonttem do A.K. w biurze willi 'Regina'. Przydzielają nas, jako kolporterów, do roznoszenia w terenie powielanego pisemka wydawanego przez B.Ch., *Wiadomości Radiowe*, którego pierwszy numer wyszedł już wczoraj. Poza tym spełniamy jakieś drobne funkcje, jak przenoszenie krzesel i stołów z poniemieckiej willi 'Pod Matką Boską' do Biur A.K., przynoszenie skrzynek z lemoniadą do Komendy, itd. W domu ogrodnika jest aparat radiowy, gdzie słucham komunikatu z Londynu po polsku. Mówią, że zajęto Nałęczów”.

„Koło 11-tej, gdy jestem w biurze w willi 'Regina', przychodzi wiadomość, że bandy ukraińskie rzną Wojciechów, miasteczko położone o osiem kilometrów na południe od Nałęczowa. Wyruszają tam wszystkie prawie oddziały z bronią, całe A.L. i większość A.K. i B.Ch. Po niedługim czasie zajeżdża konno goniec do Komendy na Postoju i melduje, że Ukraińcy rzną wieś Charz, o kilometr od Nałęczowa. Wtedy powstaje panika. Nałęczów jest bezbronny, zaledwie paru ludzi uzbrojonych. Sowietów, jak na złość, nie ma. Wysyłają kogoś, by goił czołg sowiecki, który niedawno przyjechał, kogoś innego posyłają konno na wywiad, boi się potwornie i błaga, by mu dać granaty. Podobno Ukraińcy nie mają broni palnej, a rzną nożami i siekierami. Wracam sam do domu (wuj Adam z bratem są w naszej willi), przygotowujemy się z siekierami i żelaznymi sztabami z okiennic do walki na śmierć i życie, kobiety chowają dzieci, jest popłoch. Czekamy przed domem na dalsze wypadki. Po jakimś czasie przejeżdża czołg sowiecki, zawrócony z drogi,

a na nim porucznik A.K. i były burmistrz Ciechomski. Po chwili słyhać detonacje z armatki czołgu. Przychodzą wiadomości, że spotkano paru własowców, Rosjan w niemieckich mundurach na niemieckiej służbie, których Sowietci od razu zastrzelili. Ukraińców, jak się potem okazało, w ogóle nie było”.

„Po obiedzie dostaję polecenie zanieśienia 100 egzemplarzy pisma do Wąwolnicy, położonej o pięć kilometrów na zachód. Zakładam biało-czerwoną opaskę (jeszcze z czasów milicji w 1939, należała do mego kuzyna Zygmunta Nagórskiego) i ruszam szosą sam jeden, nikogo nie spotykam. Słyszę samolot, ale z ulgą widzę na nim młot i sierp. Po obu stronach szosy są zalesione pagórki z których słyhać strzały. Idę w pewnym strachu, bo po porannych wydarzeniach z Ukraińcami przypuszczam, że mogą jeszcze grasować po okolicy, a poza tym wiadomo, że są jeszcze resztki Niemców. Nie wiem, czy nie strzelają do mnie. Moja opaska jest z daleka widoczna i mam pokusę ją zdjąć lub wejść do rowu. Dochodzę jednak do wniosku, że mógłby ktoś zobaczyć, nie chcę narażać się na śmieszność i postanawiam, że opaski nie zdejmę, a jeśli stwierdzą, że strzelają do mnie, usłyszę świst kul, będę pętał rowem. Na razie idę normalnie dalej. Spotykam jadący do Nałęczowa wóz; jedzie Władysław Oźga, mój dawny nauczyciel matematyki na tajnych kompletach, działacz podziemia, z córką Basią, w której się na tych kompletach kochałem. Szczęśliwie nie zdjąłem opaski! Marzę o spotkaniu Sowietów by poczuć się różnie i ewentualnie podjechać. Po trzech kilometrach natykam się na zepsuty czołg i ciężarówkę. Dowódcą jest kobieta, siedzi w szoferce i zaprasza mnie do środka. Okazuje się jednak, że nie wiadomo jak długo będą tam stali, więc decyduję iść dalej. Na rynku w Wąwolnicy w Komendzie B.Ch. czy A.K. oddaję dowódcy pisma i otrzymuję potem w gminie 100 złotych. Zdaję coś w rodzaju raportu o sytuacji w Nałęczowie. W tym samym pokoju siedzi aresztowany Górecki, który pracował w Arbeitsamcie w Nałęczowie. Sugerują mi, bym zarekwirował rower na drogę powrotną, lub czekał na ambulans z rannym. Rowerów oczywiście nie ma, bo nikt nie jeździ, a na ambulans czekać mi się nie chce. Zatrzymuję starego chłopa,

jadącego z żoną wozem na Chruszczów, blisko Nałęczowa i zabieram się z nimi. Jedziemy polną drogą wzdłuż szosy, bliżej linii kolejowej. Już w Wąwolnicy słyszałem, że jest w pobliżu potyczka z Niemcami, ktoś ranny, ktoś zabity. Teraz widzę w kierunku kolei słup dymu i słyszę bliskie strzały za jakąś górką. Mój woźnica mówi z flegmą: „Musi to Niemce”, jedzie zebrać zboże z pola i nic go nie obchodzi. Czuję się z moją opaską znów niepewnie, nie mając żadnej broni poza knutem. Dojeżdżam do Chruszczowa i szybko dochodzę spokojnie do Nałęczowa. Zdaję raport, donoszę o potyczce, oddaję pieniądze i wracam do domu”. Taka była moja pierwsza eskapada na bardzo krótkiej służbie w A.K.

*26 lipca 1944, środa*

Moje notatki odnoszą się jedynie do moich tego dnia przygód, w sytuacji, w której front nie był jeszcze ustabilizowany i odcięte niemieckie jednostki wciąż operowały w naszych okolicach. „Przed południem pracuję z wieloma kolegami, przygotowując pusty Pałac Małachowskich w parku na szpital wojskowy. Usuwamy śmiecie, wnosimy siano. Dostaję nową biało-czerwoną opaskę z napisem KOLPORTER. Chodzę słuchać radia. Po południu wychodzi nowy numer powielanego pisemka. Dostaję rozkaz zanieśienia go na placówki B.Ch. na stacji kolejowej Nałęczów, odległej o cztery kilometry, do wsi Piotrowice, dwa kilometry dalej i w drodze powrotnej do wsi Strzelce. Idę szosą, nie spotykając żywego ducha. Słyszę strzały i detonacje dochodzące z kierunku stacji. Nie wiem, czy to jeszcze bandy niemieckie lub ukraińskie. Nie mam broni i zastanawiam się co będzie, gdy nagle wyłonią się Niemcy. Nie wiem też, czy linia kolejowa i stacja nie są bombardowane. W pewnym momencie widzę kłęby dymu od strony stacji – jakieś pożary. Zastanawiam się co zrobić, ale dochodzę do wniosku, że wycofać się i wrócić nie wolno mi, chyba żebym miał pewność, że idę w ręce Niemców. Ukazuje się jadąca naprzeciw pełnym galopem furmanka. Wychodzę na środek szosy i wyciągam rękę z opaską. Furmanka zatrzymuje się, a ja pytam skąd jadą,

co się pali i gdzie są Niemcy. Dowiaduję się, że jest ostrzeliwana i bombardowana szosa warszawska koło Kurowa i tam gdzieś pewno są Niemcy, a oni właśnie uciekają. Ponieważ to jest osiem kilometrów za stacją kolejową, idę spokojnie dalej. Na stacji owacyjnie mnie wita placówka B.Ch., wydzierają sobie pismo, wieszamy na ścianie na peronie jeden egzemplarz. Idę potem wzdłuż toru w kierunku Piotrowic. Tory nie są bombardowane, niebo na razie czyste. W Piotrowicach nie znajduję przedstawiciela B.Ch. i oddaję pisma komuś innemu. W drodze powrotnej przecinam tory i idę polami do Strzelc. Zbliżając się do tej wioski, widzę trzy niemieckie myśliwce nisko lecące na wschód. Przeczekuję w zbożu, po kilku minutach słyszę serię z karabinów maszynowych, po czym samoloty wracają. W Strzelcach oddaję resztę mojego ładunku i wracam do domu”.

„Tego popołudnia przyszli do nas dwaj Sowietci, siedzieli na frontowej werandzie w ‘Podgórzu’, przyjaźnie rozmawiając z babcią. Kiedy się pojawiłem z opaską, przywitali mnie jako ‘partyzanta’. Słyszę opowiadania, że kręcił się po Nałęczowie jakiś dziwny osobnik nazwiskiem jakoby Kremnicki, niby z A.L. ale z opaską z literami USA, który wymyślał na „panów” i nawoływał by ich rżnąć. Został w lesie zakładowym zastrzelony przez A.K.

Adam Nagórski tak opisał wydarzenia tego dnia: „I dziś noc była niespokojna, słysząc ciągle detonacje. Wojska sowieckie zdobyły ostatecznie Lublin. Front przesunął się do Wisły. W Puławach i Dęblinie też były walki dość ciężkie. Szosa warszawska stale bombardowana jest przez Niemców. Pogoda jest dziś słoneczna. Ciągle słysząc warkot samolotów. Marek musiał kryć się w rowach gdy roznosił gazety na stacje Piotrowice i Strzelce. Aluś [mój młodszy brat] założył sobie kokardkę biało-amarantową i też chciałby coś robić”.

## POCZĄTEK DRUGIEJ OKUPACJI

*27 lipca 1944, czwartek*

Dziś zaczęły wkraczać polskie oddziały Berlinga. Berlin-

gowcy witani są przyjaźnie, z kwiatami. Wyglądają strasznie, mówią z rosyjska. Po obiedzie znów udaję się na stację z pismami, tym razem ze Zbyszkiem Kupczykiem. Każdy z nas jedzie na innym wozie kuchni polowej z taborami berlingowskimi. Żołnierz obok którego siedzę ledwo mówi po polsku. Poziom straszny. Pochodzi z kresów, siedział na Syberii. Z tyłu za mną na drugim wozie Zbyszko celuje do mnie z napięciem z pożyczonego od żołnierza karabinu. Wracamy ze stacji wstępując jeszcze do wsi Kolonia Nałęczów, a potem przez Wąwozy jakimiś końmi. Tymczasem w Nałęczowie nikogo już nie ma z opaskami. Nasze organizacje nagle schowały się pod ziemię. Spotyka mnie wuj Adam na ulicy i mówi bym natychmiast zdjął opaskę – co czynię. Na tym zakończyła się moja kariera ‘aktywnej pracy organizacyjnej’”. Wydawanego w Nałęczowie pisma więcej nie roznosiłem. Wkrótce zostało zlikwidowane.

Wuj Adam zanotował tego dnia: „Z Markiem poszliśmy spać o 12-tej. Cały wieczór słyhać było bombardowania lotnicze. Siedzieliśmy w piwnicy, a potem we dwóch czuwali na dworze. Koło 5-tej rano detonacje były jeszcze większe. Przemarsz wojsk sowieckich trwa nadal. O 12.45 wchodzi do Nałęczowa czołówki II Dywizji polskiej sformowanej w Rosji. Rozmawiam z wieloma żołnierzami. Oficerów Polaków jest stosunkowo mało, przeważnie dowództwo jest w rękach rosyjskich. Po paru godzinach nadjeżdża artyleria, a potem czołgi i piechota polska. Jednocześnie jadą olbrzymie siły rosyjskie, głównie zmotoryzowane. Rosjanie obchodzili w Moskwie uroczyście fakt zdobycia Lublina, wymienili przy tym wśród zdobytych miejscowości Nałęczów. Ruch na naszej szosie trwa z małymi przerwami do samego wieczora. Dopiero po 9-tej robi się ciszej. Lecą jakieś samoloty i przed samą 10-tą spada na Nałęczów parę bomb przy ogłuszającej detonacji. Szybko przenoszę na rękach śpiącego już Alusia do piwnicy, gdzie wszyscy siedzimy dość długo. Dziś nikt już w opaskach nie chodził”.

Mieliśmy w Nałęczowie dwa dni prawdziwej wolności i trzy dni kontaktu z zaprzyjaźnioną, wyzwolenczą armią. W momencie zdjęcia opaski zaczęła się dla mnie druga okupacja.



## ATAMAN W ALEI LIPOWEJ

W kilka dni później, 30 lipca 1944, przenieśliśmy się do własnej willi przy alei Lipowej. Aleja ta jest częścią szosy łączącej Lublin z Puławami i Kazimierzem nad Wisłą. Tam, na Wiśle, zatrzymał się front. Przez cały sierpień, a pewnymi okresami i później, aleją Lipową ciągnęły dzień i noc nie kończące się konwoje ciężarówek z żołnierzami i sprzętem wojskowym. Ciężarówki i sprzęt były prawie wyłącznie amerykańskie, dostarczone do Związku Sowieckiego w ramach programu *Lend Lease*, bohaterскими konwojami przez Morze Arktyczne, w których ginęły tysiące alianckich marynarzy. Patrząc na te gigantyczne ilości sprzętu *made in USA* nie było wątpliwości, że bez pomocy na tak wielką skalę, sowiecka ofensywa wiosną i latem 1944 nie byłaby możliwa. Żołnierze nie byli, niestety, amerykańscy, ale zachowywali się przyzwoicie, a w drodze na front śpiewali, śpiewali bardzo pięknie. Niektóre ciężarówki stanowiły swoisty zespół chóralny, z solistami. Lubiłem te nocne śpiewy. Słyszałem z daleka, jak przybliżała się ciężarówka z chórem. Śpiew stawał się coraz głośniejszy, kilka minut koncertu, potem cichł, ale wkrótce zaczynał się następny koncert. W przerwach dochodziły pomruki kanonady od strony Wisły, odległej o niewiele ponad 20 kilometrów. Pieśni były smutne, bardzo wschodnie, a dla wielu żołnierzy – ostatnie. Trudno było do tych żołnierzy czuć nienawiść, ale stawało się jasne, że zalewa nas wschód, że to początek drugiej okupacji. Czytałem wtedy, przy świeczce, pierwszy raz „Popioły”. Bardzo tę lekturę przeżywałem i w mojej młodej wyobraźni te żywe realia wojny łączyły się w jakąś romantyczną całość ze światem przedstawionym przez Żeromskiego. Były to przedziwne, niezapomniane noce.

Poranki bywały inne, mniej romantyczne. Stałem przy bramce naszego ogrodu, kiedy w alei Lipowej, na pustej tym razem jezdni, zobaczyłem rosyjskiego żołnierza jadącego stępa na koniu. Za koniem, przywiązany za ręce, ukazał się młody, wysoki mężczyzna, nagi, tylko w kalesonach. Nie był włączony, miał jeszcze dosyć siły by iść z wysoko podniesioną

głową. Za nim kilku żołnierzy z batami, którymi od czasu do czasu smagali go po plecach. Widać było rany. Dopiero później dowiedziałem się, że mężczyzna prowadzony za koniem był ukraińskim „atamanem” z oddziałów walczących po stronie niemieckiej. Scena, której byłem świadkiem, a która pasowałaby świetnie do „Trylogii”, była pierwszym stadium egzekucji. Mówiono, że skazaniec padł kilka kilometrów za Nałęczowem.

## NIEPOTRZEBNE POCISKI

W ogrodzie willi „Pod Matką Boską”, sąsiadującej z naszą willą, Rosjanie zrobili skład amunicji artyleryjskiej. Wzdłuż naszego terenu, w cieniu grabowej alei, stały rzędy drewnianych skrzyń wypełnionych starannie ułożonymi pociskami. Kilku znudzonych wartowników przechadzało się od czasu do czasu obok skrzyń. Często nie widać było nikogo. Okoliczni chłopcy, a moi rówieśnicy, urządzili sobie sport przekradania się przez zarośla i wykradania jednego czy dwóch pocisków. Były one przenoszone na teren naszego ogrodu i zakopywane w gęstych krzakach, miejscu naszych zabaw, które nazywaliśmy kryjówką. Ja czułem się już za dorosły by interesować się takim sportem, w którym widziałem niebezpieczeństwo, a nie widziałem celu. Któregoś dnia kilku chłopców podeszło do mnie w ogrodzie i jeden oświadczył: „Každy z nas ma już po kilka pocisków, a Ty nie masz żadnego. Dlaczego?” „Dlatego, że nie są mi potrzebne”. „Nie są Ci potrzebne? Nie masz ich bo jesteś tchórz!” „Tchórz! tchórz!” – zawtórowali pozostali. „Tchórz? – odpowiedziałem – No to patrzcie”. Przeszedłem przez zarośla i krzewy, rozejrzałem się, wartownika nie było widać. Wyłamałem pokrywę skrzyni, wyjąłem pocisk, przyniosłem i położyłem na trawniku. „Możecie sobie wziąć. Ja nie potrzebuję”. Zdałem sobie wtedy sprawę z różnicy między dwiema armiami. Gdyby to był niemiecki skład amunicji, takie nonszalanckie wykradzenie pocisku nie mogłoby wchodzić w rachubę.

Kilka miesięcy później chłopcy zaprosili mnie na koniec

ogrodu by zobaczyć „fajerwerki”, długie pręty czarnego prochu które zapalali. „Skąd to macie?” „Rozpiłowujemy pilnikiem tamte pociski, bezpiecznie, piłujemy stojąc za drzewem...”. Wśród chłopców był mój młodszy brat. Podniosłem alarm. Nie mogłem mieć wpływu na zabawy wiejskich chłopaków, ale bratu te zabawy wyperswadowałem. Szczęśliwie nie było żadnego wypadku. Wcześniej, 4 września, dwoje dzieci zginęło w Nałęczowie bawiąc się amunicją.

## PRZYJAŹŃ I TERROR

Stosunki z nowym okupantem, z oficerami Armii Czerwonej z którymi mieliśmy kontakt, układają się poprawnie. Kiedy przenosiliśmy się do naszej willi zajętej przedtem przez Niemców, rezydowała tam w dwóch pokojach grupa żołnierzy. Adam Nagórski zanotował w dzienniku: „Zachowują się bardzo grzecznie, przepraszają za kłopot, jaki nam swoją obecnością sprawiają. Wszyscy Rosjanie podkreślają swój przyjazny stosunek do Polaków”. Następnego ranka żołnierze wyjechali. Przez całą jesień i zimę 1944 zajęte były w naszej willi dwa lub trzy pokoje na kwatery wojskowe. Jednym z pierwszych lokatorów był pułkownik lotnictwa Pirkin, który zamieszkał u nas 7 sierpnia. „Jest bardzo sympatyczny i grzeczny. Wybiera pokój balkonowy na górze, potem schodzi do nas do stołowego i rozmawia do 1-szej w nocy. Podkreśla przyjaźń Rosji do Polski”. Pamiętam, jak wuj opowiadał mi następnego dnia o tej rozmowie i podkreślał, że bardzo ostrożnie ją prowadził. Jak pokazały dalsze wydarzenia, taka ostrożność była konieczna. Następnego dnia Pirkin przeniósł się do innej willi, w której rezydował generał, a jego miejsce zajął również lotnik, pułkownik gwardii Jakimiec. Po jakimś czasie poprosił o sąsiedni pokój, do którego wprowadziła się kobieta żołnierz. Oboje wyjechali po miesiącu. Pojawiali się inni lokatorzy na krótkie okresy. Od 12 września zamieszkała u nas na górze na kilka miesięcy pani porucznik, lekarka z sąsiedniego szpitala. Salonik na stole zajął od 20 września major doktor Popow, „kierownik polityczny” szpitala. Wuj Adam nie wysiłał się by zbyt kom-

fortowo urządzać kwatery. Zanotował pod tą datą: „W saloniku zostawiam tylko mebelki bambusowe, stół salonowy ze złamaną nogą, jedno miękkie krzesło i parę obrazków. Doktor sprowadza się dopiero po podwieczorku, przynosi sporo rzeczy, jest nam bardzo wdzięczny za wszystko i zachowuje się bardzo grzecznie. Mamy teraz na kwaterze pięć sowieckich osób wojskowych”. Major Popow pozostał u nas aż do przeniesienia jego szpitala na zachód, po zimowej ofensywie. Okazał się przyjazny i pomocny. Załatwiał wujowi przepustki na jazdę wojskowymi ciężarówkami do Lublina lub udostępniał miejsce w samochodzie szpitalnym. Przyszedł kiedyś w nocy do chorej babci Nagórskiej, a innym razem sprowadził dla niej wojskowego chirurga. Czasem dostarczał nam cenne drzewo na opał.

Mój młodszy brat utrzymywał przyjazne kontakty z ordynansami naszych lokatorów. Jeden, trochę po pijanemu, usiłował wymienić rewolwer na butelkę wódki. Ta transakcja nie doszła do skutku, ale brat chętnie brał paczkę grubego, wojskowego tytoniu, krupczaty, w zamian za jedną czy dwie koperty. Koperty potrzebował sierżant Sierioza by wysłać listy do domu, a tytoń przydawał się bratu w dalszym handlu wymiennym.

Inaczej układały się stosunki, kiedy w grę wchodził „wróg klasowy” i działały nowo wyłonione władze lubelskiego PKWN albo, w specjalnych wypadkach, NKWD. Jako właścicielom willi, ale nie majątku, odmówiono naszej rodzinie przydzielenia kartek żywnościowych (dostała taką kartkę tylko nasza gosposia) i kilkakrotnie domagano się wydelegowania mężczyzny do pracy przy okopach, lub opłacenia zastępcy. Podwyższono nam opłaty za sporadycznie działającą elektryczność. Były to więc kroki administracyjne. Gorzej wiodło się okolicznym ziemianom. Właścicielka majątku Bronice, p. Lubusza Łaniewska, była u nas 7 września. „Opowiada o sytuacji na wsi. W Bronicach jest komitet, Łaniewski jest administratorem swojego majątku”. Ten dziwny układ wkrótce się skończył. W dniu 24 października Łaniewskiego aresztowano, a jego żona przeniosła się do Nałęczowa i Lublina. Następnego dnia mieliśmy odwiedzinę właścicielki pobliskiego majątku Antopol, p. Marii Śliwińskiej, od lat z

naszą rodziną zaprzyjaźnionej. „Jest bardzo zgnębiona i przybita”. Wypadki nie dały na siebie długo czekać. Została aresztowana 17 listopada. Parę dni wcześniej jej mąż, Zygmunt Śliwiński, wstąpił na ochotnika do wojska, pojawił się w mundurze. Może dzięki temu p. Śliwińska wyszła cało z opresji, zwolniona już 22 listopada. Przyszła następnego dnia, opowiedzieć o swoich przeżyciach. O ile dobrze pamiętam te opowiadania, więziona była jakiś czas w chlewie.

Właścicielem małego folwarku Piotrowice był Kazimierz Brzeziński. Przyjaźń z Adamem Nagórskim trwała od dzieciństwa. Przedwojenny senator, miał słynną z urody żonę, która zmarła na tyfus na początku wojny. Brzeziński odznaczał się wielką elegancją i usiłował ją kultywować nawet w trudnych wojennych warunkach. Odwiedzał nas wielokrotnie w sierpniu, wrześniu i październiku 1944, zawsze w nieskazitelnie białych letnich butach. Matka śmiała się: że jak wiejskie dziewczyny do kościoła, szedł pewno całe sześć kilometrów boso, a buty wkładał dopiero w ostatniej chwili, w alei Lipowej. Kiedyś z triumfem przywiózł zakupiony dla nas metr pszenicy. W dzienniku wuja Adama, który odwiedził go ostatni raz w Piotrowicach 8 października, jest wiele o nim wzmianek. Ostatnia, z 27 października, ogranicza się do jednego zdania: „W Piotrowicach były podobno jakieś zajścia i aresztowania”. Działo się to w trzy dni po aresztowaniu Łaniewskiego w pobliskich Bronicach. Dotarła do nas później wiadomość, że Kazimierz Brzeziński pozwolił sobie na zbyt swobodne, nieostrożne rozmowy ze stacjonującymi w Piotrkowicach rosyjskimi oficerami. Zadenuncjowany przez swoich rozmówców i aresztowany przez NKWD, trzymany był podobno przez kilka dni w rowie, po pas w błocie. Wkrótce zmarł w więzieniu. Ze zrozumiałych względów, nie ma o tym w dzienniku żadnej notatki.

## SŁOWNIK LINDEGO

Podczas jednej z wizyt pani Lubusza Łaniewska z Bronic opowiadała, że we dworze koczują rosyjscy żołnierze, a cenna biblioteka narażona jest na zniszczenie. Pytała, czy zgodzili-

byśmy się przyjąć na przechowanie część książek. W dniu 6 listopada, już po aresztowaniu jej męża, nadjechała furmanka. Książki układaliśmy stosami na podłodze, na szafach, stołach, pod łózkami. Zabrałam się do ich oglądania. Były to głównie pięknie oprawne dzieła historyczne, filozoficzne i inne w XIX-wiecznych wydaniach. Nie brakowało i prawdziwych białych kruków. Znalazłem biblię Wujka oprawną w skórę zapinaną na klamry, szereg druków polskich z XVI i XVII wieku. Zainteresowało mnie sześć tomów pierwszego wydania słownika Lindego w jasno brązowej skórze. Mam dziś w swojej bibliotece powojenny reprint, który już zaczyna się rozsypywać. Wtedy, jedyny raz w życiu, miałem w ręku oryginał drukowany na pięknym, jakże trwałym papierze z tamtej epoki. W pierwszym tomie brakowało kilkudziesięciu stron równiutko wyciętych żyłką. Zapytałem o to panią Łaniewską, przy okazji jej następnej wizyty. „Rosjanie wycieli na papierosy. Dobry papier. Pali się lepiej niż 'Prawda'”. Książki u nas przechowywane ocalały. Rok czy dwa lata później zabrała je p. Łaniewska. Dalsze losy biblioteki z Bronic nie są mi znane.

## GDZIE ROSJANIE, TAM KAWIOR

Na czołgach, które przejeżdżały przez Nałęczów przebijając się w kierunku Wisły, nie było kawioru. Nie mieli go na ciężarówkach śpiewający żołnierze, nie częstowali nim kwaterujący u nas oficerowie. Kawior pojawił się w Lublinie w początku grudnia 1944, jako oczywiste posunięcie propagandowe, otwarto luksusowy sklep gastronomiczny z rosyjskimi produktami. Sklep, dostępny dla wszystkich, zaopatrzone był w towary, które w Rosji w tym czasie były zapewne osiągalne tylko dla nielicznych członków partyjnej elity. Nowa administracja postarała się, by zaprezentować Polakom bogactwa i dobrobyt, płynące z zaprzyjaźnionego Kraju Rad. Dyrektorem sklepu i nowej luksusowej restauracji był przedwojenny znajomy wuja Adama, p. Kleinadel. Tak się złożyło, że byłem wtedy w Lublinie i zostaliśmy z wujem zaproszeni na obiad, najlepszy jaki w tamtych czasach zdarzyło mi się

zjeść. Pod datą 9 grudnia Adam Nagórski zanotował: „Spotykam się z Markiem, chodzimy po mieście. O 1.30 idziemy na obiad do nowej restauracji w Hotelu Europejskim, zaproszeni przez Zaleskiego (dawniej Kleinadla), dyrektora tej restauracji i wielkiego sklepu gastronomicznego na Krakowskim Przedmieściu 51. Jemy kawior, łososia, pijemy wino czerwone, przedtem wódkę, potem jemy mięso z prawdziwym ryżem, na koniec kawę czarną. Zaleski opowiada o swoich projektach organizacji spółdzielni odbudowy. Potem prowadzi nas do magazynów. Kolejki tam olbrzymie. Onegdaj, w dzień otwarcia, mieli obrotu 1.800,00 złotych”. Dla orientacji podaję, że worek kartofli kosztował wtedy 350 złotych, a skromny obiad 20 złotych. W sklepie rosyjskim, poza czarnym i czerwonym kawiozem i wędzonym łososiem, dostać można było kraby w puszcze, najróżniejsze konserwy rybne, ryż, pyszną gruzińską herbatę, luksusowe papierosy z długimi ustnikami. W dziale alkoholi królował szampan, a na półkach mieniły się różnymi kolorami butelki owocowych likierów. Kontrast z ulicą i skromnie zaopatrzonymi straganami był olbrzymi. Rosyjski sklep gastronomiczny przetrwał około pół roku, nim rozplynął się w otaczającej go szarzyźnie.

## LONDYŃSKIE BUTY POLSKIEGO PANA

W końcu listopada 1944 roku miało miejsce dziwne wydarzenie, znów ilustrujące różnice między okupacyjnymi armiami. Na terenie sąsiadującego z naszą willą szpitala wojskowego trzymane były konie pociągowe. Co parę dni wywożono nawóz. Przygotowywaliśmy wtedy ogród warzywny pod przyszłoroczną uprawę. Wuj Adam porozumiał się z jednym z rosyjskich żołnierzy, który za drobną opłatą przewiózł pewną ilość nawozu do naszego ogrodu.

W dzienniku pod datą 24 listopada Adam Nagórski zanotował: „Wczoraj o 10-tej wieczór, kiedy byłem już w łóżku, przyszli dwaj żołnierze sowieccy od strony podwórza. Wyszedłem do nich w szlafroku. Jeden był tym, od którego wczoraj kupiłem nawóz, nazywa się Dumik, drugi jakiś obcy.

Żądali wódki, grozili, zachowywali się nachalnie, omal nie wzięli się do bicia. P. Janina [nasza gosposia] przerażona słuchała całej rozmowy. Dziś zapowiedzieli nową wizytę. Zastanawiam się co robić”. Rano pojawiła się w kuchni nasza lokatorka z górnego pokoju, pani porucznik doktor. Wuj opowiedział jej o nocnych wydarzeniach. „Czemu mnie Pan nie obudził? Zeszłabym i zastrzeliła ich!”. Wuj Adam pisze dalej w dzienniku: „Po południu, po naradzie z majorem Popowem, idę zameldować o wczorajszym najściu pijanych żołnierzy naczelnikowi szpitala [w willi] ‘Pod Matką Boską’, kapitanowi Kamińskiemu. Drugim napastnikiem okazał się żołnierz z tegoż szpitala, Silantjew. Przy mnie przeprowadzają przesłuchanie ich obu. Robi się wielka z tego historia. Zjawia się i major Popow, kierownik polityczny. Grożą rozstrzelaniem albo karną rotą”. Na zakończenie kapitan Kamiński zaprosił wręcz wuja na egzekucję o 6-tej rano następnego dnia, a wuj Adam odpowiedział, że uważa taką karę za przesadną i z zaproszenia nie skorzysta, bo tak wcześniej nie wstaje. Wrócił do domu i dosyć poruszony opowiadał nam o tej rozmowie. Wracam do dziennika: „Obaj winni żołnierze załamują się i wieczorem przychodzą do mnie przeproszać, prosić o przebaczenie i darowanie im życia, ode mnie bowiem zależy wymiar kary”.

W dzienniku jest tylko taka lakoniczna notatka, ale sceny, która się wtedy rozegrała, a której byłem świadkiem, nigdy nie zapomnę. Na ganku naszej willi pojawili się pod strażą obaj żołnierze. Prosił o widzenie się z wujem, błagając o łaskę. Jeden, wysoki, młody Rosjanin lub Ukrainiec, stał wyprężony na baczność. Drugi, trochę starszy, niskiego wzrostu, o azjatyckich rysach twarzy, ukląkł, wyciągnął w górę dłonie i powtarzał: „Hospodar, pomiłuj!” – po czym całować zaczął wuja Adama w jego stare, trochę już dziurawe londyńskie buty. Widok żołnierza Czerwonej Armii, w mundurze, całującego buty polskiego pana, był doprawdy niezwykły! Wuj obiecał, że wystąpi o ułaskawienie. „Idę z nimi jeszcze raz do szpitala, ale nie zastaję już ani kapitana Kamińskiego, ani majora Popowa”.

Następnego dnia Adam Nagórski zanotował: „Idę jeszcze raz na teren szpitala ‘Pod Matką Boską’. Spotykam majora



Popowa i proszę go o łagodny wymiar kary dla tych dwóch żołnierzy. Odzyskuję 200 złotych, które major Popow kazał mi zwrócić. Decyzja co do wymiaru kary jeszcze nie zapadła, ale zdaje się, że będzie nieco łagodniejszy – półtora miesiąca karnej roty”.

Epilog tych wydarzeń miał miejsce kilka tygodni później. Idąc aleją Lipową natrafiłem na wózek z nawozem. Powozili nim ci sami żołnierze.

*Marek RUDZKI*

## LISTY DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze!

W odpowiedzi na polemikę p. Józefa Zaorskiego, p. Roman Gerlach stwierdza w *ZH* nr 117, że główną tezą jego artykułu pt. „Ani niedźwiedzi, ani lasu, ani nic – Tragedia warszawskiego getta” *ZH* nr 115, było iż „dwulicowość Cukiermana, Chalucu i ŻOB-u (stała się) źródłem tragedii warszawskiego getta”. Nie wdając się w szczegóły, w moim przekonaniu mało istotne, chciałbym słuszność tej tezy zasadniczo zakwestionować.

Rzeczywistym źródłem tej tragedii było bowiem skazanie z góry na zagładę tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci, szczelnie izolowanych za murami getta, przez niemieckich okupantów. W tej sytuacji zarówno poglądy polityczne, jak i błędy przywódców poszczególnych organizacji żydowskich odgrywały raczej znikomą rolę. Ludzie stłoczeni w getcie byli nieuchronnie skazani na śmierć; niezależnie do ich postaw filozoficzno-życiowych, czy sympatii politycznych. Ich losu nie było w stanie zmienić i na tym polega istota ich niezwyklej tragedii. Świadek historii, jej aktywny uczestnik i znakomity znawca przedmiotu, prof. Władysław Bartoszewski podczas odczytu w Monachium stwierdził dosłownie: „Nie mogliśmy nic zrobić, żeby im (Żydom) skutecznie pomóc. Mogliśmy jedynie umrzeć razem z nimi”. Stan własnego uzbrojenia AK, nie mówiąc już o GL, ujawniony podczas powstania w sierpniu 1944, nie pozwalał na wyposażenie żadnej większej grupy bojowej spoza własnych szeregów. Łączyły się z tym nieprzezwyciężalne trudności, związane z przerzutem broni.

Dzięki nielicznym uzbrojonym przez Polaków bojowcom żydowskim, powstanie w getcie warszawskim stało się tym, czym jedynie być mogło – symbolem nie tylko żydowskiego męczeństwa, ale i bohaterstwa. W moim przekonaniu jest to także trwały symbol polsko-żydowskiego braterstwa. Do zapisania tej karty w historii przyczynił się również, mimo swych błędów i być może niesprawiedliwych retrospektywnych ocen, Icchak (nie Icek)

Cukierman. Polemizując z jego książką nie tracimy z oczu właściwego wymiaru i autentycznych przyczyn tragedii Żydów nie tylko warszawskiego getta.

Z głębokim szacunkiem

Andrzej ALBRECHT

SPROSTOWANIA DO ARTYKUŁU ZYGMUNTA  
WOŹNICZKI „PODZIEMNA PPS-WRN W LATACH  
1945-1948”\*

Cenny artykuł Zygmunta Woźniczki (*Zeszyty Historyczne* nr 112/1995) wymaga jednak komentarza i pewnych sprostowań.

Autor odtwarzał wydarzenia w ogromnej mierze na podstawie dokumentacji byłego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, znajdującej się obecnie w Centralnym Archiwum MSW. Bardzo to ważne źródło i nadal bardzo trudno dostępne dla historyków, trzeba więc z uznaniem pokwitować fakt wprowadzenia tych dokumentów (a ściślej ich streszczeń) do obiegu i do dyskusji. Otóż właśnie, wymagają one ostrożnego podejścia, gdyż – przypomnijmy rzecz oczywistą – były gromadzone i komentowane przez pracowników UB z zamiarem wykorzystania w procesie przeciwko PPS-WRN. Jak pisze sam autor „MBP w czasie śledztwa i potem rozprawy ‘naciągała’ zeznania często dopisując nowe ‘fakty’ z działalności PPS-WRN”. Stąd pewne zdarzenia, np. dotyczące nielegalnych struktur organizacyjnych, mogą być wyolbrzymiane, inne pomijane.

Niezmiernie ważne byłoby więc odwołanie się również do kronik wydarzeń i zestawów dokumentów wytworzonych przez uczestników omawianych zdarzeń. Zygmunt Woźniczka powołuje się na wspomnienia Kazimierza Pużaka, Zygmunta Żuławskiego i spisane znacznie później Ludwika Cohna, ale zupełnie nie zauważa relacji Jana Malary w broszurze „Perspektywy walki”, opublikowanej w 1947 r. (właśc. nr 1 „Światła paryskiego”). Redaktorem broszury i pisma był Zygmunt Zaremba, przecież jeden z głównych bohaterów zdarzeń. Pomija również znacznie późniejszą książkę Edmunda Reńskiego „Skradzione sztandary PPS”, wydaną w 1990 po raz drugi, gdyż pierwszy raz wyszła w 1987 r. a Reński wystąpił jako Ludwik Mielnicki. Ten mało znany dziś działacz PPS-WRN był postacią niezwykłą. W czasie okupacji niemieckiej działacz PPS-WRN w Ostrowcu Świętokrzyskim został też tam Powiatowym Delegatem Rządu. Po aresztowaniu w 1947 r. kierownictwem byłej PPS-WRN zorganizował łączność z ośrodkiem emigracyjnym i do 1950 r. przysyłał krótkie informacje o sytuacji w Polsce i losach b. działaczy partii. Ponadto zaopiekował się archiwum Tadeusza

Szturm de Sztrema i na jego podstawie opracował wspomniane książki. Zmarł w zupełnej niepamięci przed kilku laty. Z. Woźniczka nie wykorzystał też w ogóle zbioru korespondencji krajowego kierownictwa PPS-WRN z kierownictwem zagranicznym („My tu żyjemy jak w obozie warownym. Listy PPS-WRN Warszawa-Londyn 1940-1945”, Puls, Londyn 1992). Jest to zbiór niezwyklej wagi dla omawianego tematu; zawiera m.in. bieżące relacje Z. Zaremby z wydarzeń w kraju, sytuacji WRN, prób legalizacji PPSD. Wśród prac pominiętych wspomnieć by jeszcze trzeba książkę Romana Kruszewskiego i Wandy Tycner „Proces Kazimierza Pużaka, Prezydenta Podziemnego Państwa Polskiego”, Wyd. Prawnicze, Warszawa 1992, który zawiera obszernie wypisy z akt procesu.

W przeciwieństwie do wymienionych prac powszechnie dostępnych Autor artykułu mógł nie dotrzeć do książki Zbigniewa Kalenickiego „Konspiracja WRN-owska w Polsce Ludowej (1944-1948), wydanej w 1986 r. przez Wyższą Szkołę Oficerską MSW im. Feliksa Dzierżyńskiego w 200 egzemplarzach. Jako druk specjalny MSW nie jest to książka dostępna w normalnych bibliotekach, nie była recenzowana itp. Tym niemniej warto o niej wspomnieć, gdyż opiera się na aktach MBP, w tym na materiałach skonfiskowanych działaczom PPS po ich aresztowaniu. Jest to praca skrajnie tendencyjna w ocenach, ale przynosząca mnóstwo informacji, choć niełatwo orzec, czy zawsze wiarygodnych.

Gdyby autor przeczytał wymienione książki i zbiory dokumentów, nie popełniłby większości błędów rzeczowych, które trzeba sprostować. Pomijam przy tym te fakty czy oceny, które budzą wątpliwości, ale trudno je kwestionować wprost, bo brak materiałów pozwalających na ich wiarygodne sprostowanie. Ograniczam się do sprostowań rzeczy chyba niewątpliwych.

Str. 18 – autor podaje, że w czasie wojny zmarło lub zginęło 28 członków Rady Naczelnej PPS. Według imiennej listy sporządzonej przez Antoniego Reissa („Z problemów odbudowy i rozwoju organizacyjnego PPS 1944-1946”, Warszawa 1971) zginęło lub zmarło w czasie wojny 35 na 75 wybranych w 1937 członków Rady Naczelnej.

Str. 19 – autor pisze, że Zdanowski nie należał formalnie do WRN, a na str. 20 podaje, że był w jej kierownictwie. Wyjaśnienie można znaleźć w pamiętnikach Pużaka ogłoszonych w *Zeszytach Historycznych* nr 41/1977: w czerwcu 1943 r. nastąpiło połączenie WRN z kilkoma grupami działającymi dotąd odrębnie i równoczesne poszerzenie kierownictwa, do którego wszedł m.in. Zdanowski.

Str. 21-23 – posiedzenie Rady Naczelnej PPS-WRN odbyło się 15 (nie 19) marca. Wśród wymienionych przekręcono nazwisko Stanisława Karpińskiego. Autor omawia podjęte decyzje, nie powołując się na uchwały (ogłoszone w tomie „My tu żyjemy”) oraz na sprawozdanie Z. Zaremby dla towarzyszy w Londynie (tamże). W tym samym tomie podane są uchwały Rady Naczelnej z 5 lipca

1945 r., kończące działalność partii w dotychczasowej formie.

Str. 23 – Zaremba nie był przewodniczącym Rady Jedności Narodowej, która po aresztowaniu szesnastu nie miała nowego przewodniczącego. Przewodnictwo na zebraniach było rotacyjne.

Str. 24 – błędna jest informacja jakoby Archiwum Adama i Lidii Ciołkoszów znajdowało się w Instytucie Sikorskiego w Londynie. W rzeczywistości znajduje się ono w rękach Lidii Ciołkoszowej.

Str. 26 – konstrukcja akapitu sugeruje, że kooptacje do Rady Naczelnej PPS Osóbki Morawskiego z wiosny 1945 r. były wynikiem postępującego ‘dogadywania’ się z Żuławskim. Jest to nieprawda. Zresztą tylko nielicznych z wówczas kooptowanych można uznać za reprezentatywnych dla przedwojennej czy okupacyjnej PPS.

Na stronach: 27, 29, 30 pojawia się nazwisko Henryka Witkowskiego. W istocie chodzi o Henryka Świątkowskiego, przed wojną znaczącego działacza PPS (przez pewien czas członka Rady Naczelnej) i adwokata, który po wojnie został ministrem sprawiedliwości, zaś w PPS należał do najbardziej prokomunistycznej grupy, za co w 1948 r. uhonorowano go członkostwem Biura Politycznego PZPR.

Str. 35 – dokumenty umowy zawartej przez Żuławskiego ze Szwalbem i in. ogłosił w Krytyce nr 12/1982 Leon Ostrowski (E. Reński), o czym autor nie wspomniał i nie odniósł się do ich treści. Porównanie całego epizodu PPSD z historią Komitetu Legislacyjnego SN jest wątpliwe. W PPSD byli działacze, których na tym ‘etapie’ nie można było uznać za reakcję, względnie otwarty na nich atak mógłby być powodem głębokiego fermentu w oficjalnej PPS. Ponadto, dzięki porozumieniu z grupą Żuławskiego PPS Osóbki i Cyrankiewicza otrzymała uznanie ze strony zachodnich partii socjaldemokratycznych, co było nie bez znaczenia (na tym ‘etapie’).

Str. 40 – omawiane tu struktury organizacyjne sugerują istnienie wielkiej sieci podziemnej, co jest nieporozumieniem. Nie wspominali o jej istnieniu ani Zaremba, ani Ciołkosz w najbardziej poufnej korespondencji. W rzeczywistości chodziło zapewne o drogi przepływu informacji i oceny sytuacji, a zapewne też jakiejś pomocy materialnej dla ludzi szczególnie jej potrzebujących. Pisząc o strukturach organizacyjnych autor pomija powstanie w sierpniu 1946 r. w Paryżu Delegacji Zagranicznej PPS z Z. Zarembą na czele, która miała reprezentować niezależny socjalistyczny ruch krajowy w kontaktach międzynarodowych.

Str. 43 – idea porozumienia niezależnych socjalistów z PSL, reprezentowana zwłaszcza przez Żuławskiego i Zdanowskiego była popierana na emigracji przez Ciołkosza i Zarembę, ale wstrzeмиęźliwie oceniana przez Arciszewskiego i Kwapińskiego ze względu na ich wrogość wobec Mikołajczyka i jego ‘projałtańskiej’ polityki. Spotkanie Ciołkosza z Cyrankiewiczem miało miejsce w maju 1946 r. po międzynarodowej konferencji partii socjalistycz-

nych w Clacton.

Str. 46 – Adam Obarski w czasie okupacji stał na czele OKR Warszawa-Podmiejska (województwa).

Str. 50-51 – akcja solidarności z aresztowanymi i ich obrony była na Zachodzie dość rozległa. Ciołkosz rozesłał wiele listów i odbył wiele rozmów. To samo czynił Zaremba. Sprawa była omawiana w prasie zachodniej oraz w parlamencie brytyjskim. Oczywiście, bez efektu.

Andrzej FRISZKE

Warszawa, 5.06.1996

Szanowny Panie Siemaszko,

Dziękuję Panu za omówienie moich wspomnień „Liście na wietrze” w *Zeszytach Historycznych* nr 115/96. Mam jednak pewne uwagi, odnoszące się do niektórych nazw i sformułowań, zawartych w Pana recenzji:

– Nazwa rzeki „Dźwina Północna” nie zgadza się z jej nazwą rzeczywistą, gdyż w atlasach występuje ona jako „Dwina” (po rosyjsku zaś Siewiernaja Dwina), płynąca od Kottłasu w kierunku północnym do Archangielska i Morza Białego. Natomiast rzeka „Dźwina” (Daugava) płynie przez Rygę do Morza Bałtyckiego.

– Na str. 161 Pana recenzji wystąpił błąd drukarski w dacie przybycia transportu z pomocą dla Polaków do Kottłasu – 1 kwietnia 1942.

– Na spotkaniu Sybiraków przeprosiłam siostrę (choć jej nie było) Bernardę Mosakowską za zniekształcenie jej imienia oraz za tzw. narzeczonego. O tym, że była siostrą zakonną dowiedziałam się dopiero po wydaniu moich wspomnień, jak i o tym, że kapral, chcąc nieść pomoc w tych strasznych czasach „ofiarowywał jej swoją rękę”, lecz odmówiła mu, gdyż wcześniej złożyła śluby zakonne.

– Pana Jerwańskiego pamiętałam jako Kazimierza Jerwańskiego, nie Jerywańskiego jak Pan pisze. Załączam jego własnoręczny podpis. Nie wiem zatem kto się pomylił: ja czy ks. Grabski, czy może Jerwański zmienił swoje nazwisko? Nazwiska majora Zielińskiego nie znałam, zaś delegata pamiętam jako „Michel”, nie „Mychal”, jak Pan podaje być może za ks. Grabskim.

– O ile pamiętam Dom Dziecka w Tisowej był organizowany chyba w sierpniu-wrzeźniu 1942 r. Dyrekcja, nauczyciele i cały personel był polski, szkoła też była polska. Ochronka nasza pod dyktando polską przetrwała do marca 1943 r.

Ostatnio otrzymałam wspomnienia ks. Grabskiego, jak i wiadomość, że już niestety nie żyje. We wspomnieniach ks. Grabskiego zauważyłam pewne pomyłki, ale biorę to na karb niedoskonałej pamięci ludzkiej. Na str. 44 w/w wspomnień ks. Grabski opisuje chorobę, jego odwiedziny w szpitalu zakaźnym, śmierć i pogrzeb mojego Taty. Tylko to nie „starsza już kobieta” prosiła go o odwiedzenie taty w szpitalu, ale ja osobiście i to ja również zawiadomiłam go o śmierci ojca. Potem podczas choroby mamy na Bołtince ksiądz odwiedzał nas i chociaż mama miała 44 lata, wyglądała rzeczywiście na starą kobietę. Ks. Grabski był dla nas niezwykle dobry i dlatego bardzo pragnęłam spotkać Go i podziękować za Jego Człowiecze Serce.

Co do dyrektora ochronki z Tisowej, pamiętam go doskonale. Nie opisałam wszystkich kaźni jakie wykonywał na dzieciach, lecz tylko dwie i niedoszłą na mnie.

Uważam nadal, iż moim nieszczęściem było to, że nie udało się nam wyjść z generałem Andersem. Na pewno w latach 50-tych, kiedy jeszcze żyła moja mama i bracia, wydałabym swoje wspomnienia. Iluż ludzi by się odezwało, ile prawd wyszłoby na jaw, a ja nie żyłabym tak jak tu, w PRL-u, gdzie ponad 40 lat temat wywózki na Sybir nie istniał. Prawie osiem lat temu pukałam do wydawców, a oni nawet nie czytając moich wspomnień odpowiadali – „temat oklepany”. Zresztą to samo jest i teraz. Moich wspomnień nie ma już żadna księgarnia, ja otrzymuję listy z całego niemal świata z prośbą o przesłanie książki i znów nikt nie chce nakładu powtórzyć, a ja już tego nie zrobię. Tylko raz mogłam sobie na to pozwolić, bo byłam to winna moim Wspaniałym Rodzicom, by pamięć o nich trwała. Mogłabym opisać i życie w PRL-u, ale kto by to wydał?

Z poważaniem

*Felicja KONARSKA*

●  
Paryż 5 czerwca 1996 r.

Drogi Panie Redaktorze!

Mam dwie prośby, z których składa się ten list. Jedna jest mocno dla mnie żenująca. Zaczynam od łatwiejszej do usprawiedliwienia, nie tyle nawet mnie, ile linotypisty. Otóż najpierw chciałbym sprostować błędy, które wkrały się przy składaniu moich opracowań w numerze 116 *Zeszytów Historycznych*, gdzie na s. 160, wiersz 15 od dołu zostało zniekształcone nazwisko prof. Zgórniaka (nie Zagórniaka); na s. 161, wiersz 10 od dołu, po słowie „Polskę”, zamiast „ale” winno być „ani”; na s. 192, wiersz 9 od góry, zamiast „informacja” winno być „insynuacja” i na tej samej

stronie, wiersz 16 od góry, zamiast „które” wino być „która”; na s. 193, wiersz 14 od dołu, do usunięcia jest cudzysłów przed słowem „społeczeństwa”; na s. 207, wiersz 5 od góry, zamknięcie cudzysłowa po słowie „Radia”.

Druga prośba dotyczy mojego listu, jaki ukazał się w tym samym numerze *Zeszytów Historycznych*, o którym wyżej jest mowa, gdzie w nawiązaniu do listu p. Z.S. Siemaszki pisałem, że podczas Powstania w Warszawie działały dwie radiostacje: „Błyskawica” i „Polskie Radio”, co jest lapsusem z mojej strony i co pragnąłbym teraz skorygować. W rzeczywistości bowiem – sam zresztą zwracałem na to uwagę w *Zeszytach Historycznych* nr 113, ss. 182 i 184 – radiostacja była jedna, należąca do zespołu „Błyskawicy”, z której korzystało również „Polskie Radio”, stanowiące odrębny zupełnie zespół. Dwa były zatem zespoły, wzajemnie ze sobą rywalizujące, nadające jednak na falach tej samej radiostacji. Błąd trudny do usprawiedliwienia. Łagodząca dla mnie okolicznością może chyba być to, że zespół i audycje „Polskiego Radia”, niewystarczająco znane, są często utożsamiane z programem zespołu „Błyskawica”. Ich odrębność staram się przy różnych okazjach podkreślać. W danym wypadku zrobiłem to zbyt gorliwie, stąd moja obecnie skrucha.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Tadeusz WYRWA



## SPIS TREŚCI

Z.S. Siemaszko: <i>Jeńcy z Pawliszczew Boru</i> . . . . .	3
Tomasz Mianowicz: <i>Rozmowy Marszałka Kulikowa z kierownictwem PRL w marcu 1981 r. Dokument z Archiwów Ministerstwa Obrony NRD</i> . . . . .	34

## WSPOMNIENIA

Bolesław Taborski: <i>„Moja wojna” – Początek i koniec</i>	45
Maciej Bernhardt: <i>Szkoła Wawelberga i Politechnika Warszawska w latach 1940-1944</i> . . . . .	95
Barbara Schenkel: <i>Do Redakcji „Zeszytów Historycznych”</i> . . . . .	108
Julian Chrzanowski: <i>Dyszłowy z Birkenau</i> . . . . .	109

## POLITYKA NARODOWOŚCIOWA PRL

Krzysztof Tarka: <i>Litwini w powojennej Polsce 1944-1950</i> . . . . .	123
Bernadetta Nitschke: <i>Wysiedlenia Niemców w czerwcu i lipcu 1945 r.</i> . . . . .	155

## CI, CO ODESZLI

Grzegorz Mazur: <i>Z kart wojennej służby Czesława Zgorzelskiego</i> . . . . .	172
--	-----

## RECENZJE

Jerzy R. Krzyżanowski: „Polski” rozdział u Aksjonowa 176

## OKRUCHY HISTORII

Tadeusz Wyrwa: <i>Francuzi i Polacy podczas okupacji niemieckiej</i> . . . . .	183
Ludwik Hass: <i>Wolnomularstwo w Polsce współczesnej</i>	197
Marek Rudzki: <i>Winietki wyzwolenia i drugiej okupacji</i>	207

## LISTY DO REDAKCJI

Andrzej Albrecht: <i>Komentarz do polemiki Józefa Zaorskiego z Romanem Gerlachem (Zeszyty Historyczne Nr 115 i 117)</i> . . . . .	232
Andrzej Friszke: <i>Sprostowanie do artykułu Zygmunta Woźniczki (Zeszyty Historyczne Nr 112 z 1995 r.)</i>	233
Felicja Konarska: <i>Wyjaśnienia w związku z recenzją Z.S. Siemaszki z książki „Liście na wietrze” (Zeszyty Historyczne Nr 115)</i> . . . . .	236
Tadeusz Wyrwa: <i>Sprostowania pomyłek w jego artykule (Zeszyty Historyczne Nr 116)</i> . . . . .	237



ACHEVÉ D'IMPRIMER  
LE 5 DÉCEMBRE 1996  
SUR LES PRESSES DE  
L'IMPRIMERIE NOUVELLE  
16-24, RUE SOUBISE,  
93400 SAINT-OUEN  
Dépôt légal : 4<sup>e</sup> trim. 1996  
N° d'imprimeur : 1149



**F 90**